

**Hans Helmut Kirst**

***Bohater w wieży***

*Katastrofa nastąpiła późnym latem tysiąc dziewięćset czterdziestego, po spektakularnej zwycięskiej kampanii Wielkich Niemiec we Francji. Bateria ciężkiej artylerii przeciwlotniczej zajęta wówczas pozycję na skraju miasta D., położonego około osiemdziesięciu kilometrów na południowy zachód od Paryża. W krótkim czasie poniosło tam śmierć kilku ludzi — podobno w „całkiem normalnych okolicznościach”.*

*Działo się to w okresie, kiedy wojna zaczynała się stabilizować jako powszechnie uznawana „narodowa konieczność”, kiedy nawet morderstwo uważano za „całkowicie normalne”, choć w języku potocznym owych czasów używano łagodniejszych określeń. Jednakże to, co się wtedy stało, jeszcze dziś niejednokrotnie przyjmuje się co najmniej za coś oczywistego, ba, nawet za „prawnie i moralnie bez zarzutu”.*

*Ale znaleźli się wówczas ludzie, którzy tego rodzaju „stosunki wojenne” odczuwali jako mocne wyzwanie. Bardzo szybko uświadomili sobie, że — zgodnie z prawami wojny — nie mają innego wyboru, niż tylko odważyć się na próbę zamordowania morderców. Przynajmniej jednego z nich.*

*I tak też się stało. I stąd właśnie wyniknęła „sprawa D”. Niniejsza książka próbuje ją odtworzyć.*

*Śmierć przed południem — na pozór zwykły  
przypadek*

— Ten jest już załatwiony! — stwierdził starszy ogniomistrz Krüger ze znajomością rzeczy. — Jak nic skreślił sobie kark.

Okiem znawcy zmierzył zwłoki żołnierza, które skurczone leżały u jego nóg w lśniących oficerkach. Widział już pod nogami niejednego trupa — podczas zwycięskich kampanii wojennych w Polsce i we Francji, a także gdzie indziej. Taki widok był dla niego chlebem powszednim.

— Akurat ten Schulz! — powiedział starszy ogniomistrz bez szczególnego wyrzutu, raczej z serdeczną wyrozumiałością; jego demonstrowanie napadów ludzkich uczuć znane było wtajemniczonym. — Zawsze przysparzał tylko samych kłopotów, aż do końca!

Ta wzmianka o kłopotach zdawała się pobudzić go niezwłocznie do dalszego działania. Wyprostował zwałisty tułów, jego nalana twarz obróciła się dokoła z wyćwiczoną uprzejmością. Zobaczył trzech swoich żołnierzy, jak stoją w przyczajonym oddaniu, gotowi do przyjęcia rozkazu; a więc dokładnie tak, jak się należało w jego jednostce i w jego obecności. — Chłopaki — powiedział — co tak głupio wytrzeszczacie oczy! Czy jeszcze nie pojęliście, że krowa nie tylko daje mleko, ale i gubi placki?

Jeden z żołnierzy roześmiał się ochoczo, była to bowiem któraś z żartobliwych uwag jego zwierzchnika. Ten Krüger był cholernie dowcipnym człowiekiem w każdej sytuacji! Również dwaj pozostali żołnierze starali się przybrać wesoły wyraz twarzy, ale wyszedł im tylko zmęczony uśmiech — to jednak wystarczyło. Krüger uznał, że dłużej nie potrzebuje się nimi zajmować.

Potem krótkim, badawczym spojrzeniem obrzucił czwartego żołnierza, który stał z tyłu. Był to nie znany mu gefrajter. Starszy ogniomistrz stwierdził: osobnik o mleczonej cerze, gnuśnych oczach i zaciśniętych ustach. Typ safandy-Introvertyka; dla Krügera żaden problem.

— Hej, wy tam — powiedział starszy ogniomistrz energicznie — jeśli jakiś baran skręci sobie kark, nie zamierzam z tego powodu oglądać wybaluszonych cielecych oczu! Jesteśmy tu w końcu na wojnie, chyba to wreszcie do was dotarło? A może nie? Czy jest wśród was taki, którego martwy kretyn potrafi wyprowadzić z równowagi?

— On spadł z najwyższego okna wieży — oświadczył gorliwie jeden ze świadków. — Szybował w powietrzu jak nietoperz, widziałem to. Potem klapnął na ziemię...

— W sam środek betonowego dziedzińca, tak? — Ogniomistrz najwidoczniej nie dał się zaskoczyć. — Ale nawet gdyby upadł na żwir, z pewnością też by skręcił kark przy takiej wysokości!

Krüger patrzył teraz, jakby zamyślony, na wieżę starego zamku, ponad spękany murami, wzdłuż szczerb przypominających ślady strzałów — patrzył na szaroolowiany zwietrzały kamień z ciemnymi rysami, wyplukany przez deszcze, przeżarty przez mrozy. Wyżej: gęsty rząd okien, tuż pod płaskim dachem — jedno z nich szeroko otwarte.

Krüger uśmiechnął się. Wydawało mu się bowiem, że w cieniu, w środku wieży, mignęła twarz — mianowicie

twarz szefa baterii, kapitana Heina. Twarz napięta, pociągła, ostro zarysowana i blada, która zaraz potem się cofnęła i zdawała się świecić, niczym latarnia, słabym blaskiem. Krüger skinął głową.

Następnie oświadczył, jakby na zakończenie, robiąc przy tym ruch ręką w kierunku trupa: — Ten Schulz, ten nędzny głupiec, został wyznaczony do mycia okien w wieży. I to ja go wyznażyłem! Przypuszczalnie stracił równowagę. A zatem chodzi tu o nieszczęśliwy wypadek. Zrozumiano?

Sprawiali wrażenie, że rozumieją — ci trzej żołnierze, którzy stali dokoła niego w oczekiwaniu. Pośrodku staro zapuszczonego parku, u podnóża wieży należącej do zamku, budowli, która groziła zawaleniem. Spędzali tu dni po wielkim, głośnym zwycięstwie nad Francją. Piękne dni, wypełnione jedzeniem i piciem — pragnęli, aby upływały one możliwie bez zakłóceń. Tylko głupcy ginęli.

— Pytałem was, zasrane ślamazary, czyście rozumie-  
li?

— Tak jest, panie sierżancie! — zapewnili żołnierze  
pospiesznie. — Zrozumieliśmy! W zupełności!

Krüger skinął głową i spojrzał na czwartego, nie znającego mu gefrajtra. Również ten zdawał się być zgodny, co starszy ogniomistrz uznał za oczywiste, albowiem coś innego było na jego podwórku nie do pomyślenia.

— A więc był to wypadek. — Krüger stanął na rozkraczonych nogach i podparł się pod boki. — Zaświadczy-  
cie to, wszyscy czterej bez wyjątku! A teraz do roboty, pa-  
sibrzuchy! Nie wykręcać mi się zmęczeniem ani leni-  
stwem. U mnie to nie przejdzie! Zabierać kolegę do szopy  
na narzędzia.

— A jeśli to nie był wypadek, co wtedy? — zapytał  
czwarty żołnierz, ów gefrajter, niezwykle uprzejmym gło-

sem; wyprężył się przy tym, jakby miał stanąć na baczność, jednak z widocznym wahaniem. — To znaczy, mam na myśli, że mogło być jeszcze kilka innych przyczyn.

— Chyba się przesłyszałem? — powiedział starszy ogniomistrz Krüger, spojrział przy tym z niedowierzaniem na owego gefrajtra. — Czyżbyście mieli jakieś wątpliwości, śmieszny chłoptasiu?

— Pozwoliłem sobie tylko...

— To niesłychane, ty nędzna kreaturo! Co wy sobie wyobrażacie! Pozwalać sobie na coś takiego — wobec mnie! Wybraliście się pod zły adres!

— Myślałem...

— No nie, i w dodatku jeszcze myślicie! Od myślenia to ja tu jestem! Czyżby to jeszcze do was nie dotarło?

Starszy ogniomistrz Krüger uchodził za mistrza takich idiotycznych gier. I potrafił wymyślać wciąż nowe. Jego ludzie wiedzieli o tym, również ci trzej, którzy stali dokoła niego. A ponieważ owa inwencja twórcza Krügera nie była skierowana do nich, uśmiechali się ironicznie. Obcy gefrajter w porę się zorientował, z kim ma do czynienia. Zamilkł więc czym prędzej, jakby zrezygnowany.

Tę reakcję Krüger natychmiast wytłumaczył sobie jako przejaw respektu. Zanotowawszy to w pamięci, okazał się wspaniałomyślny. — No, otwórzcie znów swoją bezczelną gębę, nędzny łapserdaku! Krowa, która dużo ryczy, daje mało mleka.

— Przepuszczalnie źle się wyraziłem, panie sierzancie — odpowiedział spieszenie gefrajter. Wyprężył się, co nie podziałało zbyt przekonująco. — Ja na nic sobie nie pozwalam. Bardzo rzadko zdobywam się na luksus myślenia, a już na pewno nie w tym wypadku. Moja uwaga była tylko zbyt pochopną niestosownością,

Krüger uśmiechnął się od ucha do ucha. Po czym spojrział, wyraźnie zaskoczony, na gefrajtra. — Ale z was figlarz. Próbujecie mnie na siłę rozweselić. A może macie zamiar podłożyć mi świnie?

— Gdzieżbym śmiał — powiedział gefrajter, a zabrzmiało to niemal szczerze — to byłoby zbyt lekko-myślne. — I po krótkiej przerwie dodał energicznie: — Panie sierżancie!

— No właśnie — rzekł Krüger z uznaniem. — W każdym razie nie wyglądacie mi na głupiego. Powiedzcie zatem, za kogo się uważacie?

— Za faceta, który stale się uczy, panie sierżancie.

— I to, zdaje się, podejrzenie szybko! — Wzrok Krügera spoczął badawczo na gefrajtrze o bladej cerze. — Ale mnie się to podoba. A co takiego zamierzaliście mi tak ochoczo wyłuszczyć? Bardzo jestem ciekaw.

— Nic szczególnego, naprawdę nic!

— Pozwolicie, że ja o tym zdecyduję — oświadczył Krüger ostrym tonem. — A więc naprzód, wyduście wreszcie z siebie! W czym, waszym zdaniem, tkwi sedno sprawy?

— Kiedy nadszedłem — powiedział gefrajter z wymuszoną ostrożnością — trup leżał już na ziemi.

— No pięknie — stwierdził starszy ogniomistrz, zadowolony. — I co dalej?

— Ja tylko słyszałem, co mówiono. Mniej więcej tak: szybował w powietrzu jak nietoperz.

— No to co? Dlaczego miał nie szybować? Cóż w tym dziwnego?

— Przypuszczalnie nic — odrzekł gefrajter pospiesznie. I zaraz potem dodał: — Pomyślałem sobie, że skoro szybował, to chyba nie wypadł tak zwyczajnie, jak gdyby stracił równowagę przy myciu okna.

— Patrzcie go! — powiedział Krüger zdumiony. —

On znów myśli. A więc dobrze, więc on nie szybował, tylko wyskoczył! I co z tego, waszym skromnym zdaniem?

— To mogło być samobójstwo. Możliwe też, że został wypchnięty — wypchnięty przez okno, tak sobie pomyślałem.

Krüger wyglądał teraz na zatroskanego, mianowicie o gefrajtra. — Nie do wiary! Tak sobie pomyśleliście, ale chyba jeszcze zanim usłyszeliście moje zdanie. Czy tak? A może w ogóle go nie dosłyszeliście?

— To był wypadek — tak pan powiedział.

— Czyżbyście w to wątpili?

— To chyba był wypadek — powiedział gefrajter na pozór skwapliwie. — Pan to z pewnością wie najlepiej.

Krüger wpatrywał się w nieznanego gefrajtra, jakby w ciemnościach odczytywał tablicę sygnalizacyjną. I nagle oświadczył zdecydowanym tonem: — Nie próbujcie na moim podwórku dopuszczać do siebie głupich myśli, ciekawski żółtodziobie! Musicie wiedzieć jedno: u nas, a więc u mnie, obowiązuje żelazna konsekwencja. Wszelkie odchylenia są niedopuszczalne. Czyżbyście uważali inaczej?

— Gdzieżbym śmiał! — odparł gefrajter.

Starszy ogniomistrz Krüger czekał przyczajony na uzupełnienie tego oświadczenia, na słowa: „jeszcze nie” albo „teraz nie”. Ale nic takiego nie nastąpiło. Ucieszyło go to — jego mięsista twarz miała wyraz łagodny i wyrozumiały. Nie był jednak człowiekiem, który by cokolwiek przeczył. Maksyma „ostrożność nie zawadzi” należała do jego ulubionych powiedzonek.

Rozkazał więc: — Te zwłoki niech tu tymczasem leżą. — Wskazał palcem na jednego z żołnierzy. — Dopilnujcie, aby na miejscu wypadku wszystko pozostało nie zmienione! — Po czym wskazał na drugiego żołnierza: — Postarajcie się o koc albo o płachtę namiotową i przykryjcie



naszego zmarłego kolegę, ale ostrożnie! — Następnie rozkazał trzeciemu żołnierzowi, jakby jednym tchem: — Podoficer Softer natychmiast do mnie!

— Tak jest, panie sierżancie! — potwierdzili jego ludzie, kolejno, ale z jednakową, zdecydowaną siłą.

— I gęby na kłódkę! — polecił Krüger. — Żadnego babskiego paplania jak w maglu. Kto się odważy wypuścić w świat jakiegokolwiek śmierdzące plotki, z tym porachuję się osobiście. Czy to jasne?

To było jasne. Trzej żołnierze ruszyli niezwłocznie, odgrywając absolutne posłuszeństwo. Szkoła Krügera! Gdzie był on, tam był ruch. Ruch bezwarunkowego posłuszeństwa. Serce Krügera rosło na taki widok.

Tym razem trwało to niedługo, ponieważ starszy ogniomistrz uznał, że musi pilnie zwrócić się do nieznanego gefrajtra — i uczynił to, westchnąwszy głęboko, z groźnym spokojem: — No, powiedzcie, kim jesteście? Skąd się tu wzięliście? Czego tu szukacie? Jak się nazywacie?

— Gefrajter Bergen — zameldował nieznanomy, starając się przy tym stanąć na baczność, co mu się udało niezbyt przekonująco. — Przeniesiony z sekcji sztabu do trzeciej baterii. Mam tu pełnić funkcję podoficera informacyjnego.

— Ach, to wy! — Krüger odetchnął z ulgą, po czym uśmiechnął się pobłaźliwie. — Dlaczego nie powiedzieliście tego od razu? Tak byłoby prościej!

— Tak jest, panie sierżancie! — zawołał gefrajter Bergen, pełen przeczuc. — Rozumiem!

— Chciałbym w to wierzyć, natrętny psie! Chciałbym w to wierzyć w waszym interesie. Albowiem, trzeba wam wiedzieć, jestem miłośnikiem zwierząt. Również psów. U mnie każdy może sobie sikać tam, gdzie akurat ma potrzebę; ale jeśli będzie próbował przy tym obsikać mnie, potrafię być wówczas cholernie nieprzyjemny. Mam wpraw -

dzie grubą skórę, Bergen, ale nie pozwolę się nigdy nikomu znieważać. Na to jestem szczególnie drażliwy. Zrozumiano?

— Tak jest! Zrozumiałem.

— Zgłoście się więc do kancelarii — rozkazał surowo Krüger. I zaraz potem dodał, jakby lekko rozweselony: — Czy wiecie, Bergen, dlaczego wasz poprzednik potrzebował następcy? Ponieważ lubił się wdawać w sprawy, na których się nie znał — położył się spać z granatem ręcznym. Musieliśmy go potem zeskrobywać po kawałku z prześcieradła. Pozostała z niego tylko breja! Mam nadzieję, że wy jesteście ostrożniejsi.

— Co tu się właściwie stało, koledzy? — zapytał gefrajter Bergen dwóch żołnierzy, którzy pozostali przy zwłokach i okrywali je niemal troskliwie płachtą namiotową. — Co tu zaszło?

— Gównu cię to obchodzi — odpowiedział jeden z nich szorstko, pochylając się jeszcze niżej nad zmarłym. — Poza tym już dawno nie słyszałem takiego głupiego pytania. Chyba zjawileś się tu z księżycą?

Ale drugi żołnierz, nazwiskiem Wassermann mały muskularny chłopak o bystrych lisich oczkach, podszedł do Bergena, choć trochę nieufnie, i powiedział: — Ty chyba nie wiesz, kolego, w co tu wdepnąłeś?

— Chętnie bym się dowiedział — odrzekł gefrajter Bergen, wychodząc naprzeciw. — A więc?

— Czy nie mógłbyś zamknąć swej bezczelnej gęby? — poradził klęczący nad zwłokami żołnierz swemu koledze Wassermannowi. — Nie mam ochoty słuchać twoich bzdur.

— Wobec tego zjeżdżaj! — powiedział Wassermann spokojnie, obserwując przy tym z zaciekawieniem gefrajtra Bergena.

— A więc wyjaśnij mi, kolego, gdzie to ja wylądowałem — rzekł Bergen.

— W najlepszej, najdoskonalszej, najskuteczniejszej ze wszystkich wielkoniemieckich jednostek. — Wassermann uśmiechnął się niemal serdecznie. — Albowiem u nas wojna nawet w pokojowych czasach toczy się na pełnych obrotach.

— Czy on — Bergen wskazał na przykryte zwłoki — też jest jej częścią?

— Oczywiście!

— Nie chcę tego słuchać! — zawołał żołnierz, który klęczał przy zwłokach.

— Więc nie słuchaj — powiedział Wassermann. Rozejrzał się przy tym badawczo dokoła, jakby chciał się przekonać, że nikogo w pobliżu nie ma. Nie powstrzymało go to przed tym, aby przytłumionym głosem oznajmić:

— Musisz wiedzieć, że choć znajdujemy się w środku okupowanego terenu, jest prawie tak, jakbyśmy byli w pobliżu linii frontu. Co ogromnie zobowiązuje pewnych ludzi.

— A kim oni są, jeśli wolno zapytać?

— Mnie już tu nie ma — oznajmił żołnierz, który zajmował się zmarłym. Wstał i zniknął. Udał się pospiesznie do bocznego skrzydła zamku.

— Co mu się stało? — zapytał gctrajter Bergen. — Czyżby się bał?

Wassermann roześmiał się głośno. — On tylko gorliwie spełnia swoją służbę! Nic chce mieć do czynienia z niczym, co choć trochę odbiega od ogólnie przyjętej linii. Jesteśmy baterią ciężkiej artylerii przeciwlotniczej w akcji

— działa znajdują się o czterysta metrów stąd, wraz z ostrą amunicją. Mogą przecież nadlecieć samoloty nieprzyjacielskie — jesteśmy na to w każdej chwili przygotowani. A więc tam jest nasz front.

— A co jest tu, w tym zamku?

— Tu, kolego, są już tyły, ale tyły zorganizowane najlepiej, jak tylko możliwe. Przez starszego ogniomistrza Krügera, w ścisłym porozumieniu z kapitanem Heinem — a ten, trzeba ci wiedzieć, wziął w pacht całą tę wojnę.

— Co ci się stanowczo nie podoba, o ile dobrze rozumiem. Czy tak?

— Ale to musi mi się podobać! Każdemu z nas, a więc i tobie! Tam, po tamtej stronie — stanowisko ogniowe! Tu, w parku, łącznie z zamkiem i kaplicą — park amunicyjny, odpowiedzialny za aprowizację, zaopatrzenie, transport. Oba te stanowiska, choć tak różnorodne, są jednością nie zachwianą przez nic i przez nikogo. A więc także i przez ciebie! Chyba że chciałbyś spróbować.

— Być może. Przy wydatnej pomocy kogoś takiego jak ty.

— Czy ten uduchowiony Schulz istotnie zabrał stąd raz na zawsze swój okazały zadek? — Podoficer Softer, odpowiedzialny za aprowizację, przechodził pospiesznie obok. — A może zdążył jeszcze powiedzieć coś podejrzanego?

— Nic mi o tym nie wiadomo — zapewnił poufale Krüger. — Ani pisał, leżał jak sfabrykowany w pośpiechu potężny krowi placek.

— No to świetnie! — stwierdził Softer bezceremonialnie. — A zatem o jednego pedała mniej!

Krüger spotkał Softera, swego zaufanego numer jeden, przed głównym wejściem zwietrzałego, trzypiętrowego zamku. „Zamek D., należący do miasta D.” wymieniano w każdym przewodniku, choć właściwie nie było w nim już nic godnego uwagi.

Zamek D. stanowił kiedyś posiadłość ksiąząt orleań-

skich, jedną z wielu. Otaczał go park, gdzie teraz stały pojazdy trzeciej baterii: samochody osobowe, ciężarówki i ciągniki na gąsienicach. Drogi, a także trawniki i grządki z kwiatami były rozjeżdżone.

Ów tak zwany zamek łącznie z przyległym terenem został przez Krügera planowo wzięty w posiadanie i wykorzystany jako park amunicyjny, którym starszy ogniomistrz zarządzał, oraz jako sztab baterii. Na dole mieściły się kuchnia i kantyna — w ograniczonym stopniu służąca żołnierzom, natomiast bez ograniczeń podoficerom — magazyny, następnie kancelaria. Na pierwszym piętrze były kwatery dla niższych szarż oraz dla żołnierzy, dokładnie od siebie oddzielone, przypominające różnej wielkości alkowy.

Na samej górze znajdowały się pomieszczenia, które zajmował szef baterii: wielka sala bankietowa, sypialnia i pokój w wieży. Z tego ostatniego rozciągał się widok na wszystkie cztery strony świata. Także na kaplicę stojącą na skraju parku, też zwietrzałą i grożącą zawaleniem, w której piętrzyły się trumny. Początkowo nikt nie sądził, że mogłoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

— Czy ten Schulz miał chociaż na sobie koszulę? — zapytał Softer.

— Również pod tym względem wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ten lalusz w swej ostatniej godzinie był całkiem ubrany, nawet rozporek miał zapięty.

— A więc pozbyliśmy się jeszcze jednej świni. Albowiem najlepszy Schulz to martwy Schulz. Nie będzie już więcej wysysać ze swych delikatnych palców perfidnych świństw. Wypijmy jednego na to konto!

Krüger skinął głową. Podążył za swoim oddanym poiwnikiem do jego „składów”, które zajmowały znaczną część parteru zamku. W pierwszym pomieszczeniu znajdował się codzienny prowiant dla wojska plus żelazne racje;

w drugim na półkach, aż do sufitu, zdobyczne butelki; w trzecim stopy skrzyń i kartonów, głównie z mydłem, perfumami i jedwabną bielizną — pod szczególną opieką.

Krüger i Softer weszli do pomieszczenia numer dwa. Usiedli w wygodnych, wyściełanych skórą fotelach. Podoficer również tutaj miał zawsze kilka starych butelek w zasięgu ręki. I wiedział, że we wczesnych godzinach przedpołudniowych Krüger nade wszystko cenił mocny, przejrzysty jak lód peperment. Zastępował on mycie zębów.

Starszy ogniomistrz wychylił do dna wręczoną mu szklankę, wypełnioną po brzegi. Otrząsnął się z rozkoszą, nabrał głęboko powietrza i wypuścił je z przyjemnością. Po niemal teatralnej przerwie powiedział: — Tym razem to, zdaje się, nie jest takie proste.

— Czyżby jakieś trudności? Na twoim podwórku?

— Na to wygląda.

— Ach, co tam, już ty sobie poradzisz! — zapewnił Softer zachęcająco i na nowo napełnił stojące przed nim szklanki. — Za wszystko, co się da utopić w trunku!

Co za wspaniały klimat panował w tej Francji! Tu można było pić od rana do wieczora, na dodatek jeszcze całą noc i nie odczuwało się szczególnych skutków. Nie wolno było psuć czegoś takiego, a już na pewno nie z powodu Schulza. — Przecież dawałeś już sobie radę z o wiele gorszymi sprawami! Ktoś taki jak ten chłopak ze skręconym karkiem to dla ciebie ledwie mała płotka, a one nigdy nie śmierdzą mocno ani długo.

Zabrzmiało to jak rzeczowe stwierdzenie. Ci dwaj nie potrzebowali sobie nawzajem schlebiać — oni się rozumieli, gdyż jechali na tym samym wózku już od czasu kampanii wojennej w Polsce. Wymięta, pomarszczona twarz podoficera aprowizacyjnego, z policzkami jak u chomika, uśmiechała się zachęcająco. — Nie wyobrażam

sobie, że mógłbyś się kiedykolwiek poddać. A więc i tym razem — nie!

— Mnie nie tak łatwo zbić z tropu, Softer. Zostało to dowiedzione. Tylko powoli zaczynam sobie zadawać pytanie, jak długo będzie się to udawało.

— No, to tutaj powinno jeszcze potrwać jakiś czas, przynajmniej, dopóki nam się to opłaca. Nam, a więc naszej baterii, a więc twojej baterii — jak tego zawsze pragniesz! Człowieku, jesteście dopiero na początku. Wspaniałe, wielkie sprawy z pewnością dopiero nadejdą!

Krüger przyglądał się zamyślony lepkiej, przejrzystej cieczy w swojej szklance. — Wspaniałe, wielkie sprawy, powiadasz, przy takim kapitanie?

— Tylko przy takim! — zapewnił Softer, szczerząc zęby. — On bowiem zajmuje się wyłącznie swoimi sprawami, a więc nie będzie nam przeszkadzał w naszych, jeśli my nie będziemy przeszkadzali jemu. A więc chcesz mu pomóc w karierze?

— Mógłbym, gdybym tylko chciał.

— Tylko dlaczego miałbyś chcieć? — zapytał Softer. — Czy to można przewidzieć, kto przyjdzie na jego miejsce? Może jakiś nowy karierowicz, do którego musielibyśmy się dopiero dostosować? Albo jakiś oficerek pijaczyna, z którym mielibyśmy tylko dużo przykrości i roboty. Trzymajmy się lepiej tego, kogo znamy jak własną kieszeń.

— Dotychczas radziliśmy sobie na naszym podwórku z każdym — stwierdził Krüger, zamyślony. — Obojętne, kto tu zostanie szefem baterii, każdego złamiemy.

Softer podniósł w górę kieliszek. — Naszego kapitana znamy jak własną kieszeń. A to ma swoje dobre strony. Uważam, że należy trzymać go z dala od naszych spraw i zabiegać o jego przychyłność.

— On jest wystarczająco daleko — powiedział Krüger. — I może dlatego wdepnęliśmy w gówno. Tym razem

muszę mu zameldować o śmierci Schulza, a to spowoduje nieuchronne śledztwo.

— No i co takiego! — zawołał podoficer Softer. — To może mieć swoje dobre strony. Nawet jeśli przy tym będzie śmierdziało, oczyścisz atmosferę wokół kapitana i tym większe będzie potem jego zobowiązanie wobec ciebie!

— Być może — przyznał Krüger, a kiedy opróżniał kieliszek, jego twarz lśniła jak księżyc w pełni. Kapitan Hein przedstawił go do odznaczenia Żelaznym Krzyżem, a przynajmniej Krzyżem Zasługi z szarfą, i nie można lekomyślnie temu przeszkodzić. Trzeba działać z największą ostrożnością!

— Mamy przecież do czynienia z szefem baterii, który jest prawdziwym bohaterem! — Podoficer Softer sprawiał wrażenie zadowolonego. — I takim z pewnością zechce pozostać jak najdłużej! A w obecnej sytuacji jest to możliwe wyłącznie z twoją pomocą. Człowieku, to się oplaca! Możesz być pewien mojej współpracy!

— Co przez to rozumiesz, Softer? Wyrażaj się precyzyjnie!

— Wszystko, co jest w mojej mocy. Na przykład po krzepienie świadków dzięki wspaniałomyślnemu zaopatrzeniu ich w spirytualia. Następnie dostarczenie zeznań w każdej wymaganej formie — dzięki skutecznemu apelowi do wahających się kolegów. I podobne sprawy. Jeśli to okaże się konieczne, Krüger, nie będę szczędził dla ciebie kosztów.

— A czego oczekujesz w zamian?

— Niczego! — stwierdził Softer. — Absolutnie niczego! Poza jedną drobnostką, którą już wyczerpująco omówiliśmy; chodzi o dom rozrywki dla naszych żołnierzy.

— A więc chcesz koniecznie mieć swój burdel?

— Obojętne, jak to nazwiemy, Krüger, jest to potrze-



bnie również ze względów sanitarnych. A więc przyjemność plus gwarantowane zdrowie. Coś takiego niezwykle wzmacnia bojowość.

— Spróbuję to wytłumaczyć kapitanowi!

— Chyba już nie będzie robił trudności po tym, co się stało? — Twarz Softera promieniowała uśmiechem. — Myślę, że zrozumie, jak ma to urządzić najlepiej, jeśli mu się rzecz odpowiednio wyklaruje. A to akurat ty potrafisz. Nikt nie potrafi lepiej. A okazja jest wyjątkowa!

— Czyżby coś było nie w porządku? — zapytał kapitan Hein, szef trzeciej baterii, surowym tonem. — Wygląda pan na zmartwionego.

— Chodzi o artylerzystę Schulza, panie kapitanie — odparł Krüger.

— A co się z nim stało?

— Odkomenderowałem go dziś rano, jak zwykle, do służby u pana kapitana.

— Zjawił się — powiedział Hein od niechcienia. I jakby nieobecny, patrząc w dal, dodał: — Czy musi pan koniecznie mi przeszkadzać z powodu takiego głupstwa?

Starszy ogniomistrz przyszedł wprost ze składów Softera, wspiąwszy się po szerokich, obtluczonych schodach na najwyższe piętro walącego się zamku, gdzie znajdowały się pomieszczenia będące w osobistej dyspozycji szefa trzeciej baterii: podłużna sala bankietowa, kwadratowa sypialnia i okrągły pokój w wieży, do którego wchodziło się z wąskiego korytarza. Pokój miał cztery okna sięgające od podłogi do sufitu, zwieńczone lukami.

— A więc pan kapitan nie wie, co się stało? — zapytał Krüger ostrożnie.

— A co się miało stać? — kapitan uniósł w górę pocią-

głą, kanciastą twarz o wąskich ustach i niebieskich oczach pod metalicznie lśniącymi blond włosami, jakby coś weszły. Niemal automatycznie sięgnął po stojący przed nim kieliszek.

Kapitan Hein po sławetnym zwycięstwie nad Francją, w którym w istotny sposób uczestniczył, pił wyłącznie szampana. Na pierwszym miejscu stawał Veuve Cliquot Ponsardin, ten z datą produkcji. Wlewał go w siebie, niczym wodę mineralną, od rana do wieczora i przez całą noc. — Co takiego się stało?

— A więc pan kapitan nic nie wie? — zapytał Krüger z uznaniem dla tak wielkiego opanowania.

— Cóż takiego miałbym wiedzieć, mój drogi? — Kapitan uśmiechnął się nawet, ale ledwie widocznie. Przedstawiał znany ostatnio widok: siedział nieruchomo po wąskiej stronie długiego stołu bankietowego. Krüger stał w pobliżu drzwi.

— Jeśli pan ma na myśli Schulza, Krüger, to nie uważam go za zbyt interesujące zjawisko. Niewiele da się z nim zrobić. Może go pan jak najszybciej przenieść z powrotem do normalnej służby. Znajdzie pan teraz Schulza w pokoju w wieży — myje podłogę i okna.

— Już go tam nie ma — oświadczył Krüger. — Został znaleziony u podnóża wieży na kamiennym dziedzińcu. Martwy. O ile mogłem to stwierdzić, nie zdążył powiedzieć ani słowa.

— To okropne — rzekł kapitan Hein, nicporuszony; typowy człowiek wojny. Trupy były nieuniknione, choć oczywiście to przykre. — Co tego żółtodzioba skłoniło do takiego postępku?

— Czy pan kapitan ma jakieś użyteczne wytłumaczenie tego faktu?

— A oczekuje pan czegoś takiego ode mnie? — zapytał Hein ze spokojem, popijając małymi łykami szampa-

na. — Za kogo pan mnie uważa? Za niańkę czy za szefa baterii, której pan jest starszym ogniomistrzem?

— Panie kapitanie — powiedział Krüger, nie tracąc animuszu — to zdarzenie może w pewnych warunkach doprowadzić do przykrych następstw.

— Może, ale nie musi! Jeśli pana dobrze zrozumiałem, Krüger, a mam nadzieję, że tak.

— Każdy fakt śmierci musi być automatycznie zgłoszony wyższym władzom i również automatycznie musi nastąpić urzędowe śledztwo. I to nawet wówczas, gdy chodzi o nieszczęśliwy wypadek.

— A czy tu chodzi o nieszczęśliwy wypadek, pańskim zdaniem?

— Oczywiście — przytaknął Krüger skwapliwie — zakładając, że także zdaniem pana kapitana nie jest to wykluczone, a raczej jest to jedyne wchodzące w grę wytłumaczenie.

— Widzę, że znów jesteśmy zgodni — stwierdził Hein bezdźwięcznie. — Pan widać dobrze rozumiał, jak należy tu jedynie słusznie działać. Ostatnio przekonałem się, że mogę na pana polegać, w co zresztą nigdy nie wątpiłem.

— Robię, co mogę — zapewnił Krüger swobodnie. I zaraz potem uroczyście oznajmił: — Dla naszej baterii gotów jestem zrobić wszystko!

— Z panem, sierżancie, można konie kraść! — powiedział Hein. — Potrafię to docenić. Uważam też, że powinno to zostać oficjalnie uznane.

— Dziękuję, panie kapitanie!

— Tylko w jaki sposób? Jeśli pan ma jakieś szczególne życzenie, proszę je natychmiast zgłosić!

— Wystarczy mi poczucie współpracy pełnej wzajemnego zaufania — zapewnił Krüger. Takie sformułowania przychodziły mu ostatnio z łatwością, czytywał bowiem regularnie „Völkischer Beobachter”, co nie mogło pozo-

stać bez następstw. — Jednakże nie pogardzę również jakąś zewnętrzną formą uznania, dla zasady.

— Rozumiem — stwierdził kapitan, lekko rozbawiony. — Domaga się pan Żelaznego Krzyża, który należy się naszej baterii, czy tak?

— Ja, osobiście, byłbym gotów zrezygnować, niech to odznaczenie otrzyma ktoś inny, kto na nie zasłużył. Uważam jednak, że nadanie mi go, na podstawie sprawiedliwego podziału, jest niewątpliwie zasłużone. Przecież dwukrotnie pod ostrzałem artyleryjskim pomagałem ukrywać rannych.

— Powinien pan otrzymać Żelazny Krzyż! Zasłużył pan na to.

— Dziękuję — powiedział Krüger raz jeszcze. — A co się tyczy wypadku...

— W tej sprawie znajdą się przekonujące dowody. Mam do pana całkowite zaufanie. Już pan to jakoś załatwi. Dotychczas dawał pan sobie radę z wszelkimi komplikacjami. Jestem pewien, że i tym razem mnie pan nie zawiedzie.

Tego dnia w godzinach południowych zjawili się dwaj żandarmi polowi — obaj w randze feldfeblów. Wyglądali dobrodusznie jak małe misie.

Jeden nazywał się Konz, a drugi Kator. Siłąc się na uprzejmość, przedstawiali się każdemu napotkanemu podoficerowi. Wiedzeni niezawodnym instynktem skierowali się do zamku, wprost do składów Softera.

— Godne uwagi! — powiedział Konz czy też Kator, mierząc wzrokiem piętrzące się zapasy.

— Wielce obiecujące — oświadczył drugi, Kator czy też Konz.

— Zapasy żywnościowe! — oznajmił Softer asekura-

cyjnie i niezwłocznie posłał jednego ze swoich pomocników do Krügera. — Wszystko dla wojska.

— Dla wojska — powiedział-jeden z żandarmów, zamysłony. — W końcu my też do niego należymy.

— Pogadamy o tym — zapewnił Softer, instynktownie wychodząc naprzeciw. — Ale tu kompetentny jest nasz starszy ogniomistrz.

Zaalarmowany Krüger zjawił się niezwłocznie. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Natychmiast postawił na koleżeńskość. Rozkazał częstować trunkami — do wyboru. Softer oferował najlepsze produkty Francji. Poza tym mógł nawet zaproponować oryginalny Franziskaner-Spaten-Brau — co zostało przyjęte z radością.

— Znakomicie urządzony kramik! — stwierdził Konz czy też Kator z uznaniem. — Zdaje się, że niczego tu nie brakuje!

A drugi z żandarmów zapewnił, zagłębiwszy się w fotelu: — Świetnie się tu człowiek czuje, lecz niestety przybyliśmy tu nie tylko po to.

— Oczywiście! — zapewnił Krüger, siląc się na serdeczność. — Ale najpierw rzecz najważniejsza. Koledzy, czujcie się jak u siebie w domu!

— To właśnie robimy — potwierdził Kator czy też Konz. — Czujemy się diabelnie dobrze.

Popijali najprzedniejsze trunki, kazali sobie podać jajecznicę na szynce, następnie biały chleb i camembert. Kiedy to wszystko jedli, stawali się jakby bardziej ludzcy. Następowąla nieunikniona harmonia.

— Przybyliśmy tu jednak, niestety, służbowo — oświadczył jeden z żandarmów, potężnie bekając, podczas gdy drugi z rozkoszą ziewał.

— A więc o co chodzi? — zapytał Krüger. — Z pewnością wszystko da się załatwić, jeśli się tylko właściwie zabierze do rzeczy.

— Mamy tu coś w rodzaju doniesienia — szepnął Krügerowi poufnie jeden z żandarmów — przeciwko członkowi pańskiej baterii, niejakiemu Rongemu czy też Rangemu.

— A co on takiego zmalował?

— Wywołał bójkę na dole, w mieście. Zdemolował Hotel de France, raniąc przy tym, mniej lub bardziej, żołnierza piechoty, francuskiego cywila, a nawet przedstawiciela niemieckiej komendantury. Leżą oni, że tak powiem: zjednoczeni, w szpitalu.

— Godny uwagi wyczyn — powiedział Krüger. — Miło to słyszeć, prawda?

— W istocie — przytaknął ochoczo jeden z żandarmów. — Ale szkopał w tym, że został poszkodowany członek niemieckiej komendantury.

— Czy to niemiecki komendant pozwolił sobie na ów donos?

— Być może — potwierdził Konz czy też Kator niechętnie. — Nie wolno nam jednak na początku śledztwa podawać osobie, na którą złożono donos, nazwiska tego, który donos złożył.

— Ten komendant — powiedział Krüger — uchodzi w oczach prawdziwych frontowców za nadęte, zarozumiałe zero. Tyle samo co cywil!

— I to być może — znów potwierdzili żandarmi koleżeńskim tonem. — Ale to, niestety, nie zmienia faktu, iż musimy prowadzić śledztwo, aż się przekonamy, że jesteśmy na fałszywym tropie. Musimy to jednak wykazać w sposób jak najbardziej przekonujący — czy wiesz może, jak?

Krüger wiedział jak. Czegóż to on nie wiedział! Dał znak Softerowi, żeby podał deser: plastry ananasa w wiśniówce. Zostało to z przyjemnością zjedzone. Tymczasem starszy ogniomistrz intensywnie myślał. Wiedział, kogo

dotyczy owo doniesienie: ogniomistrza Rungego ze stanowiska ogniowego. Był on nie tylko najlepszym człowiekiem Heina, ale w dodatku pod każdym względem wzorowym kolegą. Nie można było tak po prostu dać go zniszczyć!

— Ronge czy Range? — zapytał Krüger przeciągle, przy czym pominął nazwisko Runge. — Nie ma u nas ogniomistrza o takim nazwisku.

— Naprawdę nie? — podchwycił Konz czy też Kator, szczerze uradowany.

— Żadnego Rongego ani Rangego!

— Jeśli tak, to doniesienie zostało załatwione jakby samo przez się. Przyjmuję to do wiadomości. A więc możemy sobie teraz spokojnie wypić. Drogi kolego Krüger, jakże jestem rad! Zawsze powtarzam: najważniejsza rzecz to koleżeńskość oparta na wzajemnym zaufaniu! Wszystko inne to gówno! A tego mamy tu aż nadto! Czyż nie?

— Tu coś śmiesz! — oświadczył głośno żołnierz nazwiskiem Wassermann. — Czy nikt z was tego nic czuje?

Usiadł w kantine przy jednym ze stolików. Przed nim stał wypełniony po brzegi talerz grochówki na wędzonce. Samo mięso znajdowało się w misce na czwartym stoliku, tym dla podoficerów, przykrytym białym papierem.

Siedział tam, początkowo sam, ogniomistrz Arm, szef transportu baterii, pan wszystkich pojazdów. Odkroił sobie kawałek mięsa. Przyglądał mu się zamyślony, nasłuchując zarazem, o czym rozmawiano w tym wysokim, zimnym i gładko otynkowanym pomieszczeniu.

Widział w pobliżu tuzin mężczyzn, którzy w milczeniu gorliwie jedli swoją zupę, a jednocześnie sprawiali wrażenie, jakby się przysłuchiwali temu, co mówił Wassermann

i co na to odpowiadał ów drugi, nie znany jeszcze Armowi żołnierz, gefrajter nazwiskiem Bergen.

— Śmierdzi? — zapytał gefrajter Bergen, siadając obok Wassermanna. — Ale czym?

— Skondensowaną masą gnoju! — oświadczył Wassermann, patrząc prowokująco na krąg zebranych. — Smród unosi się aż do nieba, jeśli komuś z was coś to jeszcze mówi.

Gefrajter Bergen przyglądał się obecnym żołnierzom z nadzieją, bo choć udawali obojętność, najwidoczniej strzygli uszami, a kilku zerkało nawet zachęcająco w stronę Wassermanna.

— Trupy na przykład — rzekł Bergen ostrożnie — zwykle tak właśnie śmierdzą, bardziej lub mniej, najpierw trochę, potem coraz mocniej.

— Ale nie dla każdego jednakowo — powiedział Wassermann niemal równie głośno. — Niektórym ten zapach wydaje się całkiem znośny. Dla mnie grochówka śmierdzi najwyraźniej tak samo jak trup, nie potrafię rozróżnić!

— Dość tego! — krzyknął ogniomistrz Arm na całą salę, sprawiał przy tym niemiłe wrażenie. Jego szczupłą, osmaganą wiatrem twarz sportowca jakby rozchichotała się setkami zmarszczek. — Przyszedłem tu na obiad i nie życzę sobie, aby mi taka świnia jak wy obrzydzała jedzenie.

— Mówiąc, że śmierdzi, wcale nie miałem na myśli jedzenia, które tu podają — oświadczył Wassermann śmiało.

— Nie interesuje mnie, co macie na myśli! — Arm spojrział ponuro. — I nie pozwolę, aby mi jakiś obrzydliwiec odbierał apetyt. Zrozumiano?

— Niech więc kolega Wassermann wyjaśni, co miał na myśli — rzekł Bergen nadzwyczaj uprzejmie. — Jestem bardzo ciekawy, jak to zrobi.



— Wynoście się, Bergen — rozkazał Arm niemal łagodnie. — A razem z wami cała reszta! Obiad dla żołnierzy będzie dziś na powietrzu. Podziękujcie za to tej bezczelnej świni, temu Bergenowi. A więc jazda stąd!

Żołnierze posłuchali rozkazu, zabrali swoje talerze i wyszli. Wydawali się radzi, że znów uszli cało. Jedyne Bergen się zawahał, został jednak pospiesznie wyciągnięty. Przez niespełną minutę kantyna opustoszała. Siedział tam tylko Arm naprzeciw Wassermanna, oddzielony od niego dwoma stołami.

— Chyba wam się w głowie pomieszało — rzekł Arm, nawet teraz wyglądający jeszcze miło. — Chyba nie jesteście na tyle głupi, aby pakować się niepotrzebnie w kłopoty. Kto was sprowokował do takiego wystąpienia, Wassermann?

— Kiedyś musi człowieka w końcu zemdleć — wyznał Wassermann z determinacją.

— Właśnie tu? — zapytał Arm wstając; jego miły wyraz twarzy zaczął powoli znikać. — Chyba nie macie na myśli naszej baterii?

— Skądże znowu, panie sierżancie, mam na myśli wojnę!

Arm znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ta świnka nie odważyła się jednak na bezczelność wobec niego. „Piękny Alfons”, jak nazywały Arma, według jego własnych słów, damy nawet z najwyższych sfer, natychmiast przybrał z powrotem miły wyraz twarzy. Powiedział: — A co się tyczy mdłości, Wassermann, to od jakiegoś czasu mnie one również nachodzą. Mianowicie na wasz widok!

— Czemu mam przypisać ten zaszczyt? — zapytał Wassermann bez wahania.

— Ach, ty nędzna gnido! — wykrzyknął Arm, potrząsając głową i patrząc ponuro. Jeśli zwracał się do któregoś z żołnierzy po imieniu, to wiadomo było, że jest w nad-

wyczaj niebezpiecznym nastroju. — Czy myślisz, Wassermann, że możesz bezkarnie rozdzierać swój pysk tylko dlatego, że jesteś jednym z moich najlepszych kierowców? Czy uważasz, że nic ci nie grozi, bo potrafisz, jak nikt inny, naprawiać nasze ciągniki? Myślisz, że to wystarczy?

— Panie sierżancie, dotychczas próbowałem tylko...

— Wprowadzać tu ferment! I to nie po raz pierwszy, jak słyszałem. A teraz nawet w mojej obecności! Jak śmiesz!

— Czasem, panie sierżancie, ma się uczucie...

— Na uczucia, ty śmierdzielu, można sobie pozwalać wobec bab, ale nie tu! A już na pewno nie w mojej obecności. Nie wypada. Taka rzecz może ujść na sucho najwyżej raz, zarówno przy mnie, jak i przy Krügerze. Ktoś mógłby w końcu powiedzieć: „Ten Wassermann jest kierowcą. Za kierowców odpowiada Arm, a więc niech odpowiada”. I jak ja wówczas wyglądam?

— Ale pewne wydarzenie...

— Ach, co tam! Takie rzeczy się zdarzają i nikomu to nie śmierdzi! A już na pewno nikomu z moich ludzi. A także nikomu z tych, którzy lekkomyślnie uważają się za niezbędnych, bo tacy nie istnieją.

— Wobec tego proszę pana o poparcie mojej prośby o przeniesienie do innej jednostki. Przypominam, że chodzi tu o moje trzecie podanie w tej sprawie.

— To by ci było na rękę, ty podstępna świni! — Arm roześmiał się głośno, podczas gdy jego oczy spoglądały chłodno. — Chciałbyś mnie położyć na obie łopatki? Ach, ty nędzna kreaturo! Co ty sobie myślisz! Zgoda, twoje szczególne umiejętności są tu potrzebne. I ja zachowam je starym wypróbowanym sposobem, jeżeli będziesz się bardzo upierał.

— Jakim sposobem?

— A więc: skreślenie specjalnych dodatków pieniężnych; oprócz tego zajęcia ekstra w nieograniczonej ilości następnie warta poza kolejnością i wreszcie stały abonament na moje ulubione „małpie zabawy”. Czy to wytrzymasz?

— Nie — oświadczył Wassermann — tyle z pewnością nie wytrzymam. — Przy czym miał na myśli „małpie zabawy” Arma. Były to cotygodniowe, nieuniknione jak zaraza, specjalne zajęcia, o których każdy, komu choć raz przyszło brać w nich udział, wyrażał się jak najgorzej i pragnął, aby ich w ogóle nie było. — A więc dobrze, będę trzymał język za zębami!

— Możesz go potrzebować do żarcia, Wassermann — stwierdził Arm. — A także do picia. Również u bab można za jego pomocą wywołać szczególne doznania; już ja się na tym znam! — Ogniomistrz żartował zachęcająco. — No, podejdź, kolego, do mojego stolika. Rozgość się.

Wassermann spełnił polecenie. Wziął swój talerz i usiadł z lewej strony Arma. Ten odkroił mu natychmiast kawał mięsa wielkości pięści i wrzucił do grochówki. Skinął na niego. Zapewnił przy tym: — My nie jesteśmy tacy! W gruncie rzeczy jesteśmy bardzo koleżeńscy. Trzeba się tylko do nas dostosować. To wszystko!

— Czy są jakieś konkretne zeznania? — zapytał przybyły sędzia wojskowy nazwiskiem Born. — Świadkowie?

— Jacy świadkowie? — zdziwił się Krüger, siłąc się na łagodny ton.

— No, ludzie, którzy widzieli bezpośrednio wypadek tego Schulza.

— Nie ma takich! — oświadczył Krüger rzeczowo. — Było tak: ktoś usłyszał trzask i zaraz potem ujrano go leżącego na ziemi. I to wszystko, panie sędzio. Dokładnie to

samo jest w szczegółowym meldunku, który sporządziliśmy. A zatem: nieszczęśliwy wypadek! To całkiem jasne. Czy ktoś ma wątpliwości?

— A czy jest jakiś powód po temu? — zapytał sędzia Born, mrugając przyjaźnie oczami. Był to niski, szczupły, niemal filigranowy mężczyzna o wesołym usposobieniu. Teraz jednak, w mundurze, starał się zachować wojskową powagę. — No, ale żarty na bok. Przybyłem tu po to, aby zbadać zgłoszony nam wypadek i potwierdzić go urzędowo.

— Nie jest to w zwyczaju, panie sędzio — stwierdził Krüger.

— Ma pan na myśli to, że telefon w zupełności by wystarczył? Albo tylko odfajkowanie wniesionej do nas sprawy? Następnie ad acta! Tak pan sądzi?

— Mniej więcej tak — przytaknął leniwie Krüger. — Poza tym taki wypadek podpada zwykle pod odpowiednią komórkę oddziału, ale nie pułku.

— Tylko proszę nie snuć przedwczesnych, błędnych przypuszczeń. — Sędzia Born powiedział to uprzejmym tonem. — W końcu my też jesteśmy tylko urzędnikami i jako tacy jesteśmy nastawieni konserwatywnie. Mam nadzieję, że się pan z tym zgadza.

Born został przydzielony do sztabu pułku. Według Krügera stanowił typ przyczajonego węża okularnika, zbyt wcześnie i bez sensu wepchniętego w mundur; cenił sobie uznanie przełożonych, ale jednocześnie zależało mu na powszechnej sympatii. Nie było zatem bezpiecznie rzucać mu wyzwanie — Krüger bardzo szybko to spostrzegł.

— Nasz kapitan z pewnością ucieszy się z pańskiej wizyty, panie sędzio.

— Naprawdę? — zapytał Born uprzejmie. On również cenił tego znanego bohatera pułku. Był to więc dla

niego wielki zaszczyt — zostać przyjętym osobiście przez kapitana Heina.

— Ja tymczasem zgromadzę wszystkich świadków.

— Bardzo o to proszę, panie sierżancie. I niech pan pamięta: chodzi tu o rutynowe działania, wyłącznie dla formalności. Mamy teraz dużo czasu między kampaniami, możemy więc sobie pozwolić na szczególną dokładność.

— Rozumiem — przyznał Krüger, zadowolony.

Starszy ogniomistrz znał niemal wszystkie kruczki urzędników wojskowych, a przede wszystkim adiutanta, który chciał się zabezpieczyć i jednocześnie podrzucić tę zabę możliwie aż do pułku. A tam siedział obecnie, niemal bez zajęcia, ów sędzia Bom. Jemu więc podsunęto tę sprawę, na pewno ze wskazówką: „Zróbcie z tym porządek”.

Należało to sędziemu Bomowi z całą gorliwością umożliwić. Został więc natychmiast zaprowadzony do kapitana Heina, a ten przyjął go z wyszukaną uprzejmością w wielkiej sali bankietowej. Stał tam już przygotowany dla niego kieliszek szampana. Bohater i strażnik sprawiedliwości przepili do siebie uroczyście.

Tymczasem Krüger zorganizował potrzebnych świadków. Wezwał trzech żołnierzy, których zastał przy zwłokach Schulza — swoich żołnierzy! Wśród nich także Wassermanna. Mierzył badawczym wzrokiem nadchodzących mężczyzn, a jego zadowolenie rosto.

— Posłuchajcie, nędznicy, i otwórzcie szeroko oczy — odezwał się do nich wesoło. — Wypłynęła tu gruba ryba — jeden z pułku. Ów człowiek wyraził życzenie porozmawiania z wami. Dziwi to was, prawda? Ale nie bójcie się! Obiecuję wam wkroczyć natychmiast, jeśli sami sobie nie będziecie mogli poradzić. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie! — rozległo się trójgłosowe echo. Wassermann również należał do niego.

— Macie mówić prawdę i tylko prawdę. Bez względu na straty. Nie kierować się sentymentami, wszystko teraz zależy od was.

Następnie Krüger przedstawił jeszcze jednego „świadka”, zawsze niezawodnego podoficera sanitarnego Neumanna, człowieka o głowie jak różowy balon i chudych nogach, które nawet w masywnych butach z cholewami sprawiały wrażenie rachitycznych. Neumann jak zwykle się uśmiechał, a jego twarz wyglądała niczym księżyc w pełni.

— Wiem, co wiem i co powinienem wiedzieć — zapewnił podoficer. — Jestem bowiem specjalistą od wszystkiego, co wykitowało, i jako taki służę moim doświadczeniem. Znam się na wszystkich rodzajach trupów i wiem też bardzo dobrze, jak się je fabrykuje.

— A ponieważ nie chciałby pan sam do nich należeć — powiedział Krüger, rozbawiony — jestem pewien, że sprawi się pan i tym razem znakomicie.

Teraz mogła już nastąpić tak zwana wizja lokalna tuż pod wieżą. Pora: około godziny szesnastej. Pogoda: słonecznie, bez chmur. Temperatura: około dwudziestu stopni. Obecni: starszy ogniomistrz Krüger, prócz tego trzech świadkowie i biegły. Sędzia Bom przybył tuż po nich, lekko chwiejąc się na nogach — podzielał na niego szampan kapitana.

— W tym miejscu — oświadczył Krüger, wskazując na grube kreski kredą, które zrobił podoficer sanitarny — znaleziono ciało.

— Teraz leży ono na lodzie — dodał Neumann fachowo — w naszym prowizorycznym lazarecie, w oddzielnym pomieszczeniu zamkowej piwnicy. Schulz z całą pewnością poniósł śmierć na miejscu.

— Jesteście pewni? — zapytał sędzia.

— Absolutnie tak! — oświadczył sanitariusz. —

Schulz skręcił kark, i do tego w dwóch miejscach! Nie zdążył nawet krzyknąć. To nie ulega wątpliwości, panie sędzio! Świnie przeznaczone na rzeź, na przykład, są ogłuszone siekierą w głowę, tracą przy tym czucie i można je spokojnie zarzynać. Niech pan sobie teraz wyobrazi, że przy upadku tego człowieka na ziemię nastąpiły jednocześnie trzy uderzenia: jedno w głowę, dwa w krzyż. Czegoś takiego nie przeżyje nawet świnia!

— No już dobrze! — zawołał sędzia Born pod wrażeniem relacji.

Krüger skinął na swego żołnierza numer jeden. Był to Wassermann; stał nieco pochylony i zdawał się nie patrzeć na nikogo.

— A więc dalej, słuchamy!

Wassermann wystąpił i drżąc cały, powiedział: — Ja usłyszałem, jak on spadł. Byłem zajęty przy ciągniku, którego silnik się zaciął...

— Nie odbiegajcie od tematu — rozkazał Krüger czujnie. — A więc spadł, czy tak?

— Tak, oczywiście! Spadł, a używając pańskiego określenia, panie sierżancie, chlapanął jak krowie łajno. Tylko że z dużej wysokości.

— Słów „krowie łajno” — wyjaśnił Krüger — nie użyłem w odniesieniu do trupa. Miałem na myśli stojących dokoła ludzi, którzy sprawiali wrażenie, jakby nie pojmowali, co tu zaszło. W ten sposób powstało nieporozumienie, prawda, Wassermann?

— Tak jest — potwierdził żołnierz skwapliwie. — W każdym razie zobaczyłem go, jak leżał, i powiedziałem sobie, że to nie jest normalne. Ale jest dziś normalne?

— Jeśli chodzi o tego Schulza, chciał świadek powiedzieć — uzupełnił Krüger czujnie. — Albowiem miał on fiola, prawda, Wassermann?

— Można to i tak nazwać.

— Bezużyteczna wypowiedź — stwierdził sędzia Born.  
— Do wykorzystania najwyżej jako materiał uzupełniający. W ten sposób nie posuniemy się zasadniczo dalej.

Krüger spiesznie podsunął drugiego ze swych świadków: chudego mężczyznę, który sprawiał wrażenie zagłodzonego, choć należał do oddziału aprowizacyjnego Soffera i był odpowiedzialny za przygotowanie suchego prowiantu. Przez jego pracowite ręce w ciągu ostatnich tygodni przeszło kilka cetnarów kielbasy i sera, co, jak widać, wcale mu nie posłużyło. Uważano powszechnie, że ma taśmca.

Żołnierz oświadczył: — Temu Schulzowi nie można było nic pomóc! On nie umiał się podporządkować. Był chyba zbyt słaby. A poza tym dobry kumpel, tylko taki marzycielski. Szedłem akurat do kuchni, kiedy usłyszałem okrzyk: „Tam ktoś leży!” Pobiegłem i ujrzałem Schulza. Leżał jak worek kości. Powiedziałem sobie wówczas: „Kiedyś to się musiało stać. Przy jego skłonnościach...”

— A do czego on miał skłonności? — zapytał sędzia Born.

— No, jak by tu powiedzieć, w każdym razie nie do wojaczki. Był to skończony słabeusz, który kazał sobie dodatkowo piec kielbaski, oczywiście na nasz koszt. To był taki gładki lalusz, mówiąc całkiem otwarcie.

Krüger skinął głową z uznaniem i dał znak trzeciemu żołnierzowi, aby przystąpił do akcji. Pulchny, średniego wzrostu tłuscioch potwierdził złożone zeznanie.

— Mogę jedynie dodać, że nie był to typ stworzony do życia w kompanii. Jak tylko wypił, natychmiast wymiotował. A kiedy opowiadaliśmy słone dowcipy, rumienił się jak panienka. Najchętniej zaszyłby się wówczas w najdalszy kąt. No i jak się właśnie przekonaliśmy, miewał też zawroty głowy.

— Rozumiem — oświadczył sędzia Born pod wrażen-



niem zeznania. — Wszystko wskazuje na to, że Schulz był bardzo niezrównoważonym osobnikiem.

— Biedny chłopak — potwierdził Krüger skwapliwie.

— Ale takie nieobliczalne jednostki są wszędzie, trzeba się z tym pogodzić. To znaczy: postawić krzyżyk na całej tej sprawie.

— Patrząc ze swojego punktu widzenia, ma pan przypuszczalnie rację — powiedział sędzia, bawiąc się nerwowo okularami. — Ale zrozumie pan, mam nadzieję, że ja muszę mieć pełny i obiektywny obraz. Czy są może jeszcze jacyś świadkowie?

— Nie ma więcej.

— A gefrajter Bergen?

Krüger, który udawał, że leniwie przerzuca meldunki, wyprostował się niespodziewanie. Z podejrzanym zdumieniem przyjrzał się sędziemu. Następnie zapytał przeciągle:

— Skąd panu przyszedł do głowy właśnie on?

— Tego nie mogę panu, niestety, powiedzieć, sam nie wiem dokładnie. — Wysilił się na uprzejmy uśmiech. — Wiem tylko tyle: nazwisko owego Bergena jest mi znane. Myślę, że z jakiejś rozmowy telefonicznej.

— Z rozmowy telefonicznej? Z kim, jeśli wolno zapytać?

— Już nie pamiętam, ktoś mi wspomniał to nazwisko.

— Adiutant dywizjonu? — zapytał Krüger, wykazując dobrą intuicję. I jakby sam do siebie dodał: — To do niego podobne.

— Być może tak, być może nie — powiedział sędzia, starając się ominąć ten temat. Cóż go obchodzą wewnętrzne rozgrywki. Jego interesuje tylko sprawiedliwość, służba narodowi i wspólnocie w ramach tego pułku. — Czy mogę prosić o wezwanie tego Bergena?

— On nie może nic wiedzieć — stwierdził Krüger przekonująco. — Zjawił się tu dopiero dziś rano.

— Mimo to chciałbym z nim porozmawiać — rzekł sędzia Born, siłąc się na uprzejmość.

— Strata czasu — uznał Krüger — ale skoro pan się przy tym upiera...

— Ja się nie upieram, ja proszę o to!

Krüger skinął głową, tym razem na Neumanna. I zafany podoficer pospieszył do zamku.

Sędzia tymczasem obserwował budynek przed sobą: mimo wszystkich oznak ruiny wydawał mu się niezniszczalny. Również kaplica w głębi, otoczona potężnymi drzewami, sprawiała dostojne wrażenie. Sędziemu zdawało się, że czuje, jak tworzy się historia.

Po dziesięciu minutach nadszedł gefrajter Bergen. Zmeldował się sędziemu, spoglądając przy tym na Krügera. Ten zaś patrzył na niego wyzywająco.

— Chodzi tu o śmierć żołnierza nazwiskiem Schulz — zaczęła sędzia. — Co pan o tym wie?

— On nic nie wie! — stwierdził krótko Krüger.

— Proszę, aby pan mu pozwolił mówić — zażądał Born, tym razem z niechęcią w głosie.

— Ja nic nie wiem — rzekł Bergen, patrząc cały czas na Krügera.

— No widzi pan! — wykrzyknął sierżant. — Tak jak powiedziałem. Kiedy Bergen się tu zjawiał, było już po wszystkim. Czyż nie tak?

— Tak właśnie było — powiedział Bergen.

I potwierdził to, po drobiazgowym wypytywaniu, we wszystkich pożądanых szczegółach: zwłoki leżały na ziemi, okno w wieży było otwarte, śmierć prawdopodobnie nastąpiła natychmiast. Czy to wszystko? Tak, to wszystko.

Krüger z uznaniem kiwał głową. Sędzia kończył przesłuchanie, najwyraźniej zmęczony: powoli składał akta. Oświadczył:

— A zatem nie ma żadnych dowodów użycia przemo-

cy. Nic też nie wskazuje na samobójstwo. Wygląda to raczej na nieszczęśliwy wypadek — co niniejszym urzędowo stwierdziłem.

— Tym razem nie było to wcale takie proste — informował Krüger swego kapitana. — Ale się udało!

— Niczego innego się po panu nie spodziewałem.

Kapitan Hein stał, jakby gotów do skoku, pośrodku sali bankietowej. Był w mundurze, u pasa miał pistolet, a na rękach szare zamszowe rękawiczki — miał sześć par takich rękawiczek. Jego kanciasta twarz była nieruchoma i pełna ufności. Błyszczące wodniste oczy spoglądały na czapkę, która leżała przed nim na stole, gotowa do wzięcia. Prawdopodobnie zamierzał wizytować stanowisko ogniowe.

— Trudności, jakie się przy tym wyłoniły — informował Krüger ostrożnie — pochodziły chyba ze sztabu dywizjonu.

— A skądże by, jak nie stamtąd? — powiedział Hein pogardliwie. — Cóż oni tam mają innego do roboty? Wszędzie sami zazdrośnicy i wichrzyciele. Stara prawda artylerzystów, Krüger, brzmi: natychmiast brać pod ostrzał rozpoznany cel! W razie przeszkody oczyścić pole ostrzału! Niech pan ma to stale na uwadze.

— Przypuszczalnie adiutant dywizjonu chciał nam przysporzyć kłopotów przy pomocy niejakiego gefrajtra Bergcna, następcy naszego zmarłego podoficera informacji. Ale ja w porę przejrzałem tego smarkacza i natychmiast unieszkodliwiłem, teraz już będzie posłuszny.

— To znakomicie, Krüger! Tak trzeba. — Kapitan był lekko zniecierpliwiony, przypuszczalnie wymyślił dla baterii nową zabawę w wojnę i chciał ją jak najszybciej zrealizować. — Zdaję się całkowicie na pana, co się bowiem dotyczy oczyszczania pola, zna się pan na tym jak nikt inny.

— Coraz częściej mam okazję ćwiczyć się w tym względzie — powiedział Krüger poufale. — Niedawno odprawilem dwóch żandarmów, którzy chcieli zagarnąć naszego Rungego.

— Rungego? Akurat mojego Rungego? — Kapitan Hein spojrzął nadzwyczaj niechętnie. — Komu zawdzięczamy te zaczepki?

— Przypuszczalnie nowemu komendantowi miasta, panie kapitanie.

— Co on sobie myśli! Na co sobie pozwalają ci opaśli, bezmyślni cywile?

— Udało mi się, jak już powiedziałem, oddalić sprawę, nasz kolega Runge jest bezpieczny.

— Świetnie, Krüger! Potrafię to docenić! Zawsze przeciw wrogowi! „Atak jest najlepszą obroną” — powiedział Moltke, i ja to mówię. Pan zasłużył sobie na coś więcej niż tylko na Żelazny Krzyż. Czy ma pan może jakieś szczególne życzenie?

— Żadnego życzenia! — odpowiedział Krüger ze zwykłą wobec Heina ostrożnością. — Tylko pewien pomysł — administracyjnego posunięcia dotyczącego naszych wewnętrznych spraw.

Usta kapitana rozciągnęły się w uśmiechu, gdy przez szerokie okno spoglądał na miasto D., przypuszczalnie tam, gdzie znajdowała się komendantura. Ale widok ten chyba nie interesował go szczególnie. Podobnie jak portrety antenatów na zachodniej ścianie — mających przeważnie opasłe, zmęczone, upudrowane twarze.

— A więc co, czy raczej kto, tym razem? — zapytał po chwili kapitan. — Kogo ma pan teraz na muszce?

— Zarządcę tej rozwalającej się budy, którą nazywają zamkiem. Tego typu, który opiekuje się również kaplicą i parkiem. On tu przeszkadza.

— Niech więc pan go wyrzuci!

— Ze wszystkich pomieszczeń?

— Dlaczego nie? Skoro to dla pana takie ważne, ma pan moją zgodę. Jeżeli o mnie chodzi, niech ten zarządca się wynosi razem ze swoją kościstą, niechlujną babą. W dodatku ten typ jeszcze mnie nigdy prawidłowo nie pozdrowił. Prawdopodobnie za naszymi plecami wyśmiewa się z Niemców. Odprawcie go!

— I możemy dysponować zwolnionym mieszkaniem?

— Wedle uznania! — zdecydował kapitan równie wspaniałomyślnie, jak niecierpliwie. Pospiesznie sięgnął po czapkę, pytając przy tym: — A co zamierza pan zrobić ze zwolnionym pomieszczeniem?

— Zorganizować indywidualną opiekę nad wojskiem

— oznajmił Krüger niemal patetycznym tonem. — Wreszcie urzeczywistnić od dawna planowane przedsięwzięcie: odprężającą opiekę nad naszymi żołnierzami.

— Świntuch z pana — stwierdził Hein, niemal rozba-  
wiony. — Chce pan tu założyć burdel, o ile dobrze zrozu-  
miałem?

Krüger zrećnie podchwycił wesołość swego kapitana.

— Nie chodzi o mnie — roześmiał się. — Ale zdaje się, że innym jest to pilnie potrzebne.

— I pan się na to zgadza?

— To nie jest całkiem tak. Po dłuższym zastanowieniu powiedziałem sobie: większość mężczyzn ma pewne potrzeby. Nie ma na to rady. A taka rzecz pod kontrolą mogłaby się opłacić.

— Potrafię to zrozumieć — powiedział Hein wesołym głosem. — Ale jak pan to sobie wyobraża w naszych warunkach? Tylko proszę krótko, lecz w miarę dokładnie!

— Byłoby to w pewnym sensie przedsięwzięcie sanitarne, i to znakomicie zorganizowane. W końcu kontakty seksualne są nieuniknione. A tu będziemy je mieli pod kontrolą — co w praktyce oznacza, że tylko tym sposobem

unikniemy ewentualnych strat wskutek chorób wenerycznych.

— Świnie! — zawołał kapitan Hein. Sprawiał teraz wrażenie rozbawionego. — Świnie, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie same świnie. A wasi ludzie to widać same ogiery! W porządku, panowie, to wasz świat, mój wygląda z gruntu inaczej.

— Respektujemy to bez zastrzeżeń, panie kapitanie. Jak już nieraz dowiedliśmy.

— A więc zgoda, Krüger — zdecydował kapitan, wyglądając przy *tym* swój *mundur*, *choć* nie miał on śladu załamania. — Ale pominąwszy to, potrzebny jest następca tego Schulza.

— Załatwi się! Niezwłocznie! Znajdziemy najlepszego człowieka na to stanowisko. Czy ma pan jakieś szczególne życzenie?

— Może ten Schubert? Wygląda na to, że się nadaje.

Dla Krügera wszystko było jasne. Ręka rękę myje.

Każda korzyść ma swoje przeciwieństwo. Z tym się trzeba zgadzać. Krüger od początku liczył się z taką ewentualnością. Zapytał jednak:

— Czy pan kapitan ma na myśli Schuberta ze służby informacyjnej?

— Tak, właśnie jego! Czy ma pan coś przeciwko temu? Jakies zastrzeżenia?

Na zastrzeżenia starszy ogniomistrz nie mógł sobie pozwolić — wiedział to bardzo dobrze. Sprawa została załatwiona. To najważniejsze. Sam dawał, ale jednocześnie żądał dla siebie — jego żądanie zostało spełnione. Usługa za usługę. Diabelski krąg, z którego niełatwo było się wy dostać, ale opłacało się tkwić w środku.

— A więc Schubert — powiedział Krüger gorliwie. — Johannes Schubert zgłosił się u pana kapitana. Mam nadzieję, że tym razem wszystko będzie przebiegało nor-

malnie. Nie możemy sobie pozwolić na drugie takie śledztwo.

— Pan należy do moich najlepszych ludzi, Krüger — powiedział kapitan Hein i włożył czapkę na głowę. — Ale niech pan nie próbuje mnie zawieść, nie wyszłoby to panu z pewnością na zdrowie. Jednakże o ile pana znam, nie rozczaruje mnie pan. I w tym pokładam nadzieję.

### **Przerwywnik pierwszy**

*Podana dopiero teraz do publicznej wiadomości „spn.wa D.” — którą próbujemy odtworzyć — rozpętała dyskusję, choć przeważnie tylko poufne.*

*Niektóre spośród ciekawych stanowisk, opinii, domysłów, wypowiedzi oraz dokumentów są tu przedstawione w istotnych szczegółach. Wszystkie powstały niemal dokładnie w trzydzieści lat po owych wydarzeniach.*

*Oto na początek wynik jednego z pierwszych przesłuchań ówczesnego sędziego wojskowego Borna, obecnie radcy sądu ziemskiego w stanie spoczynku w Dolnej Saksonii.*

„Moje sumienie —jeśli to ma pan na myśli —jest czyste, całkowicie czyste. Zawsze, również wówczas, spełniałem lylko swój obowiązek. Co to znaczy — to już tylko nieliczni potrafią sobie dziś wyobrazić.

Mój nauczyciel, profesor Heiilenstamm, którego zawsze szanowałem — został stracony jako bojownik ruchu oporu — zwykł mówić: «Prawa, jakie obowiązują w danym czasie, stanowią miarę, ale nie są nietykalną świętością». Staralem się tego trzymać, co wówczas naprawdę nie było łatwe.

Wtedy, w tysiąc dziewięćset czterdziestym, jako sędzia wojskowy należałem do baterii ogniowej we Francji. Na-

sze jednostki znajdowały się na południowy zachód od Paryża, owe cztery z pierwszego dywizjonu w okolicy miasta D. Było piękne późne lato, pamiętam doskonale. Już wtedy miałem poważne wątpliwości.

«To nie może się powieść!» — zwierzyłem się jednemu z zaufanych przyjaciół. A ten odpowiedział z równym zaufaniem: «I nie powiedzie się!» Tylko że ci zachłystujący się zwycięstwem są dotknięci przez bogów ślepotą! Już wówczas byliśmy tacy dalekowzroczni. Między sobą!

Wiedzieliśmy, co było grane — tak nam się przynajmniej zdawało. Nie oszołomiły nas wspaniałe zwycięstwa nad Polską i Francją. Staraliśmy się jak najuczciwiej spełniać swoje obowiązki. Większość trafiających do nas przestępstw to były tak zwane przestępstwa pospolite, takie jak nieobliczalne działania pod wpływem alkoholu, samokaleczenia, dezercja. A czasem jeden czy drugi nieszcześliwy wypadek.

«Niech pan postępuje niezachwianie, obiektywnie i skrupulatnie» — radził mi ówczesny dowódca pułku, pułkownik Rheinemann-Bergen. Niezwykle zasłużony i godny szacunku człowiek, co chciałbym z naciskiem podkreślić. Był nawet podejrzany o zdradę stanu w związku z dwudziestym lipca czterdziestego czwartego. Ale potrafił odeprzeć atak. Rozumieliśmy się obaj.

Muszę jednak przyznać, że w owej trzeciej baterii pułku Rheinemanna-Bergena były, niestety, drażliwe punkty. Dokładnie dwa — o ile sobie dobrze przypominam. Albo nawet trzy. Jeden z nich, ostatni, dotyczący kapitana Heina, to była prawdziwa katastrofa.

Cała sprawa została dokładnie zbadana — niezwykle dokładnie, muszę powiedzieć. Należy bezwzględnie odrzucić późniejsze niesamowite spekulacje na ten temat. Mogę z całą odpowiedzialnością oświadczyć: wówczas wszystko było całkowicie normalne".



**Opinia**  
**Monsieur Jeana-Pierre'a Duponta,**  
**podówczas zarządcy zamku**  
**i opiekuna kaplicy cmentarnej w mieście**  
**D.,**  
**obecnie żyjącego tam emeryta i**  
**weterana**

„Nie mam nic przeciwko Niemcom. Zasadniczo nic. Jestem wiernym zwolennikiem generała de Gaulle'a, w każdym razie nim byłem. Byłem też zdecydowany — i to dość wcześnie — przystać na niemiecko-francuską przyjaźń. Nie przeszkadzało mi to jednak — równie wcześnie — dostrzec pewnych rozbieżności i wyciągnąć wniosków. Co nie musiało zaraz oznaczać, że pamiętałem Niemcom wiele. Lecz nieubłagane narzucały mi się te rozbieżności, a także mojej drogiej żonie, która wraz ze mną cierpiała z ich powodu.

A przy tym wykazałem dużo ludzkiego i nawet żołnierskiego zrozumienia. Jestem w końcu starym doświadczonym frontowcem: jako młody chłopak brałem już udział w pierwszej wojnie światowej. I jako żołnierz wiele rozumiałem.

Zaakceptowałem więc stanowisko ogniowe na terenach sportowych, tak musiało być. To, że Niemcy zajęli na swoje pojazdy położony w pobliżu park zamkowy, też potrafiłem zrozumieć. Chodziło bowiem o osłonę przed samolotami! A kiedy ciężarówki i ciągniki owych Niemców zniszczyły park w D., także musiałem okazać zrozumienie. Co też uczyniłem jako żołnierz.

Przejęcie zamku przez ówczesnych zwycięzców nastąpiło jakby samo przez się, choć wcale nie było konieczne. Jako członkowie wypróbowanej w bojach jednostki mogli równie dobrze obozować pod gołym niebem, w dodatku przy tak wysokiej temperaturze — w dzień do dwudziestu pięciu stopni, w nocy do piętnastu.

Ale oni rozgościli się w zamku. Ja sam chętnie służyłem im praktycznymi radami, aby tylko uchronić budynek od ewentualnych szkód. W naszym zamku, który Niemcy nazywali «pudłem», było dość miejsca dla wszystkich.

Byli to, mogę przysiąc na honor, nadzwyczaj porządni żołnierze. Znali swoje rzemiosło! Panowała wśród nich ogromna dyscyplina, co w głównej mierze zawdzięczano starszemu ogniomistrzowi. O ile sobie przypominam, nazywał się Krüger. Ten utrzymywał swoją trzodę w porządku. A przy tym pozostał człowiekiem — mam mu do zawdzięczenia niejedną butelkę dobrego czerwonego wina.

Moja droga żona żyła jednak w ciągłym niepokoju. Szczególnie w nocy, kiedy na przykład rozlegały się głośne śpiewy albo kiedy z wieży zamkowej, gdzie kwaterował kapitan, dobiegała głośna muzyka. I to często do rana. No tak, nie było to miłe. Ale ja ją uspokajałem: tak to jest z żołnierzami.

Aż wreszcie nadszedł ów mroczny dzień, w którym Krüger oświadczył mi z widocznym żalem: «Musi pan, niestety, opuścić swoje mieszkanie, i to natychmiast».

«Dlaczego?» — zapytałem. A on powiedział: «Rozkaz kapitana, nic na to nie j,-orad/c».

Moja droga żona płakała. Krüger — wspaniałomyślnie — użyczył nam ciężarówkę do przewiezienia naszych rzeczy. A gdy przypadkowo przechodził tamtędy kapitan Hein, poprosiłem go o rozmowę. Lecz on odpowiedział niechętnie: «Nie życzę sobie, aby mnie ktokolwiek zaczepiał».

Kiedy już załadowaliśmy niezbędne rzeczy i przygotowaliśmy się do opuszczenia zamku, kapitan Hein stał w oknie wieży i śmiał się głośno. Właściwie dlaczego? Jeszcze dziś zdaje mi się niekiedy, że słyszę jego śmiech, ale jednocześnie czuję, że nie był on szczęśliwy.

Na dole, w mieście, zgłosiłem się do komendanta. Był

to mężczyzna nazwiskiem Schmidt, również kapitan. Na imię miał Karl, nazywano go niekiedy «Monsieur Charles», co bardzo lubił. Przedstawiłem mu swoją sytuację. A on odrzekł ze współczuciem: «Tak nie może być!»

Ten Karl albo Charles Schmidt był z pewnością dobrym Niemcem. Niewiele to jednak mogło pomóc na terenie owego kapitana Heina. Wkrótce miało się to okazać — aż do zburzenia niezastąpionych wartości: nasz piękny zamek jako stos trupów Wielkich Niemiec!"

*Wyjątki  
z rozmowy z panią Magdaleną Hein,  
matką ówczesnego kapitana Heina* ,

*Matka:* „Uważam to za aroganckie, choć zgodne z duchem czasu, że mi się zadaje pytanie na temat mojego ukochanego syna tylko po to, aby zniesławić pamięć o nim”.

*Dziennikarz:* „Nikt, łaskawa pani, nie ośmieliłby się ogarnąć spojrzeniem całej prawdy. Podejmujemy tylko próbę wyświetlenia kilku szczegółów”.

*Matka:* „Po moich doświadczeniach muszę uznać taką próbę za zbędną; w każdym razie nie wydaje mi się to konieczne. Skoro jednak się na to zgadzam, to tylko dlatego, żeby obalić różne twierdzenia, którymi się ostatnio lekko-myślnie szaluje w niektórych organach prasowych”.

*Dziennikarz:* „Spróbujmy więc ograniczyć się tylko do faktów. A przy tym do osoby Karla Ludwiga Heina. Czy był on dobrym synem?”

*Matka:* „Najlepszym ze wszystkich synów!”

*Dziennikarz:* „Czy bardzo go pani kochała?”

*Matka:* „To przecież zrozumiałe. Lecz nie była to ślepa miłość. Oczywiście darzyliśmy syna nieograniczoną miło-

ścią, a jednocześnie wychowywaliśmy go bardzo surowo. Można powiedzieć, że rysowała się przed nim piękna, bezpieczna, ale nie rozpieszczana młodość. I to nie tylko dlatego, że taka była wola jego ojca — takie wychowanie należało po prostu do naszych rodzinnych tradycji. Jeśli pan potrafi sobie coś pod tym pojęciem wyobrazić".

*Dziennikarz:* „Nawet bardzo wiele, pragnę zauważyć. I jeśli panią dobrze rozumiem, bardzo wcześnie wpoila pani swemu synowi szerokie pojmowanie tak zwanych wyższych wartości?"

*Matka:* „Dobrze mnie pan rozumie, a mimo to niewystarczająco. Albowiem nikt nie jest w stanie, jak przypuszcza pan i panu podobni, stworzyć gotowych bohaterów. Można tylko próbować dać pewne podstawy".

*Dziennikarz:* „Co pani w tym wypadku chyba się udało?"

*Matka:* „My wszyscy, a więc rodzice i rodzeństwo — miał siedmioro rodzeństwa — zawsze byliśmy dumni z tego wyjątkowego syna i brata, i nadal jesteśmy! Już podczas kampanii w Polsce mój ukochany syn został odznaczony Żelaznym Krzyżem drugiej klasy — po zniszczeniu trzech czołgów nieprzyjacielskich. Następnie podczas kampanii francuskiej, mianowicie już w pierwszych tygodniach, doszedł do tego Żelazny Krzyż pierwszej klasy po zniszczeniu dwóch dalszych czołgów i trzech samolotów, a możliwe, że było ich nawet pięć".

*Dziennikarz:* „Jak na razie jest to sprawa sporna. Twierdzi się, że ówczesne rzekome sukcesy były świadomie naciągane".

*Matka:* „Wypraszam sobie! Dane dotyczące sukcesów zostały wielokrotnie potwierdzone zarówno przez dowódcę pułku, jak i przez generała. Czyżby pan wątpił w kompetencje tych niezwykle doświadczonych dowódców? Który teraz w Bundeswehrze..."

*Dziennikarz:* „Nie dowierzam wszelkiego rodzaju bohaterom — pardon!”

*Matka:* „To pańska sprawa. Ja w każdym razie nie rozumiem takiego nastawienia — zresztą mam nadzieję, że pan tego nie oczekuje. Wiem tylko tyle: mój syn był zawsze kochającym, posłusznym, nadzwyczaj subtelnym chłopcem! O jego charakterze i postawie świadczą liczne listy, jak również publiczne odwołanie zniesławienia i spontaniczne objawy sympatii przyjaciół i kolegów. W każdym razie odrzucam wszelkie wysrane z palca podejrzenia. Uważam, że mój ukochany syn stanowi symbol dzielnego niemieckiego żołnierza. Czyżby pan chciał zuchwale zniszczyć tę piękną, brzemienną w nadzieję konstelację? I to akurat teraz, kiedy powstał projekt, aby nowe kasyno naszej Bundeswehry nazwać jego imieniem?”

*„Pruska ruletka ”—pierwsza faza*

— Nareszcie, koledzy, się zabawimy! — oznajmił podoficer Softer. Zaprosił tych, których uważał za najważniejszych w korpusie podoficerów parku amunicyjnego. Oczywiście za zgodą Krügera, co było zrozumiałe. Zebrało się ich sześciu. — Obciągniemy buteleczkę, albo trzy!

Działo się to w magazynie Softera. Gospodarz częstował gości niemieckim piwem i sznapsem. Niektórzy bowiem mieli już dość mdłego francuskiego wina. Woleli coś mocniejszego.

— Dziś, koledzy, możemy tu robić, co nam się żywnie podoba — obwieścił Krüger. — Nikt nam nie przeszkodzi! Wróg już nie czuwa!

— Zarządca zamku — uzupełnił Softer — który wciąż podsłuchiwał, musiał się w końcu wynieść i opróżnić swoją budę.

— To wspaniale! — zawołał ogniomistrz Arm, szef transportu. Jego ogorzała twarz była, jak zwykle, bez wyrazu. — Nareszcie będę mógł w opróżnionych pomieszczeniach urządzić magazyn części zamiennych.

— Bądź łaskaw zabrać od nich swoje brudne łapy — oświadczył Softer koleżeńskim tonem. — Już ja sam zadbam o to, co się w tej budzie urządzi. A jeśli w przyszłości

zechcesz coś u mnie zamówić, będzie to coś w koszuli i z gołym tyłkiem.

Arm zdumiał się: — Ach ty świniu! Czy naprawdę masz zamiar urządzić tam burdel?

— Co takiego? — zapytał z niedowierzaniem, wstając z miejsca, podoficer Forstmann, szczupły blondyn o gładkiej cerze, gorliwie zarządzający kancelarią. Prócz tego uważał się za kompetentnego w sprawach prawomyślności i moralności kolegów. Hitlerjugend musiała poświęcić w jego osobie wielce obiecującego bojownika o niemieckie cnoty i niemiecką godność. — Chyba się przesłyszałem!

— Dobrze usłyszałeś, Forstmann! — Softer przebiegł wzrokiem po kręgu zebranych. Nastrój był bardzo dobry. — Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie nazywać burdelem to, co tam teraz powstanie, mniejsza o nazwę. Dla mnie, w każdym razie, nie ma to znaczenia. Może się to równie dobrze nazywać świetlicą.

— Jak ci nie wstyd! — zawołał Forstmann. Spojrzał wyzywająco na zebranych, ale jego podpici koledzy byli zajęci trunkami, które im hojnie serwowano. Tępo wpatrywali się w kieliszki albo w półki wypełnione po brzegi butelkami. — Do ciebie mówię, Softer, jak ci nie wstyd myśleć o czymś takim!

— Czego miałbym się wstydzić? — zapytał Softer, rozpierając się wygodnie na krześle. — Nic rozumiem, Forstmann, dlaczego masz coś przeciwko temu, akurat ty! To przecież ty ostatnio, a mówiąc dokładnie, przedwczoraj wieczorem, na dole, w mieście, w Hotel de France...

— To nie ma nic do rzeczy! — zaprotestował Forstmann, wzburzony. — To było coś zupełnie innego. Szukałem mianowicie kontaktów z francuską ludnością cywilną, zajmowałem się tak zwanym brataniem narodów, na ile to w obecnych warunkach jest możliwe.

— Nie pleć głupstw! — rzekł Softer z ironicznym u-

śmiechem, rzucając przy tym kolegom kolejną serię butelek z piwem. Łapano je zręcznie, podoficerowie mieli w tym wprawę. — Dobrze wiem, jak było naprawdę, ale u mnie będziesz się mógł zabawić, kiedy tylko będziesz miał ochotę i w jaki sposób zechcesz, w każdej chwili i o wiele wygodniej, a do tego taniej i bezpieczniej pod względem zdrowotnym.

— O każdej porze? — zapytał Arm, wyraźnie zainteresowany. — A więc także na przykład po obiedzie? Wtedy jestem najbardziej ostry.

— To się da zrobić! — zapewnił Softer. — Dla stałych uprzywilejowanych klientów! A wy wszyscy, koledzy, w moich oczach do takich się zaliczacie. Gwarantuję wam najlepszą obsługę, ale także specjalne ceny.

— Jestem za! — zapewnił krótko, ale zdecydowanie Kamiński, kierowca kapitana Heina, muskularny chłopak o dobronudszym wyrazie twarzy, również podoficer. — O ile wszystko jest bez zarzutu!

— Oczywiście, że wszystko jest w porządku — powiedział Softer natychmiast. A Krüger zapewnił dodatkowo: — Szef osobiście udzielił swego błogosławieństwa. — Na co sierżant Moll, kierownik rachuby, mężczyzna o potulnym obliczu owcy, ostrożnie zapytał: — To brzmi obiecująco, ale czy możemy sobie na coś takiego pozwolić? We wszystkich szczegółach?

— Dlaczego nie moglibyśmy sobie pozwolić? — zapytał Hiller, zwany Tinem, podoficer rezerwy. Chłopak o wesołej mysiej twarzy, uważany powszechnie za zdeklarowanego cywila, jednakże jako inżynier niezwykle przydatny na tym podwórku. Owemu Hillerowi udawało się naprawić każdy pojazd, który trafił w jego ręce. Był więc nieoceniony nie tylko w oczach Arma, swego szefa — stanowiąc także najważniejszą część baterii. Czasem, choć rzadko, wydawało się, że o tym wie.



- Bardzo cię lubię i cenię, Tino — powiedział Arm łagodnym tonem, lecz ostrzegawczo. — Ale nie próbuj mi stawać okoniem.

— Względem tego planowanego burdelu?

— Nie możemy sobie pozwolić na urządzenie czegoś takiego — znów wmieszał się Forstmann, błyskając niebieskimi oczami. Im dłużej pił, tym bardziej zdawał się być świadom swych progermańskich ideałów. — To uwłacza naszej wielkoniemieckiej godności!

— Nie dyskutujemy o pryncypiach — powiedział Kruger niemal patetycznie. — Skoncentrujmy się raczej na faktach. Potrzeby seksualne to przecież ludzka rzecz. Nawet zwierzęta je odczuwają. Jedno jest pewne: taki burdel, czy jak nazwiecie tego rodzaju przybytek, nikomu nic może zaszkodzić. W dodatku, jak już powiedziałem, nasz kapitan nie jest przeciwny temu zamierzeniu.

— Gdyż wie — stwierdził Softcr pospiesznie — że to jest męska sprawa. Jest to jedna z form opieki nad wojskiem. A ponieważ uchodzimy za wzorową baterię, dla czego by i nie pod tym względem?

— Jest to konieczne nie tylko ze względów zdrowotnych — powiedział Krüger. — Na podstawie własnych obserwacji mogę powiedzieć: mężczyzna, szczególnie taki, który musi walczyć, ma prawo do aktywnego życia płciowego, a to zapewnia mu przyjaciółka albo żona, albo kontrolowana prostytutka. W końcu nie możemy sobie pozwolić na straty w wyniku chorób wenerycznych, a więc zapobiegajmy im.

— W naszym sztabie — oświadczył Softcr — prostytutki są zatrudniane jako siły pomocnicze, pozostają one jednak wyłącznie do dyspozycji oficerów. Będziemy więc bardziej społeczni!

— A związane z tym koszty? — zapytał podoficer

Moll, szef rachuby. — Nie ulega wątpliwości, że dobrze byłoby mieć coś takiego, ale musi się to również opłacać!

— Koszty tego byłyby niezbyt duże — zapewnił Softer. — Dla każdego z was przewidziany jest oczywiście rabat. Dotychczas jedyną trudność dla mojego przedsięwzięcia stanowił lokal, ale teraz to się wyjaśniło. Ponieważ zarządca się wyniósł, zwolniły się cztery pomieszczenia — trzy z nich przewidziałem dla dam gotowych do pracy, czwarte zaplanowałem jako poczekalnię.

— A te trzy damy — wmiślał się znów Moll rzeczowo — czy to wystarczy dla całej baterii?

— Chwilowo tak! — Nieustannie szczerzący zęby Softer miał w głosie szacunek, który wydawał mu się właściwy: — Wychodzę przy tym, koledzy, od następujących liczb: stan ogólny baterii: stu pięćdziesięciu mężczyzn. Za interesowanych około stu dwudziestu. Dzienna wydolność kobiet: pięć osób, co jest śpiewająco do wykonania, a także nadzwyczaj humanitarne. Pięć razy trzy daje piętnaście. Piętnaście razy sześć, wyłączając jeden dzień w tygodniu wolny, daje dziewięćdziesiąt. A więc na każdego wypada kolej co dziesięć dni. To powinno wystarczyć, przynajmniej na początek.

— A czy dla nas, koledzy — zapytał Arm — są przewidziane przywileje albo nawet usługi szczególne?

— Oczywiście, i to wedle uznania i potrzeb!

Forstmann, wielkoniemiecki kancelista, trwał uparcie przy swoim, zwłaszcza że był w tej niechęci umacniany podszeptami Hillera. — Nic na to nie poradzę, koledzy, ale nie jest to chyba po myśli naszego Führera.

— No nie, towarzysze! — Softer łapał powietrze. — Cóż ty sobie myślisz? Czy uważasz, że Führer tego nie robi?

— To potwarz — zawołał wzburzony Forstmann — bezprzykładna potwarz!

— = Byłoby tak istotnie, mój drogi, gdybym był przeci-

wnego zdania. Chyba nie twierdzisz, że Führer nie jest mężczyzną? Przecież jest z całą pewnością. A więc też potrzebuje kobiety. To całkiem logiczne.

— Chcesz go może zrównać z prymitywnymi lubieżnikami? Tę nieskalaną postać naszego narodu?

— Czemu nie — stwierdził Softer spokojnie. — Twój boski bohater jest przecież takim samym mężczyzną jak inni. Choć to naczelny wódz.

— Ale żeby go uważać za orędownika naszego burdelu — upierał się Forstmann — to zdecydowanie sobie wypraszam. Uważam to nawet za antypaństwowe.

— To zależy od punktu widzenia! — oświadczył Kruger. — Dla nas miarodajne są wyłącznie decyzje naszego kapitana. A kapitan Hein przystał na zorganizowanie takiego domu rozrywki na naszym terenie. A teraz pytam: czy ktoś jest innego zdania?

Nikt się nie odezwał.

— A więc znów śpiewają — powiedział Wassermann. Patrzył na butelkę wina, która stała przed nim na występie muru. Lśniła we wczesnym blasku księżyca. — Śpiewają brzydko, ale głośno.

— Niemieckie pieśni ludowe — stwierdził gefrajter Bergen, który usiadł obok Wassermanna na kamiennej ławce, stojącej na skraju parku. — O ile rozpoznaję, jest to *Lüneburski step*, a więc Löns, zdecydowanie najlepsze niemieckie dobro kultury.

— Ich repertuar jest ograniczony — oświadczył Wassermann, słuchając chóru, który dobiegał z kantyny. Ten *Lüneburski step* to sztandarowy numer Krügera, słyhać go po pięć razy podczas każdego spotkania koleżeńkiego. Dopiero potem, gdzieś po paru godzinach, śpiewają lepsze kawalki.

— Ty wszystko wiesz — stwierdził Bergen, sięgając po butelkę. Wypił na próbę, po czym wydał radosny, aprobujący dźwięk, znów wypił, tym razem bez przerwy. Następnie powiedział, z trudem łapiąc oddech: — Zdaje się, że potrafisz rozpoznać, kolego, jakie to wino?

— Chablis — odrzekł Wassermann, obserwując jednocześnie góry w blasku księżyca, ale cienie na jego obliczu zacierają wszelkie kontury. — Francuskie białe wino, którego tu nikt nie chce pić. Mogłem sobie śmiało zainkasować dwie skrzynki i ukryć w kaplicy pomiędzy grobowcami. Chętnie się z tobą podzielę.

— Ale dlaczego?

— Bo widzę, że ci smakuje, tak samo jak mnie. To wystarczający powód. Poza tym lubię z tobą rozmawiać, Bergen. Jesteś wprawdzie też tylko poganiaczem świń, jak my wszyscy tutaj, ale poganiaczem szczególnego gatunku. Jestem tego niemal pewien.

— A ty czym jesteś?

— Sam nie wiem, jeszcze nie wiem! — Wassermann uśmiechał się pod wąsem. — Co mnie jednak wcale nie martwi, szczególnie tu, w tej okolicy. Czymże bowiem jest się tutaj? Zającem, który łaskawie daje na siebie polować? Psem, który skowyczy z wdzięcznością, kiedy ktoś go kopnie? Krową, która o każdej porze pozwala się doić, a potem jeszcze daje mięso? Człowieku, mamy ogromny wybór!

Przysunęli się do siebie bliżej, aby móc rozmawiać bardziej przytłumionym głosem, a jednocześnie wyraźniej. Ale nie spieszyli się, patrzyli w nadchodzącą noc, na zamek, który strzelał wieżą w górę na tle księżycowego nieba. Jego okna były zasłonięte, jednak wąskie smugi światła przedostawały się przez szpary. Zarówno na dole, gdzie znajdowały się pomieszczenia kasyna, jak i na najwyższym piętrze, gdzie mieszkał kapitan Hein.

— Co tu się stało? — zapytał Bergen.

Wassermann roześmiał się przytłumionym głosem. — Dlaczego akurat mnie o to pytasz? Ja wykonuję tu tylko swoją robotę.

— Ale nie cały czas! Niekiedy, jak zdołałem się zorientować, jesteś wściekły. Używasz wówczas takich słów jak: „Coś tu śmierdzi!”

— Zgadza się — potwierdził Wassermann wesoło. — To wszystko tylko taktyka. Że mi przy tym istotnie śmierdzi, to praktycznie nie ma znaczenia; najważniejszy jest efekt: oni próbują mnie uspokoić, zgadzają się na ustępstwa, zapewniają korzyści!

— Co jednak na dłuższą metę jest dość niebezpieczne.

— Nie, jeśli się postępuje ostrożnie. Ja jestem tu niezbędny jako specjalista od ciągników. A ty jako fachowiec od informacji mógłbyś uprawiać podobną politykę. Kiedy zaczniemy działać wspólnie, jestem pewien, że będziemy mieli niezłą zabawę. Spróbujemy?

Gefrajter Bergen milczał. Patrzył w noc — jego bystre oczy wędrowały od masywnego zamku, przez park, do kaplicy, która jakby przysłonięta, pozostawała w ukryciu. Wyobrażał sobie stojące tam trumny — w szeregu, jedna obok drugiej, jedna nad drugą. A między nimi skrzynie z chablis.

— Chodź ze mną, kolego — powiedział przyjaźnie Wassermann. — Zejdziemy na dół, do miasta, znam wygodne przejście przez mur. Rozerwiemy się w Hotel de France — wedle uznania. Podjemy sobie doskonale, a przy okazji podejmiemy sprytnie. pisarza miejscowego komendanta. On bardzo lubi, żeby go podchodzić. Nic wiążąco, ale skutecznie z naszego punktu widzenia; aby tylko właściwie zacząć.

— Już nie śpiewają — stwierdził Bergen.

— A więc rozmawiają. Przekonują siebie nawzajem, a rezultat będzie taki, jak zechce Krüger.

— Ale z wieży słyhać muzykę. Co to?

Wassermann skinął głową. — Znam te dźwięki. Kapitan słucha płyt. Na cały regulator. Jakby huczało sto wodospadów.

— To Wagner.

— A któżby inny! Tylko że jeśli kapitan słucha tej muzyki, to knuje przy tym coś niedobrego. Przynajmniej dla stanowiska ogniowego. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, nie ma im czego zazdrościć.

— Alarm przeciwlotniczy! — oznajmił kapitan Heintnem niemal obojętnym. Tego człowieka najwidoczniej nic nie było w stanie poruszyć. Potrafił, jeśli chciał — a przeważnie chciał — być zimny jak ryba, jak gład, jak granit.

Spojrzał na swój stoper. Następnie, stojąc niemal na palcach, przyglądał się otoczeniu: stanowisku ogniowemu swojej trzeciej baterii. A bateria, jak się spodziewano, była w pogotowiu. Pod każdym względem. Tak jak należało.

Stojący najbliżej kapitana żołnierz krzyknął, nie wahaając się ani ułamka sekundy: — Alarm przeciwlotniczy! — I znów: — Alarm przeciwlotniczy!

Wszyscy bowiem byli tutaj przygotowani o każdej porze na tego rodzaju wysoki kapitana Heina. Jego ludzie mieli wystarczająco wiele okazji, aby się do nich przyzwyczaić. Reagowali prawie automatycznie: najpierw zaczął się ogólny ryk alarmowy, następnie był on zagłuszany przez trzy ręcznie uruchomione syreny. W okolicy natchmiast zaroilo się od mężczyzn.

A okolicę tę stanowiło miasto D., mówiąc dokładniej: południowo-zachodni skraj miasta. Tuż obok zamku, oddzielony od niego ulicą Napoleona, stadion, na którym stały cztery działa ciężkie, dwa lekkie i centralny przyrząd do kierowania ogniem. Nie wolno było dopuścić, aby za-

rdzewiały! Hein nieustannie troszczył się o to, wspierany przez swego pupila, ogniomistrza Rungego.

Jemu to oświadczył kapitan poufnie, ale tak, że sły-chać było daleko: — Żądam, aby wszyscy byli na pełnych obrotach, choćby mieli przy tym upaść. A jeśli kto upadnie, zapamiętamy to sobie i przeszkolimy delikwenta dodatkowo. Chcę widzieć moją baterię w stu procentach sprawną do działania!

Żołnierze wypadali z namiotów. Wybiegali z kantyny położonej w pobliżu, przerywali swoje czynności w obu latrynach. Zjawiali się, tak jak stali: w białym, ubrani do połowy, w pełnym umundurowaniu. Ale zawsze, zgodnie z rozkazem, mieli na głowach hełmy, które cały czas pozostawały w zasięgu ręki.

— Pospieszcie się, z łaski swojej, fajtlapy— krzyczał Runge, który jak zwykle był na czele, jeśli chodziło o wszelkie akcje. Wyglądało na to, że węszy je jak wilk owce. — Czy mam dać wam kopniaka, nędzne łamagi!

Nie musiał, gdyż wszystko grało, chłopcy nie zawiedli! Błyszczącymi oczyma Runge popatrzył na kapitana Heina — ów skinął głową ledwie dostrzegalnie. Rozumieli się obaj nie od dziś — wszystkie bowiem sukcesy trzeciej baterii, na których opierały się statystyki dotyczące zestrzeleń samolotów nieprzyjacielskich, stanowiły w głównej mierze ich zasługę. Byli niezawodni.

Żołnierze baterii Heina rzucili się do swoich dział i do centralnego przyrządu. Lufy dział skierowano zgodnie z tabelą czynności alarmowych w kierunku zachodnim, skąd należało się spodziewać samolotów nieprzyjacielskich. Kurs: dwieście siedemdziesiąt stopni, kąt: dziewięć, wysokość: czterdzieści pięć. Przygotować ostrą amunicję! Ładować pociski!

— Centralny przyrząd gotów do działania! — zameldował Runge, na długo przed innymi, jak należało się spodziewać.

Dopiero kilka sekund później nastąpił komunikat: — Oddział gotowy do akcji! — Wykrzyczał to poprawnie, z niezwykłą gorliwością, po wojskowemu, ale pospiesznie i niemal dziecięcym głosem podporucznik rezerwy Helmreich. Ów podporucznik patrzył, żądny uznania, mi swe go kapitana, ten jednak nie zaszczylił go nawet spojrzeniem.

— Trzecia bateria gotowa do akcji! — zameldował wreszcie porucznik Minder, donośnie, ale dobrotliwie brzmiącym głosem. Nie udało mu się przekonująco zademontrować ostrości. Rzadko mu się to udawało — i nigdy wobec szefa.

Kapitan Hein spojrzął na stoper, a następnie w pustkę smutnymi wielkimi oczyma. Po czym oznajmił, znów jakby nieobecny, ostrym jak brzytwa głosem: — Ponad sto sekund!

To stwierdzenie słychać było daleko, ponieważ wszyscy wokół milczeli w oczekiwaniu. I każdy żołnierz wiedział, co to oznaczało.

Najdłuższy możliwy do przyjęcia przez Heina czas przeznaczony na takie ćwiczenie alarmowe wynosił sto sekund. Nieco poniżej było „zadowolająco”. Siedemdziesiąt sekund było określone jako „dobre”. Jeszcze mniej — „idealne”, do tego jednak nigdy nie doszło.

Co teraz nastąpi wobec tak żalnego rezultatu, każdy z obecnych wiedział z własnego doświadczenia. Mianowicie krótkie stwierdzenie kapitana: „Przećwiczyć!” A to dla stanowiska ogniowego trzeciej baterii oznaczało długie godziny zajęć.

Hein stał milczący i bez ruchu pośrodku, tuż przy tabeli czynności alarmowych. Zawsze tam, gdzie się w danej chwili znajdował, był centralny punkt baterii.

Rungemu wolno było stać u jego boku, podczas gdy oficerowie, Minder i Helmreich, ustawiali się zawsze trzy kroki za swoim kapitanem. Dokładnie trzy kroki, a więc



trzy razy po osiemdziesiąt centymetrów — nie więcej, nie mniej; więcej — oznaczałoby dystansowanie się, mniej — byłyby tłumaczone jako natrętność. Żołnierze stali przyzajeni jak zastraszone zające w kapuście.

Hein skinął głową na Runego, co oznaczało: a więc to, co zwykle! I ogniomistrz natychmiast przystąpił do akcji. — Kryć się! — zawołał.

Żołnierze zniknęli w pobliskich namiotach, w bruzdach ziemi, w szczelinach. Obaj oficerowie trwali w bezruchu — oczekiwali specjalnych rozkazów, które na ogół rzadko następowały. Kapitan stał w rozkroku, jakby za chwilę zamierzał wykonać skok.

— Alarm przeciwlotniczy! — zawołał Runge.

Żołnierze wypełzali jak łasice ze swoich nor, rzucali się do dział i przyrządów, sprawdzali je, przygotowywali amunicję. Obaj oficerowie, Minder i Helmrch, darowali sobie przyglądanie się tym czynnościom. Patrzyli prosto przed siebie — na swego kapitana. Ten jakby zamienił się w posąg. Kolejne działania alarmowe były także powszechnie znane. Szybko następowały po sobie komendy: „Kryć się!”, „Alarm przeciwlotniczy!”, „Alarm skończony!” I tak bez końca. Trwało to całe popołudnie, czasem do późnej nocy. Scena, którą kierował Runge, a której pilnował Hein. Niezmienny sztafaż: ledwie widoczni, stojący niemal bez ruchu dwaj oficerowie baterii.

— Już ja się o to postaram, tamagi, że wam się woda w tyłkach zagotuje — obiecywał Runge spoconym, parzącym tępo, zataczającym się ze zmęczenia żołnierzom — jeśli się nie weźmiecie w garść. U nas nic ma miejsca dla takich niedołęgów!

Dobrali się obaj w korcu maku — kapitan i jego Ogniomistrz; każdy to wiedział i każdy niemal codziennie to czuł. Kiedy Hein awansował na kapitana, Runge musiał zostać ogniomistrzem. Kiedy Hein dostał Żelazny Krzyż

pierwszej klasy, Runge natychmiast dostał Żelazny Krzyż drugiej klasy. I dostałby z pewnością Żelazny Krzyż pierwszej klasy, gdyby Hein otrzymał przewidziany dla niego Krzyż Rycerski. I tak toczyłoby się dalej, istniały bowiem jeszcze wyższe stopnie i jeszcze wyższe odznaczenia.

— Kryć się! Zasmarkane bydlaki! — wołał Runge. — Okopać się! Aż po uszy! A jeśli komuś będzie wystawał tyłek, to wystrzelę mu drugą dziurę!

Nagle przerwano ćwiczenie. Nadszedł samochód, opel przemalowany na pojazd wojskowy, w szaro-zielonych ochronnych barwach. Zatrzymał się niemal pośrodku placu. Wskoczył z niego kapitan wojsk lądowych, dobrze odżywiony mężczyzna, okrągły jak gumowa piłka i patrzący dobrodusznie. Szedł w kierunku Heina.

— Nazywam się Schmidt. Czy mam zaszczyt rozmawiać z panem kapitanem Heinem?

— Ma pan zaszczyt — odrzekł Hein niechętnie. — Nie przypominam sobie, abym pana tu zapraszał.

— Próbowałem wielokrotnie porozumieć się z panem telefonicznie, niestety na próżno. Bardzo żałuję!

Kapitan Hein skinął głową, ale tylko nieznacznie. — Przypuszczalnie nie zauważył pan, że moja bateria znajduje się tu w akcji, panie kapitanie Schmidt. Wciąż mamy wojnę!

— Co oczywiście jest respektowane! — zapewnił niemiecki komendant miasta D., starając się załagodzić sytuację. Pocił się potężnie i czuł się zmęczony. Duża ilość burgunda, jaką wypił podczas obiadu, zrobiła swoje, poza tym ten szef baterii irytował go. — Jeśli mimo to pozwalam sobie, panie kapitanie, panu przeszkodzić, czynię to nie bez powodu. Chodzi o zarządcę zamku.

— A cóż on pana obchodzi?

— Został usunięty ze swego mieszkania. Nie wnikał w motywy pańskiego działania, ale jedno wiem: to zrobiło złą krew.

- U kogóż to? — zapytał Hein prowokująco spokojnie. — Co mnie obchodzą życzenia francuskich cywilów? Tu toczy się wojna, panie kapitanie, a więc są zwycięzcy i pokonani. Oczywiście stąd wynikają pewne konsekwencje. Chodzi o to, aby lekkomyślnie nie stracić tego, co się osiągnęło. Czyżby to jeszcze do pana nie dotarło?

— Ja tylko daję to panu pod rozwagę — zapewnił kapitan Schmidt, starając się zachować godną postawę. Było to jednak daremne, jak się wkrótce przekonał. — Ja tylko próbuję załagodzić sytuację.

Kapitan Hein przyglądał się swemu gościowi lekceważąco i z rosnącą pogardą. Widział w nim jedynie spasionego cywila, niestety, ubranego w mundur Trzeciej Rzeszy. Człowieka całkowicie na niewłaściwym miejscu.

— Tu, gdzie się znajdujemy — oświadczył kapitan Hein na zakończenie — mamy stan wyjątkowy. Niech więc pan zechce przyjąć to do wiadomości.

— Ale proszę także wziąć pod uwagę, panie kapitanie, że poradzono nam, abyśmy w jak najszerszym zakresie bronili interesów francuskiej ludności cywilnej.

— Komu to poradzono, panie kapitanie? Być może panu, ale nie mnie. My tu jesteśmy w akcji. Każdej chwili mogą się zjawić samoloty nieprzyjacielskie. Musimy być gotowi. Czyżby pan chciał to sabotować?

— Oczywiście, że nie!

— A zatem, panie kapitanie, jestem zmuszony pana prosić, aby pan tu dłużej nie przeszkadzał. Co w praktyce oznacza: niech pan się dłużej nic naprzykrza. I niech pan, z łaski swojej, nie próbuje tego nigdy więcej!

— No i jak się czujecie? — zapytał podstępnie, a przy tym jowialnie starszy ogniomistrz Krüger. — Czy już się u nas zadowiliście?

— Staram się — odparł gefrajter Bergen — próbuję się przystosować, jak to się mówi.

— Ale nie przychodzi wam to łatwo, czy tak?

Bergen zaprzeczył skromnie, przy czym znów wykonywał cywilne gesty. Ostatnio zaczął już to zauważać, co uznał za postęp. — W każdym razie wciąż się uczę.

— Mam nadzieję, że tego, co potrzeba. Uważam bowiem, że nie jesteście głupcem. Jesteście raczej byстрыm chłopcem, który ma dobrego nosa! Ktoś taki może mi się przydać, bo przy tej zbieraniu ślamazarów każde czujne ucho jest użyteczne. Cenię sobie bystrych współpracowników. Pochodzę ze wsi i wiem, że nawet najgorszy gnój przydaje się jako nawóz.

— Czego pan ode mnie oczekuje, panie sierżancie?

— Czy przysłżiszcie tu wprost ze sztabu dywizjonu?

Gefrajter odpowiedział twierdząco, po czym wolno mu było przyjąć postawę „spocznij”. Ale to stanowiło tylko dalszy sygnał alarmowy. Było powszechnie wiadomo, że przed Krügerem szeregowi musieli zawsze stać wyprostowani jak struny. Tego rodzaju pozorna przychylność była u niego najczęściej związana ze szczególnymi żądaniem.

— A co robiliście w sztabie dywizjonu?

— Przeważnie sprawałem trudności.

Twarz Krügera lekko się wykrzywiła w uśmiechu. — Najwidoczniej zależy wam na tym, aby mi uświadomić, że jesteście trudnym człowiekiem. Dlaczego?

— Wcale nie jestem trudny. Ale muszę przyznać, że do trzeciej baterii zostałem przeniesiony w pewnym sensie za karę, mianowicie przez adiutanta dywizjonu.

— Człowieku! — ogniomistrz aż się zachłysnął ze zdumienia. Następnie wysapał: — Nie jesteście ani głupim cielęciem, ani przebiegłym lisem. Podpowiedzcie mi więc, za kogo mam was uważać?

— Zdarzało się też, że słyższalem rozmowy telefonicz-

ne — powiedział gefrajter skromnym tonem. — Tak przypadkiem, służbowo.

— Chcecie przez to dać do zrozumienia, że wiecie dość dobrze, co tu jest grane. Że pomiędzy adiutantem dywizjonu i trzecią baterią, a szczególnie jej szefem, istnieją pewne, powiedzmy, różnice.

— Takie same jak pomiędzy mną i adiutantem. I to w dodatku całkowicie bez mojej winy. My po prostu nadawaliśmy na różnych falach, a więc nie mogło dojść do porozumienia. Nie było więc innego wyjścia, jak pozbyć się mnie przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

— Domyślam się, że tam, w sztabie, urządzaliście niezłe przedstawienia. I to się wam podobało, prawda? W porządku, wasza rzecz. Tylko niech wam nie przyjdzie do głowy próbować czegoś takiego u nas. Bo będziecie spaleni! W sztabie dywizjonu gra się operetkę, ale u nas Richarda Wagnera!

— Słyszałem — przez pół nocy. Gramofon w wieży wydaje się nadzwyczaj sprawny, a wybór płyt odpowiednio bogaty. Chyba cały Wagner, a prócz tego Leander i *Wesoła wdówka*. Fantastyczna mieszanka — to robi wrażenie!

— Chyba nie chcecie twierdzić, że jesteście szczególnie wrażliwi? — zapytał Krüger, szczerząc zęby. — Chyba nie macie nic przeciwko Wagnerowi?

— Nikt u nas nie ma nic przeciwko Wagnerowi. Również nasz Führer...

— To wzruszające, jak uparcie próbujecie mi wmówić, że jesteście tylko nieszkodliwym śmierdzeniem. — Krüger wyglądał na ubawionego. — Potraficie się dostosować, prawda? Stajecie na baczność, kiedy się tego od was wymaga, ale za plecami bardzo lubicie wicherzyć. O co wam właściwie chodzi?

— Nie znoszę żadnych komplikacji — zapewnił gef-

rajter Bergen z naciskiem — gdyż jeszcze długo nie zamierzam być zmęczony życiem. Poza tym znam się trochę na łączności radiowej i telefonicznej, co się niewątpliwie wkrótce okaże. Ponadto zdążyłem się już zorientować, że w tej baterii można całkiem nieźle żyć, jeśli się człowiek w porę przestawi na właściwą długość fali. Wytężona służba, a potem relaksowy bilard. Czegóż chcieć więcej?

— Zakładając przy tym posłuszeństwo. — Krüger spojrział teraz niemal życzliwie na swego nowego gefrajtra. Miał zrozumienie dla wszelkiego rodzaju realistów, a także dla nieszkodliwych spryciarzy. — Zdaje się, że pojęliście, co najważniejsze, Bergen. Ze mną bowiem wszędzie się trafi, wystarczy tylko iść moim śladem.

Krüger rozsiadł się za biurkiem. — Zakładam, że zapoznaliście się już z ludźmi ze swego działu informacji i niewątpliwie zdążyliście się już spoufalić z tym Schubertem. Co o nim sądzicie?

— A co powinienem sądzić?

— Bergen — wysapał Krüger groźnie — zadałem wam pytanie. Nie jestem przyzwyczajony, aby mi odpowiadano pytaniem. A więc jak jest z tym Johannesem Schubertem? Za kogo go uważacie?

— Za pewnego rodzaju półgłówka, tak myślę!

— Do diabła, Bergen, nie powinniście tak od razu myśleć — zawołał Krüger ostrzegawczo. — Zostawcie to osobom kompetentnym. — Lecz zaraz potem jego głos zabrzmiał niemal życzliwie: — Jednak w tym wypadku może i macie rację. Ten Schubert wydaje się dokładnie taki, jak to pokazuje jego gładka, delikatna, piękna twarz — zwykłe zero!

— Ale on bardzo się stara i jest dość sprawny, w każdym razie jako telefonista i radiotelegrafista. Da się z nim pracować. Poza tym to biała, nie zapisana karta. Powiedziałbym też, że jest za młody do tego całego kramu.

— A może to panienka?

— Niewykluczone — przyznał Bergen ostrożnie. Nie uszło jego uwagi zainteresowanie Krügera właśnie w tym punkcie, jednakże nie domyślał się nawet, co to mogło oznaczać. — Krótkie spodenki, panie sierżancie, bardziej by mu pasowały niż mundur. Jest to chłoptaş nie na swoim miejscu. W dodatku bez zastrzeżeń wierzy w tak zwane wyższe wartości, jak wierność, honor, sprawiedliwość i podobne rzeczy.

— To świetnie — powiedział Krüger, wyraźnie uradowany — właśnie ktoś taki będzie mi potrzebny, a wy go o tym dobitnie przekonacie.

— W jakim celu?

— Schubert przejmie osobistą ochronę kapitana Heina, od zaraz. I wy go do tego przygotujecie.

v- W jaki sposób?

— Głupie pytanie, Bergen. Wygląda na to, że chcecie się ze mną bawić w ciuciubabkę. Ale chyba nie jesteście tacy głupi? Z pewnością domyślacie się, o co chodzi. Potrzebna tu jest dusza wielbłąda, łagodna, potulna, a taki właśnie jest Schubert, jak mi to wyraźnie pokazaliście. A teraz wyszczotkujcie temu żrebackowi sierść, żeby lśniła jak lustro. Poza tym pouczenie tego debila, co to czystość, w sensie cielesnym. Kapitan przywiązuje do tego wielkie znaczenie.

— Czy wolno mi zwrócić uwagę na drobny szczegół, panie sierżancie? Otóż służby informacyjne, za które jestem odpowiedzialny, nie są zbyt wydajne. Nie mogę z nikogo zrezygnować.

— Wypraszam sobie ten ton! Cóż to, zamierzacie mi robić trudności?

— W żadnym razie! Myślałem tylko o gotowości do działania...

— Co, wciąż jeszcze myślicie?

— Próbuję tylko...  
— Wichrzyć tutaj? Wysuwać podstępne żądania? I to w chwili, kiedy ledwieście tu osiedli?

— Wszystko jasne — zapewnił pospiesznie gefrajter Bergen. — A więc zgodnie z rozkazem Schubert zostanie zwolniony ze służby informacyjnej i przygotowany do nowego zadania, przede wszystkim pod względem czystości.

— No więc! — mruknął Krüger. — Trzeba było tak od razu. Róbcie tak dalej. Nie pozwalajcie sobie na bezsensowne mrzonki. Albo będziecie współpracowali, i to w stu procentach, albo przepadniecie. Musicie porządnie nazginać karku, zanim dostaniecie swoją porcję kielbasy. Bez pracy nie ma kołaczy.

— Załatwi się! — zapewnił podoficer Softer swego kolegę Forstmann. Moja organizacja jest niezawodna, musisz to przyznać, jesteś wszakże człowiekiem lojalnym.

— Owszem — potwierdził Forstmann trochę niechętnie. — Jedno przynajmniej trzeba ci przyznać: dzięki tobie nasza bateria jest świetnie zaopatrzona.

— Wszystko w celu podniesienia gotowości bojowej — oświadczył Softer skromnie. — Dostosowuję się całkowicie do naszego kapitana.

— Ale tylu butelek, ile ty tu zgromadziłeś, nasi ludzie nie dadzą rady wypić — zastanawiał się Forstmann.

— Wcale nie muszą — odrzekł Softer. — Oni nie powinni pić, tylko kupować! A następnie wysyłać butelki do swoich ukochanych do domu. W ten sposób wzmocnimy nasz front narodowy!

— Softer — powiedział kolega z kancelarii, starając się być cały czas prawomyślny — nie podoba mi się to. Twoja działalność wywołuje wrażenie, że chcesz tylko zarobić!



— Cóż ty sobie myślisz! Ja nie zarabiam, ja się zasługuję! Dla ojczyzny, dla nastroju oddziału! Pić i dać wypić innym! Pełny brzuch umacnia ducha walki. A nasze planowane przedsięwzięcie rozrywkowe zmierza dokładnie do tego samego. Czy tego nie widzisz?

— Ja mam swoje zasady, kolego.

— Żal mi ciebie. — Sof ter rozumiał, dlaczego Krüger przysłał do niego tego Forstmanna wprost do magazynu. Trzeba go będzie pilnie uświadomić, zanim takie coś zjedzie na złą drogę. — W gruncie rzeczy nie powinieneś mieć nic przeciwko burdelowi, skoro nauczono cię myśleć historycznie.

— Ale to jest problem moralny, Softer.

— Do diabła z twoją moralnością. Zobaczysz, nawet ty wyjdiesz na swoje, gwarantuję ci!

— O mnie tu zapewne nie chodzi — bronił się Forstmann. — Lecz ja też mam swój rozum. Albowiem już Rzymianie, a nawet starożytni Grecy...

— No właśnie! Jestem też samego zdania.

— Jednak w naszej sytuacji mogą wyniknąć pewne komplikacje...

— Nie przy moim systemie! — Softer był absolutnie pewny swego. — U mnie wszystko zostało skalkulowane, wszelkie możliwe interesy naszej baterii. Jedno jest wiadome: na naszym stanowisku ogniowym tylko jedna trzecia żołnierzy może sobie pozwolić co trzeci dzień na osiem godzin wolnego. I co wówczas robią? Pętają się podnieceni i stają się agresywni. Mogą z tego wyniknąć drażliwe sytuacje — bójki, gwałty, nawet dezercja. A teraz pytam: czy na dłuższą metę można brać za to odpowiedzialność?

— Ale to wcale nie jest takie proste, kolego.

Softer westchnął głęboko — przy czym cały czas tępo się uśmiechał. Krüger dał mu wyraźnie do zrozumienia, że

ów Forstmann był przeszkodą, którą należało usunąć przez przekonującą koleżeńską agitację.

— Jesteś do głębi przepojony wielkoniemieckimi ideałami — powiedział Softer z wysiłkiem. — Wysoko to cenimy. — Jego twarz przybrała barwę lśniącej czerwieni. — Jesteśmy skłonni dostosować się do tego, również przy organizowaniu świetlicy.

— Tylko w jaki sposób? — spytał Forstmann z zainteresowaniem. — Jak możliwe jest współgranie wielkoniemieckich ideałów i romańskiej zmysłowości?

— Nie znasz kobiet! — zawołał Softer. — Gotowe są dać z siebie wszystko, jeśli to się oplaca. I to w imię wielkich ideałów.

— Naprawdę? — zapytał Forstmann, zdumiony, i zaraz potem dodał: — Ale twój, być może, obiecujący projekt uda się zrealizować dopiero wówczas, gdy dostaniesz do dyspozycji mieszkanie po zarządcy zamku.

— Kapitan dał już na to swoją zgodę.

— To było wczoraj.

— A co jest dzisiaj?

' — Dzisiaj — oświadczył Forstmann, a jego twarz pokryła się głębokimi zmarszczkami — dzisiaj przed godziną, Krüger jeszcze o tym nie wie, zaanonsowano przybycie do naszej placówki grupy badaczy.

— Co to za grupa? — Softer był lekko zdenerwowany. — Co to za grupa?

— Trzy osoby. Profesorowie, przypuszczalnie naukowcy, na polecenie kierownika Rzeszy. Poza tym wyposażeni w specjalne osobiste polecenie marszałka Rzeszy. Będą tu zakwaterowani. A gdzieżby indziej, jak nie w zwolnionym mieszkaniu zarządcy?

Softer był wyraźnie zaniepokojony. Aż się spocił z przejęcia. — Któż to sobie pozwala na coś takiego? Komu przyszło do głowy wtykać nam tutaj te manekiny?

- Są dwie możliwości — oświadczył Forstmann poufnie. — Po pierwsze, może to być komendantura garnizonu.

— Niemożliwe! — stwierdził Sof ter z przekonaniem. — Nawet jeśli ten kapitan Schmidt jest wściekły na naszego szefa, nigdy by się nie odważył wichrzyć przeciwko niemu. Znam dobrze takich ludzi.

— Wobec tego — powiedział Forstmann — może to być sztab dywizjonu, a więc przypuszczalnie tamtejszy adiutant.

— Ten typ nie zawaha się przed niczym, prawda? — Softer był teraz mocno zdenerwowany. — Ten intrygant zazdrości naszemu kapitanowi nawet brudu za paznokciami. Oni są wobec siebie jak dwa wściekłe psy, z powodu kilku orderów. A my musimy za to pokutować.

— Nie chcę tego słuchać, Softer, tego nikt nie może udowodnić! Pewne jest tylko to, że zgodnie z rozkazem, który jutro nadejdzie na piśmie, zostaną do nas skierowane trzy osoby ze specjalnymi poleceniami. Będą się zajmować kaplicą zamkową na naszym terenie i mają być u nas zakwaterowane.

— Nikt nie ma prawa od nas tego wymagać! — zawołał Softer. — I to właśnie teraz, kiedy sprawa przyjęła tak obiecujący obrót! Nie pozwolę sobie odebrać burdelu. Choćbym miał poruszyć niebo i ziemię!

Pozostańcie przy drzwiach! — rozkazał kapitan Hein żołnierzowi nazwiskiem Schubert. — Ale zamknijcie za sobą drzwi, sprawdźcie, czy są zamknięte.

Schubert sprawdził. Następnie stanął na baczność. Patrzył na swego kapitana, otoczonego blaskiem świec; po jego obu stronach, na końcu stołu szerokości dwóch metrów i długości ośmiu metrów, który zajmował niemal całą

salę bankietową, stały dwa świeczniki, przypuszczalnie srebrne, wypolerowane do glansu.

Johannes Schubert, z zawodu radiotelegrafista i telefonista, patrzył usłużnie na swego kapitana. Jego twarz była kredowobiała, okalały ją ciemne, niemal czarne, niebieskawo lśniące włosy, lekko falujące od delikatnych skroni do nieco pochylonego karku. Malowała się na niej widoczna sympatia. Wyglądało to tak, jakby usłużny paż zbliżał się z ufnością do swego pana.

— Czy wiecie, po cóście tu przyszli? — zapytał kapitan Hein. Jego głos brzmiał irytująco przyjaźnie. Po kanciastej twarzy pełgały płomienie światła — wyglądała jak latarnia wisząca pośrodku ciemnego pomieszczenia. Na ścianach mroczyły zakurzone obrazy olejne i postrzępione gobeliny z osiemnastego wieku. — Czy powiedziano wam, czego się tu od was oczekuje?

— Tak jest, panie kapitanie! — odrzekł Johannes Schubert, właściwie dobierając brzmienie głosu.

— A co dokładnie wam powiedziano?

— Że zostałem odkomenderowany do osobistej służby u pana kapitana.

— I co przez to rozumiecie?

Johannes Schubert przełknął głośno ślinę — jego ręce były spocone; nie próbował ich wytrzeć. Jak przykuty patrzył na migocące światła, omijał wzrokiem twarz swego kapitana. Następnie powiedział z zapalem: — Sprzątanie kwatery, czyszczenie ubrania, broni...

— Ale to wszystko mało — rzekł kapitan teraz niemal szorstko. — To nie jest najważniejsze! — I zaraz potem znów irytująco delikatnie dodał: — Tu chodzi przede wszystkim o coś innego, o coś zasadniczo innego, o zaufanie!

— Tak jest, panie kapitanie!

— A czy rozumiecie, co to znaczy? Mianowicie to: ja

obdarzam was zaufaniem. Nieograniczonym. W rewanżu oczekuję waszego zaufania. Równie nieograniczonego. Czy jesteście gotowi do tego?

— Tak jest, panie kapitanie!

— Tego właśnie od was oczekiwałem. — Hein podniósł prawą rękę w zapraszającym geście, sprawiała wrażenie drobnej, a jednak silnej. — Podejdźcie bliżej.

Johannes Schubert posuwał się wolno, zgodnie z rozkazem, do przodu, z przerwami, tak jakby odbywał musztrę na dziedzińcu koszar. Trzy kroki przed Heinem zatrzymał się. Zobaczył teraz, że kapitan był całkiem ubrany, siedział w swym nienagannie czystym mundurze z szaroniebieskiego sukna, ozdobionym Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy, wstęgą Żelaznego Krzyża drugiej klasy i srebrną odznaką za odniesione rany. Ale było tam jeszcze trochę miejsca. Na Krzyż Rycerski, który Hein miał nadzieję otrzymać.

— Podejdźcie bliżej! — rozkazał kapitan. — Zbliżcie się na odległość jednego metra. Ale proszę na mnie nie oddychać! A teraz wyciągnijcie ku mnie ręce!

Schubert uczynił to, czego od niego żądano. Zbliżył dłonie do twarzy kapitana. Hein pochylił się i zaczął się im przyglądać. Badał skrupulatnie ich powierzchnię — od przegubów do końców palców. Ujrzał gładką, delikatną skórę, drobne kości — ani śladu brudu. Następnie powiedział: — A teraz proszę odwrócić ręce.

Przyglądał się równie długo i z rosnącym zadowoleniem wewnętrznej powierzchni dłoni. — Ręce człowieka — rzekł — są odbiciem jego wnętrza! Nieunikniony jest fakt, że ręce się brudzą — trzeba to wiedzieć, ale nie wolno tolerować. Najważniejsze bowiem jest to, że one dadzą się umyć. Mogą być zatem czyste, jeśli człowiek tylko chce. A wy, zdaje się, chcecie.

— Tak jest! — powiedział Johannes, zmieszany.

— Czystość! — zawołał kapitan, podnosząc się. Stał wyprężony. Jego oczy i ordery lśniły w blasku świec. — To najważniejsza rzecz! Przede wszystkim czystość! Przez całe życie przywiązywałem do tego wagę. Czystość ciała, umysłu i duszy. Harmonijna jedność.

Kapitan zaczął się przechadzać po pokoju, cały czas jednak pozostając w zasięgu światła świec. Jego postać była wyprężona, natomiast ręce trzepotały wokół ciała jak ptaki, a oczy patrzyły gdzieś w dal. Zaczął mówić jakby przed siebie:

— To był jamnik. Brązowy, gładkowłosy, o krzywych nogach — czystej rasy. Pragnąłem go mieć, gdy byłem chłopcem. Dostałem go i dbałem o niego przez trzy lata. Dawałem mu jeść, wyprowadzałem go, bawiłem się z nim i głaskałem. Ale potem pies zaczął pluć, najpierw na dworze, potem w mieszkaniu, na dywanie, w końcu nawet w moim łóżku. Musiałem się go pozbyć. Z ciężkim sercem! Utopiłem go. Wylewałem z jego powodu gorzkie łzy. W końcu z wielkim trudem doszedłem do przekonania: takie jest życie! Trzeba się decydować. Wciąż tylko decydować. W imię czystości!

Tego wyrzuconego pospiesznie w ciemności monologu Johannes wysłuchał pokornie. Przez kilka minut miał uczucie, że nie istnieje dla Heina. Kapitan, tak mu się zdawało, rozmawiał tylko ze sobą. Rozmowa skończyła się równie szybko, jak się zaczęła, tak jakby ktoś włączył i wyłączył reflektory.

Kapitan powiódł dłonią po czole i skroniach. Potem stał kilka sekund bez ruchu, aby wreszcie opaść na fotel. Jego głos znów brzmiał uprzejmie.

— Czystość, Schubert! A skoro już o tym mówimy, jak często zmieniacie bieliznę?

— Jak tylko to jest możliwe, parne kapitanie.

— A dokładnie?

— Co trzy dni, jeśli jest taka możliwość. Czasem również co siedem dni, co jednak nie zależy ode mnie, panie kapitanie. Brakuje środków piorących i zapasowej bielizny.

— Już ja się o to postaram, Schubert, abyście w przyszłości zmieniali bieliznę codziennie, gdyż przywiązuję do tego wielką wagę. Nie życzę sobie, abyście w mojej obecności śmierdziali — obojętnie czym!

— Tak jest, panie kapitanie!

— A stan waszych zębów? Chcę je zobaczyć! Nachylcie się, ale proszę na mnie nie oddychać. Odsłońcie szczęki za pomocą palców, najpierw górną, potem dolną.

Tak też się stało. Przy czym kapitan mógł stwierdzić: zęby zdrowe, zadbane, żadnych plomb, dziąsła mocne, język nie obłożony.

— W porządku — rzekł Hein. — Również pod tym względem nie mam żadnych zastrzeżeń, i tu czystość jest widoczna. A to jest najważniejsze, ponieważ z brudnych ust nie mogą padać szlachetne słowa, w każdym razie nie brzmią one przekonująco. Czy znacie Hölderlina? Ale nie chodzi mi o *Deotyma*...

— Znam niektóre jego przekłady greckich tragedii.

— To dobrze, ale o tym porozmawiamy później i dokładniej. Przy najbliższej okazji zapytam was o Richarda Wagnera, przygotujcie się do tego. — Kapitan wypowiedział to wszystkim z odcieniem leniwej zadumy, tak jakby niewzruszenie rozmyślał. — Nie potrzebuję wam chyba mówić, że za każdym razem, kiedy się u mnie zjawicie, musicie umyć zęby.

— Za każdym razem umyć zęby, tak jest! — powtórzył Schubert z rosnącym zakłopotaniem i zapalem. Był gotów obiecać wszystko, aby tylko jak najszybciej się stąd wydostać.

— A teraz połóżcie głowę na stole, przede mną, dokła-

dnie tu, gdzie stoi mój kieliszek. Czy się wahacie? Nie? A więc dobrze. Chcę zobaczyć wasz kark, nasadę włosów, przejście od głowy do szyi i od szyi do ramion. Przy czym chodzi mi też tylko o czystość — u osoby z mojego najbliższego otoczenia musi ona być doskonała. To znaczy musi być taka jak moja.

Również ta kontrola zdawała się wypaść po myśli Heina, choć z pewnymi zastrzeżeniami. — Wasze włosy, Schubert, wyglądają na zadbane, ale są za długie. Od dziś będziecie raz w tygodniu chodzili do fryzjera. Na mój koszt. Tylko żadnej pomady, żadnych perfum, żadnej wody do włosów mającej ostry zapach!

— Tak jest, panie kapitanie!

— A teraz zdejmijcie jeden but. Powiedzmy, lewy. A także skarpetkę. Postawcie stopę na krześle, tak aby padało na nią pełne światło. Nie chciałbym przeoczyć najdrobniejszego szczegółu.

— Ja się w to nie mieszam — zawołał ogniomistrz Arm, szef transportu. Zdawało się, że chce zdemolować kancelarię, w której znajdował się tylko podoficer Forstmann. — Nikt nie może wymagać tego ode mnie!

— Na kogo się tak wściekasz?

— Na ciebie, Forstmann. Rani mnie mocno to, że nawet ty, taki idealista, popierasz ten burdel!

— Ja nie biorę w tym udziału, powstrzymuję się tylko od głosu — oświadczył Forstmann spokojnie. Czuł się sprowokowany i pragnął się zabezpieczyć; zachowywał się służbiście. — O ile jestem dobrze poinformowany, nie miałeś nic przeciwko temu projektowi?

— Ale teraz mam to gdzieś! Bo w ten sposób zostanie zakłócona moja gotowość bojowa. — Arm stał w wyzywającej pozie, na rozstawionych nogach. — W końcu jestem



tu odpowiedzialny za cały tabor i takiemu Softerowi nie pozwolę paprać mojej działki.

— Rozumiem to w zupełności — zapewnił Forstmann. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ byli sami. — Ja również nie jestem entuzjastą tych zorganizowanych uciech niskiego rzędu! Ale wydaje się, mówię ci to w zaufaniu, że tym razem do tego nie dojdzie. Pomieszczenia przewidziane na burdel Softera są potrzebne do innego celu. Dla grupy badaczy, która zaanonsowała swoje przybycie.

— Wiem o tym, i Softer także to wie! — W Armie przelewała się żółć. — Ale Softer, ta świnia, znalazł już rozwiązanie zastępcze, i to moim kosztem!

— To do niego podobne!

— Właśnie — powiedział Arm. — Ogląda teraz pawilon w parku, gdzie znajduje się mój warsztat naprawczy — tam chce wsadzić tych naukowców, a więc wykwaterować mnie stamtąd. Co ty na to?

— Jestem oczywiście wzburzony.

— I to wszystko? — dyszał Arm. — Ja w każdym razie jestem zdecydowany bronić się przed tym. Do upadłego!

— Bardzo dobrze to rozumiem! — zapewnił Forstmann.

Podoficer Softer zjawił się wkrótce potem. Wyglądało na to, że ma dar wietrzenia komplikacji na swoim podwórku już na kilometr. Szczercząc zęby, powiedział do Arma: — Nic trzęś tak zaraz portkami! -r- A do Forstmannia: — Staraj się nie tracić zimnej krwi.

— Precz z łapami od moich pojazdów! — zawołał Arm, wyraźnie zamierzając się klócić. — Jest to materiał decydujący o wojnie! W porównaniu z nim twój burdel to sprawa drugorzędna!

— Uspokój się — poradził mu Softer koleżeńskim tonem. — Tu nikt nie ma do twoich pojazdów. Zawsze

powtarzam: każdemu to, co mu się należy. A więc także: pieprzyć się samemu i nie żałować innym.

— Ale nie moim kosztem!

Teraz zjawił się starszy ogniomistrz Krüger, zwabiony hałasem, który wszczął Arm. Przyszedł bez munduru, z zaczerwienioną, zaspaną twarzą. Przerwano mu popołudniową drzemkę.

— Jeśli komuś tu wolno hałasować, to tylko mnie albo temu, komu na to wyraźnie zezwoliłem.

— Ta nędzna świnia — powiedział Arm, teraz wyraźnie stonowanym głosem, wskazując na Softera — próbuje wicherzyć za moimi plecami!

— Ale skądże, kolego! — stwierdził szef aprowizacji gorzkim tonem. — Nie trzeba tak na to patrzeć. Chciałem ci tylko dać okazję do wykazania ducha wspólnoty.

— Posłuchajcie — powiedział Krüger. — Nie oczekuję od was, abyście tu żyli jak dwa gołąbki, wypraszam sobie jednak skakanie do gardła. Można przecież całkiem inaczej.

Tym samym Krüger przejął dowództwo. Postanowił porozmawiać z każdym z osobna. — A więc po kolei! — rozkazał.

Pierwszy był Softer. Pozostałych starszy ogniomistrz wysłał na świeże powietrze.

Krüger uśmiechnął się do Softera, a ten odwzajemnił uśmiech.

— A więc chcesz przejąć pawilon, w którym Arm ma swój warsztat?

— Zamierzam umieścić tam grupę naukowców. Pragnę w ten sposób zapobiec wykorzystaniu mieszkania po zarządcy do niewłaściwych celów. Ale dobrze wiem, jakiej zapłaty żąda za to Arm. Jeśli robi trudności, to tylko po to, aby podnieść cenę. I niech mu będzie, nie jestem drobiazgowy.

Krüger skinął głową ze znajomością rzeczy. — Oczywiście, tu tkwi punkt zapalny! Co mógłbyś mu zaferować?

— Skrzynki z napojami, powiedzmy pięć sztuk wedle wyboru. Do tego może jeszcze beczkę piwa. Następnie specjalne racje żywności na całe trzy tygodnie. Zgadzam się również, aby miał on swój udział w zyskach z burdelu — pięć procent. To powinno wystarczyć, prawda?

— Być może — rzekł Krüger, zamyślony. — Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż nasz przyjaciel siedzi mocno w siodle i dobrze o tym wie. Jego tabor jest wzorowo utrzymany, a kapitan to docenia. I jeżeli dojdzie do cięższej walki, stanie po jego stronie.

— Czy musi do tego dojść? — zapytał Softer. — Z pewnością nie, jeśli ty się w to wmieszasz. A wmieszasz się, o ile cię znam.

— Znasz mnie — powiedział Krüger. — I ja znam ciebie. Dlatego uważam, że twoje skrzynie z trunkami i specjalne racje dla Arma to tylko coś w rodzaju wstępnej oferty — czy mam słuszość?

— Owszem, jeżeli tak sądzisz.

— Tak sądzę, bo ta sprawa musi mieć ręce i nogi. Jeśli Arm ma oddać swój pawilon, powinieneś przekazać mu jako rekompensatę duży namiot. Poza tym pawilon trzeba przedtem odnowić i podzielić na trzy pomieszczenia. Ale już ty sobie poradzisz.

— Człowieku — powiedział Softer — ty to potrafisz zabrać się do rzeczy! Zrobię wszystko tak, jak uważasz, że będzie słusznie, chyba nie muszę cię o tym przekonywać?

Teraz przysłała kolej na Arma. Z nim nie poszło jednak tak łatwo. Jak Krüger przypuszczał, Arm był świadomy swojej mocnej pozycji, zachowywał się butnie, mówił o gotowości bojowej i doświadczeniu wojennym, wspominał wreszcie o poparciu kapitana, którego jest pewien.

— Dajmy spokój niepotrzebnej gadaninie — powiedział Krüger, zdenerwowany. — Nie odbiegajmy od tematu. — Przedstawił ofertę Softera. — To przecież nie jest wcale mało!

— Ogólnie biorąc, nie — przyznał Arm, lekko zdumiony, lecz zaraz dodał, jakby zagniewany: — Ale ten podstępny spekulant może sobie z łatwością pozwolić na taką wspaniałomyślność, przy jego kontaktach, przy jego zasadach! On i tak jeszcze wyjdzie na swoje. A my co? Gdzie tu równouprawnienie?

— Co masz na myśli, Arm?

— Odpowiedzmy sobie na pytanie, cóż to takiego ten burdel — w dobie postępu technicznego. Co jest ważniejsze: jakaś baba w łóżku czy moje pojazdy gotowe do akcji? To, co ja tu robię, to nie żarty. U mnie wszystko jedzie, co ma koła. A to musi się opłacać.

— Rozumiem, Arm. Uważasz, że okazja jest sprzyjająca. Chcesz więc ją wykorzystać. Czemu nie! Jeśli to pośrednio czy bezpośrednio przyniesie korzyść baterii. A więc co masz na myśli?

— Na przykład przedsiębiorstwo transportowe — oświadczył Arm w najgłębszym zaufaniu. — Coś w rodzaju wypożyczalni samochodów, także w celu zorganizowania wolnego czasu. To, podobnie jak ten burdel, również przyczyni się do umocnienia ducha walki wśród żołnierzy.

Krüger słuchał. Następnie rzekł: —Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu, jeśli to się opłaca. Zarówno ogólnie, jak i mojej baterii.

— Sprawa wygląda następująco — mówił dalej Arm, coraz bardziej poufnie. — Od czasów Dunkierki i Calais posiadamy kilka obcych pojazdów: bentleya, panharda i forda. Wszystkie doskonale wyremontowane przeze mnie albo pod moim kierunkiem przez Hillera, tylko nie zarejestrowane. A więc w każdej chwili do użytku.

— Jeśli dobrze rozumiem, chcesz założyć wypożyczalnię samochodów, a nasza bateria miałaby sfinansować tStt' przedsięwzięcie?

— Tak jest! —zapewnił Arm, niemal zachwycony. — Dam do dyspozycji pojazdy pierwsza klasa, obliczę koszt wypożyczenia i stawki za przejechane kilometry, dostarczę każda ilość benzyny. Nasi ludzie powinni poznać Francję, szczególnie Paryż. A poza tym dziesięć procent udziału dla ciebie.

— Nie dla mnie, Arm — poprawił go Krüger ostrym tonem. — Dla kierowanej przeze mnie kasy baterii. Ja jestem nieprzekupny, kapujesz? — Roześmiał się ze swojego żartu. — I nie dziesięć procent, tylko dwadzieścia pięć.

— Załatwione — powiedział Arm ochoczo. — A więc dogadaliśmy się?

— Tak jest — przytaknął Krüger swobodnie. Głodził swoją odsłoniętą pierś. — Chodzi więc przede wszystkim, o ile cię dobrze zrozumiałem, o ze wszech miar pożyteczne przedsięwzięcie?

— Ty zawsze mnie dobrze rozumiesz! — powiedział Arm, uradowany. — Udało nam się rozwinąć znakomite poczucie wspólnoty, nie sądzisz?

— Owszem, też tak sędzę.

— A jeśli ktoś będzie w to wątpił?

— Temu dam kopniaka w dupę, i to z rozkoszą.

Ale jak okiem sięgnąć nie znalazł się nikt, kto by w to wątpił.

— Co tym razem na linii? — zapytał poufale porucznik Minder gefrajtra Bergcna.

Kupiecka twarz Mindera lśniła pełnym blaskiem koleżeństwa. Zawsze starał się zachowywać uprzejmie, przy-

najmniej wobec podwładnych o większym znaczeniu, a do takich zaliczał Bergena jako szefa biura informacji.

— Dlaczego — zapytał niemal serdecznie — tym razem szef baterii osobiście wydaje rozkaz? Zazwyczaj załatwia to starszy ogniomistrz. I dlaczego koniecznie ma nikogo nie brakować?

— Tego nie wiem — stwierdził gefrajter Bergen uprzejmie, ale niecierpliwie. — Mam tu tylko naprawić aparat telefoniczny.

Jako fachowca od łączności poproszono go do kwatery podoficerów ze stanowiska ogniowego. I nie było to tylko przyjazne polecenie, raczej rozkaz. Najwidoczniej chciano go „obwąchać” — jako nowicjusza.

Tu, w domu podobnym do willi, przy boisku, zastał uśmiechniętego porucznika Mindera. Oprócz tego — podporucznika o nazwisku Helmreich. Stał on pochylony, jakby gotowy do skoku; ze względu na czujność nazywany był „psem podwórzowym Heina”. Ów Helmreich miał mocny, rozkazujący głos. Ale na szczęście rzadko się nim posługiwał. Zdawał sobie sprawę, że w tym miejscu niewiele ma do powiedzenia.

— A więc naprawdę nic nie wiecie? — Porucznik Minder uśmiechnął się do Bergena, rozbawiony. — Czyżbyście nie słuchali rozmów telefonicznych?

— To, panie poruczniku, jest zasadniczo zabronione.

Minder roześmiał się na cały głos. Mrugnął przy tym na kolegę. — Niech pan słucha, i Helmreich. Oto ktoś, kto nie tylko wie, co jest zabronione, ale nawet tego przestrzega. I myśli, że w to uwierzemy. Jakże mało on nas zna!

Porucznik Helmreich nie patrzył na Bergena — przeważnie nigdy na nikogo nie patrzył, kiedy mówił, z wyjątkiem kapitana Heina, a i ten musiał mu to wyraźnie nakazać. Teraz Helmreich powiedział, jakby w wyjaśniającym monologu: — Chyba nikomu nic da się uniknąć podslu-

durnia tej czy innej rozmowy, na przykład przy okazji łaźnia.

vi, — Nawet gdyby tak było, panie poruczniku, zabroniono o tym mówić, nawet z przełożonymi.

— Oczywiście — potwierdził Helmreich, patrząc na swoje zdumiewająco wielkie ręce. — Przy czym chciałbym zwrócić wam uwagę, że w naszym przypadku chodzi o bezpośrednich przełożonych.

— Nawet wówczas informowanie o przypadkowo zasłyszanych rozmowach jest zabronione.

— A więc tacy jesteście! — zawołał porucznik Minder, jakby ubawiony. — Człowiek, który się zabezpiecza. Znam takich! — Nadmienił, że znał już różnych ludzi, rozumiał ich i dawał sobie z nimi radę na swój sposób. — A czy słyszeliście o współpracy? — zapytał gefrajtra niemal serdecznym tonem.

— Co mam przez to rozumieć w tym szczególnym przypadku?

— Wasz poprzednik to wiedział. Powinien był was uświadomić. Ale nic ma już do tego okazji. Chodzi o to, że nie powinniście się wahać, lecz informować nas szybko, a więc zawsze w porę, jak tylko dowiecie się o czymś, co mogłoby nas zainteresować.

— Oczywiście w celu podniesienia gotowości bojowej — zauważył podporucznik Helmreich. — Powinniśmy przecież wiedzieć w miarę wcześniej, co nas czeka.

— Mniej więcej tak! — potwierdził porucznik Minder. — To znaczy: proszę nas zawsze informować na bieżąco!

— Tak jest, wedle rozkazu...

— Bzdura! Nie wyjeżdżajcie mi z tym! To nie był rozkaz, tylko zachęta. A praktycznie wskazówka, co należy rozumieć przez owocną współpracę. Ale nie musicie, jeśli niechcecie.

Oszczędzono Bergenowi odpowiedzi na to stwierdzenie, ponieważ zjawił się ogniomistrz Runge. Nie pukając, ów „pupil Heina” wszedł do niegdyś zadbanego, a teraz mocno zniszczonego pomieszczenia: dywany poszarpane butami, wytarte obicia mebli, plamy od rozlanych napojów, dwie wybite szyby.

Runge — barczysty, otyły, o mocnym głosie, idealnym do komenderowania — zameldował: — Eskadra rozpoznawcza, przygotować się do przyjęcia rozkazu! Zbliża się szef baterii!

Obaj oficerowie, Minder i Helmreich, zaczęli nagle wykazywać niezwykłą ruchliwość: sięgnęli po czapki leżące w zasięgu ręki, włożyli je na głowy, zapięli pasy, wygładzili mundury, rzucili ostatnie spojrzenie na swoje buty, które lśniły jak lustro, czego należało się spodziewać. Następnie wybiegli, Runge za nimi.

Bergen, który teraz przestał dla nich istnieć, zastanawiał się, ale krótko, czy ma się zająć rzekomo popsutym telefonem. Żał mu jednak było stracić podniecające widowisko. Wyszedł więc na dwór.

Żołnierze stanowiska ogniowego, jak zwykle, ustawili się w pobliżu centralnego przyrządu. Wszyscy, którzy akurat mieli służbę. Tylko czterech obserwatorów — po jednym na każdą stronę świata — trzymało się w pewnej odległości, obserwując niebo. Pozostawali jednak w zasięgu głosu.

Kapitan Hein zbliżał się w towarzystwie Krügera do swoich żołnierzy. To znaczy kazał się wieźć podoficerowi Kaminskiemu służbowym łazikiem marki Mercedes. Samochód przebył odległość blisko trzystu metrów w powolnym, niemal uroczystym tempie i zatrzymał się na skraj boiska.

Kapitan zręcznie wyskoczył z samochodu. Krüger wyskoczył zaraz po nim, przy czym potknął się lekko, ale nie



upadł. Słońce późnego lata oświetlało tę scenę z jaskrawą wyrazistością.

Runge zameldował Helmreichowi przybyłych żołnierzy, którzy stali jak posągi. Ten wyrecytował tekst Minderowi. Minder z kolei złożył meldunek kapitanowi Heinowi.

Hein pogardliwie machnął ręką. — Niech pan im każe spocząć — polecił swemu porucznikowi, który natychmiast krzyknął w stronę żołnierzy. — Spoczni! — Automatycznie wysunęli lewą nogę do przodu, lecz stali nadal w milezieniu, wyprężeni jak struny.

Sprawiało to wrażenie wielkiego zdyscyplinowania. Hein przyjął ów widok jak coś oczywistego.

— Panie sierżancie — powiedział — niech pan odczyta rozkaz pułku.

Krüger wypełnił polecenie. Rzeczowo, obojętnie, ale głośno oznajmił: — Rozkaz pułku numer 153/40 z osiemnastego bieżącego miesiąca. Dotyczy: nowych rozpoznań i wynikających stąd decyzji zaradczych, nowych metod obrony i ubezpieczenia ze względu na ewentualną działalność szpiegów, sabotażystów i sympatyzujących z nimi wrogich elementów.

W praktyce oznaczało to — jak z trudem dało się wnioskować z dalszej treści rozkazu — mniej więcej tyle: podstępne grupy sabotażowe ujawniły po raz pierwszy swą działalność przeciw zwycięzcom, a więc Wehrmachtowi, który zawałdął Francją. Działalność wprawdzie sporadyczną, ale już o znacznym zasięgu. Stawia to wymaganie: nie lekceważyć początków!

Dalsze szczegóły w tej sprawie: strzały pod osłoną nocy do maszerujących oddziałów niemieckich — jeden przypadek; napad na nastawnię kolejową — przypuszczalnie sprawcy to rozproszeni żołnierze brytyjscy albo też podburzeni niepokorni Francuzi. Możliwe, że to pierwsi sabotażyści z przerzutu.

„Pierwsze straty — czytał Krüger ostatnie zdania rozkazu — nie są wprawdzie wysokie dzięki czujności naszych żołnierzy, ale zmuszają do niezbędnych decyzji zapobiegawczych. Przykro nam bardzo, lecz czujemy się do tego zmuszeni. Zwyciężyliśmy w otwartej walce armie państw, które wypowiedziały nam wojnę. Jesteśmy tu po to, aby bronić pokoju i wolności oraz pilnować porządku. Nikomu ani niczemu nie damy sobie w tym przeszkodzić. Oczekuję od moich żołnierzy rzetelnego wypełniania obowiązków. Podpisano: Rheinemann-Bergen, pułkownik i komendant pułku”.

— Tego nam tylko brakowało — mruknął porucznik Minder, pełen złych przeczuć.

Helmreich milczał uparcie i patrzył, jakby licząc na cud, na swojego szefa.

— Niech tylko tu przyjdą! — warknął bojowo Runge. — Nogi im z dupy powyrywamy. Ale na razie powinniśmy zlikwidować wieżę ciśnień. Zasiania nam pole obstrzału.

— Pierwsze decyzje zapobiegawcze! — powiedział kapitan Hein, patrząc na Krügera.

A ten nakazał: — Podwoić posterunki, wzmocnić kontrolę. Opuszczając teren baterii, mieć przy sobie broń. Wszelkie indywidualne przedsięwzięcia są od tej chwili zabronione — żołnierze mają chodzić co najmniej dwójkami. Unikać rozmów z obcymi. Wyjście z terenu jednostki i powrót do niej muszą być pisemnie potwierdzone przez wartownika. Tyle pierwszych decyzji w celu zabezpieczenia z zewnątrz.

Kapitan Hein skinął głową i powiedział wyniosłym tonem do swego oddziału: — To są jedynie zewnętrzne działania. Decydująca jest gotowość bojowa naszej jednostki. Pomyślano o tym. Uczymy obsługi dział nie tylko w walce z bliska, ale także szkolimy oddziały szturmowe. Chodzi teraz o to, aby odświeżyć te umiejętności. Czy to jasne?

— Tak jest, panie kapitanie! — zapewnił porucznik Minder w imieniu żołnierzy.

— Nasza baza operacyjna musi być gotowa do akcji i skutecznie zabezpieczona. Wszelkie przeszkody i utrudnienia, które mogłyby zakłócić wykonywanie naszych zadań, natychmiast likwidować. Czy to jasne?

Spojrzenia żołnierzy były teraz zwrócone na porucznika Mindera, do którego skierowano te słowa. Minder natychmiast zrozumiał, do czego zmierza kapitan. Nie na darmo byli starymi towarzyszami broni; po przebytych kampaniach w Polsce i Francji dobrze się rozumieli. Nieprzypadkowo Minderowi przyznano Żelazny Krzyż, choć tylko drugiej klasy.

— Chodzi, jak przypuszczam, o zapobiegawcze oddalenie wszystkich osób cywilnych znajdujących się w bezpośredniej bliskości naszej jednostki, a przynajmniej tych, które ze względu na usytuowanie swoich mieszkań mogłyby penetrować nasz obszar — orzekł porucznik Minder.

— Słuszne spostrzeżenie — przytaknął kapitan. — Znakomita propozycja. Niech pan ją zrealizuje!

Dla Mindera oznaczało to ewakuację wszystkich domów położonych w pobliżu stanowiska ogniowego. — Zrobi się! — powiedział. — Tylko gdzie dać tych ludzi?

— Na teren niemieckiej komendantury garnizonu! — zdecydował kapitan Hein władczym tonem. — Z najlepszymi pozdrowieniami ode mnie! Niech pan przekaże komendantowi: bezpieczeństwo przede wszystkim, potem wygoda! Powinien to wreszcie zrozumieć.

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą — rzekł starszy ogniomistrz Krüger do siedzących wokół niego kolegów. — Nie ma pola bitwy bez ofiar. Możemy stąd usunąć każ-

— Spryciarz z pana, jak widać! Ale to dobrze — to mi się w panu podoba. Taki ktoś może się przydać w tym stadzie! — Krüger zdawał się promieniować swojskością. Skinął przy tym na Sof tera. Ten wyczarował kolejne butelki. Krüger rzucił przecież hasło: „Muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia”, mając na myśli oczywiście Bergena. Gefrajter, jego zdaniem, zmięknie, kiedy zapanuje dobry nastrój.

Krüger nie spuszczał swego gościa z oczu. — Musi pan wiedzieć, mój drogi, że my tu stanowimy cholernie zwartą wspólnotę — pójdziemy w ogień, jeśli będzie trzeba. Ale też przeżywamy wspólnie wiele radości. Nie stroniemy również od rozrywek. Czy ma pan coś przeciwko temu?

— Ja też lubię rozrywki, w miarę możliwości.

— A więc pasuje pan do nas, Bergen! Pragnę przez to powiedzieć, że może pan do nas dołączyć, jeśli pan chce. Co stanowi niewątpliwie wyróżnienie! Nie jest pan wprawdzie jeszcze podoficerem, ale jako szef informacji sprawuje pan taką funkcję. A ponieważ jesteśmy wspaniałomyślni, co pan już zauważył, chętnie przyjmujemy pana do naszego grona. Lecz może pan zrezygnować, jeśli pan &hce.

— Nie chcę tego, panie sierżancie.

— A więc zależy panu, aby do nas przystąpić?

— Owszem, jeśli pan tak uważa.

— Ze wszystkimi konsekwencjami?

— Nie wiem wprawdzie, co mam przez to rozumieć, ale...

— Ale pan się zgadza! — stwierdził Krüger. — Oto jest słowo! Słyszeliście, koledzy!

Krüger popijał steinhiigera ze swej niemal pełnej butelki. Wypił na grubość palca wskazującego, a jego palec wskazujący był szczególnie gruby. Po czym podał butelkę

Bergenowi. — Teraz zobaczymy, mój drogi, czy pan rzeczywiście się do nas nadaje, czy też jest pan mięczakiem.

Bergen wypił. Bez wahania. Również na grubość palca. Butelka zrobiła teraz rundę. Kiedy dotarła do ostatniego uczestnika spotkania, była niemal pusta. I nikt się przy tym nie zakrztusił, nawet Toni Hiller. Również Forstmann, któremu zawsze, ilekroć sobie mocno popił, robiło się niedobrze, wlewał w siebie z bohaterskim wysiłkiem oszłamiający napój.

— A teraz, mój drogi, przystąpimy do próby odwagi, która jest u nas w zwyczaju wobec nowo przyjętych kolegów! — zawołał Krüger do Bergena energicznym tonem, zacierając przy tym z zapalem dłoń. — Czy jest pan gotów?

— Czy wolno zapytać, o co tu chodzi?

— Zaraz pan zobaczy, na czym to polega, mój drogi. — Świńskie oczy Krügera zerknęły podejrzenie wesoło. — Próba odwagi, jak powiedziałem, nie jest darowana nikomu, kto chce do nas należeć. Pozwala bowiem nam się przekonać, czy ktoś trzęsie portkami, czy też nie. A teraz niech pan uważa!

Po czym Krüger i niemal jednocześnie z nim Arm i Moll wyciągnęły swoje pistolety 08. Rzucili te lśniące niebiesko przedmioty na masywny stół, aż trzasnęło, a następnie podsunęli je Bergenowi. Zaraz potem doszły do nich trzy dalsze — kaliber 7,65 i 6,35 — produkcji „Walther i Mauser”. Należały one do Softera, Kaminskiego i Forstmann.

Bergen obserwował tę akcję z osłupiałym zdumieniem. Po czym skonstatował, że podoficer Hiller i podoficer Neumann nie brali udziału w tej zabawie, najwidoczniej nie byli godni. Natomiast sześciu właścicieli pistoletów pogrzyżyło się w uroczystej powadze. Sprawiało to

wrażenie, jakby uczestniczyli w niezwykle ważnym obrzędzie rytualnym.

— Sześć pistoletów — wyjaśnił Krüger. — Każdy naciągnięty i odbezpieczony. Ich magazynki są puste, ale jeden pistolet jest naładowany i w jego lufie tkwi nabój. Niech pan teraz wybierze, następnie przystawi wybrany pistolet do czoła i wystrzeli. To, kolego, jest nasza specjalna gra towarzyska. „Pruska ruletka"! A teraz proszę wybierać!

— Dlaczego nazywa się to „pruską ruletką"? — zapytał Bergen, aby zyskać na czasie.

— Dla odróżnienia od tak zwanej rosyjskiej ruletki — wyjaśnił mu Krüger, teraz już niecierpliwym tonem. — W „rosyjskiej ruletce" używa się jednego rewolweru, w którym jeden z jego sześciu pojemników jest naładowany. My natomiast dajemy od razu sześć rewolwerów. Sześć sztuk broni zamiast jednej. A teraz niech pan wybiera, Bergen! Albo nie, jeśli nie chce pan pozostać z nami lub nie ma pan zrozumienia dla naszych rozrywek. Jedno musi pan wiedzieć: u nas wszystko jest zawsze dobrowolne.

Gefrajter Bergen popatrzył na leżące przed nim pistolety, następnie spojrzął w górę i zobaczył osiem par oczu wpatrzonych w niego badawczo, wesoło, wyzywająco, ostrzegawczo, nieufnie, pogardliwie, z troską i podejrzliwie. Szybkim ruchem sięgnął po pistolet o8 — był to, jak wiedział, pistolet Krügera.

Podniósł pistolet w górę. Przystawił do czoła, w sam środek, pomiędzy oczami. Wahał się sekundę — wreszcie nacisnął.

Rozległ się metaliczny trzask i zaraz potem cisza.

— To było coś! — zawołał Krüger uradowany, pewien powszechnego uznania. — Od tej chwili należy pan do nas, Bergen!

## **Przerwywnik drugi**

*Zapewnienia  
pana Karla Schmidta,  
byłego niemieckiego komendanta garnizonu w  
D. —  
dawniej kapitana wojsk lądowych  
Wehrmachtu,  
obecnie urzędnika ministerialnego  
w południowoniemieckim landzie.  
Specjalność: niemiecko-francuska wymiana  
młodzieży*

„(...) tymczasem stało się jasne, że tego rodzaju oszczerstwa i oskarżenia, wymierzone z zasady, godzą nie tylko w ówczesnego niemieckiego żołnierza, który nie miał nic wspólnego z Hitlerem, ale także w dzisiejszego niemieckiego żołnierza. A tym samym w bezinteresowną wolę obrony naszego otwartego na wolność zachodniego świata.

(...) objąłem wówczas mój urząd komendanta w mieście D. wprawdzie nie dobrowolnie, lecz pełen nadziei, świadomy obowiązku zmniejszenia uciążliwości okupacji i ograniczenia liczby ofiar wojny. Co mi się też w dużej mierze udało. Pisemne podziękowania w tej sprawie są do wglądu.

(...) najpierw muszę wyrazić uznanie większej części ludności francuskiej, która zachowywała się z niezwykłą wyrozumiałością. Nie tylko cywile, również władze — gdyż zawsze staraliśmy się uczciwie współpracować. Przypominam sobie, nie bez wzruszenia, jak burmistrz miasta D. z okazji święta narodowego Francji powiedział do mnie: «Możemy poczytywać to za szczęście, że mamy wśród nas takiego wyrozumiałego człowieka jak pan!»

A komendant pułku artylerii przeciwlotniczej, do którego należała też bateria zasłużonego kapitana Heina,

pułkownik Rheinemann-Bergen, zapewnił mnie na piśmie: «(...) cieszą mnie niewymownie pańskie pełne zrozumienia działania w interesie ludności francuskiej, pozostającej pod naszą opieką». Proszę spojrzeć, oto odbitki kserograficzne.

Mogę też z całą odpowiedzialnością oświadczyć, że daliśmy się z kapitanem Heinem, nawzajem, szczególnym szacunkiem. W każdym razie ja bardzo wysoko ceniłem jego niezwykły talent organizacyjny, jego zdecydowanie w działaniu, jego szczególny talent taktyczny. Dlatego między innymi tak bardzo dotknął mnie jego niesamowity wprost, można powiedzieć: straszliwy, koniec.

Mimo wszystko nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia mój kolega Hein powiedział do mnie: «Mój drogi, może wyglądać na to, że patrzymy w dwie różne strony, ale tak naprawdę to jedziemy obaj na tym samym wózku!»

(...) poza tym nie ulega wątpliwości, że miał on, to znaczy kapitan Hein, swoiste poczucie humoru, co wielu kwestionuje. Na przykład kiedy mówił do mnie: «Wojna to ja!», co z pewnością było powiedziane nie bez ironii, zwłaszcza że dostrzegłem u niego przy tym wieloznaczne mrugnięcie okiem».

*Fragment  
monologu wygłoszonego trzydzieści lat później  
przez niejaką Madame M.  
o imionach Marie-Antoinette; w Bordeaux, latem  
ubiegłego roku,  
wówczas jednej z mieszkanek lokalu po  
zarządcy  
zamku*

„(...) zawsze zależało mi na uregulowanych stosunkach. Teraz jestem zamężna. Mąż jest właścicielem winnicy. Nasze małżeństwo jest nadzwyczaj szczęśliwe – musi



pan wiedzieć — mamy dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Syn odziedziczy po ojcu majątek, córka jest zaręczona z właścicielem ziemskim z okolicy. Wszystko to takie radosne, prawda? Niemalże idylla! Czy chce pan to zniszczyć?

Nie chce pan? A więc dobrze — czego pan zatem chce? Poznać tak zwaną prawdę? Drogi panie — a co to takiego? Ale niech tam — uważam, że powinien pan być obsłużony jak należy. Pod warunkiem, że nie wspomni pan mojego pełnego nazwiska i zrezygnuje z dokładnego podania nazwy miejscowości. Czy da mi pan na to słowo? A więc zgoda.

Poznałam wówczas niejakiego Softera, niemieckiego podoficera; teraz jest on handlarzem win i prowadzi interesy z moim obecnym mężem i przyszłym zięciem. Pan Softer ma wielkie zasługi w kontaktach niemiecko-francuskich, jest nawet w jakimś Komitecie. W zarządzie. Taki on jest!

Bardzo miły i zawsze uczynny człowiek! Nasze pierwsze spotkanie w D. było czystym przypadkiem. Softer nocował wtedy w tym samym hotelu, co ja. Od tamtej pory datuje się nasza przyjaźń.

Dobry Softer postarał się o kwatery dla mnie wówczas, kiedy stosunki w okupowanym kraju stawały się coraz bardziej zagmatwane. W starym zrujnowanym zamku urządził kilka pokoi, a mieszkający tam dotychczas zarządca był rad, że mógł wreszcie opuścić tę rozwalającą się budę. Mieszkałam tam przez kilka tygodni, wykonując różne domowe prace.

Żeby nie czuła się zbyt samotna, Softer dokwaterował do tego mieszkania jeszcze dwie kobiety. Były to młode damy z najlepszych domów, dobrze wychowane i wesołego usposobienia. Jedna z nich była, zdaje się, córką woskiego urzędnika z Nancy, druga pochodziła z Alzacji,

ojciec — oficer sztabowy, zdaje się. Nazywały się Margot i Susanne.

Niech pan nie patrzy na mnie tak nieufnie! Doskonale zdaję sobie sprawę, co pan myśli. Na pewno panu wmówiono, że my trzy... powiedzmy... w danych okolicznościach... poniekąd... Po prostu brak mi słów. Taka jestem wzburzona! Znam aż za dobrze to złośliwe, podstępne, bezczelne gadanie — nic, tylko zazdrość!

Natomiast prawda, którą chce pan poznać, jest taka: najczęściej żyliśmy całkiem odizolowane. Czasem Softer złożył nam wizytę, to przecież nic takiego. Niekiedy przeprowadził jakiegoś kolegę — no to co? Zdarzały się wesołe chwile — o ile takie w ogóle były możliwe w tych smutnych czasach.

I to wszystko. Niefrasobliwe zabawy młodych ludzi, których wojna rzuciła w jedno miejsce. Nic więcej za tym się nie kryło!"

*Wyjątki  
z artykułu zamieszczonego w „Preussische  
Zeitung”,  
pióra ówczesnego korespondenta wojennego  
Konrada W.,  
z komentarzem  
obecnego naczelnego redaktora Konrada W.*

Artykuł

„I taki oto był Hein. Kapitan. Bohater spod Mławy i Warszawy, z linii Maginota i spod Dunkierki — sześć czołgów, pięć samolotów, liczne brygady, taranowanie przejść przez Saonę, ostrzelanie dywersyjnych stanowisk piechoty, unieszkodliwienie co najmniej trzech żelbetowych bunkrów. To wszystko wyłącznie jego zasługa. Imponujący bilans!

Ale człowiek, któremu mamy to do zawdzięczenia,

odznaczał się niezwykłą skromnością. «Warunki — mówił — były sprzyjające, więc je wykorzystaliśmy\*. Albo, nawiązując do swego Żelaznego Krzyża pierwszej klasy, po którym podobno miał nastąpić Krzyż Rycerski, twierdził: «Noszę go za moich żołnierzy!»

Kapitan Hein był wprawdzie tylko średniego wzrostu, ale sprawiał wrażenie wysmukłego z powodu wysportowanej sylwetki, do tego był niewzruszony i twardy jak stal. A jego przejrzyste jak źródło, niebieskie oczy zdawały się wciąż spoglądać tam, gdzie przypuszczalnie był wróg. «Trzeba być zawsze gotowym» — mawiał skromnie".

#### Komentarz dziś

„Aby ten artykuł właściwie zrozumieć i trafnie zinterpretować, trzeba było samemu przeżyć tamte czasy. Tylko wtedy można pokusić się o zrozumienie i ocenę tego, co w istocie znaczyło: «świadomic i celowo pokonywać wewnętrzny opór», ze świadomością wartości niemieckiego żołnierza, człowieka całkowicie bez winy, nastawionego przeciwko Hitlerowi i jego światopoglądowi, który my wcześniej przejrzelśmy i którym nauczyliśmy się gardzić.

Czy ktoś jeszcze dziś potrafi ocenić, co wówczas znaczyło pisać tak, jak ja się ważyłem? Każda linijka pogrążała nas wtedy w niebezpieczeństwie. Czekano na każde nasze słowo.

Nazistowscy władcy gazet codziennie grozili nam śledztwem, postępowaniem dyscyplinarnym i procesami. Niejeden nasz kolega stawał przed sądem, gdzie każdemu groził stryzyk.

Ale nawet to nie mogło nas odstraszyć, choć wiedzieliśmy, że wskazana jest najwyższa ostrożność. Uciekaliśmy się nierzadko, jeżeli ta umiejętność była nam dana, jak na przykład mnie, do pewnej specyficznej formy iro-

nii. Mój ówczesny artykuł jest nią przepelniony. Trzeba go tylko umieć właściwie odczytać".

### **Artykuł**

„Pańscy ludzie — powiedziałem do kapitana Heina po znakomicie przeprowadzonym ćwiczeniu alarmowym — pójdą za panem w ogień!»

«Tak musi być — powiedział kapitan z wielką prostotą»".

### **Komentarz dziś**

„Przyciągają uwagę liczne niuanse! Żongluje się tu słowami takimi jak «bohater» i «bohaterski», pojawia się również ówczesna standardowa uwaga o «pójściu w ogień». Ale każdy, choćby tylko do połowy wtajemniczony, wiedział w owym czasie, co to w praktyce oznaczało, mianowicie: facet pozwala sobie na tanie, prymitywne, nic nie mówiące frazesy!

I nie tylko to. Powtarza się w tym artykule, aż do znudzenia, słowa «tak musi być». Jest to świadomie przeze mnie ukuta maksyma, wyrażająca największą drętwość. Jakże się śmialiśmy, kiedy czytałem te zreżne przytyki nielicznym przyjaciółom, którym wówczas jeszcze mogłem ufać!"

### **Artykuł**

„Dziadek Hein: wzorowy maszynista kolejowy, w randze oficera, udział w powstaniu Bokserów w Chinach. «The Germans to the front!» — rozlegały się wówczas okrzyki wzywających pomocy. I Hein był przy tym! Następnie jego syn, kapelan spod Verdun. Niejeden umierał, znajdując pokrzepienie w jego ramionach. A teraz ten niepowtarzalny wnuk!

Jego komendant, zasłużony pułkownik Rheinemann-

-Bergen, powiedział mi później w koleżeńskim pogawędce: «Takiego jak on nieprędko znów będziemy mieli!»

A jego generał powiedział o nim: «Jeśli ktoś jest w stanie dokonać czegoś niezwykłego — to tylko on!»"

### **Komentarz dziś**

„Te wywody nie wymagają dalszych słów. One mówią same za siebie. Nasza ówczesna ironia była celna. I była zrozumiała.

Nie trzeba chyba dodawać, że cały czas staraliśmy się roztaczać opiekę nad niemieckim żołnierzem! To, co my — na swój sposób — uparcie zwalczyliśmy i nieustraszenie piętnowaliśmy, to były nazistowskie narośla, to znaczy nieludzkie faszystowskie elementy.

Że także ów Hein, być może, kiedyś do takich należał, tego wówczas nie mogłem wyraźnie dostrzec. Ale czułem to instynktownie, co znalazło również wyraz w moim ówczesnym artykule — zrozumiałym tylko dla tych, którzy potrafili *go* właściwie odczytać".

### ***Wspomnienia Madame Daumier, zarówno wówczas, jak i dziś mieszkanki miasta D.***

„Najchętniej, Monsieur, wolałabym sobie nie przypominać, co się wówczas działo. Ale ponieważ tak bardzo się pan upiera, aby usłyszeć coś o dawno minionych sprawach, zrobię panu tę przyjemność. Choć jestem niemal pewna, że to nie może być przyjemnością — przecież pan też jest Niemcem. Chciałabym jednak uwierzyć, że wielu spośród nich niejednego się tymczasem nauczyło.

Takich pięknych nadziei jak ta nic powinno się nigdy całkowicie porzucać, prawda?

A teraz przejdźmy do rzeczy, Mieszkaliśmy wówczas w D., w małym domku na skraju boiska. Ja i trójka moich dzieci, osiem, pięć lat i trzy lata, same dziewczynki. Ich ojciec, a mój mąż, uchodził za zaginionego — dziś wiem, że udało mu się przedostać do Anglii. Ale nie zobaczyłyśmy go nigdy więcej, poległ za wolność Francji niewiele kilometrów od miasta D.

Wówczas jednak nie miałam o tym pojęcia. W owych dniach wiedziałam jedynie: musimy jakoś przetrwać tę wojnę. I całymi tygodniami, po owej zwycięskiej dla Niemców kampanii francuskiej, karmiłam dzieci i samą siebie resztkami zapasów, owocami z ogrodu, ale także produktami z drobnych kradzieży. Zdarzało się też, że dzieci dostały coś od żołnierzy niemieckich: chleb, masło, słodycze — za co oczywiście byłyśmy wdzięczne.

Ale ci żołnierze przyszli pewnego dnia do naszego małego domku — było ich czterech czy też pięciu mężczyzn, do tego oficer, poza tym ogniomistrz o nazwisku Runge. To on powiedział niezwykle uprzejmie: «Madame, musicie się stąd wyprowadzić. I to natychmiast!»

Pamiętam, że zaczęłam płakać — nie wiedziałam, co robić. Dzieci również płakały. Zbiły się ciasno przy mnie. A Runge powiedział: «Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Za pół godziny ma was tu nie być».

«Ale dlaczego?»

«Bo taki jest rozkaz — oświadczył ów Niemiec bardzo przyjaznym, niemal serdecznym tonem. — Możecie zabrać ze sobą tyle, ile dacie radę unieść. Niech pani będzie rozsądna i nie sprawia kłopotu!»

Byłam jak obłąkana, inaczej nie mogę nazwać mojego ówczesnego stanu. Spojrzałam na najwyższego rangą spośród Niemców, na kapitana, który chyba nazywał się Hein. Upadłam przed nim na kolana i zdaje się, że krzyczałam: «Proszę, niech mi pan pomoże!»

Ale on powiedział tylko: «To jest wojna, Madame!»  
A powiedział to, jestem pewna, z wielkim ubolewaniem.  
Nie mógł nic poradzić. A Runge oświadczył: «Rozkaz z góry!»

Dziś wiem, bo jestem bardziej uświadomiona, że to był Hitler. To ten Hitler jest wszystkiemu winien! To on zmuszał swoich najporządniej szych żołnierzy do okrutnych czynów. Ja i troje moich dzieci byłyśmy tu jedynie pierwszymi niewinnymi ofiarami. W dodatku ludzi, którzy nic na to nie mogli poradzić. Wszystko dlatego, że istniał ten Hitler!"

### 3

#### *Nieszczęścia przybierają na sile — i to nie po raz pierwszy*

— To jest właśnie to! — zawołał silny damski głos. — Dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

Ten silny głos wydobywał się z szarozielonego samochodu osobowego marki Opel Olympia, który wjechał w sam środek parku amunicyjnego, aż do wrót zamku. Otworzyły się lewe przednie drzwi i wysiadła podstarzała kobieta o zamaszystych, sportowych ruchach.

— Hej, proszę pani! — zawołał wartownik wyłaniający się z zarośli i zaczął biec truchtem w jej stronę. — To teren wojskowy, nie upoważnionym wstęp wzbroniony!

— My jesteśmy upoważnieni — oświadczyła energiczna kobieta.

— Być może — odrzekł wartownik, szczerząc zęby — ale niekoniecznie w moich oczach, łaskawa pani.

— Niech pan nie plecie głupstw, młody człowieku! — Łaskawa pani — ubrana w wygodny, lekki lniany kostium — o surowej twarzy i z ostrym przedziałkiem na głowie, spojrzała z nagana. — Jesteśmy umówieni!

— Nie ze mną! — odparł wartownik, którego bawiła ta scena. Popatrzył na kobietę i na samochód. Sprawiali wrażenie mocno zakurzonych. Wartownik oparł się o drzewo i czekał. :



Z prawej strony opla wysiadła następna postać, także bliska sędziwego wieku: pochylona, siwe włosy, czerwona twarz, równie czerwone królicze oczy. Ten niski stary mężczyzna potrzasał głową jak koń, który opędza się przed uprzykrzoną muchą.

Następnie ów staruch o wyglądzie kobolda odchylił do przodu oparcie fotela i wyciągnął dłoń. Pomagał następnej kobiecie wysiąść z samochodu. Najpierw ukazała się zmierzwiona brązowa fala włosów, która niemal zasłaniała bladą, zaciekawioną twarz, węszącą jak pies. Później wysunęły się okrągłe plecy, potem wyraźnie zarysował się biust pod efektowną obcisłą bluzką, wreszcie zwinne ruchliwe biodra.

Młoda kobieta, wyglądająca na energiczną, wykonała taneczny ruch, po czym oznajmiła wesoło: — Koniecznie muszę umyć ręce!

— Tak jest — potwierdził starszy pan w czarnym garniturze łagodnym, radośnie brzmiącym głosem. — To była długa, dość męcząca jazda.

— Jeśli pani koniecznie musi — powiedział wesoło wartownik — to aby tylko nie na naszych wypiełgnowanych parkowych ścieżkach. Bo to jest wyraźnie zabronione, nawet pisemnie! Ale jeśli panienka zechce udać się ze mną w krzaki, chętnie pokażę, gdzie to najlepiej zrobić.

— Niech pan da spokój z tymi sprośnymi żartami w mojej obecności! — zawołała dama, która pierwsza wysiadła z samochodu, tym razem już os.trzejszym łonem. — A pani, panno Erdmann, radziłabym być ostrożniejszą w doborze słów, zwłaszcza wobec takich natrętnych, neo-krzesanych prostaków.

— Czyżby pani miała mnie na myśli? — zapytał wartownik z niedowierzaniem. — Chyba pani żartuje?

Siwowłosy mężczyzna o dobrotliwych króliczych oczach nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego działo.

Patrzył jak urzeczony na kaplicę zamkową. Zrobił ku niej kilka kroków, jakby go magicznie przyciągała, po czym stanął bez ruchu. Wreszcie powiedział: — Ona jest piękna. Urzekająco piękna! Ale wyobrażałem sobie, że jest znacznie większa!

— Co tu się dzieje? — zawołała starsza dama z nieustającą energią, patrząc badawczo dokoła.

Ujrzała pojazdy różnej wielkości, przeważnie do połowy zasłonięte krzakami: ciężarówka, samochody osobowe, ciągniki na gąsienicach. Prócz tego skrzynie, pojemniki i kartony; a także krzesła, rozpostarte koce, porozrzucane naczynia kuchenne; nadto wiadra i kanistry na benzynę. Ludzi wszakże nie dostrzegła. Ów wartownik, widać to było wyraźnie, nie zaliczał się do nich. — Czyżby tu wszyscy spali, w biały dzień?

— Tu nikt nie śpi — oświadczył wartownik — tu tylko obowiązuje przerwa obiadowa, bo niekiedy jesteśmy zajęci również w nocy. Chce pani wiedzieć, jak?

Park amunicyjny istotnie był pogrążony we śnie, stanowisko ogniowe trzeciej baterii również. Kapitan Hcin bowiem położył się, ze względu na twórczą pauzę, i nakazał, aby mu przez trzy godziny nie przeszkadzano. Na co Krüger, jak było do przewidzenia, natychmiast kazał ogłosić, że zamierza opracowywać bardzo ważne dokumenty. Co to oznaczało, każdy wiedział, i wiadomość szybko się rozeszła. Wszyscy więc wykorzystywali sprzyjającą okoliczność i wysypiali się na zapas.

— Gdzie jest komendant? — zapytała energicznie kobieta, wskazując kościstą ręką na wartownika. — Chcę się z nim widzieć. Niech pan go przyprowadzi!

— My tu jesteśmy baterią ciężkiej artylerii przeciwlotniczej w walce — oświadczył wartownik, który powoli stawał się nerwowo. To agresywne babsko denerwowało go. Jakby szukając obrony, stanął za plecami nieporównanie

sympatycznej wyglądającej panny Erdmann. — I nie mamy komendanta, tylko szefa.

— To niech go pan przyprowadzi! I niech nas pan laskawie dłużej nie nudzi. Dość mam pańskich prymitywnych dowcipów! — Zmierzyła wartownika pogardliwym spojrzeniem, po czym oświadczyła: — Przysłano nas tu służbowo, jeśli pan chce wiedzieć!

Wskazała na szczuplego, siwego mężczyznę, który pochłaniał widok kaplicy. — To jest profesor Magnus, a ja jestem jego asystentką. Nazywam się doktor Werner-Weilheim. Towarzyszy nam sekretarka.

— A więc państwo są zapowiedzianą grupą badaczy nieboszczyków! — stwierdził wartownik z wyraźną ulgą. — Dlaczego państwo od razu tego nie powiedzieli? Czekałmy na państwa. — Po czym oddalił się pospiesznie.

Doktor Werner-Weilheim patrzyła za nim, krótko dysząc. — To wszystko wygląda na niezły chlew! — stwierdziła. — Ale my zrobimy z tym porządek. W końcu to nie pierwsza nasza misja tego rodzaju i jak dotąd, zawsze sobie radziliśmy.

Profesor skinął głową mechanicznie. Był on badaczem, naukowcem, historykiem i nic obchodziły go przyziemne komplikacje, te załatwiała jego asystentka. Ona uprzątała spod nóg wszelki gruz — nie tylko po to, aby on mógł spokojnie pracować, ale także dlatego, że czuła taką potrzebę. Sposób, w jaki to robiła, nie zawsze budził jego uznanie, lecz potrafił to docenić, Teraz pragnął skoncentrować się na kaplicy. A panna Erdmann pobiegła w najbliższe krzaki.

Zjawił się podoficer Softer, bardzo zaaferowany. — Witamy! — wołał już z daleka. Wyciągnął nawet swoje wielkie ręce, jakby pragnął ich objąć. — Serdecznie witamy, panie profesorze! Witamy panią doktor! Spodziewaliśmy się państwa wprawdzie dzisiaj, ale nie tak wcześnie!

— A więc jesteśmy! — doktor Werner-Weilheim skinęła Softerowi głową. Jej głos trzeszczał jak pękające drewno. Spojrzenie było ostre, energiczne i jasne. — Mam nadzieję, że pomieszczenia dla nas są przygotowane.

— Oczywiście, pani doktor! — Mówiąc to, Softer spojrział z uznaniem na pannę Erdmann, która wynurzyła się z krzaków i robiła wrażenie zadowolonej.

Softer oblizwał swe grube usta — znał się na kobietach, jak sam o sobie twierdził. I wydał wyrok: ta była klasa! Najlepszy towar, klacz konkursowa do wszechstronnego wykorzystania.

— A to kto? — zapytał.

— To nasza sekretarka — oświadczyła krótko pani doktor. — Niech nas pan teraz łaskawie zaprowadzi do naszej kwatery, do mieszkania po zarządcy zamku, jak jest przewidziane.

— To mieszkanie zostało wykorzystane inaczej — powiedział Softer pospiesznie. — Mogą państwo czuć się szczęśliwi, że oszczędzono wam tego śmietnika. Chcemy państwu zaproponować coś lepszego: pawilon w ogrodzie, dostosowany do państwa potrzeb. — Wskazał na nieforemny szklany twór, który stał pomiędzy drzewami. — Będą się tam państwo z pewnością dobrze czuli. Proszę za mną!

Pani doktor była podejrzenie milcząca, gotowa jednak wspólnie z Softerem obejrzeć dokładnie pawilon. Profesora i pannę Erdmann zostawili. Uczony ruszył w kierunku kaplicy, a kobieta znów pospieszyła w krzaki. Pani doktor natomiast oglądała cztery pomieszczenia, oddzielone od siebie drewnianą płytą, do tego toaletę znajdującą się na zewnątrz. Pociągnęła za łańcuch, lecz woda nie spływała.

— To niemożliwe! — zawołała, odsłaniając przy tym swoje końskie zęby. — Nie można od nas wymagać czegoś takiego! W końcu reprezentujemy tu ducha nauki Wielkich Niemiec, jeżeli to panu coś w ogóle mówi.

— Owszem, mówi, jeśli chce pani wiedzieć. Ale czyż nie mówi się, że duch nauki pozwala wiać swoim wiatrom, kędy zechce, czy jakoś podobnie? Dlaczego więc nie tu?

— Jest pan osłem! — zawołała kobieta. — Tylko maruję z panem mój cenny czas. Niech się pan wynosi, ale galopem, i niech pan tu przyśle swego zwierzchnika. Takiego, który się zna na rzeczy!

Softer zniknął, niespokojny. Zaalarmował Krügera, wyrwał go z zasłużonej popołudniowej drzemki, co nie mogło pozostać bez następstw.

— Ale nas urządzili! — zawołał do przyjaciela. — Powiadam ci, co za wstrętne babsko, jaka uparta! W porównaniu z nią moja babcia to potulna owieczka. A jaka złościca!

— Zobaczmy — powiedział Krüger, ziewając. — Weźmiemy ją w obroty po linii służbowej, aż przycichnie.

— Nic nie pomoże! Ostrzegam cię. Zalażła mi nieźle za skórę. Nazwała mnie nawet osłem.

— To brzmi obiecująco — stwierdził Krüger, wyraźnie rozbawiony. — Kobieta pluje jak lama, co? Ale z lamami można sobie poradzić, jeśli się do nich właściwie zabrać. Krótkie mocne uderzenie w pysk i jedzą z ręki. Tak słyszałem.

Krüger udał się natychmiast do naukowców. Przedstawił się krótko. Po czym oświadczył, stojąc w rozkroku:

— Na początek, aby wszystko było jasne: nie zostali państwo przydzieleni wprost do naszej placówki, to znaczy nie mają państwo bezpośrednio do czynienia z naszą baterią. Poproszono nas tylko o coś w rodzaju urzędowej przysługi — i chętnie to robimy. W ramach naszych możliwości.

— Niech pan nie przemawia w taki napuszony sposób — odrzekła doktor Werner-Weilheim, na której słowa Krügera nie zrobiły większego wrażenia. — Zostaliśmy tu

przysłani przez nasze kierownictwo Rzeszy w porozumieniu z waszym marszałkiem Rzeszy. Oczekujemy zatem i żądamy wszelkiego poparcia, co przede wszystkim wyraża się w przydzieleniu właściwego pomieszczenia.

— Mieszkanie po zarządcy zamku — wmieszał się do rozmowy profesor — jest przewidziane dla nas, zgodnie z pismem naszego biura, i potwierdzone przez właściwy sztab dywizjonu.

— Decyzje kierownictwa Rzeszy — powiedział Krüger — nie są dla nas miarodajne, a zarządzenia sztabu z przedwczoraj mogą dziś już być nieaktualne. Jesteśmy ciężką baterią, znajdujemy się w środku wojny!

— Naprawdę? — zapytał profesor uprzejmie. — Czy istotnie ma pan takie wrażenie?

— Wkrótce i pan się przekona, że tak jest — oświadczył Krüger. — Aby panu to doświadczenie ułatwić, pozwolę sobie przysłać państwu skrzynkę czerwonego wina. Czy państwo wolą burgunda czy bordeaux?

— Dla mnie bordeaux! — profesor zareagował spontanicznie, ale ze znajomością rzeczy. — O ile można, rocznik trzydzieści trzy, ale może być też trzydzieści pięć. Rok trzydziesty trzeci, na przekór wszystkim wydarzeniom, należy określić jako nadzwyczaj urodzajny, mam na myśli oczywiście wino.

— W tej dziedzinie wydaje się pan być znawcą, panie profesorze! — stwierdził Krüger. — Pańskie życzenie natychmiast zostanie spełnione. My zawsze wychodzimy naprzeciw, jeśli i nam się wychodzi naprzeciw. Wciąż powtarzam: psy tej samej rasy mogą na siebie czekać, ale rzadko się gryzą.

Profesor przyglądał się stojącemu bez ruchu Krügerowi niemal z radością. — To, co pan mówi, brzmi niezwykle obiecująco. Myślę, że czeka nas wiele wspólnych przyjemności, jeśli pan tylko zechce!

— Być może — powiedział Krüger. — Bardzo bym tego chciał.

— Ja w każdym razie obstaję przy danych nam zapewnieniach — oznajmiła doktor Werner-Weilheim energicznie. Wyglądziła spódnicę — jej siedzenie było okrągłe i jędrne. Krüger popatrzył na nie z podziwem.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — przyrzekł. — Odkomenderowałem gefrajtra Bergena specjalnie do państwa dyspozycji. Na pewno doloży on wszelkich starań, aby państwo byli zadowoleni.

Kilka minut później Krüger powiedział do gefrajtra Bergena: — Może pan natychmiast zaczynać i niech pan się przy tym stara, tylko proszę się dobrze starać. I niech pan o jednym pamięta: ci naukowcy mogą się grzebać w każdym historycznym łajnie, ale wara im od naszych spraw. Czy jasno się wyraziłem?

— Tak jest, panie sierżancie — odpowiedział gefrajter Bergen. Zabrzmiało to usłużnie, ale to była pomyłka.

Jedna z wielu.

— Nic gapcie się tak na mnie! — powiedział kapitan Hein jedwabście delikatnym głosem do swego obecnego sługi i opiekuna, Johannesesa Schuberta. — Nie znoszę, jak ktoś się na mnie gapi.

— Tak jest, panie kapitanie! — Schubert stał w drzwiach sali bankietowej, zamknął je jednak za sobą. Z zakłopotanym oddaniem patrzył na Heina, mając nadzieję na życzliwość, której też wkrótce się doczekał. Opanowało go drżenie wobec tak szybko zmieniającego się strumienia zimna i ciepła, bez żadnego przejścia.

— Nie życzę sobie, abyście stali przy drzwiach jak lokaj. Nie znoszę służby! Pragnę w was widzieć kogoś całym innym, może kogoś w rodzaju rycerskiego pazia,

oczywiście zgodnego z duchem czasu. A wy boicie **się** podejść do mnie z całą ufnością. <sup>ps</sup>

— Nie chciałbym przeszkadzać, panie kapitanie.

Hein potrząsnął swoją kanciastą głową, jego lodowate oczy patrzyły badawczo na Schuberta. — Nie przeszkadzacie mi, a poza tym sam was tu poprosiłem. Zapamiętajcie to. Nie powiedziałem: „wezwałem was”. Wolę sformułowanie: „poprosiłem”. Czy zwróciliście na to uwagę?

— Od tej chwili zawsze będę o tym pamiętał — przyrzekł Johannes Schubert.

— Mam nadzieję. Nie chcę, abyście tylko posłusznie spełniali rozkazy, pragnę w was widzieć towarzysza godnego najwyższego zaufania. Czy chcecie takim być?

— Postaram się, panie kapitanie.

— To mało, Schubert, musicie się zdecydować.

— A więc tak!

— W porządku, Schubert. Tym samym posunęliście się o krok do przodu. Czymże bowiem są rozkazy? Mogę je tu wydawać ponad setce żołnierzy. A chodzi o rozkazy, które mają być bezwarunkowo spełnione. Obojętne, jakiej są treści. Gdybym wam powiedział: „Wyskoczcie przez okno!” Co byście zrobili?

— Nie wiem...

— No dobrze, nie wiecie, jeszcze nie. — Kapitan Hein uśmiechnął się. — Ale jestem pewien, że prawie wszyscy moi żołnierze wyskoczyliby, gdybym od nich tego zażądał. A dlaczego by to zrobili? Bo są mi bezgranicznie oddani, a więc ufają mi bez zastrzeżeń. Sądziłoby, że kazałem rozprostować płachtę ratunkową, siatkę albo coś w tym rodzaju. Czy nie możecie sobie czegoś takiego wyobrazić?

— Próbuję, panie kapitanie.

— Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem. To wszystko jest dla was nowe. Jesteście zdeklarowanym idealistą, nie potraficie jeszcze pojąć, co to naprawdę oznacza. Macie



do mnie zaufanie, ale co z tego ostatecznie *wynitSE^^pt-*jeszcze nie rozumiecie. To chyba tylko kwestia czaStttJpMtr-  
żęć liczyć na moją cierpliwość. Czy palicie?

— Nie.

— To dobrze, to bardzo dobrze, to przemawia na waszą korzyść. Proszę uważać, aby nikt tu nie palił podczas mojej nieobecności. Jeśli ja tu jestem, sam tego dopilnuję!

Kapitan siedział na swoim ulubionym miejscu, u szczytu długiego wąskiego stołu. Z prawej i lewej strony stały srebrne lichterze z płonącymi świecami. Hein najwidoczniej lubił półmrok. Owinął się czarnym, lśniącem szlafrokiem z japońskiego jedwabiu; był to prezent od jakiejś wielbicielki — ręcznie wykonany dla „bohatera narodowego”. Szlafrokiem tym okręcał się Hein z właściwą sobie rozważną niedbałością, widać było przy tym jego dekoracyjnie obrośniętą pierś i krzyżyk zawieszony na misternym łańcuszku. Najwidoczniej pozłacany.

— Na tym świecie najważniejsze jest zaufanie — powiedział kapitan Hein. — Ogromne, bezgraniczne zaufanie to fundament ludzkich, męskich zachowań. Dlaczego wahacie się przyznać do tego? Podejdźcie lu do mnie. Czy też się wahacie?

Schubert podszedł bliżej. Czuł, że coś go przyciąga jak magnes, a jednocześnie raptownie odpycha, nie potrafił jednak powiedzieć, dlaczego. Wydawało mu się, że traci równowagę, że za chwilę upadnie, mimo to ruszył przed siebie — do Heina. Jego piękna, delikatna, okolona lokami twarz płonęła jak w gorączce.

Oszołomiony, zauważył, że przed Heinem stał kieliszek — był pusty. Obok leżała biała jedwabna serwetka — przykrywała jakiś tajemniczy przedmiot wielkości dłoni. Wydawał się kanciasty i podłużny. Schubert instynktownie nakazał sobie zachować dystans.

Hein z uśmiechem przyjął te starania. — Czy wiecie przynajmniej — zapytał — jak podaje się szampana?

— Zdaje się, że wiem, panie kapitanie. — Schubert z determinacją starał się sprostać wszystkim wymaganiom. Twarz lśniła mu od potu. Był cały mokry. Czuł się jak w saunie. Oddychając pospiesznie, powiedział: — Wyjmuje się butelkę z chłodnej wody, która musi mieć temperaturę mniej więcej siedem stopni.

— Jeśli o mnie chodzi, powiedzmy, nie więcej niż dziesięć, ale też nie mniej niż pięć. Co dalej?

— Wyjętą butelkę należy najpierw owinąć białą serwetką aż po szyjkę, następnie otworzyć. To znaczy obracając ją w lewo jak śrubą, trzeba zdjąć zamknięcie z drutu. Następnie obluźowuje się korek za pomocą kciuka i palca wskazującego prawej dłoni — przy czym należy unikać wystrzału. Zalecane jest trzymanie butelki lekko ukośnie, aby nic się nie wylało.

Kapitan skinął głową z uznaniem. — W porządku! Tak to się robi, jak mnie uczono, w najlepszych restauracjach — na przykład u Maxima. Kto was tego nauczył, czy też kazał nauczyć? Ogniomistrz Krüger?

— Tak jest, panie kapitanie!

Krüger przezornie wysłał Schuberta do Softera, a ten z kolei do Bergena, który zażądał trzech butelek szampana jako „materiału do ćwiczeń”, a ostatecznie otrzymał dwie. Istotnych informacji na temat podawania szampana dostarczył, na polecenie Wassermanna, starszy kelner z Hotel de France w D., a on nauczył się tego w Paryżu.

— Co się wtedy robi z rękami, Schubert?

— Ten, kto nalewa szampana, może się posługiwać tylko prawą ręką, lewą trzyma cały czas za sobą na wysokości bioder.

— Wspaniale! — Hein wyprostował się, jego pierś jeszcze bardziej się przy tym odsłoniła, krzyżyk załśnił zło-

tern. — A teraz praktyka, Schubert. Nalejcie. Tylko przeczytajcie uprzednio etykietę. I zapamiętajcie dobrze, co tam napisane — jest to marka, którą najbardziej lubię. Zarezerwowana wyłącznie dla mnie. A odpowiedzialny za to jest Softer.

Schubert wziął do ręki otwartą już i opróżnioną do połowy butelkę; przyjrzał się etykietce, następnie sięgnął po serwetkę. Ostrożnie, wstrzymując oddech, nalał. Udało mu się przy tym uniknąć niebezpiecznego wzburzenia szampana. Żaden kelner nie zrobiłby tego bardziej ostrożnie.

— Całkiem niezłe! Macie pewną rękę, Schubert. I zdaje się, że starannie pielęgnujecie swoje dłonie — to mi się podoba. Postawcie butelkę na stole. Połóżcie ręce obok, o tak, bliżej mnie, tuż obok, przy kieliszku.

Johannes Schubert przycisnął swoje spocone dłonie do chłodnego, gładkiego drewnianego blatu stołu, aby nie było widać, jak drżą. Hein pochylił się nad nimi z poważną, natężoną twarzą. Przesuwał swoje ręce płaskim łukiem po stole. Następnie delikatnie i pewnie przejechał nimi ku dłoniom Schuberta.

Ten zadrżał. Kieliszek z szampanem kapitana został przy tym potracony i przewrócił się! Jego zawartość płynęła po stole w kierunku Heina. Kapitan zerwał się — stał — oddychał głośno. Patrzył na Schuberta.

— Proszę o wybaczenie, panie kapitanie — wybełkotał gefrajter.

— Cóż to! — zawołał Hein i zrobił się błądy jak trup.

— Czyżbyście się odważyli mnie dotknąć?

— To tylko odruch, tak sądzę.

— Wypraszam sobie jakiegokolwiek dotykanie! — Głos Heina brzmiał teraz szorstko i był przytłumiony, a jego oczy lśniły jak oczy drapieżnika. — Nigdy więcej tego nie róbcie!

Po czym Hein opuścił głowę. Jakby w głębokim namyśleniu, patrzył na rozlany, skapujący ze stołu szarnpan. Splótł ręce, zacisnął je mocno, aż skóra stała się całkiem biała. I znów powiedział jakby do siebie:

— Dotykam tego, czego pragnę dotykać. Ale mnie samego nie wolno dotykać, jeśli tego nie chcę. Nienawidzę rąk, które się posuwają w moją stronę, które po mnie sięgają. Zawsze tego nienawidziłem — brudne, spoczone łapy, popękane na wierzchu, stwardniałe na spodzie, brudne palce i czarne obwódki za paznokciami...

Wciąż jeszcze widzę przed sobą rękę chłopca, która się do mnie wyciągała. Nie po to, aby mnie pozdrowić, nie po to, aby na mnie skinąć, lecz aby oskarżycielsko na mnie wskazać. Działo się to w Polsce, w jakiejś wiosce, przez którą przejeżdżaliśmy. Była to dziecięca brudna ręka, wywołująca mdłości — oblepiona zaskorupiałą ziemią, brązowa, jakby wytarzana w gnoju. A nad tym wykrzywiona, skurczona, pełna nienawiści twarz, której otwarta usta *wypluwały ślinę wprost na mnie*)...

Wyrwałem kierownicę mojemu kierowcy, samochód wjechał na tę rozwścieczoną twarz, odrzucił ją na bok, pogrzebał pod sobą. Ale ta kloaczna ręka sterczała w górę, ku mnie! Walila potem głucho w blaszaną ścianę mojego wozu. Raz po raz. Niczym werbel wystukujący nienawiść.

Kapitan Hein znów zamilkł. Jakby zdumiony spoglądał dokoła. Próbował się roześmiać — z trudem mu się to udało. Potrząsnął głową i powiedział: — Od tamtej pory publicznie noszę zawsze rękawiczki, aby nawet powierzchowny, nieunikniony dotyk możliwie złagodzić.

Usiadł z powrotem w fotelu z wysokim oparciem., grubo wyścielanym, pokrytym świńską skórą; odsunął go, aby nie dotknąć skapującego szarnpana. Rzekł do Schuberta, mierząc go wzrokiem:

— Przed chwilą byliście poruszeni, a nawet podnieceni, dlaczego?

— Nie wiem, panie kapitanie.

— Ale byliście, prawda? Czyżby to z mojego powodu?

— Hein obserwował przez światło świec bezradnie wyglądającego Schuberta. — Polecam wam, abyście ćwiczyli panowanie nad sobą. Również w sytuacjach ekstremalnych. Muszę tego od was wymagać. Jestem wyczulony na harmonijne piękno — szczególnie ręk, i ogarnia mnie wstręt, kiedy patrzę, jak one drżą.

Kapitan Hein wyciągnął obie ręce przed siebie — końce palców nawet nie drgnęły. Następnie prawą dłońią sięgnął po serwetkę, która leżała przed nim na stole. Ściągnął ją, ukazał się pistolet.

Hein wziął go do ręki, podniósł na wysokość oczu, odbezpieczył.

— Czy jesteście w stanie ocenić, gdzie celuję?

Schubert odpowiedział przecząco, przy czym miał nieodparte wrażenie, że pistolet jest skierowany wprost na niego. W sam środek czoła. A może tylko w prawe ucho. Stał nieruchomo.

— Tuż za wami — powiedział kapitan — wisi obraz. Przedstawia on śmierć i jej ofiarę. Taki alegoryczny kicz jakiegoś pacykarza, przypuszczalnie z osiemnastego wieku. Namalowany ze wszystkimi detalami. Nie podoba mi się.

Hein wystrzelił dwukrotnie. Kule przeleciały z ostrym świstem tuż obok głowy Schuberta — tak mu się przynajmniej zdawało.

— A teraz obejrzyjcie się!

Schubert odwrócił się, lekko się zataczając, i ujrzał starannie, z niemal pedantyczną dokładnością namalowaną śmierć w długim białym płaszczu, z odsłoniętą czaszką. A jej oczy stanowiły teraz dwa nieskończone głębokie otwory, miejsca, gdzie trafiły kule.

— To było w pewnym sensie symboliczne — powiedział Hein z uśmiechem ulgi. — Czy potraficie zrozumieć, Schubert, co chciałem przez to powiedzieć? Postarajcie się, radzę wam to zrozumieć. Możecie być jednocześnie pewni, że chętnie wam w tym pomogę.

— Dziękuję, panie kapitanie, postaram się.

— Jesteście spoceni — stwierdził Hein. — Pot pokrywa waszą twarz i przypuszczalnie przykleja wam ubranie do ciała. Nie znoszę tego! Idźcie do mojej łazienki. Możecie skorzystać z mojego mydła — zabierzcie je potem jako prezent. Kupcie taki sam gatunek — na mój koszt. Moje powonienie jest również niezwykle subtelne. Proszę się do tego dostosować!

— Czy mogę panu w jakiś sposób pomóc? — zapytał podoficer Tino Hiller z wyszukaną uprzejmością. Odczuwał potrzebę uprzejmości, ale rzadko trafiała się po temu okazja. — Czy ma pan jakieś trudności?

— Trudności mam właściwie bez przerwy — odpowiedział gefrajter Bergen nieufnie. — I wygląda na to, że się powoli do tego przyzwyczajam.

— To byłoby godne polecenia — rzekł Hiller — gdyż należy pan do elitarnej jednostki, a w jednostce tej, według słów Krügera, który przejął je od samego wodza narodu, trudności są wyłącznie po to, aby je przezwyciężyć.

— Ale kto je stwarza?

— Niech pan przeprowadzi na ten temat ankietę wśród kolegów, może wówczas będzie pan wiedział więcej. Jeśli pan w ogóle chce wiedzieć.

Tino Hiller pochylił się nad silnikiem radiowozu, przy którym Bergen próbował majstrować, i to już od godziny, podczas przerwy obiadowej. Silnik zastrajkował. Również za ten silnik on był odpowiedzialny. To chyba stanowiło

właściwość systemu — ktoś musiał być zawsze za coś odpowiedzialny.

Hiller śmiało, pewnymi ruchami sprawdził przewody. Po czym roześmiał się. — To co zwykle, jak przypuszczałem. Wysiadła głowica zapłonowa.

— Jak to?

— Ktoś przeciął kabel łączący — najwidoczniej scyzorykiem.

Gefrajter Bergen spojrzął na Hillera z niedowierzaniem. — I co takiego jest u nas na porządku dziennym?

Tino skinął głową. Ciemne oczy w jego przyjaznej twarzy patrzyły cierpliwie i z odcieniem radości. — Coś takiego, mój drogi, należy u nas do niemal codziennych kretyńskich zabaw z serii: stare żarty wobec nowych kolegów, których trzeba wypróbować. A więc sprawdzian, jak dalece można wyprowadzić w pole potencjalnych osłów.

— Rozumiem — powiedział gefrajter Bergen, zamyślony. — To znaczy: zaczynam rozumieć. To znaczy: przynajmniej wyobrażam sobie, że gdybym z tym rzekomym uszkodzeniem silnika poszedł do szefa transportu, przypuszczalnie śmiałyby się na cały głos z technicznego idioty, który nie potrafi usunąć najprostszego defektu. Czy o to chodzi?

— Mniej więcej tak.

— I to ku radości kolegów! Doskonały temat do wiedznych rozmów przy piwie!

— Niech się pan z tego powodu nie złości, to tylko subtelne żarty; bywają jeszcze inne, które pana z pewnością nie ominą.

Bergen przypatrywał się Hillerowi z rosnącym zainteresowaniem. Nie wyglądał on zbyt elegancko — mundur leżał na nim jak worek, spodnie powypychane, buty jakby za duże i zaniedbane. — Z pana, jak przypuszczam, robiono sobie podobne żarty?

— I to ile! — powiedział Tino Hiller. I niemal wesoło dodał: — Ale nie z silnikami, na tym się akurat trochę znam.

— To wszyscy wiedzą. Nie ma podobno rzeczy, której by pan nie naprawił. Potrafi pan uruchomić wszystko, co ma koła. Natomiast Arm przede wszystkim organizuje: części zamienne, benzynę, a nawet całe pojazdy. I to podobno z sąsiednich jednostek.

— Niech pan jak najszybciej o tym zapomni — powiedział Hiller poważnym tonem. — Niech panu w każdym razie nie przyjdzie ochota wypowiadać głośno przy świadkach takie opinie. Nasz Arm jest uznawany za wybitnego geniusza organizacyjnego, a jego zdolności pod tym względem są doceniane nawet przez kapitana Heina i uważane przez niego za przydatne na potrzeby wojny.

— Ale bez pana szczególnych umiejętności cała ta bateria nadawałaby się na szmelc!

— Być może — powiedział Hiller, zadowolony. Usiadł na trawie, następnie położył się na plecach i wyciągnął wygodnie. — Jestem tu uważany za niezastąpionego — dodał — a to ma swoje dobre strony.

— Bo często patrzą na pana przez palce?

— Zgadza się. Na przykład podczas pijatyk albo innych rozrywek w gronie kolegów. Ale nie przywiązuję do tego wagi.

— A do czego pan przywiązuje wagę? — zapytał Bergen, który usiadł obok Hillera na trawie.

— Do tego, żeby się mnie nikt nie czepiał! — oświadczył Hiller. — A to wcale niemało. Jesteśmy tu bowiem wśród samych zwycięzców, którzy nieustannie się tym napawają. W parę tygodni położyli na obie łopatki Polskę! A zaraz potem całą wielką Francję. Mamy tu do czynienia z pewnymi siebie, a więc pozbawionymi zahamowań jednostkami przywódczymi — czy pan tego nie widzi?



— A powinienem?

— Radziłbym to panu.

— Wiem tylko tyle — stwierdził gefrajter Bergen — że niemal wszystko, co się tu dzieje, jest mocno zagadkowe, to znaczy: prawie wszystko wydaje mi się tylko w polowie normalne.

— Bzdura, kolego! Tu wszystko, po prostu wszystko jest absolutnie normalne, w każdym razie zgodne z duchem czasu. Albowiem tu, w tej baterii, znajduje się kwintesencję dzielności, energii i zapału do działania w imię Wielkich Niemiec. Sami utalentowani organizatorzy, niezawodni technicy, wypróbowani taktycy pod kierownictwem niezwykle bohatera, który jest osłaniany przez równie fanatycznego praktyka militarysty! Przeciwnie czemu chce się pan tu buntować?

— A czy ja w ogóle chcę?

— Człowieku, pan się do tego wprost pali! — stwierdził Hiller lakonicznie. — Aż pana świerzbią ręce, żeby im porządnie namieszać. Już ja pana przejrzałem.

— Może podczas tej idiotycznej zabawy z pistoletem, która tu się nazywa „pruską ruletką”?

— Wtedy szczególnie — potwierdził Hiller. — Wtedy po raz pierwszy rzucił mi się pan w oczy, ale nie tylko mnie, również Krügerowi. A to, mój drogi, jest niebezpieczne.

— Krügerowi rzuciłem się w oczy, kiedy ujrzał mnie po raz pierwszy — przy zabitym, który rzekomo wypadł z okna wieży zamkowej — powiedział Bergen.

— Niech pan nie lekceważy naszego Krügera, szanowny kolego! — ostrzegł Hiller przyjacielskim tonem. — Nie byłby pan pierwszy, który sobie na to pozwolił, ale nie znam nikogo, komu by to wyszło na zdrowie. Nasz Krüger bowiem, jeśli chce, potrafi być nadzwyczaj cierpliwy, nawet wyrozumiały, jeśli mu się to opłaca. On jest mądrzej-

szy, albo raczej bardziej wyrafinowany, niż się powszechnie przypuszcza.

— A tym samym bardziej niebezpieczny, niż wskazywałyby na to pozory, chciał pan powiedzieć?

— Obawiam się, że pan go nie docenia, jak niemal wszyscy tutaj. — Hiller zaczął cierpliwie wyjaśniać: — Ten Krüger jest w jakimś sensie ponadczasowy, jemu wcale nie chodzi tak bardzo o Führera, naród i ojczyznę, jak można by przypuszczać, lecz tylko o swoją baterię. Ta bateria to jego prawdziwy świat. Zajmuje się nią już ponad trzy lata, uważa ją za swoje oryginalne dzieło. Broni więc ego dobrego imienia własnymi metodami, z przekonaniem, które jest niezachwiane, żelazne.

— A pomysł z pistoletami, czy też do niego należy?

— Zgadł pan! — Tino Hiller roześmiał się. Był już wielokrotnie świadkiem tej zabawy. — Krüger najwidoczniej uznał, że bezwarunkowa, niemal niewolnicza współpraca jest najlepszą gwarancją niezawodnej wierności. Ten, kto podda się ekstremalnym albo właśnie szaleńcym żądaniom, z natury rzeczy będzie przydatny do każdego zrynu, nawet do zbrodni. Pan w każdym razie przetrwał tę próbę ogniową, i to celująco. Nawet się pan nie zawahał! Dlaczego?

— Ponieważ uważałem to za wielki bluff. I chyba tak było? Zwykle kantynowe przedstawienie.

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedział Hiller. — Choć nie czuję się tu całkiem kompetentny. Z pewnością pan spostrzegł, że nie wolno mi było uczestniczyć w tej ruletce?

— Owszem, ale to chyba dlatego, że nie należy pan, albo jeszcze nie należy, do ścisłego, w pewnym sensie godnego zaufania kręgu kolegów.

— Słusznie pan to zauważył — potwierdził Hiller. — Nie mam pistoletu. U Krügera jest to rodzaj przywileju,

wyróżnienia. Nadaje on pistolety, tak jak się nadaje orde-  
ry, najczęściej z zasobów zdobycznych. I tylko on decydu-  
je, co z tym pistoletem począć. I właśnie dlatego uważam  
za całkiem możliwe, że jeden z tych sześciu pistoletów był  
istotnie nabity.

— A gdyby w ten sposób czyjaś głowa została rozłu-  
pana, na przykład moja? Co wtedy?

— Wtedy byłby to przypuszczalnie nieszczęśliwy wy-  
padek — ze śmiertelnym skutkiem, tak by to zostało  
ogłoszone. Może podczas czyszczenia pistoletu. I od  
razu byłoby na to sześciu świadków. Czy to pana nie  
zniechęca?

— Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na pewien szcze-  
gół — powiedział Bergen, mimo wszystko z ufnością. —  
Po krótkim namyśle wziąłem do ręki pistolet Krügera. Po-  
nieważ powiedziałem sobie: jeśli ktokolwiek nie chce tu  
ponosić ryzyka — to tylko on!

— Ach, pan próbuje logicznie myśleć! I to pośród tych  
panów świata, którzy znajdują się na gigantycznym rauszu  
zwycięstwa i nieprędko się z niego ockną, bo wcale tego  
nie chcą!

— Kogo pan uważa za panów świata? Czyżby Softera i  
Arma?

— Ci również za nich się uważają. A kapitan Hcin na  
pewno taki jest. Ale nawet on, jak przypuszczam, stara się  
nie wchodzić w konflikt z Krügerem.

— Mnie w każdym razie jeszcze życie mile, jeśli o to  
panu chodzi. I dziękuję za ostrzeżenie.

— Co panu przychodzi do głowy! — zawołał Tino Hil-  
ler. — Ja pana przed niczym ani przed nikim nie ostrzega-  
łem, nie uświadamiałem panu niczego, nie udzielałem rad  
ani w sprawie pistoletów, ani defektu silnika. Zapytałem  
tylko, czy umie pan grać w szachy — poszukuję gilnie part-  
nera.

— Wobec tego nauczę się grać w szachy — zapewnił Bergen.

— Niech pan to zrobi. Ale niech pan nie zwleka, gdyż bowiem może wiedzieć, ile nam jeszcze czasu pozostało?

— Przyszedłem do pana — oświadczył porucznik Seifert-Blanker uprzejmie — aby się usprawiedliwić.

— Ależ, proszę pana! — odparł kapitan Schmidt, szef komendantury miasta D., serdecznie i z wdzięcznością w głosie. Omal nie objął swego gościa. — Ja spełniam tu tylko swoją powinność, w miarę sił i możliwości.

Spotkali się w Hotel de France — adiutant stacjonującego w D. dywizjonu ciężkiej artylerii i komendant garnizonu. Jego biuro znajdowało się w budynku merostwa. Wraz ze swoimi ludźmi zajmował dolne piętro. Ale restauracja pobliskiego Hotel de France była punktem spotkań ze szczególnie uprzywilejowanymi ludźmi.

— Musi być wyjątkowo ciężko radzić sobie ze wszystkimi żądaniami, życzeniami, a także pretensjami, jakie są kierowane pod pana adresem — oświadczył adiutant. — W dodatku ma pan do czynienia również z kapitanem Heinem.

— Cóż to za wspaniały, wybitny, wielce wpływowy człowiek! — wykrzyknął kapitan Karl Schmidt bez chwili wahania. — Czyż nie tak?

— Tak się wydaje! — powiedział Seifert-Blanker. Jednocześnie ze znajomością rzeczy oceniał podane potrawy: gotowane ślimaki, pieczarki z rusztu, plasterki łososia, do tego wino z Anjou. — Ale nie wolno się dać zwieść!

— Ma pan na myśli kapitana Heina? — zapytał komendant. — Czyż nie jest on osobą godną szacunku? Czyż nie ma być w najbliższych dniach odznaczony Krzyżem Rycerskim?

— Mówi się o tym, ale to jeszcze nie jest ostatecznie ; zdecydowane — powiedział adiutant jakby w zaufaniu. — f Zewnętrzne formy, jak na przykład ordery, z pewnością \ muszą istnieć, ale nie w każdej sytuacji są najważniejsze.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że przynajmniej ; chwilowo chodzi o zasadniczo inne sprawy? — zapytał komendant.

Adiutant skinął głową. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, o bystrych oczach. A jego głos brzmiał agitująco: — Przyzna pan, że nie wystarczy tylko odnieść wielkie, wspaniałe zwycięstwo, trzeba je też wzmocnić, zabezpieczyć, a więc sensownie wykorzystać.

— Słusznie powiedziane! — wykrzyknął komendant pospiesznie. — To, co pan mówi, odpowiada całkowicie moim poglądom. — Głos Schmidta lekko drżał. — I właśnie dlatego objąłem mój trudny, ale też piękny urząd z pełną nadziei gotowością.

— Co też przez nas, to znaczy przeze mnie i przez dowódcę dywizjonu, jak również przez dowódców innych jednostek w okolicy, zostało nie tylko uznane, ale także docenione. Między innymi po to tu jestem, aby pana o tym zapewnić.

— Jakże mnie to cieszy! — kapitan Schmidt pospieszył nalać swemu gościowi do pełna.

— Moja zasada, panie poruczniku, brzmi: dać satysfakcję. I to w podwójnym sensie: raz — przez zaspokojenie potrzeb stacjonujących na naszym terenie jednostek, dwa — przez uwzględnienie potrzeb ludności cywilnej. A zatem — budzenie zaufania, i to na dwie strony, co miejmy nadzieję, w niedalekiej przyszłości musi doprowadzić do jakiej takiej harmonii. A w konsekwencji do obopólnych korzyści!

— Mogę się pod tym tylko podpisać! — potwierdził porucznik Seifert-Blanker z zapałem. — Również nasz

pułkownik i dowódca dywizjonu wypowiedali się ostatnio z uznaniem na temat pańskiej szczególnej, pełnej zasług działalności.

Schmidt, wzruszony, patrzył przed siebie jasnymi, wodnistymi oczami. — Zawsze zabiegałem o pełną zaufania współpracę, i to z pomyślnym skutkiem. Nawet z tutejszą ludnością cywilną.

— Czego można panu tylko pogratulować, panie kapitanie!

— Bardzo dziękuję! Nie było to łatwe. Trzeba było pokonać wysokie mury uprzedzeń. Ale udało się, początek przynajmniej jest wielce obiecujący. Tak więc współpracuję już bardzo ściśle z miejscowym burmistrzem; mam wykłady w szkołach; w miejscowym szpitalu zorganizowałem oddział niemiecki, przeforsowałem też zwyczaj, żeby we wszystkich hotelach, restauracjach i gospodach tego miasta zarówno Niemcy, jak i Francuzi byli traktowani jednakowo. Uczestniczę też regularnie w niedzielnych nabożeństwach.

— Jest to szczególnie godne uwagi! — zawołał adiutant, opróżniwszy przedtem swój kieliszek. — I trzeba panu wiedzieć, że my nie tylko doceniamy pańską pracę, ale także ją popieramy w całej rozciągłości, a więc gotowi jesteśmy współdziałać w usuwaniu wszelkich ewentualnych przeszkód.

— A zatem proszę, aby samowolne decyzje kapitana Heina, które, jak muszę wyznać, doprowadziły do wyrażonych niepokojów, a przez to moje dzieło...

— Co się tyczy tej sprawy, panie kapitanie, dał mi pan już jednoznaczne informacje przez telefon; one to między innymi doprowadziły do naszego spotkania. Będę szczerzy: jesteśmy świadomi naszego obowiązku wobec wielkiej całości — jeden oddział nie może uprawiać kultu jednostki, musi dążyć do tego, aby stanowić część niezachwianej, zwartej siły.

— Czy to znaczy, że jest pan zdecydowany udzielić mi skutecznej pomocy w tej drażliwej sprawie? — zapytał Schmidt, nasłuchując uważnie. — Udzielić swego energicznego poparcia?

Porucznik skinął głową, zamyślony, po czym oznajmił: — Powiedzmy tak: pragniemy, aby wszystko szło właściwym torem. I nie zawahamy się przed energiczną interwencją, jeśli tylko zaistnieją po temu podstawy.

— Podstawy?

— Tak, oczywiście, panie kapitanie. Same rozmowy telefoniczne nie wystarczą. Rozmowy takie jak ta również nie. Albowiem różnice, które istnieją między panem i kapitanem Heinem, to sprawa tylko pana i jego. My, a więc sztab dywizjonu, możemy zająć się tym, że tak powiem, oficjalnie dopiero wówczas, gdy zostanie sporządzony bez zarzutu raport dotyczący okoliczności czynu..

— Przeze mnie?

— Albo przez kapitana Heina, czego raczej nie należy oczekiwać, prawda?

— To trudna sprawa — przyznał Schmidt, już nieco zrezygnowany — rzeczywiście bardzo trudna. I nadzwyczaj kłopotliwa. Trzeba ją dobrze przemyśleć.

— A więc niech pan przemyśli. Tylko radzę nie tracić na to zbyt dużo czasu, bo już za kilka dni może być za późno. „Kuj żelazo, póki gorące” — jak to mówią!

„Każda forma hartu fizycznego podnosi gotowość działania” — tak mawiał kapitan Hein i zgodnie z tą zasadą kazał postępować. To, co on nazywał „sportem”, było szczególnie ważne zarówno w odniesieniu do zajęć służbowych, jak i spędzania wolnego czasu.

Tak więc parkowi amunicyjnemu trzeciej baterii nakażal codzienną piętnastominutową gimnastykę poranną

— oprócz niedziel i świąt. Ale wszelkie szczegóły w tej sprawie pozostawił swemu starszemu ogniomistrzowi Krügerowi, co było oczywiste. Krüger zaś, który uważał się za niezwykle wysportowanego, za każdym razem wyznaczał do przeprowadzenia ćwiczeń jednego ze swych podoficerów — przeważnie Forstmanna albo Hillera — i kazał im jak najgłośniej krzyczeć. Ich poranny wrzask docierał aż do wieży zamkowej, a nawet dalszej okolicy, sugerując wielką pracowitość.

O fizyczną sprawność swojego stanowiska ogniowego kapitan Hein troszczył się osobiście. Bardzo lubił zaskakiwać. Pojawiał się nagle o różnych porach i chłodno oznajmiał: — A teraz trochę sportu.

Także podczas ćwiczeń posługiwał się stoperem. W czasie wynoszącym ponad minutę — owego dnia trwało to siedemdziesiąt trzy sekundy — jego grupy bojowe zamieniały się w grupy sportowe. Ten dość krótki okres „przemiany” zawdzięczano „systemowi Runego” — był to jeden z wielu skutecznych pomysłów ogniomistrza, wysoko cenionego przez Heina.

Runge zarządził, aby żołnierze zamiast białej bielizny nosili ubrania treningowe. Wystarczyło więc tylko ściągnąć mundur i zmienić obuwie — błyskawiczna czynność, która wśród zwierzchników zawsze wywoływała oczekiwany efekt: pełne uznania zdumienie!

— Wszyscy do przyrządów! — zawołał Runge energicznie. Również tutaj on dowodził. Dwaj oficerowie baterii, Minder i Helmreich, znów nie byli potrzebni. — Pierwsza runda dla rozgrzewki! Czas: dziesięć minut! Zaczynamy od średniego stopnia!

Wszystko było znakomicie zorganizowane. Pośrodku stanowiska ogniowego, pomiędzy centralnym przyrządem i armatami, zainstalowano tylko prowizorycznie, ale ze wszech miar fachowo, podczas „dobrowolnej pracy w cza-



sie wolnym od zajęć", urządzenia do skoku w dal, skoku wzwyż, poręcze, konie, drążki. Wszystko to było na zmianę wykorzystywane przez planowo szkolone grupy sportowe.

— Dziś główny punkt: skok wzwyż! — oznajmił kapitan Hein, czego należało się spodziewać, ponieważ ostatnio tę formę ćwiczeń sportowych uznano za najważniejszą. I nie bez przyczyny.

— Wysokość: metr trzydzieści pięć! — zarządził Runge-

Kapitan Hein skinął głową z aprobatą. Była to bowiem wysokość potrzebna do zdobycia odznaki sportowej Rzeszy, a więc tu stanowczo wymagana, gdyż bateria musiała być pod każdym względem wzorowa.

Kapitan jako pierwszy stanął przed poprzeczką. W pełnym umundurowaniu, w butach; tylko czapkę i pas odłożył na bok. Ugiął nogi w kolanach, wziął rozbieg, skoczył i przeszedł poprzeczkę.

— Wszyscy to samo! — zawołał Runge. — Po kolei!

Teraz już wszyscy żołnierze zorientowali się, co ich i tym razem czeka: ciągnący się godzinami egzamin sprawnościowy w celu wyłonienia tych, którzy się nie nadają. I biada takiemu, który skoczy na uginających się kolanach, z drżącymi rękami albo zgarbiony! Hein uznaje widowisko absolutnie pierwszej klasy, a Runge dba o to, jak tylko może.

— Notować poszczególne rezultaty — zarządził Hein.

Runge miał już pod ręką listę aktualnych wyników. I podczas gdy chłopcy przewijali się przez poręcze, podciągali na drążkach, skakali przez konia i starali się zachować pozory ożywionego ruchu, pod poprzeczką panowała napięta koncentracja.

— Trzymajcie się, chłopaki! — wołał Runge. — Wszyscy po kolei w górę!

Komu się nie udało przejść wysokości metr trzydzieści pięć, tego Runge wykluczał, wołając do niego: — Na lewo, ty nędzna niezdaro! — Albo: — Ty niedorajdo!

Tymczasem do akcji przystąpili także dwaj oficerowie należący do stanowiska ogniowego, Minder w dresie koloru marynarskiego i Helmreichi w rdzawoczerwonym. Hein nawet na nich nie spojrział, Runge oczywiście również nie.

Porucznik grał z podporucznikiem w piłkę ręczną. Rozkaz wzięcia udziału w tych ćwiczeniach na oczach całej baterii uwłaczał godności korpusu oficerskiego. Hein wiedział to i dlatego uznał za stosowne nie zwracać na nich uwagi.

— Trzydziestu czterech — zameldował wreszcie Runge, kiedy już wszystkie grupy przećwiczyły skok wzwyż. A to oznaczało, że trzydziestu czterech odpadło! A więc o dwóch więcej niż przedwczoraj. Czyli wyraźny spadek formy.

— Zakaz wychodzenia! — powiedział kapitan. — I to całkowity! — Rozejrzał się dokoła, jakby osobiście został obrażony. — Co najmniej tak długo, aż liczba niedorajdów spadnie poniżej trzydziestki.

Hein mierzył wzrokiem spędzoną przez Rungego żałosną gromadkę skoczków, którzy daremnie się starali — mierzył ich długo i z wymownym milczeniem. Widział bowiem zwały tłuszczu na brzuchach, nalane gąbczaste twarze, zwaliste, trzęsące się tyłki.

— To wstrętne! — powiedział. — Po prostu wstrętne! — I zaraz potem pogardliwie dodał: — A teraz alarm przeciwlotniczy!

— Alarm przeciwlotniczy! — zawołał Runge energicznie.

I oto obraz zmienił się w mgnieniu oka: żołnierze pobiegli do dział i centralnego przyrządu, chwytając po drodze, zgodnie z rozkazem, przygotowane na akcję hełmy.

Zakładali w pośpiechu buty — pozostałe ubranie nie było konieczne podczas takiego alarmu.

— Jedna złośliwość za drugą — szepnął porucznik Minder do swego kolegi, podporucznika Helmreicha. Oni również włożyli swoje hełmy. — Nawet nas nie oszczędza w tych swoich napadach.

— Ależ panie poruczniku — zawołał mały podporucznik, załęczniony. — Jesteśmy przecież najlepszą baterią w armii! I jeśli szef zostanie odznaczony Krzyżem Rycerskim, to panu przypadnie Żelazny Krzyż pierwszej klasy, a mnie nareszcie Żelazny Krzyż drugiej klasy.

— To byłoby wspaniałe — powiedział Minder sceptycznie. — Ale o ile jestem dobrze poinformowany, dla naszego pułku przewidziano tylko jeden Krzyż Rycerski i osobiście liczy na niego komendant pułku. To wątpliwe, żeby nasz szef był w stanie go przebić.

— Bardzo bym mu tego życzył — powiedział Helmreich z fałszywą solidarnością w głosie. — W ten sposób podniósłby się automatycznie prestiż naszej baterii.

— Ach, co tam, obojętne: tak czy siak. Przy takim Heinie zawsze będziemy bici. Jeśli nie dostanie krzyża, dopiero zacznie szaleć! A jeśli dostanie, to tak nas przydu-si, że się nic pozbieramy. Objętnic jak, kolego, u niego jesteśmy straceni.

— Bateria gotowa do akcji, panie kapitanie! —zamel-dował Runge.

Kapitan patrzył, głęboko zamyślony, przed siebie. Wokół niego panowała całkowita, obezwładniająca cisza, jakby nikt nie miał odwagi oddychać w jego obecności. Co Heinowi najwidoczniej sprawiało przyjemność.

Spoglądał na boisko, na ulicę, na park otaczający pa-lac, na kaplicę i szklany pawilon. A to, co widział, wyda-wało mu się niezachwianą jednością, nad którą panował tylko on.

— Co się stanie — zapytał kapitan przenikliwie — kiedy nasza bateria będzie walczyć z samolotami nieprzyjacielskimi, a w tym samym czasie nasze stanowisko ogniowe zostanie opanowane przez sabotażystów albo podobny motłoch?

Spojrzał przy tym, bez zbytej nadziei, na swoich obu oficerów. Milczeli. Hein popatrzył zachęcająco na Rungego. A ten powiedział natychmiast: — Podczas zestrzeliwania celów wysokościowych lekkie działa przejmują walkę na ziemi, wspierane przez eskadrę rozpoznawczą, obserwatorów i wartowników. Podczas ataku samolotów szturmowych do walki z sabotażystami przystępuje obsługa ciężkich dział i centralnego przyrządu do kierowania ogniem.

Kapitan skinął głową Rungemu — to była jego szkoła! Ten ogniomistrz wiedział, co to znaczy być bojowym żołnierzem — oni obaj to wiedzieli. Na tym można budować.

— Przećwiczymy to teraz — powiedział szef.

Najbliższe godziny zostały wypełnione ćwiczeniami. Żołnierze pograżyli się w mrówczej pracy.

— Telefon do pana kapitana! — zawołał jasny głos od strony boiska. — Był to głos Bergena. — Rozmowa została określona jako ważna.

— Kto? — zapytał Hein.

— Komendant miasta.

— Niech mu pan powie — oznajmił kapitan ostro brzmiącym głosem, który był wyraźnie słyszalny na całym terenie — że może mnie pocałować w dupę! I to dwukrotnie! Niech mu pan powtórzy dosłownie.

— Zdaje się, że to istne bagno! — stwierdziła pani doktor Werner-Weilheim. Jej pierś falowała. — Włos się człowiekowi jeży na to, co tu widzi!

— Taki zarzut muszę energicznie odeprzeć, łaskawa pani! — zawołał podoficer Forstmann. — Zwłaszcza jeśli idzie o moją osobę.

Asystentka profesora Magnusa wdarła się aż do kancelarii trzeciej baterii. Twarz miała zaczerwienioną, włosy w nieładzie, bluzka pod pachami była mokra od potu. — To bezczelność tak nas traktować!

Forstmann, broniąc się dzielnie, oświadczył: — Mnie proszę do tego nie mieszać, zwłaszcza że ja czy też moje biuro nie jesteśmy w tej sprawie kompetentni.

— Przywykłam już do różnych przykrości ze strony podobnych typów! — krzyczała Werner-Weilheim z niepohamowanym wzburzeniem. — Zdążyłam się zahartować. Wciąż sobie powtarzam: żyjemy w wielkich czasach, trzeba ponosić ofiary!

— Niech pani tak robi nadal, pani doktor, to godne uznania.

— Swoje uznanie może pan sobie... Chciałam powiedzieć: ofiary tak, ale tylko sensowne. Niech pan się na mnie tak głupio nie gapi, nie ma pan prawa. Właśnie pan powinien rozumieć moje motywy działania.

— Dlaczego właśnie ja?

— Ponieważ pan, panie Forstmann, o ile jestem do brze poinformowana, był przywódcą Hitlerjugend! I z pewnością jest pan z tego dumny!

— Tak — powiedział szybko Forstmann — można tak śmiało powiedzieć!

— No więc! Jeśli tak, to jest pan moim człowiekiem.

— Kim, proszę?

— Mówiąc „mój”, miałam na myśli znaczenie symboliczne — oświadczyła pani doktor, podchodząc do Forstmann, który stał, ciężko oddychając, oparty o szafę z dokumentami. — Apeluję do pańskiego wielkoniemieckiego poczucia lojalności.

— Jak mam to rozumieć?

— Całkiem prosto — zapewniła kobieta. — Pan wie, że przybyliśmy tu, że tak powiem, z polecenia partii. Mamy do spełnienia zadanie kulturalne niezwyklej wagi. Ale by je wykonać, musimy mieć odpowiednie warunki, a więc mieszkanie po zarządcy zamku. Przyzna pan chyba, że mamy prawo do dobrze funkcjonującej toalety, prawda?

— Oczywiście, że tak!

— Wobec tego musi nam pan pomóc. Jako towarzysz partyjny jest pan do tego zobowiązany. Czy też chce pan być podejrzany o to, że sprzyja założeniu burdelu?

— Niech Bóg broni, a raczej Führer! — zapewnił Forstmann uroczyście. — Ale skąd pani o tym wie? Chyba nie od gefrajtra Bergena?

— Ten przydzielony nam gefrajter Bergen nie cieszy się moim całkowitym uznaniem. Plecie nie na temat, uchyla się od odpowiedzi; to gaduła, jak większość mężczyzn. Chciałabym jednak wierzyć, że są tu wyjątki — na przykład pan. Czy mam rację?

— Staram się!

— Pragnę w to mocno wierzyć, polegam na panu. Niech mnie pan nie zawiedzie!

— Moje drogie, szanowne panie — oznajmił podoficer Softer, zaaferowany — wreszcie przyszła pora! Teraz mogą panie udowodnić, że nie pozostają w tyle pod względem gotowości bojowej, jaka cechuje naszą baterię, która jest jedną z najlepszych w Wielkich Niemczech!

Przed Sof terem, na czerwonej, obitej brokatem sofie, siedziały ciasno obok siebie trzy zaangażowane przez niego kobiety. Patrzyły nań ufnie. Interes to interes.

W środku Marie-Antoinette — olśniewająco propor-

cyjonalnie zbudowana, siedząca z naturalną prostotą, niczym w poczekalni kolejowej pierwszej klasy, jakby czekała na pociąg. Na prawo Margot — nieskończenie cierpliwa, ale cały czas gotowa do działania, o zamglonym spojrzeniu i powabnie naiwnej dziczykości. Na lewo Susanne — o okrągłych kształtach i biodrach jak u Renoira, ale z nieufnym, badawczym spojrzeniem paryskiej konsjerżki.

Za Softerem stał Neumann, podoficer sanitarny — tu w roli administratora domu. — Grupa operacyjna gotowa do startu! — zapewnił. — Stan zdrowia dam wzorowy. Własnoręcznie je zbadalem!

— Ten Neumann to stara świnia — stwierdziła Marie-Antoinette spokojnie. — Ale dlaczego ma nie być taki, skoro to się oplaca.

— Wyłącznie stara świnia! — zawołał przyjemnym głosem podoficer, którego nikt nie był w stanie obrazić. — Lecz ja spełniam tylko swój obowiązek.

— Przestańcie! — zawołał Softer, szczerząc zęby. — Tu chodzi przede wszystkim o konkretne świadczenia, które będą odpowiednio uhonorowane. Także pod (ym względem wszystko musi przebiegać prawidłowo!

— A więc czy należy nam się również tak zwany napiwek? — zapytała Marie-Antoinette uprzejmie.

— Niekiedy — oświadczyła Margot, lekko zawstydzona — wykonuję specjalne usługi, czasem ma to coś wspólnego z sympatią. Czy nic mi się za to nie należy? Chyba tak!

— Umowa jest umową — stwierdziła Susann rzeczowym tonem. — A proponowane ceny odpowiadają solidnym usługom. Tego trzeba się trzymać. Ja w każdym razie jestem gotowa się do tego dostosować. Nieprzypadkowo płynie we mnie nicemiecko-alszacka krew. To zobowiązuje w każdym razie.

;

— Widzę, moje panie, że się dogadamy — powiedział podoficer Sof ter. — I właśnie dlatego zapewniam was, że możecie liczyć na wszelką wspaniałomyślność z naszej strony. W końcu macie do czynienia ze zwycięzcami! O ile was znam, uczynicie wszystko, aby docenić nasze wzniosłe uczucia.

— Już z góry się cieszę! — zapewniła łagodnie Margot.

— Zakładam — powiedziała Susanne — że nasza gotowość będzie się pod każdym względem opłacała.

— A wracając do napiwków — Marie-Antoinette obstawiała uparcie przy swoim. — Jak z tym będzie?

Na co Softer oświadczył uspokajającym tonem: — Normalnie każdy gość będzie miał ze sobą bon wystawiony przeze mnie, podpisany przez podoficera Neumanna i honorowany przez Molla przez dwadzieścia cztery godziny. Standardowa usługa w ramach bonu: trzydzieści minut gotowości. Wszelkie wychodzące ponad to rzeczowe czy też finansowe dowody uznania będę uważał za prywatne sprawy szanownych pań.

Marie-Antoinette spontanicznie przesłała Softerowi ręką całusa. Margot uśmiechnęła się zadowolona, a Susanne energicznie skinęła głową z aprobatą.

— Za dobrą pracę godziwa płaca! — zawołał Softer z zapalem. — Przy czym szczególnie dziś wieczorem proszę o przekonującą gotowość, a wszystko całkowicie na mój koszt. Chodzi o coś w rodzaju pozyskania sympatii, o skuteczne usunięcie ewentualnych uprzedzeń. A więc do dzieła, dziewczęta!

— Czy przyjdą również oficerowie? Może ten kapitan?

— Niewykluczone — powiedział Softer, szczerząc zęby — wszystko może się zdarzyć. Ale nie wyobrażajmy sobie od razu najgorszego. Niech nasza przyjemność po-



zostanie jak najdłużej nie zmałona! Jednakże, moje panie, musicie być przygotowane, że u nas zawsze może się coś zdarzyć.

Kapitan wszedł do kancelarii swojej baterii. Ujrzał tam służalczego Forstmanna i kobietę o wyglądzie wal-kirii, czyli doktor Werner-Weilheim; zmrużył badawczo oczy na ich widok.

— Nic szczególnego, panie kapitanie! — zameldował Forstmann głośno i energicznie — przy czym jego głos przeszedł niemal w falset. — Obecnie rozmawiam z panią doktor Werner-Weilheim z grupy naukowców na tematy urzędowe i organizacyjne.

Kapitan uniósł nieco prawą rękę, obciążoną szarym zamszem; gest ów oznaczał: zamknij pan gębę! Po czym zwrócił się do doktor Werner-Weilheim i zmierzył ją wzrokiem — bez słowa, jak poprzednio.

— Czy mam przyjemność z kapitanem Heinem? — zapytała kobieta.

Ten skinął krótko głową i zaznaczył lekki ukłon. Jego twarz pozostała przy tym nieporuszona, ale oczy zaśniły, jakby znajdowały się w nich kryształki śniegu, na które padało światło słoneczne. I jak zwykle nie uznał za słuszne powiedzieć choć słowo.

— Panie kapitanie — oświadczyła kobieta twardo — czuję się zmuszona skorygować wzmiankę tego podoficera. W naszej rozmowie nie chodzi wcale o ogólne urzędowe sprawy, tylko o zasadnicze problemy, do których należy też kwestia moralności. My, to znaczy nasza grupa badawcza, mamy do wykonania specjalne zadanie, do czego niezbędne są w miarę normalne warunki mieszkaniowe. O tym, mam nadzieję, przekonałam tego podoficera.

— W zasadzie tak — przyznał Forstmann — ale oczywiście tylko w granicach naszych skromnych możliwości, tak to wyjaśniłem. Wygląda jednak na to, że warunki sanitarne w pawilonie można uznać za niemal katastrofalne.

Zamilkł pod ostrym spojrzeniem swego kapitana, który powoli, nie spuszczać wzroku z podoficera, zdjął swoją mysioszarą rękawiczkę. Następnie zwisającą swobodnie ręką klepnął się po udzie, po czym spojrzął, jakby z rosnącym zainteresowaniem — ale wciąż bez słowa — na Wer-ner-Weilheim.

— Panie kapitanie — powiedziała kobieta, oddychając z trudem i starając się nie omijać jego wzroku — tu chodzi nie tylko o warunki sanitarne! My nie jesteśmy szczególnie rozpieszczani, nie oczekujemy żadnych wyjątkowych przywilejów, chętnie dostosujemy się do trudnej sytuacji. Jednakże nie pozwolimy się z premedytacją krzywdzić! Nie pozwolimy, mówiąc bez ogródek, wyrugować się jakimś dziwkom!

Kapitan Hein uśmiechnął się znacząco i powiedział przeciągle: — Łaskawa pani! Prawdziwy to dla mnie zaszczyt poznać panią. Proszę pozwolić zaprosić się wraz ze współpracownikami na kolację. O ósmej, jeśli to pani odpowiada.

— Chyba nikt nie zechce się sprzeciwić w ostatniej chwili? — zapytał Softer, zatroskany. — Ale gdyby ktoś spróbował, temu dam kopniaka w dupę, nawet jeśli to będzie dupa oficera!

— Tylko bez paniki — powiedział Krüger. — Przecież wszystko przebiega jak najlepiej! A choć na pozór krętymi ścieżkami, i tak dojdziemy do wyznaczonego celu!

— Chciałbym mieć twoje nerwy! — zawołał Softer z uznaniem i zarazem energicznie. — Ty potrafisz zmusić

swoje stado do posłuszeństwa! Ale ten Forstmann to uparty baran!

— I na takiego znajdzie się sposób — powiedział Krüger. — Możemy go zaszlachtować, tylko jest jeszcze za mało tłusty. A więc musimy go utuczyc.

— Jeszcze bardziej niebezpieczny wydaje się Bergen. On najwidoczniej podburzył tę Werner-Weilheim przeciw mojemu pomysłowi. Ta świnia spiskuje podstępnie przeciwko naszemu burdelowi. I to skutecznie! Nie wyobrażam sobie, co to będzie, gdy ten krzykacz otrzyma kiedykolwiek pomoc, na przykład w osobie porucznika Mindera...

— Minder — oświadczył Krüger władczym tonem — nie ośmieli się na mnie szczekać; on będzie mi jadł z ręki, jeśli tego zażądam; zbyt wiele o nim wiem. A ten Forstmann to dupa — damy sobie z nim radę. Jeśli chodzi o Bergena, od początku czułem, że wymaga specjalnego traktowania. I będzie je miał.

— Dziękuję ci — powiedział Softer z wdzięcznością. — Chybabym się wściekł, gdyby dzieło mojego życia miało ulec zniszczeniu. Będę się przed tym bronił rękami i nogami, i wszelkimi innymi narządami, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Krüger roześmiał się na cały głos. — Nie wyjeżdżaj mi tu z takimi rzeczami, kolego. Twój burdel jest prawie pewny! Kapitan zajmuje się chwilowo tymi poszukiwaczami szkieletów, ale to tylko manewr wymijający. Co się tyczy Forstmanna, jemu w gruncie rzeczy chodzi tylko o to, aby się pieprzyć! Jeżeli będzie robił trudności, to szybciej znajdzie się w Darmstadt. I ty się o to postarasz.

Softer był oczywiście gotów do tego. Poczynił już nawet odpowiednie kroki. Zaprosił do siebie grupę zaufanych kolegów i przyjął ich pośród otwartych butelek.

Nalał wszystkim wspaniałomyślnie, po czym oświadczył:

— Drodzy koledzy, dziś mamy wielki dzień, ewentualnie wielką noc. Jestem pewien, że jeszcze po latach niejedną będzie ją z przyjemnością wspominał.

— Co stało się możliwe dopiero dzięki mojej wspaniałomyślności — powiedział Arm. — Gdyby nie to, że dałem do dyspozycji mój pawilon, to monstrum, ta Werner-Weiheim, panoszyłaby się teraz w twoim wymarzonej burdelu.

— Ale dobry Bóg ustrzegł nas od tego, albo nasz drogi Führer, albo nasz czcigodny kapitan Hein! — Softer żartował wesoło, uroczyste otwarcie domu wydawało się pewne. — W każdym razie zasłużyłeś się, kolego Arm, dla naszej baterii. I dlatego należy ci się specjalny numer na otwarcie naszego zakładu. Najlepsza klacz ze stajni, Marie-Antoinette, jest do twojej dyspozycji.

— Serdecznie dziękuję — oświadczył szef transportu, wyraźnie pochlebiony — przy czym pochylił się i skromnie uniósł ręce w geście obrony. — Ale wiem, co się komu należy, zostawiam więc pierwszeństwo Krügerowi.

— Mój drogi — odpowiedział na to Krüger koleżeńskim tonem — to świetnie pomyślane, ale niekonieczne. Ja tu jestem, choć tylko pośrednio, kimś w rodzaju gospodarza, a ty, że tak powiem, najwyższym rangą honorowym gościem.

— Jeśli tak na to patrzeć — oświadczył Arm wstając — to przyjmuję z wdzięcznością propozycję dokonania uroczystego otwarcia zakładu.

— Jako dalsi uczestnicy uroczystości — oznajmił Softer donośnym głosem — przewidziani są: podoficer Kamiński — kierowca szefa, a jednocześnie, by tak rzec, jego zastępca. Dla niego zarezerwowana jest pani Margot.

— Wspaniale! — przyklasnął Kamiński, jak zwykle oszczędny w słowach.

— Następnie: nasz kolega Forstmann! Ten pocałuje na Susanne.

— Dziękuję — powiedział Forstmann. — Ale z powodów światopoglądowych nie przywiążę do tego wagi.

— Coś ty, coś ty! — zawołał Softer. — Chyba nie chcesz nam psuć zabawy?

— To wygląda niemal tak, jakby on chciał wystąpić z naszej koleżeńskej wspólnoty — powiedział z wyrzutem księgowy Moll. — I to w sytuacji, kiedy ta sprawa nic go nie kosztuje. To jest po prostu pogardzanie gościnnością, a więc nie po germańsku.

— To po prostu idiotyzm! — powiedział Arm z pogardą. — Wygląda na to, że on nie może, co uważam za całkiem prawdopodobne.

— Wypraszam sobie tego rodzaju insynuacje!

— To udowodnij, że jest inaczej — okazja jest sprzyjająca.

— Tu chodzi wyłącznie o moje zasady! — zawołał Forstmann.

— Tylko że na razie jeszcze ja określam na moim terenie, co się przez to rozumie — włączył się Krüger spokojnie. — Czy też ma pan wątpliwości, Forstmann? Uważałbym to nawet za obrazę naszego kręgu koleżeńskega. Czy chce pan koniecznie do tego doprowadzić? Człowieku, przecież my obaj siedzimy na zmianę przy tym samym biurku, a to musi przecież jakoś oddziaływać.

— No już dobrze — wyjąkał Forstmann. — Jeśli się przy tym upieracie.

— Albo dobrowolnie, albo wcale, ale wtedy koniec!

— Wobec tego zgłaszam się na ochotnika.

— A więc nie ma sprawy! — Softer klasnął w dłonie, a zebrani wyszczerzyli zęby. — Droga wolna, koledzy!

— Moi drodzy państwo! — kapitan Hein powiedział to tak mechanicznie, jakby się wyuczył na pamięć. Nie patrzył przy tym na nikogo. Jego poważna twarz promieniała anielsko w blasku świec. — Dziękuję wam za przybycie i cieszę się, że jesteście gotowi spożywać wraz ze mną tę kolację. Życzę wam smacznego. A teraz proszę o zakąski.

Hein siedział, jak zwykle, na swoim ulubionym miejscu u szczytu długiego stołu w sali bankietowej. Po jego lewej stronie stały dwa siedmioramienne świeczniki, przed każdym z gości również stał świecznik. Kapitan przywdział swój galowy mundur — ciemny błękit, czerwona „mewka”, śnieżnobiała koszula. Uśmiechał się bez przerwy.

Po jego prawej ręce, choć w odległości niemal trzech metrów, siedziała doktor Werner-Weilheim w ciemnobrązowej jedwabnej sukni z białym kołnierzykiem. Na powitanie kapitan pocałował ją szarmancko w rękę, na co ona poczerwieniała i przez dłuższy czas trwała w milczeniu. Z lewej strony, naprzeciw niej, siedziała Elisabeth Erdmann, z prawie wylewającym się biustem, bezwstydnie się przeciągająca, w letniej sukni koloru maku. Profesor Magnus natomiast był ubrany na czarno; siedział w drugim wąskim końcu stołu — wyglądał, jakby miał za chwilę zasnąć.

— Moi drodzy państwo! — powiedział nagle kapitan Hein, również i tym razem delikatnym, niemal śpiewnym głosem. — Jestem tu zmuszony do reprezentowania. Moje serce jest zupełnie gdzie indziej. Podczas kampanii polskiej dzieliłem z moimi żołnierzami skromny razowy chleb. To znacznie bardziej odpowiadał mojemu usposobieniu. Ale jestem gotów dostosować się do potrzeby chwili. W końcu odnieśliśmy bezprecedensowe zwycięstwa, a to zobowiązuje... — zamilkł tak nagle, jak zaczął.

Na zakąskę podano kawior, homary, langusty i ślimaki. Wszystko na owalnych srebrnych półmiskach. Schubert obsługiwał wyłącznie swego kapitana — w przerwach stał za jego krzesłem. Gośćmi zajmował się gefrajter Bergen, którego zaproponował Schubert. Sof ter obficie wypełnił korowód potraw szlachetnymi francuskimi przysmakami — przyrządził je z wielogodzinnym wysiłkiem szef kuchni wypożyczony z Hotel de France.

Po zakąskach wniesiono kolejne danie: kluski rybne ze szczupaka w sosie śmietanowym z pieczarkami i smardzami. Następnie, jako kulinaryny punkt szczytowy, główne danie: kaczkę z pomarańczami i do wyboru kurczę w burgundzie lub gołąbki w koniaku. Goście wybierali starannie i jedli w skupieniu. Hein obserwował ich w milczeniu.

Długowłosa, o gładkiej skórze, pulchna Elisabeth Erdmann z rosnącym zainteresowaniem obserwowała służącego Heina, pięknego Schuberta. Doktor Werner-Weilheim prawie nie spuszczała swoich krowich oczu z kapitana, który zwłaszcza po pocałowaniu jej w rękę został uznany za godnego szacunku. Profesor Magnus zdawał się budzić ze swego półsnu. Wreszcie powiedział: — Prawdziwie królewska uczta, panie kapitanie, jakby stworzona dla tego miejsca.

— Dla tego miejsca? — zapytał kapitan, lekko zdumiony. — Co pan ma na myśli?

— Tu, w kaplicy, spoczywają stulecia historii Francji.

— Właśnie tu? — zapytał Hein, nadal zainteresowany. — W tych zwietrzałych kamiennych skrzyniach? — Czy pan tylko tak przypuszcza, czy jest pan tego pewien?

— Jestem absolutnie pewien. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Do tego miejsca przybywała w ciągu wieków elita pełnej chwały Francji, aby dokonać swego żywota.

— My również jesteśmy elitą, czyż nie? — powiedział Hein.

— Ale tamta tworzyła historię.

— Historię, którą odkreślił mi grubą kreską — oświadczył Hein. — I to raz na zawsze.

— Bardzo słusznie! Brawo! — przytaknęła Werner-Weilheim spontanicznie. — Pan jasno pojął, panie kapitanie, o co tu w istocie chodzi. O niepowtarzalny proces dziejowy. O historyczne wydarzenie, które nam wreszcie zapewni zasłużone od stuleci pierwsze miejsce w Europie.

— Widzę, że się rozumiemy, łaskawa pani. — Kapitan powiedział to uroczyście, podnosząc swój kieliszek w kierunku pani doktor. — Za owocną współpracę!

Elisabeth Erdmann ziewała bezwstydnie; przeciągała się tak, że wydawało się, iż biust jej wyskoczy — cały czas jednak patrzyła na Schuberta, stojącego za kapitanem Heinem, jak na smakowity deser. Podniosła rękę i skinęła na niego, ale Schubert stał uparcie na swoim miejscu i starał się jej nie dostrzegać.

Zamiast niego zjawił się czujny Bergen i podał dziewczynie pieczarki. Skłonił się przy tym nisko. Elisabeth mrugnęła na niego, ale gefrajter uznał za stosowne nie odpowiedzieć. Kapitan patrzył gdzieś w dal jak urzeczony, a Werner-Weilheim wpatrywała się w niego, jakby rozkoszowała się zachwycającym przeżyciem.

Hein zapytał: — Stulecia chwały Francji tu, w tych murach? Czy to możliwe?

— W tych murach! — zapewnił profesor Magnus, a jego siwe włosy lśniły w blasku świec. — Na niewielkiej przestrzeni. Niezwykłe ludzkie tragedie, triumfy, śmierć i zwycięstwo, sława i przemijanie — niczego nie brakuje! Przybywali owi bohaterowie do tego miejsca, kiedy poczuli, że nieuchronnie zbliża się koniec. Wśród nich\*



prześladowani królowie, żądni władzy książe, dostojnicy Kościoła w chwale oraz nawykli do zwycięstw wodzowie.

— Wodzowie też? — zapytał kapitan. — Bohaterowie?

Profesor Magnus, szef grupy naukowej, skinął głową zamyślony. Uchodził on za wielki autorytet w dziedzinie historii Francji siedemnastego i osiemnastego wieku. Jednocześnie w Niemczech dwudziestego wieku był uważany za podejrzanego liberała. Nie potrafił bowiem w porę dostrzec niepostrzeżonego wzrostu wielkogermańskich wartości. I właśnie dlatego nie działał ani w Paryżu, ani w Orleanie, ani w Fontainebleau, tylko został wypchnięty do D. Z tego powodu jego wyjątkowe zamiłowanie do historycznych żartów wcale nie osłabło, jak można się było teraz przekonać.

— W każdym razie — zapewnił profesor, wachając ze znawstwem podsuniętą mu przez Bergena tacę z serami — przebywał tu wyjątkowy geniusz wojenny — Charles Louis, książę Orleanu.

— A więc Karl Ludwig! — kapitan powiedział to bardzo ostrożnie. Następnie wyznał cicho a dobitnie: —To są także moje imiona.

— Co za wspaniały przypadek — wykrzyknęła Werner-Weilheim z zachwytem.

— To wcale nic musiał być tylko przypadek — powiedział Magnus w zamyśleniu.

— Zgadza się z panem! — potwierdziła Werner-Weilheim skwapliwie.

Kapitan obdarzył ją znów długim, wdzięcznym, wyrażającym uznanie spojrzeniem, na co pani doktor znów poczerwieniała. Schubert ponownie napełnił kieliszek Heina, a Bergen w tym czasie pochylił się nisko nad Elisabeth Lrdmann.

Profesor Magnus dzielił na kawałki swój ser — z szesnastu gatunków wybrał roztopiający się camembert, do tego rożek brie i dwa plasterki roqueforta. Uśmiechał się przy tym — robił wrażenie skoncentrowanego wyłącznie na serze.

Wykładał jednak dalej: — Charles Louis, książę Orleanu, był podczas stuletniej wojny przeciwko Anglii jedną z najbardziej niezwykłych postaci na tym kontynencie. Nie bał się ani Boga, ani diabła, jak to się mówi. Gardząc śmiercią, stawał przeciw wszelkiej przemocy!

— Czy zmarł śmiercią bohatera? — zapytał Hein.

— Trumna z jego inicjałami stoi w kaplicy, ale wieść gminna niesie, że ów książę kiedyś wróci. Aby stworzyć wielką zachodnią Rzeszę.

— Rozumiem to — wyznał Hein. — Jest to odwieczny mit nieśmiertelnego bohatera.

— Pańskie wyjątkowe wyczucie tego, co istotne, nic ma równego sobie — zapewniła Werner-Weilheim z hamowaną serdecznością. — W czasach takich jak nasze głównie od tego wiele zależy.

Kapitan wstał, obszedł stół, zbliżył się do pani doktor, stanął przed nią i popatrzył z uznaniem. Po czym ujął jej dłoń i ucałował. Następnie powiedział: — Dopóki istnieją takie niemieckie kobiety jak pani, wszelkie niedostatki mają sens! Dziękuję pani!

— To ja powinnam panu podziękować! — zapewniła Werner-Weilheim. — Pan należy jeszcze do tych, którzy wiedzą, w jakiej mierze historia zobowiązuje!

— Właśnie to, i tylko to się praktykuje — tu, na moim podwórku. Każdego dnia! Nic innego. Cały czas się o to staram. Inaczej nie mógłbym oddychać tym powietrzem.

— Jestem Susanne — powiedziała pulchna osóbką zapraszająco. — Jak pan sobie *życzy*?

— Co takiego? — zapytał Forstmann uprzejmie.

— To, po co pan tu przyszedł!

Podoficer Forstmann zjawił się w mieszkaniu po zarządcy zamku, przyprowadzony gorliwie przez Neumanna. Ujrzał szerokie łóżko i stojącą przed nim uderzająco kobiecą istotę, która przedstawiła mu się jako Susanne.

Starał się na nią nie patrzeć. Jego oczy skierowały się na bok i dostrzegały po kolei: umywalkę, na niej porcelanową miskę pełną wody. Tuż obok, rozpostarte starannie na oparciu krzesła, dwa świeżo uprane ręczniki — do tego mydło, również dwa kawałki: jeden jasnoniebieski, drugi różowy. A więc, stwierdził, wszystko jak najlepiej zorganizowane.

— Ale to nie jest konieczne — wykrztusił Forstmann z trudem.

— Nie podobam się panu? — zapytała Susanne, zdumiona. — To nieprawdopodobne!

— Co to, to nie — zapewnił podoficer, a zabrzmiało to bardzo szczerze. Ujrzał przy tym stołeczek obok łóżka, na którym leżały części damskiej garderoby: suknia, halka, biustonosz. A więc Susanne, tak przypuszczał Forstmann, miała na sobie tylko majtki. Przekonał się o tym jednym szybkim spojrzeniem — istotnie tak było. I powiedział: — Pani jest bardzo ładna.

— Dlaczego więc pan do mnie nie podejdzie? — Susanne powiedziała to z zapalem. — Pan również mi się podoba.

— Naprawdę? — zapytał podoficer uradowany, ale nie poruszył się. — Nie chciałbym pani niepotrzebnie fatygować. Dla zasady.

— A jakaż to zasada?

Forstmann machał rękami, jakby wiosłował. Starał się

opanovać. Widział przed sobą leżącą pośrodku szerokiego łóżka kobietę, uśmiechała się do niego. Niemal pospiesznie wykrztusił: — Musi pani wiedzieć, że jestem człowiekiem z przekonania — z przekonania niemieckim człowiekiem!

— Rozumiem to — zapewniła Susanne ochoczo — pojejdź bliżej!

— Nie! — zawołał Forstmann, broniąc się gwałtownie. — To nie jest takie proste, przynajmniej dla mnie! Ale ty nic na tym nie stracisz, otrzymasz, co ci się należy, dam ci też chętnie coś ekstra. Musisz tylko potem powiedzieć: wszystko odbyło się, jak należy.

— Ale dlaczego nie chcesz? — Susanne uśmiechała się do niego. — Bo twoje serce nie jest zaangażowane? Dlaczego „nie”? W gruncie rzeczy jestem przecież taka sama jak ty, czuję tak, jak ty czujesz. Przekonasz się o tym.

Forstmann zbliżał się do niej, jakby przyciągany magiczną siłą. Pochylił się nad dziewczyną, po czym oświadczył: — U mnie wszystko musi być jak najbardziej poprawnie — rozumiesz: właśnie po niemiecku!

— Komu ty to mówisz! — wykrzyknęła Susanne, przyciągając go do siebie i obejmując. — Ja również myślę tak jak ty, pochodzę przecież z Alzacji.

— A więc stąd ten twój dobry niemiecki! To wiele upraszcza. I mówisz prawdę?

— Sam się przekonaj.

Forstmann pochylił się nad nią i powiedział: — A więc myślisz po niemiecku i robisz coś takiego? Nie wstyd ci?

— Dlaczego mam się wstydzić, jeśli to robię z tobą?

— Ale także z innymi!

— Lecz oni są, tak jak ty, niemieckimi mężczyznami. — Susanne uśmiechnęła się do niego. — Żyjemy w wielkich czasach, ale dlaczego nie mogą to być także dobre czasy? Dla ludzi takich jak ty i ja! Chodzi przecież tylko o

to, aby każdy na swój sposób i na swoim miejscu był gotów do działania!

— Jakie to wspaniałe, że my się tak dobrze rozumiemy! — zawołał Forstmann, poruszając się w niej.

— Teraz — jęknęła Susanne — gotowa jestem krzyknąć: Heil Hitler!

— To krzycz!

I dziewczyna krzyknęła.

Uszczęśliwiło go to do głębi. Opadł bezsilny na jej ciało i leżał tak jakiś czas. Po czym mruknął: — Przekonałaś mnie.

— Istota historii polega na tym, aby się z czasem wtopić w naszą rzeczywistość — powiedział kapitan Hein w sali bankietowej podczas deseru.

— Tak też się dzieje, szczególnie tu — oświadczył śmiało profesor Magnus. — Albowiem tu, w D., jestem o tym przekonany, spotykają się duchy. A po co? Aby się rozejść? Aby się zjednoczyć?

Doktor Werner-Weilheim uśmiechnęła się do Heina. Powiedziała łagodnie: — Nawet jeśli tutaj wydarzyły się niesłychane rzeczy, co jednak wprawdzie musi zostać udowodnione, to czy były one istotnie takie ważne? Wobec tego wszystkiego, co w tych dniach dzieje się z nami?

— To prawda! — potwierdził Hein. — Bo chyba znajdujemy się na największej, ze wszystkich dotychczasowych, arenie dziejów.

Dał znak Schubertowi, aby napełnił jego kieliszek. Podczas gdy ten nalewał, panna Erdmann mierzyła pożądliwym wzrokiem to jego, to Bergena. Profesora, kapitana i panią doktor omijała. Następnie popatrzyła, lekko zmrużwszy oczy, na obraz, na którym namalowana śmierć miała pośrodku oczodołów dwie dziury po strzałach.

— Niech pani się nie da zwieść — szepnął gefrajter Bergen — tu chodzi o świeżą krew, nie o stare olejne farby.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. — Skąd pan wie, co mnie naprawdę interesuje? — zapytała również szeptem, z niewyraźnym uśmiechem.

Tymczasem pani doktor podniosła się, zwracając powszechną uwagę, przypuszczalnie uskrzydłona trzydziestoletnim koniakiem, którego już trzykrotnie kazała sobie nalać. Wyciągnęła swój kieliszek w kierunku Heina i powiedziała uszczęśliwiona: — Że też są jeszcze tacy ludzie jak pan!

— A są — odparł kapitan. Po czym wstał, nieco zdziwiony, ale opanowany, i skłonił się.

A Werner-Weilheim zawołała niemal uroczyście: — Co za szczęśliwy traf!

— Również dla mnie! — zapewnił pospiesznie profesor Magnus, także wstając. — Pan bowiem, panie kapitanie, pojął sens historii, która w istocie tylko wówczas ma wartość, kiedy przenika do teraźniejszości.

— To, co się tu dzieje — powiedział Hein — w naszych Niemczech, musi być i będzie punktem szczytowym oraz spełnieniem wielowiekowej historii!

— Jak w soczewce skupiają się tu najwspanialsze postacie naszego Zachodu! — zawołał profesor. — Takie jak Herman Cherusek, Karol Wielki, Goethe, oczywiście Hitler, ale także księżę Orleanu — o imionach Charles Louis!

— Wypijmy za to! — powiedział kapitan Karl Ludwig Hein, zachwiawszy się lekko przez ułamek sekundy. Trzymał jednak mocno kieliszek w dłoni, wyciągniętej w kierunku pani doktor Werner-Weilheim i profesora Magnusa. — Urodziliśmy się po to, aby przetrwać!

Magnus opadł na krzesło, był niezmiernie zadowolony

i uśmiechał się w przestrzeń. Niemal szczęśliwy, powiedział: — Jakież możliwości otwierają się przed nami, moi państwo! Wykorzystajmy to!

— No i jak było? — zapytał Krüger z ciekawością. — Czy przesadzaliśmy obaj z Softerem, mówiąc, że każdy wyjdzie na swoje?

Krüger rozsiadł się w gronie kolegów w tak zwanym salonie w mieszkaniu po byłym zarządcy zamku. Softer dostarczył najlepszego piwa z beczki. Panował bardzo dobry nastrój. Pytanie Krügera było skierowane do Arma, który jako pierwszy zapisał się do dam. — Dobrze obsłużony?

— Pierwsza klasa! — zapewnił specjalista od pojazdów ciężarowych, siadając wśród kolegów i sięgając po kufel piwa. — Wszystko w najlepszym porządku. Dama godna polecenia. Mówiąc krótko: najwyższa jakość!

Jako drugi zjawiał się podoficer Kamiński. Przeciągnął się bez słowa, skinął głową, następnie sięgnął po podsunięty mu przez Softera kieliszek koniaku; wzmocnił się nieco, a potem popił piwem. Dopiero po uporczywym wypytywaniu, jak było u Margot, oświadczył krótko: — Udało się!

I zaraz potem, po dalszym naciskaniu, nic mniej lapi-darnie dodał: — W stu procentach!

W ten sposób, jak na Kaminskigo, zostało powiedziane wszystko.

Później przyszedł Forstmann. Koledzy powitali go radosnymi okrzykami. Podnieśli w górę kieliszki, aby wypić za jego zdrowie. Było mu to chyba pilnie potrzebne, gdyż padł błądy i jakby bez sił na najbliższe krzesło.

— Czyżby to Susanne tak cię załatwiła? — spytał Softer.

— Człowieku! — jęknął Forstmann. — Co za klasa! Nie wyobrażałem sobie tego w najśmielszych snach! A w momencie szczytowym zawołała: „Heil Hitler!”

— Koledzy, że też coś takiego jest możliwe! — wykrzyknął Softer.

A Forstmann powiedział z przekonaniem: — To są znaki nowych czasów.

### ***Przerywnik trzeci***

***Wyznania doktor Werner-Weilheim,  
obecnie zatrudnionej w Ministerstwie  
Kultury  
Republiki Federalnej Niemiec.  
Specjalność: ochrona zabytków***

„Za pozwoleniem! Wcale nie wielbiłam tego kapitana Heina, jak się niekiedy twierdzi. A już absolutnie nie byłam mu w żaden sposób poddana — poza tym nigdy nie doszło między nami do poufalości, a tym bardziej do intymności.

Mogły wszakże powstać pozory, że kapitan Hein mnie pociągał — jednak w żadnym razie nie jako mężczyzna! Staralam się widzieć go w szerszej perspektywie historycznej. Był on dla mnie przede wszystkim cennym świadkiem współczesnych dziejów — aż do późniejszych tragicznych zdarzeń wokół jego osoby.

Nic chcę twierdzić wprost, że miał w tym swój udział, choć raczej pośrednio, mój ówczesny przełożony, profesor Magnus; nie uważam tego jednak za całkiem wykluczone.

Konstrukcja zbudowana z rzekomych zdarzeń historycznych z udziałem księcia Charlesa Louisa Orleańskiego od początku wydawała mi się słaba, choć nie od razu uda-



ło mi się ją do końca przejrzeć. Chodziło przecież o dziedzinę, w której profesor Magnus uchodził za uznany międzynarodowy autorytet. Nie można było przewidzieć, że mógłby nadużyć swej uczciwie wywalczonej sławy.

Miałam dość okazji, aby poznać bliżej kapitana Heina. Mogę zapewnić o jednym: był to dżentelmen ze starej, dobrej szkoły — powściągliwy, o nienagannych manierach, w każdym razie wobec mnie. A poza tym jakby otoczony dostojną samotnością. Stąd być może jego wypadek, sprawiający wprost antyczne wrażenie — jak gdyby kapitan był zniewolony przez pełne nienawiści, złe, podstępne karły.

Nie dziwi mnie, że dzisiaj coś takiego może być całkowicie błędnie interpretowane, lekkomyślnie i po literacku, przez niektórych ludzi z kręgu Freuda i spółki. Żyjemy w końcu w godnych pożałowania, ubogich w tradycję czasach, o których można powiedzieć: nie istnieje pomnik, który by nic znalazł swego burzyciela! I to wręcz z żądzą samobójstwa!"

***Zamiast dalszych informacji  
fragmenty z dawnej poczty polowej —  
tu z listów ówczesnego ogniomistrza  
Rungego***

**List pierwszy**

„(...) mój kapitan Hein mówił do mnie: «Przede wszystkim świadomość własnej wielkości! A to opiera się na czynach! Skutek tego to umiejętność stawiania niepodważalnych żądań. Rezultat końcowy: objawiający się talent przywódczy\*».

„(...) Dalej kapitan Hein mówił: «Poza tym wymagam absolutnego zaufania. Zasłużeni żołnierze, tacy jak pan,

wiedzą to. Zostało to wśród nas z najlepszym skutkiem przeciwiczone»".

„(...) coś takiego musi przynieść przekonujące rezultaty! Kiedy mój kapitan otrzymał Żelazny Krzyż pierwszej klasy, ja byłem pewny Żelaznego Krzyża drugiej klasy. Teraz on jest kandydatem do Krzyża Rycerskiego (...)"

### ***List drugi***

„(...) żyjemy tu, po uznanych wielkich czynach, wciąż w oczekiwaniu jeszcze większych! «Najważniejsza rzecz to być gotowym!» — mówi mój kapitan Hein. Co w praktyce oznacza niustanną, żmudną pracę, przed czym nie wzdragały się przywódcze jednostki.

«Albowiem liczni głupcy, z którymi nieuchronnie mamy do czynienia, nie potrafią oczywiście dostrzec, że są wyznaczeni do uczestnictwa w tworzeniu ważnego rozdziału historii» — mówi mój kapitan Hein. To się zgadza — jak wszystko, co on mówi.

Ja również to dostrzegłem: ci głupcy pragną tylko napchać sobie kałdun. A kiedy się ich pogoni, dąsają się, chcieliby tylko wyrzekać na francuskim słońcu swoje coraz grubsze tyłki. Te nędzne świny są jak upojeni zwycięstwem, niezwycześni półcywile, oficerowie wystawieni na wojnę, nie wyłączając, niestety (...)"

### ***List trzeci***

„(...) chodzi o zachowanie wywalczonych wielkich wartości, dlatego nie możemy być drobiazgowi. Przy czym stale jesteśmy prowokowani, na przykład przez francuską ludność cywilną. Oni nie potrafią docenić naszej wspaniałomyślności. Szczerzą na nas zęby, namawiają się za na-

szymi plecami. Można się po nich spodziewać wszelkich podstępnych działań sabotażowych (...)"

„(...) uderzyłem jednego, który nam wymyślał, we wrzaskliwą gębę. Porucznik Minder to skrytykował, choć ostrożnie. Aż kiedyś nakryliśmy pewnego Francuza w jego mieszkaniu i znaleźliśmy tam broń i skrzynię amunicji. Strzeliłem do niego w obronie własnej, zanim on zdążył do mnie wycelować. Potem jego dom został zrównany z ziemią. W końcu nie możemy na wszystko patrzeć przez palce!

Sam porucznik Minder musiał się wreszcie z tym zgodzić — dokładnie poinformowany przeze mnie i kolegę Krügera. Nie mówiąc już o podporuczniku Helmreichu, który się wprawdzie stara, ale to beznadziejny przypadek. On szuka tylko baby, na którą mógłby wleźć! Mój kapitan patrzy na to tylko z pogardą. Nie ma zrozumienia dla wszelkich kreatur. Ja również nie. Dlatego tak się dobrze rozumiemy".

***Pierwsze wyznanie  
niejakiego Tina Hillera, wówczas  
podoficera,  
obecnie głównego konstruktora  
w fabryce samochodów  
w południowych Niemczech***

„Czy to wszystko istotnie się zdarzyło? Czy istotnie dręczące koszmary senne należą do naszej codziennej rzeczywistości?

Dziś wydaje mi się, jak gdyby wszystko, co się wówczas stało albo mogłoby się stać, cofnęło się za czerwoną mgłą w bardzo odległą, nierealną przeszłość.

A może to tylko ja nie chcę sobie nic więcej przypomnieć? Można by to określić jako kompleks przytłu-

mionej świadomości, ale kto wówczas wiedział coś o Freudzie?

Mam być w miarę obiektywny? Jak pan to sobie wyobraża, mój drogi? Może tak? Po pierwsze: ogniomistrz Arm — patrząc obiektywnie — dobry organizator, człowiek przyzwoity, sentymentalny — jak kto woli! Wódz całą gębą. Wspaniały egzemplarz!

Ale teraz niech mi pan pozwoli być subiektywnym! W tym wypadku powiedziałbym: bezwzględny kombinator, myślący zawsze o własnych korzyściach, świnia, która pod wpływem wzruszenia — zwłaszcza jeśli to wzruszenie dotyczy jego — zaraz robi w portki, do tego jeszcze pies na ludzi; «małpie zabawy» Arma z drużyną wydaną na jego pastwę to było najobrzydliwsze znęcanie się. A więc łajno! Ale cóż było robić?

Czy ten Krüger był podstępny świnia, czy też zależało mu przede wszystkim na zabezpieczeniu interesów «jego» trzeciej baterii?

A Softer? Czy robił tylko ciemne interesy, czy też zasłużył się wybitnie na polu organizowania wolnego czasu naszych żołnierzy?

I dalej — Forstmann: czy był to tylko tępy szarlatan, czy godny pożałowania idealista?

Mój drogi, jak pan może przypuszczać, że ja takie sprawy nawet obecnie potrafię ocenić całkowicie bez zarzutu?

A teraz niech mi pan tylko nie wyjeżdża z Bergenem! Cóż ja mogę o nim sądzić? Czy był to wyjątkowo przebiegły podlec, czy też niezwykle głupiec? Targany melancholią dziwak, czy nie zrozumiany przyjaciel ludzi? Jeśli się patrzy obiektywnie, był on człowiekiem nieprzeniknionym.

Nakłoniony do subiektywności, ulegam pokusie i stwierdzam, co następuje: Bergen prawdopodobnie od

początku dobrze wiedział, czego chce. Budziło to w nim wstręt, dławił się tym. Ale nie do końca!

Czy to wszystko, co pan chciał, abym potwierdził? Szczególnie wiele tego nie ma. Co pan zamierza z tym począć? W dodatku w czasie, który jeszcze nie uporał się z przeszłością.

A jednak: niech żyją Niemcy! Choć są to Niemcy, w których smród trupów wciąż jeszcze sięga do nieba — jakby po wieczne czasy! Tylko czy ktokolwiek z nas chce to przyjąć do wiadomości?"

***Wielka była udręka owych dni —  
mato kto jednak chciał to przyznać***

— Myślałam o tym! — oświadczyła doktor Werner-Weilheim.

— Bardzo mnie to cieszy! — zapewnił Forstmann ostrożnie. — Takie coś nigdy nic zaszkodzi, zakładając, że myśli się właściwie.

Poproszono Forstmanna do tak zwanej pracowni w pawilonie. Na ścianach wisiały pierwsze szkice, przedstawiające plany kaplicy: przekrój poprzeczny, od strony północnej, od strony południowej, od frontu, od tyłu. Wykonane przez profesora Magnusa. Wśród nich rysunek szaty w purpurowych i złotych barwach, obramowanej błękitem.

— Co to takiego? — zapytał Forstmann, zdumiony.

Werner-Weilheim była skłonna udzielić wyjaśnień podoficerowi — tego pięknego poranka wydawała się łagodna. — To robi wrażenie, prawda? Można by sądzić, że chodzi o królewski płaszcz koronacyjny, ale był to jedynie szlafrok księcia orleańskiego, niejakiego Charlesa Louisa. To ja zrobiłam ten rysunek według wskazówek profesora Magnusa.

— Wspaniały! — przyznał Forstmann ochoczo. — Pierwsza klasa! Po prostu imponujące! — Nie mógł jednak całkiem ukryć swego niepokoju. — Czy dlatego pani

kazała mi tu przyjść, aby mi to powiedzieć? Czy też zamierza pani zdradzić, o czym pani myślała? A więc o czym?

— O pańskim kapitanie.

Forstmann usiadł, nie proszony, na najbliższej stojącej skrzyni. Z tego miejsca przyglądał się Werner-Weilheim, jakby miał przed sobą coś w rodzaju świętej krowy — nie miał pojęcia, jak należy się z nią obchodzić. Pamiętał tylko, że zawsze wszystkowiedzący Krüger ubiegłej nocy dał hasło: z tymi naukowcami trzeba się obchodzić jak z jankiem.

— No dobrze — powiedział ostrożnie. — Myślała pani o moim kapitanie. I co z tego wynikło, jeśli wolno zapytać?

— Wszystko, co najlepsze, oczywiście! — Werner-Weilheim usiadła obok Forstinanna; poczuł jej ciało, ciepło ramion i bioder, ale się nic odsunął, nic mógł tego zrobić, bo spadłby ze skrzyni. Kobieta mówiła dalej: — Ten Hein jest nadzwyczaj szlachetnym człowiekiem, o szerokich horyzontach i wspaniałym charakterze.

— To prawda.

Pani doktor potrząsnęła głową tak energicznie, że skrzynia, na której siedzieli, zachwiała się. Oboje więc przysunęli się jeszcze bliżej siebie. Forstmann był cały spocony.

— Pan kapitan jest zbyt szlachetny — oświadczyła kobieta — aby się zajmować takimi żalonymi i wstrętnymi drobiazgami, to znaczy negatywnymi zjawiskami ubocznymi na swoim terenie. Musimy to przejąć od niego.

— Dlaczego my?

— Jeśli nie my, panie Forstmann, to kto? — Pocili się teraz oboje. — Tu chodzi o obowiązki wyższej rangi. Czy mamy się od nich uchylić?

— Z pewnością nie, pani doktor. Ale jak pani to sobie wyobraża w szczegółach?

— Kapitan po prostu nie jest w stanie załatwić wszystkiego, co na niego spada. Aby sprostać zadaniom, musi mieć pomocników, na których może absolutnie polegać! Właśnie na tym polu widzę nasze specjalne wspólne działanie, drogi panie Forstmann. Czy pan też tak uważa?

— Co pani ma na myśli?

— Chodzi mi o ten żaloszny burdel, który jacyś ludzie tu w pośpiechu zorganizowali. Mam nieprzeparte wrażenie, iż kapitan Hein tylko dlatego nie wypowiedział się w tej sprawie, że zajmowanie stanowiska, choćby jednym słowem, byłoby po prostu poniżej jego godności.

— Pani pozwoli — powiedział Forstmann z rezerwą — że wyjaśnię całą sprawę. Projekt ten został panu kapitanowi przedłożony we właściwym czasie i kapitan nie wyraził żadnych wątpliwości.

— Ponieważ nie chciał sobie brudzić rąk. Uchylił się, przypuszczalnie z pogardą, od wyrażenia opinii w tej sprawie. Pozostawił to — z nadzieją — ludziom, którzy nie są jeszcze całkiem skażeni, a więc takim jak my!

— Nasz kapitan — oświadczył Forstmann — nie pozostawia nigdy żadnej sprawy, ot tak sobie, komukolwiek; sam w porę informuje, co kto ma robić, albo czyni to za pośrednictwem Krügera.

— Towarzyszu Forstmann, to, co pan tu mówi, brzmi tak, jakby pan tymczasem uległ pokusie wspierania tego niemoralnego przedsięwzięcia. Tego burdelu!

— To nie jest dosłownie tak — zapewnił zaatakowany podoficer. — Ale nie mam też nic przeciwko temu — zasadniczo nic. Uważam, że takie przedsięwzięcie może odgrywać ze wszech miar pożyteczną rolę.

— To wstrętne! — wykrzyknęła Werner-Weilheim, wzburzona. — Nie spodziewałam się czegoś takiego po panu! Po każdym innym, ale nie po panu. 1 to pan był przywódcą Hitlerjugend!



Wstała gwałtownie. Równowaga na skrzyni, którą wspólnie zajmowali, została zachwiana i Forstmann runął na podłogę. Oslupiały patrzył w górę na kobietę. Widział rozłożyste biodra i wydatne piersi.

Werner-Weilheim spoglądała na niego pogardliwie, z góry. — Czyżby pan, towarzyszu Forstmann, należał do ludzi pozbawionych hamulców moralnych, którzy we francuskim burdelu narażają na szwank dobre imię Niemiec?

Forstmann dalej patrzył na górę mięsa, która się nad nim piętrzyła. Zrobił się czerwony jak burak, ponieważ poczuł się sprowokowany. — Również tam mogą być Niemcy! — zawołał pospiesznie. — W pewnych okolicznościach!

— A więc i pan, nędznik pośród nędzników... Jak panu nie wstyd?

— Dlaczego miałbym się wstydzić? — zapytał Forstmann, z trudem podnosząc się z podłogi.

— A więc i pan ulega niskim popędom! Nie ma pan najmniejszego zrozumienia dla wzniosłych lotów swego kapitana, dla jego wielkich idei i nieustannej gotowości czynu! Nawet pan, członek naszej partii, nic wstydzi się zawieść tego niezwykłego człowieka!

— Niech pani przestanie się denerwować! I tak nie do stanie pani tego mieszkania po zarządcy zamku. Iest ono w pewnych rękach!

— Gdyby mi tylko o to chodziło! Mnie chodzi raczej o wielką niemiecką całość, a więc o świat, w którym ludzie z elity, tacy jak kapitan Hein, mają swoje szczególnie ważne miejsce! Ten nasz świat musi być absolutnie czysty. Będę o to walczyła ze wszystkich sił!

— Czy zechcecie się łaskawie do mnie pofatygować, czy też mam do was wysłać pisemne zaproszenie? — powiedział Krüger do gefrajtra Bergena ostrym tonem.

— Już idę, panie sierżancie.

Bergen majstrował przy swoim radioodbiorniku — ot tak, dla zabicia czasu. Krüger wyglądał przez okno i myślał, czym by tu się zająć. Jego spojrzenie padło na gefrajtra zatrudnionego na stanowisku szefa działu informacyjnego, a było to spojrzenie przeciągłe.

— Nie spieszcie się zanadto! — zawołał Krüger z uśmiechem. — Jestem w końcu tylko waszym przełożonym!

Bergen biegł, aby jak najszybciej stanąć przed Krügerem na bacność. Znajdował się on w tak zwanej średniej sali zamku, w pomieszczeniu pozbawionym mebli, gdzie zakwaterowane były drużyny parku amunicyjnego. Dookoła leżały śpiwory, a także nadmuchiwane materace, wszędzie piętrzyły się bagaże żołnierzy. Pośrodku tego stał Krüger.

— Jak to miło, że zechcieliście dotrzymać mi towarzystwa — zawołał do Bergena. — Żadne bydło nie lubi być samo. Nazywa się to instynktem stadnym. Przypuszczalnie wiecie też, że nawet bydło różni się między sobą, na przykład woły, krowy i cielęta.

— I byki, wiem.

— Czyżbyście mnie za takiego uważali? — Krügerowi czujnie zaślniły oczy. — I chyba nie uważacie jednocześnie siebie za torreadora, mam nadzieję?

— Pan wybaczy — odrzekł Bergen — ale chyba udowodniłem, między innymi podczas przesłuchania, że nie jestem lekkomyślny, że jeszcze mi życie miłe.

— To było wczoraj albo przedwczoraj, albo w ubiegłym tygodniu! — Krüger oparł się o ścianę. Nie spieszył się. Nie obawiał się żadnych zakłóceń: kapitan ucinał sobie popołudniową drzemkę, Runge prowadził na placu

ćwiczenia, a w parku amunicyjnym odbywało się czyszczenie urzędów.

Bergen stał w napięciu. Nie wiedział, do czego Krüger zmierza, ale zdawał sobie sprawę, że była to wydumana taktyka. Krüger bowiem to specjalista od zaskakujących efektów.

— Dobrze się tu bawicie, prawda? Przy każdej nadarzającej się okazji?

— Jakie okazje ma pan na myśli?

— Na przykład w Hotel de France, gdzie wygłaszacie wielkie mowy. Wspólnie z Wassermannem. I to w dodatku w obecności któregoś z tych łajdaków z komendantury garnizonu, jak słyszałem. I to się wam podoba! Co wy sobie myślicie?

— Nic, panie sierżancie! — zapewnił gefrajter pospiesznie. — Człowiek gada różne rzeczy, kiedy za dużo wypije, nie szczególnego przy tym nie myśląc. To chyba nic złego?

— Mój drogi, gdzie jest wasz bagaż? — zapytał Krüger uprzejmie.

Bergen wskazał na plecak, obok którego leżała teczka. — Jest w nim to, co zwykle: bielizna, amunicja, zapasowy mundur; do tego kilka książek, listy i coś do pisania.

— No dobrze! — powiedział Krüger. Jego płaska twarz rzeźnika błyszczała zadowoleniem. — Wszystko zresztą w najlepszym porządku — na pierwszy rzut oka. Ale na drugi rzut, kolego, mogłoby się zdarzyć, że odkryłbym parę niedoskonałości. Na przykład: poplamioną bieliznę, błoto pod podeszwami, resztki jedzenia na sztucach... Czy uważacie, że to wykluczone?

Gefrajter ugryzł się w język w samą porę, zanim jeszcze powiedział to, co chciał powiedzieć: kto szuka, ten /najdzie! Zamiast tego rzekł: — Niech mi pan powie, czego pan ode mnie chce?

— Znów staracie się mi uświadomić, że myślicie — Krüger spojrzął na Bergena niemal z uznaniem. — Sądzi-  
cie, że mnie przejrzeście, co? Chcecie mnie zajść od  
tyłu? Skrócić przykry proces badania sumienia?

— Miło tego słuchać, panie sierżancie. W efekcie by-  
łoby to nadzwyczaj praktyczne, prawda?

— Ale zbyt proste! Zbyt wygodne dla was. A więc  
także i dla mnie. A może uważacie, że ja tu stosuję jakieś  
półśrodki? Jesteście w błędzie, mój drogi!

I zaraz potem Krüger rzekł: — W waszym bagażu,  
Bergen, znajdują się listy. Przypuszczalnie od kobiet. Daj-  
cie mi je!

Gefrajter Bergen zawahał się — o ułamek sekundy za  
długo. Następnie powiedział, jakby do siebie: —To chyba  
moja prywatna sprawa! Chyba istnieje coś takiego, co się  
nazywa sferą intymną?

— Dajcie spokój z tym głupim gadaniem — rzekł  
Krüger niecierpliwie i wyciągnął rękę. — Dawać mi te li-  
sty!

Dostał je. Ważył przez chwilę na dłoni. Wreszcie po-  
wiedział: — Mógłbym przeczytać, co w nich jest napisane,  
ale po co te korowody? Dobrze znam wszystkie rodzaje  
tego zapisanego łajna. Mógłbym, gdybym chciał, podrzeć  
ten plik świństw. Albo kazać wam to gównu podrzeć, do  
czego mielibyście prawo. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie!

— Niczego innego od was nie oczekiwałem — stwier-  
dził Krüger, zadowolony. Potem rzucił fisty gefrajtrowi.  
Jakby grał w piłkę. Ale po chwili zapytał: — Czy robicie  
notatki, Bergen? Mam na myśli: czy prowadzicie coś w ro-  
dzaju dziennika?

— Po cóż miałbym to robić, nie jestem taki głupi!

— Nie pozwalajcie sobie za wiele — poradził Krüger.  
— Nie ma wcale powodu do śmiechu. A może zależy

wam, aby wziąć udział w „małpich zabawach” sierżanta Arma? Nie wiecie, co to takiego? Możemy temu łatwo zaradzić. „Małpie zabawy” odbywają się zazwyczaj raz w tygodniu, w razie potrzeby częściej. Następnym razem weźmiecie w nich udział, ot tak tylko, dla rozrywki. Abyście mieli pojęcie o różnych możliwościach, jakimi tu rozporządzamy.

Gefrajter Bergen starał się patrzeć możliwie swobodnie i otwarcie. Nie wiedział, o co chodzi w tych zapowiadanych „małpich zabawach”, ale miał już wystarczająco duże doświadczenie, by sobie co nieco wyobrazić: przeniesiony na teren wojenny „czar koszarowego podwórza”.

Powiedział ostrożnie: — Czy wolno zapytać, czego się ode mnie oczekuje? Podczas przesłuchania przez sędziego wojennego...

— Nie wyjeżdżajcie mi znowu z tymi głupstwami, parzywy młokosie. Gównem tym dowiedliście! Zresztą nie mogliście inaczej, bobym was obdarł ze skóry!

— To pan zawsze może, jeśli pan zechce, wiem o tym!  
— oświadczył gefrajter Bergen. — Ale ja jestem gotów, jak wiadomo, do każdej współpracy.

— Liczcie się ze słowami! Ja nie współpracuję z wami, to wy pracujecie pod moim kierownictwem i dla mnie! A dlaczego, jak myślicie, przydzieliłem was do tej tak zwanej grupy badawczej? Czy po to, abyście napuszczali tę herod-babę, tę Werner-Weilheim% na naszego Forstmanną? Akurat na niego? Co wy sobie myślicie?

— Pan wybaczy, ale to się stało całkiem przypadkowo...

— A jeśli ja wam również całkiem przypadkowo rozszarpie dupę?

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, panie sierżancie, że nie miałem konkretnego polecenia...

— Wcałście go nie potrzebowali! Nie mieliście nic

więcej do roboty, jak tylko dbać o to, aby nikt tu nie biegał goły po okolicy, a już na pewno nie w moją stronę! Co w praktyce oznacza: spokój i porządek! Żadnych ekscesów!

Krüger wziął do ręki plecak gefrajtra Bergena. Wyciągnął z niego bieliznę, obwąchał ją, po czym rzucił, jakby ze wstrętem, na podłogę. Następnie sprawdził buty, które miały warstwę brudu na obcasach, i rzucił je na podłogę. Obmacał obiema rękami drugi mundur gefrajtra — uznał, że kołnierz jest przetłuszczony, brzegi rękawów brudne, spodnie pogniecione. Rzucił tym wszystkim w Bergena, celując prosto w twarz. Ale gefrajter zdołał się odsunąć.

— Skromna przygrywka! — oświadczył Krüger niemal przyjaznym tonem. — Domyślcie się, dlaczego?

— Tak przypuszczam.

— Tylko przypuszczacie? A więc wciąż jeszcze nie wiecie, skąd wieje wiatr?

— Rozumiem — rzekł Bergen — że chodzi tu przede wszystkim o to, aby ową damę powstrzymać przed dalszymi atakami. Tylko jak to zrobić najlepiej?

— A, to już jest wasza sprawa!

— Spróbuję sobie z tym poradzić.

— Musicie. A jeśli nie, Bergen, to ja się postaram, żebyście ujrzeli wszystkie gwiazdy!

— Szampana, jak zwykle! — powiedział kapitan Hein do Schuberta. — Tylko postarajcie się, aby nie było piany, kieliszek ma być wypełniony niemal po brzegi.

Schubert starał się ze wszystkich sił, trzymając pochyło kieliszek i obejmując go delikatnie. Błada chłopięca twarz była cała napięta.

— Źle — powiedział kapitan łagodnie. — Ale również dobrze! Źle dlatego, że nalewający nie może dotykać kie-

lizka. Dobrze — w tym szczególnym przypadku — dlatego, że w ten sposób zostaje wykonany łagodny gest poufałości. A do tego przywiązuję dużą wagę — jeśli jesteście sami.

— Tak jest, panie kapitanie! — rzekł Schubert.

Widział swego kapitana w migocącym blasku świec, tym razem otulonego śnieżnobiałym szlafrokiem. Okna wschodniej ściany sali bankietowej zostały zasłonięte ciężkimi aksamitnymi zasłonami, choć na dworze było jeszcze widno. Świece migotały. Powietrze w pokoju było oszałamiająco ciężkie — chyba zbyt rozrzutnie rozpylono perfumy.

Hein, wyrwawszy się z zamyślenia, zapytał: — Czy wypełniacie moje polecenia dotyczące pielęgnacji włosów?

— Tak jest, panie kapitanie!

— Kiedy ostatni raz zmienialiście bieliznę?

— Dzisiaj rano, jak zwykle, zgodnie z rozkazem.

— Bardzo dobrze. Ale kiedy macie u mnie wieczorną służbę, Johannes, zawsze zmieniacie, proszę, dodatkowo bieliznę, bezpośrednio przed przyjściem do mnie. Kiedyś — kiedy ostatni raz myli?

— Tuż przed...

— Ręce?

— Ręce, twarz, szyję i do połowy!

— Mydłem, które wam dałem?

— Tak jest, panie kapitanie!

— Może nieco później zechcę, abyście mnie o tym przekonali.

Hein skinął głową Johannesowi, co zdawało się oznaczać zachęcającą aprobatę. Kapitan podniósł przy tym rękę i łagodnym, harmonijnym ruchem zakreślił półkole. — Możecie usiąść przy mnie, mój drogi. Weźcie krzesło, postawcie obok, w odległości około jednego metra. Ale najpierw proszę mi nalać.

Schubert niezwłocznie spełnił polecenie, następnie usiadł i położył ręce, po chłopięcemu, przed sobą na stole — jakby wiedział, że Hein pragnie je zobaczyć, by się przekonać, czy są czyste. Tak też się stało.

— Staracie się, jak widzę, Schubert. Potrafię to docenić. To, że nie proponuję wam nic do picia, ma oczywiście, jak się może domyślcie, szczególną przyczynę. Nie życzę sobie bowiem, abyście pod wpływem alkoholu stracili nad sobą kontrolę. Pragnę was najpierw bliżej poznać.

Kapitan przyglądał się swemu służącemu dużymi, szeroko otwartymi oczami przez dobrych parę sekund. Następnie ujął jego lewą dłoń, uderzył się nią w czoło, po czym przesunął ją, mocno przyciśniętą do twarzy, w dół — do szeroko otwartych ust. Jakby bez sił odchylił się do tyłu i wyciągnął nogi; leżał niemal na krześle. Oczy miał teraz zamknięte.

Po chwili zapytał niemal obojętnie: — Czy macie przyjaciół w naszej baterii?

— Tylko kolegów.

— Nikogo, kto byłby wam bardziej bliski niż inni?

— Nikogo, panie kapitanie.

— A ten gefrajter, chyba nazywa się Bergen, który ostatnio podczas przyjęcia dla grupy naukowców obsługiwał gości? Zresztą zręczny chłopak, choć niezbyt zapalony do pracy. Zdaje się, że szczególnie go lubicie — czy mam rację?

— Gefrajter Bergen, panie kapitanie, to bardzo sympatyczny kolega. Należę do jego grupy informacyjnej i tak się składa, że jego posłanie znajduje się obok mojego. Chętnie z nim rozmawiam.

— O czym?

— Tak ogólnie!

— A nie o mnie? O tym, z czego się wam tu zwierzam?



— O tym nigdy, panie kapitanie! — wykrzyknął Schubert. — Nigdy bym nie zdradził żadnej tajemnicy.

— Mam nadzieję. — Kapitan jeszcze głębiej pogрузzył się w swoim fotelu. — Świat mógłby wiedzieć ze szczegółami o tym, co jest między nami. Ale czyby to zrozumiał? Czy ktoś jest w stanie pojąć, co znaczy ludzka harmonia? Ta klasyczna: Grecja, Hölderlin, Kleist, a przede wszystkim Wagner!

Hein podniósł się, stanął wyprostowany. Sięgnął po kieliszek, wypił do dna, odchylając głowę do tyłu. — Żyjemy u progu nowej epoki: świadomego otwarcia się na prawdziwe wartości, tworzenia się nowej elity, wyższej świadomości człowieczeństwa! Musimy okazać się tego godni — i to bez najmniejszych zastrzeżeń!

Schubert patrzył na Heina pałającym z podziwu wzrokiem. Zniewalały go te poruszające świat myśli i bezmiar zaufania, które na niego spłyęło. Oto spełniały się jego najskrytsze młodzieńcze myśli. Czuł się tak, jakby spotkał Achillesa albo Zygryda. Złożył z wdzięcznością dłonie i pochylił głowę.

— Nie ruszajcie się! — zawołał Hein. — Proszę się nie ruszać!

Schubert trwał więc w bezruchu. Wydawało się nawet, że nie oddycha. Tylko jego ręce lekko drżały. Hein pochylił się nad nim — nad jego karkiem. Położył obie ręce na ramionach gefrajtra. Jego oddech był gorący.

Po chwili jakby odbił się od Schuberta, daleko w tył, aż na pokój. Wyglądało to tak, jakby uderzył o ścianę... Patrzył stamtąd na płomienie świec.

— Dobry zapach — powiedział matowym głosem — ledwie wyczuwalny, ale wyraźny, jak świeżych wiosennych kwiatów. Zapach młodości, która jest nieśmiertelna — nawet w obliczu śmierci! Nie zaś woń starych, grubych mężczyzn, którzy wydychają zgniliznę, ich usta są

jak kloaki, a ręce, wyciągające się niepohamowanie ku nam, pokryte są wstrętnym potem... Również mój ojciec był taki.

Hein oparł się plecami o ścianę. Był ledwie widoczny w słabym blasku świec, ale jego głos brzmiał dźwięcznie.

— Albo zapach kobiet, który zdaje się wypływać z ich cech płciowych — odrzucający, odpychający! Przenikliwy zapach jakby nieświeżego mleka, ów zapach lubieżności, sączący się spod pach, z brodawek piersi, z łędźwi... Przed tym zapachem nie mogła mnie uchronić nawet moja matka — regularnie hańbiona przez ojca — choć z pewnością była kobietą szlachetną, i szacunek wobec niej jest dla mnie rzeczą oczywistą.

Hein odbił się od ściany — katapultował się aż do światła. Jego cień rozplątał się, jakby go nigdy nie było. Stał przed Schubertem, który patrzył teraz na niego, mocno zmieszany, lecz ochoczo. Kapitan położył dłonie na jego dłoniach.

— Następnie zapach krwi — tryskającej, płynącej, wreszcie wsiąkającej! Poszarpane członki, przekłute ciało, roztrzaskane czaszki — ponura symfonia heroicznej ofiary. Krew należy do wojny — ma uderzający i jednocześnie wybawiający zapach wojny! Czyście go kiedykolwiek wdychali? Nie! Świadomie nie. Brak wam doświadczenia. Ta płynąca żołnierska krew, pompowana przez strach przed śmiercią, ale już oczyszczona, uwznioślona, opromieniona bohaterskim zwycięstwem — kto kiedykolwiek oddychał tym zapachem, ten poznał najgłębiej ukryte możliwości tego świata. A są one wspaniale bezlitosne. Ten, kto się im podda, jest stracony. Trzeba z otwartymi oczami stanąć naprzeciw tym ostatecznym wyzwaniom bytu. Być gotowym żyć z nimi. Ja to potrafię, i was też nauczę, gdyż obaj stanowimy harmonię.

Schubert skinął automatycznie głową. Nie chciał się

zdradzić, że w tym momencie poczuł się całkiem zagubiony, niezwykle zmieszany, niemal wypalony. I dlatego stwierdził: — Rozumiem to wszystko! Doskonale!

— To zapewnienie — rzekł kapitan — napelnia mnie radością. Pozwala mi mieć nadzieję. Nadzieję, że w niedalekiej przyszłości potraficie zrozumieć mój świat, czego bardzo pragnę.

Hein stał wyprostowany. Powiedział: — Poświećcie mi. — Po czym ruszył przed siebie.

Schubert ujął jeden z świeczników, podniósł go na wysokość głowy i poszedł za kapitanem. Ten kroczył rytmicznie, sprężystym krokiem, z sali bankietowej, przez swoją sypialnię, w kierunku pokoju w wieży — przez wijący się, niski, długości około trzech metrów i szerokości dwóch metrów korytarz, który lekko się wznosił, a następnie kończył trzema schodkami.

Kiedy Hein znalazł się w pokoju w wieży, podszedł do jednego z trzech okien, jakby popychany jakąś magiczną siłą. Było to okno północne. Otworzył je. Nocne powietrze wpłynęło do środka.

Kapitan, otulony białym szlafrokiem, stanął teraz na niskim parapecie okiennym. Z dużą pewnością utrzymywał równowagę. Rozpostarł szeroko ręce.

— Jest noc — powiedział. — A ja stoję jakby na rafie, pode mną otchłań! Czy potraficie to sobie wyobrazić, Schubert?

— Potrafię to sobie wyobrazić.

— Ale ja nie patrzę w dół, tylko daleko, jakby za nieskończone morze. Daleko poza ten kraj, poza Paryż — tam gdzie są nasze Niemcy. Wydaje mi się, że mam wizję Rzeszy! Pośród ognia, który unosi się do niebios i którego żar nawet tu rozgrzewa moje serce... Ach, mój drogi chłopcze, jakie wspaniałe doznania jeszcze was czekają!

— Czy przyszedł pan do mnie prywatnie? — zapytała Elisabeth Erdmann wesoło. — Czy też twierdzi pan, że jest tu służbowo?

— A jak pani woli? — odpowiedział pytaniem gefrajter Bergen. — Niech pani tylko wypowie życzenie, jestem gotów każdemu wyjść naprzeciw.

Erdmann roześmiała się. Najwidoczniej łatwo ją było rozbawić. Gefrajter popatrzył na nią, pełen nadziei. Widział jej denerwująco wysokie czoło, dobroduszne sarnie oczy, zgrabny, lekko wygięty nos, pod nim pełne usta. A wszystko otoczone czarnymi włosami, spływającymi w lokach.

— Wspaniale pani wygląda — stwierdził Bergen z uznaniem — jak czarny łabędź w zagrodzie dla gęsi.

— To rzecz gustu — powiedziała Elisabeth wesoło. — Przypuszczalnie decydujące jest to, czy istnieją odpowiednie możliwości porównań.

— W każdym razie kiedy pani tu przybyła, sprawiała pani wrażenie szarej kaczki, upudrowanej kurzem z drogi. Ale ja od razu zauważyłem: jeśli w ogóle kaczka, to nader wesoła!

— Niech pan odpowie, znawco ptaków, do czego pan zmierza? — zapytała Erdmann. — Czy to ma być lekcja zoologii? Nie ze mną!

— Nawet gdybym panią zaklasyfikował do gatunku kotów? Pantera czy coś w tym rodzaju? Wspaniale zwierzęta!

Elisabeth Erdmann pracowała w pawilonie, przy szerokim stole pod oknem. Przepisywała na maszynie notatki i uwagi sporządzone na rysunkach. Wyglądało na to, że robi listę dotychczasowych wyników badań grupy Magnusa, ale niewątpliwie chętnie oderwałaby się od tego zajęcia.

— Panie Bergen — powiedziała ironicznie — niech się

pan nie wysiła! Albo pan przyszedł tu z mojego powodu, albo służbowo. Jeżeli ze względu na mnie, to wybrał pan złą porę, gdyż właśnie pracuję. A w sprawach służbowych kompetentna jest pani doktor Werner-Weilheim. Przebywa teraz u profesora w kaplicy.

— Jeśli o mnie chodzi, to może tam zostać jak najdłużej! — Gefreiter Bergen usiadł na stole, przy którym Elisabeth pracowała. Nie zbliżył się jednak zbyt do niej — był to bardzo duży stół. — Powiedzmy, że interesuje mnie pani szczególnie. Czy to panią gniewa?

— Absolutnie nie — zapewniła Elisabeth swobodnie.

— Czy przyszedł pan po to, aby się ze mną przespać?

— Czemu nie! — powiedział Bergen pospiesznie. Nie miał czasu, aby się zastanowić nad tym pytaniem, a także nad swoją odpowiedzią; zareagował instynktownie. — Jeśli tylko pani jest skłonna, ja jestem gotów w każdej chwili!

— Czy chce pan przez to zaoszczędzić pieniędzy?

— O czym pani mówi? — zapytał Bergen, lekko zmieszany.

— O ile jestem zorientowana, urządziliście tu coś w rodzaju burdelu, gdzie w każdej chwili macie do dyspozycji kilka kobiet, w dodatku całkiem atrakcyjnych, jak zauważyłam. Ale one żądają honorariów, a pan chce może zaoszczędzić moim kosztem?

— Wypraszam sobie, panno Elisabeth — powiedział Bergen, starając się opanować. — Dla takiej osoby jak pani nie ma ceny!

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że mnie nie trzeba płacić? Wystarczy się pokręcić. Wystarczy zamydlić oczy. Piękne słówka i wszystko załatwione? — Elisabeth Erdmann roześmiała się wesoło, ale z nutą złośliwości. — Za kogo mnie pan uważa? Czego pan ode mnie oczekuje?

— Pani mi się podoba, Elisabeth!

— Może pan to sobie darować. Nie jest pan pierwszy, który tak twierdzi. A jaki ma być z tego zysk tym razem? Proszę, niech pan powie wyraźnie!

— No, powiedzmy: korzystna dla obu stron współpraca. Czy to mało?

— To, panie Bergen, brzmi już nieco konkretniej. Chce pan zatem ze mną współpracować, ale jaki ma pan w tym cel?

— Mój cel wiąże się z panią Werner-Weilheim — powiedział Bergen otwarcie.

— Czego pan od niej chce?

— Unieszkodliwić ją, na ile się da. Sprawia bowiem same trudności! I zdaje się, robi to z rozkoszą. A coś takiego w pewnych okolicznościach może być niebezpieczne! Również dla mnie, jestem mianowicie za nią bezpośrednio odpowiedzialny.

Elisabeth Erdmann spojrzała na Bergena rozpromieniona. — Mój drogi, chyba pan się nie spodziewa, że będę spiskować przeciwko Werner-Weilheim w przystępie wątpliwej sympatii? Wobec niej nie mogę sobie na to pozwolić. To by i innym nie wyszło na dobre. Bo musi pan wiedzieć, że nasza pani doktor już w ośrodku naukowym w Berlinie była nietykalną instytucją. I to nie tylko dlatego, że podobno sypiała z kierownikiem Rzeszy Rosenbergiem. Potrafię to sobie wprawdzie wyobrazić, ale mu nie zazdroszczę.

— Elisabeth — rzekł Bergen uroczyście — rozumiem, iż tego rodzaju zaangażowanie się wywołuje w pani opory. Ale przrzekam, że nie straci pani na tym.

— A cóż mi pan chce zaproponować?

— Na przykład siebie.

— To może pan sobie darować! — zawołała Erdmann wesóło. — Co wcale nie znaczy, że przy okazji kiedyś do tego nie wrócę! A co poza tym?

— Co pani tylko zechce! Może stos bielizny we wszystkich kolorach i z czystego jedwabiu. Poza tym perfumy — najlepsze francuskie marki, po butelce każdego cenionego w świecie gatunku, a więc co najmniej sześć. Softer otrzymał już polecenie, aby się o to postarać. Czy to mało?

— A więc tak mnie pan ocenia! — Elisabeth przeciągnęła się teatralnie.

Bergen popatrzył na nią z uznaniem. — Proszę mnie źle nie zrozumieć, szanowna pani, to dla mnie prawdziwa radość móc pani sprawić przyjemność. W dodatku kiedy się to nam obojgu opłaca!

— A co z tym kapitanem Heinem? — zapytała nagle Elisabeth. — Czyżby on był taki krótkowzroczny?

— Dlaczego? Czy dlatego, że niezbyt okazywał pani swój podziw podczas ostatniego galowego przyjęcia?

— Ach, głupstwo! Nic docenia pan moich motywów działania. Ten Hein jest zimny jak ryba, w każdym razie wobec kobiet. Ale niech sobie będzie, jeśli o mnie chodzi! W tej chwili interesuje mnie tylko to, czy kapitan ma coś takiego, co się nazywa pamięcią fotograficzną.

— To ma on w najwyższym stopniu! — powiedział Bergen, zdumiony. — Ma talent, właściwy wszystkim urodzonym czy też dobrze wyszkolonym taktykom, do spostrzegania wszelkich drobiazów. Żongluje więc nazwiskami i datami, jakie kiedykolwiek trafiły do jego pamięci. Jeszcze po paru miesiącach potrafi podać dokładną liczbę kilometrów, odległość strzałów i ilość zużytej amunicji... Na tym między innymi polega jego tak zwany geniusz.

— Ale mnie nie o to szczególnie chodzi. Interesuje mnie następująca rzecz: czy ów pan potrafi zauważyć, jakie są zasłony lub dywany w jego pokojach, jaki wzór ma jego stół, jakie obrazy wiszą wokół niego?

— Do czego pani zmierza? — zapytał Bergen z rosnącym podziwem. — Zresztą nieważne, wyjaśni mi to pani

kiedyś, jak sądzę. Co się zaś tyczy zamilowania kapitana do obrazów, to odpowiada ono jego istocie: 'strzela do nich! Nawet gdyby to był Rembrandt.

— W tym wypadku chodzi o Fragonarda — oświadczyła Elisabeth, uśmiechając się do siebie. — Wisi on w sali bankietowej.

— I ten obraz panią interesuje?

— Powiedzmy: nie chciałabym, aby stanowił tarczę strzelniczą. Jest na to zbyt cenny.

— Chce pani ten obraz otrzymać, jeśli dobrze rozumiem? Dla siebie? Czemu nie! Nie żałuję pani. Czyżby ten stary obraz był związany z rekomendacją marszałka Rzeszy, dzięki której waszej grupie przyznano tu szczególne prawa?

— Niech się pan uspokoi, mój drogi — powiedziała Elisabeth, zakłopotana. — Ja nic nie chcę! Pragnę tylko wiedzieć, jak wysokie są obecnie ceny. Bo tu, zdaje się, znakomicie kwitnie handel, prowadzony z niezwykłym polem.

— Być może — powiedział Bergen, który nagle stał się zamyślony. — Zobaczmy, co się da zrobić. Może uda mi się zaproponować pani amatorską cenę. Sądzę, że to się będzie opłacało.

— Alarm przeciwlotniczy! — krzyczał Runge. W tej samej chwili terenowy mercedes jego szefa podjeżdżał do stanowiska ogniowego; z przodu, obok kierowcy, lekko oparty o przednią szybę chroniącą od wiatru, stał kapitan Hein.

— Alarm przeciwlotniczy! — krzyczał Runge nieprzerwanie. — Alarm przeciwlotniczy!

Patrzył jednocześnie z pełną ufnością na zbliżającego się kapitana, który był punktualny co do sekundy. Kierow-



ca przyhamował, samochód posuwał się do przodu z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Wskazówki zegara na tablicy rozdzielczej nie dochodziły jeszcze do kwadransa po drugiej, a był to czas obowiązujący dla Rungego.

Teraz Runge nie potrzebował już krzyczyć „Alarm przeciwlotniczy!” Robili to inni: obserwatorzy, operatorzy i kto tam jeszcze miał ochotę porządnie się wykrzyzczyć; w tym wypadku mógł każdy, kto należał do baterii, i to z dowolną siłą głosu. Powstały hałas był zdumiewająco wielki. Dudnił nad miastem niczym burza.

Runge oczekiwał swego kapitana przy centralnym przyrządzie do kierowania ogniem, zgodnie z rozkazem. Tylko tu, w środku skrzykniętych sił bojowych, mogło nastąpić złożenie meldunku o gotowości. Ale nie został on złożony, jak zazwyczaj, przez Rungego; na czoło wysunął się porucznik Minder, który odepchnął na bok podporucznika Helmreicha.

— Bateria gotowa do akcji! — zameldował.

U kapitana Heina nie widać było ani śladu reakcji, u Rungego również nie. Szef skinął tylko głową swemu porucznikowi, który podejrzenie wcześniej stał gotów w swoim mundurze.

— Czy wszystkie bronie palne gotowe? — zapytał kapitan Hein. Pytanie to było skierowane wyłącznie do Rungego, co go najwidoczniej uradowało. Jego kanciasta twarz znów ożyła. A raczej: pojawiły się na niej oznaki bezgranicznej, oddanej gotowości bojowej.

— Wszystkie bronie palne gotowe do akcji! — zameldował Runge energicznie. — Ostra amunicja rozdana: po piętnaście pocisków na karabin, po dwa magazynki na pistolet maszynowy.

W karabiny wyposażeni byli żołnierze, w pistolety maszynowe podoficerowie — także Runge, który świadomy

swojej szczególnej roli, przydzielił sobie cztery magazynki.

Oficerowie dysponowali pistoletami służbowymi, amunicją do nich zarządzali wedle uznania. Minder miał prócz tego karabin z celownikiem teleskopowym — zdobyczną broń z czasów kampanii polskiej, ale produkcji francuskiej — który nosił ze sobą przy każdej nadarzającej się okazji, również teraz. Była to przyjemność, na jaką kapitan łaskawie mu zezwalał.

— A granaty ręczne? — zapytał Hein Rungego.

— Rozdane i przygotowane do działania, po trzy sztuki na osobę. W rezerwie dalszych pięć na osobę. Zmagazynowane w bunkrze z amunicją.

— W porządku — powiedział kapitan Hcin. Ale potem oświadczył, zasadniczo mocniejszym głosem, jakby kierował swe słowa do wszystkich członków podległej mu grupy bojowej: — Dziś szkolenie piechoty. Obrona przed niespodziewanym atakiem! W tym walka wręcz. Ćwiczenia z ostrą amunicją.

Tym samym zostało zapowiedziane — co niemal wszyscy żołnierze baterii pojęli — totalnie spaprane popołudnie. Z błotem i potem, bólami mięśni i ranami skóry. Ludzie Heina patrzyli tępo przed siebie.

— Przedtem jednak — zarządził kapitan — mały trening kondycyjny: transport amunicji!

Żołnierze patrzyli teraz jeszcze bardziej tępo, o ile to w ogóle było możliwe. To, co ich czekało, było nazywane przez kompetentnych podoficerów „zabawką dla dzieci” — chodziło o jedną z wielu specjalności trzeciej baterii.

W żargonie żołnierskim „zabawką” był pocisk 8,8 cm, wagi ponad dziesięć kilogramów, długości ręki mężczyzny. Z ową „zabawką” odbywało się liczne wyścigi i biegi z przeszkodami — przez szczeliny, przez wały ochronne, dokoła dział.

Punkt szczytowy stanowiła „zmiana zabawki”, co mogło następować w różnych formacjach: na przykład łańcuchowo, a więc jeden obok drugiego; następnie wymiana frontalna pomiędzy stojącymi naprzeciw siebie szeregami; były też skoki przez dwóch albo trzech żołnierzy. Nie groziło przy tym żadne nieszczęście, ponieważ naboje nie były ostre, czasem tylko ten lub ów padł z wysiłku albo zwichnął sobie ramię.

Zaraz potem kapitan przekazał wspaniałomyślnie te rutynowe popołudniowe uciechy swych ogniwców porucznikowi Minderowi, którego wspierał podporucznik Helreich, starając się ze wszystkich sił, aby go słyszano możliwie jak najdalej. Hein łaskawie na to zezwalał. Zwłaszcza że miał zamiar zająć się bardziej intensywnie Rungem i w tym celu odciągnął go poufale na bok. Odeszli nieco dalej, nie zwracając uwagi na szybkie, zmieniające się co chwila rozkazy oficerów. Zarówno Minder, jak i Helreich przechodzili samych siebie. Inni ambitni podoficerowie również dawali z siebie wszystko.

— Nie muszę pana zapewniać, mój drogi Runge — oświadczył Hein — że całkowicie panu ufam.

Tego kapitan istotnie nie musiał czynić, a jego Runge tym bardziej nie potrzebował tego potwierdzać.

— Wyznaczyłem ćwiczenie alarmowe na godzinę czter-nastą piętnaście — powiedział kapitan — i wydałem panu uprzednio stosowne instrukcje. Ale skąd wiedzieli o tym nasi panowie oficerowie, którzy byli gotowi do wymarszu?

— Ode mnie nie, panie kapitanie!

— Jestem o tym przekonany — powiedział kapitan wręcz serdecznie. — Pan by tego z pewnością nic przekazał dalej. A zatem kto?

— Nasza centrala, panie kapitanie, zdaje się ostatnio niezbyt szczelna.

— Tego, mój drogi, i ja się obawiam! Musimy coś z

tym zrobić. I nie tylko z tym. Odnoszę wrażenie, że gotowość bojowa naszego oddziału jest w niebezpieczeństwie. Nasi ludzie nie potrafią już wywęszyć wroga... Niech pan pomyśli, jak by to można było zmienić — mocno w pana wierzę!

Kapitan miał prawo tak myśleć. Runge patrzył przed siebie w napięciu. Jego twarz poczerwieniała, oświetlona porannym słońcem. — Już ja coś wymyślę!

— Kryć się! — zawołał kapitan Hein do swoich podopiecznych transportujących „zabawki”. — Przypuszczalny atak z zachodu! Obsługa do centralnego przyrządu! Działa „Anton” i „Berta” gotowe do akcji! Postępować według planu numer trzy!

Zgodnie z rozkazem żołnierze stanowiska ogniowego natychmiast przystąpili do krycia się. Niemal jednocześnie podawali łańcuchowo swoje „zabawki”, aż zniknęły w bunkrze z amunicją. Następnie załogi dział numer trzy i cztery, a więc „Cezara” i „Dory”, zgodnie z planem pospieszy na przelaj z pomocą rzekomo zagrożonym kolegom.

— Niezbyt przekonujące — stwierdził fachowo kapitan Hein. — Zmęczeni!

A Runge uzupełnił: — Te typy wystawiają w górę swoje tyłki, a w kościach brak im krzepy!

— Proszę mi podać swój pistolet maszynowy — zażądał Hein. Po czym wziął go do ręki, odbezpieczył, oparł na biodrze i nacisnął spust. Pociski wbiły się w ziemię tuż przed żołnierzami, wzniciając kłęby kurzu.

— Czołgać się, leniwe świnie! — zawołał Runge. — Czołgać się, jak należy, bo wam zrobię dodatkowe dziury w waszych leniwych dupach!

Żołnierze popędzili teraz naprzód jak wypłoszone dziki. Sapali i pocili się.

Nadbiegający porucznik Minder znieruchomiał na ten

widok jak słup soli. Podporucznik Helmreich również patrzył osłupiały. Runge zaś pławił się w rozkoszy. Kapitan Hein natomiast, zadowolony i zamyślony, obserwował delikatną chmurę dymu, która unosiła się z lufy pistoletu maszynowego...

— To był niezły początek — powiedział po chwili.

— Początek? — zapytał Minder, osłupiały ze strachu.  
— Początek czego?

Hein spojrzał w jego stronę, omijając go jednak wzrokiem. — Wypróbujemy tu nowe metody. Pomyślane tak, aby zapewnić bitność wojska, ewentualnie ją podkreślić. To była pierwsza próba. Uważam za pilne rozwinięcie jej. Czy ktoś z was ma inną propozycję?

Nikt nie miał.

### ***Mała eskalacja***

#### ***Kapitan Hein i starszy ogniomistrz Krüger Miejsce: sala bankietowa w zamku Czas: godzina siedemnasta***

*Hein, zdejmując czapkę i pas szorstkimi ruchami wzburzenia i z trudem opanowywanej niecierpliwości: — Kiedy dziś wczesnym rankiem przyjechałem na stanowisko, byli tam już obaj oficerowie, i to w pełnej gotowości bojowej! Jak to możliwe?*

*Krüger, również siląc się na ostrożność i rzeczowość: — Myśle, że ci panowie zostali wcześniej powiadomieni.*

*Hein: — Bardzo słusznie Krüger! Ja nie tylko tak przypuszczam, ja uważam to za niemal pewne. Tylko — przez kogo powiadomieni? Nie przeze mnie. Przez pana również nie, jestem o tym przekonany. Telefonowałem jedynie do Rungego, mówiąc mu o przewidywanym alarmie, łącznie*

z porą jego rozpoczęcia. A nasz Runge jest przecież pewny? A może nie?

*Krüger.* — Absolutnie pewny!

*Hein:* — Kto zatem próbował pokrzyżować moje plany? Coś takiego nigdy się dotychczas u nas, a więc i u pana, nie zdarzyło! Niech pan zbada, co tu się dzieje, a następnie niech pan z tym skończy! Raz na zawsze!

***Starszy ogniomistrz Krüger i gefrajter***

***Bergen***

***Miejsce: kancelaria na parterze zamku***

***Czas: godzina siedemnasta piętnaście tego samego dnia***

*Krüger, jak zwykle w swoim fotelu, tym razem jednak nie rozparty wygodnie, lecz jakby gotowy do skoku: —* Czyście całkiem postradali zmysły?

*Bergen:* — Dlaczego pan tak uważa?

*Krüger.* — Jesteście, zdaje się, jeszcze bardziej głupi, niż początkowo przypuszczałem. Bo inaczej nie przyszłoby wam do głowy idiotyczna myśl, aby wicherzyć w bezpośrednim kręgu kapitanu Heina. Ale to się nie ukryje. Zawsze w porę trafiałem na ślad podstępnych lizusów. Zapamiętajcie to sobie!

*Bergen:* — Zapamiętam sobie.

*Krüger:* — Dzisiaj około południa słyszeliście rozmowę telefoniczną pomiędzy kapitanem Heinem i sierżantem Rungem. Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkowo. Nie wyracajcie tak oczami, podstępny lajdaku, mnie nie nabierzecie! Następnie powtórzyliście rozmowę porucznikowi Minderowi. Czy dlatego, aby mu się przypodobać?

*Bergen:* — Pan porucznik prosił mnie, aby go możliwie obszernie i w porę informować, szczególnie o planowanych ćwiczeniach alarmowych — ze względów bojowych. W interesie naszej baterii!

*Krüger.* — Ach tak, nie plećcie mi tu głupstw! Chcecie wykorzystać sprzyjającą okazję, aby Minderowi podłożyć świnie. Akurat jemu! Na co liczyliście? W każdym razie macie od zaraz zaprzestać tego niecnego procederu! A więc żadnych informacji niepowołanym osobom. Żadnych wiadomości na temat wewnętrznych akcji. Żadnych sygnałów. Bo inaczej, wezmę was w obroty.

*Bergen:* — Zrozumiałem, panie sierżancie.

*Krüger:* — Mam nadzieję. Ale żebyście natychmiast znów o tym nie zapomnieli, polecę Armowi, aby zaraz jutro zorganizował jedną ze swoich wypróbowanych „małych zabaw”, głównie na waszą cześć. Cieszycie się? Bo ja tak!

***Gefrajter Bergen i żołnierz Schubert***  
***Miejsce: kwatera drużyny na piętrze zamku***  
***Czas: około godziny osiemnastej***

*Gefrajter Bergen wchodzi do niemal pustego pokoju; o tej porze bowiem większość kolegów przebywa w kancynie albo na powietrzu. Rozgląda się badawczo, następnie podchodzi do siennika, siada na nim, po czym wyciąga się jak długi. Oddycha z ulgą.*

*Obok niego leży Schubert.*

*Schubert, koleżeńskim tonem:— Ciężki dzień, prawda?*

*Bergen, po dłuższym milczeniu, patrząc w sufit, na pokruszone stiukowe girlandy: — Ciężki, powiadasz? Mnie się zbiera na wymioty! Ale choć jest mi byle jak, mój mały, tobie i tak nie zazdroszczę.*

*Schubert:* — Wcale nie musisz! Służba nie jest dla mnie prosta, znacznie bardziej skomplikowana, niż sądzą

inni. Ale ty to rozumiesz, prawda? Ty z pewnością potrafisz sobie wyobrazić, jak ja się czuję. Nie jestem niešťeśliwy, co to, to nie, raczej przeciwnie. Ale to wszystko jest bardzo złozone. A ty jesteś tu jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać jak z przyjacielem, nawet o tym.

*Bergen, przerywając mu energicznie:* — Stop, mały! Nie rozpędzaj się. Gównu mnie obchodzi twoje żołnierskie życie duchowe. Wiem tylko tyle: nie podoba mi się, że musisz grać rolę pucybuta Heina. Uważam, że za szkoda cię do tego.

*Schubert, z zapalem:* — Ty go nie znasz! Ty go nie doceniasz, tak jak i wielu innych! To prawda, że niełatwo jest podążać za jego myślami, gdyż przykłada on do wszystkiego inną miarę, niż przywykliśmy, wyższą miarę. Każdy, kto go bliżej pozna, musi go podziwiać.

*Bergen:* — Jedyne, co mężczyzna powinien podziwiać kiedy tylko ma okazję, to kobiety. A co z dzisiejszym wieczorem w Hotel de France? Moglibyśmy zabrać ze sobą tę małą Erdmann. To całkiem wesoła osóбка.

*Schubert, uprzejmym i serdecznym tonem:* — Dziękuję za zaproszenie —chętnie bym poszedł. Ale kapitan mi jeszcze nie powiedział, czy będę mu wieczorem potrzebny, czy też nie. Poza tym muszę się przygotować; dał mi do czytania Hölderlina, będziemy o tym rozmawiać przy najbliższej okazji. Takie są nasze rozmowy, Bert. Widzisz więc, jaki on jest świątły. Nie spotkałem jeszcze takiego człowieka.

*Bergen, odwrócił się na bok do Schuberta i przyglądał mu się:* — Ty chyba jesteś całkiem pod jego wpływem. Jesteś najwyraźniej pijany z zachwytu. Rozwijasz tu coś w rodzaju kultu szefa baterii. Ach, chłopcze, wcale mi się to nie podoba! Obawiam się, że trzeba coś na to poradzić. Tylko co?



**Porucznik Minder i starszy ogniomistrz**

**Krüger**

**Miejsce: rue Napoleon, ulica, która oddziela  
stanowisko ogniowe od parku**

**amunicyjnego**

**Czas: około godziny osiemnastej — jak  
poprzednio**

*Minder, napierając energicznie na Krügera:* — Wypraszam sobie, panie sierżancie! Jestem wzburzony!

*Krüger, przyjmując postawę obronną:* — To się zdarza, panie poruczniku! Ale o co chodzi w tym wypadku?

*Minder:* — Ktoś tu najwyraźniej świadomie chce wygrać znaczenie jednego przeciw szczególnym prawom innych.

*Krüger:* — To nie ja, panie poruczniku.

*Minder:* — Ale pan nie przeciwdziała! Nie tłumisz pan tego rodzaju świństw! A to w praktyce oznacza, że pan je popiera!

*Krüger, uprzejmym tonem:* — Czy użył pan słowa „świństwo” w odniesieniu do mnie?

*Minder, pospiesznie:* — Chciałem przez to tylko powiedzieć, że różne metody na naszym podwórku budzą moje zdziwienie. Na przykład dotychczas obowiązywała tu, wprawdzie milcząca, ale doskonale zdająca egzamin, umowa pomiędzy stanowiskiem ogniowym a parkiem amunicyjnym, zgodnie z którą my, oficerowie, byliśmy w miarę wcześniej powiadamiani o każdym ćwiczeniu alarmowym. Ale pan to zahamował!

*Krüger:* — To nie ja, to rozkaz szefa! Prosiłbym pana, aby z tego rodzaju zarzutami zwracał się pan do kapitana Heina.

*Minder, z naciskiem:* — Panie sierżancie, po czyjej pan jest stronie? Dotychczas zawsze dobrze ze sobą współpracowaliśmy! Czy chce pan teraz stanąć przeciwko mnie? Niech pan to sobie dobrze przemyśli, ponieważ następnym szefem baterii mogą zostać ja!

*Krüger:* — Tymczasem jednak, panie poruczniku, jest

nim kapitan Hein i przypuszczalnie pozostanie jeszcze jakiś czas. A co się tyczy mnie osobiście, panie poruczniku, jestem tu dla mojej baterii, a nie dla wymieniających się i wymienialnych jej członków. Poza tym niech każdy robi to, co do niego należy, i nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. Oczywiście i wzajemnie.

*Minder, podniesionym głosem:* — A cóż to znowu ma znaczyć?

*Krüger.* — Panie poruczniku, mnie interesuje tylko moja bateria. A że na przykład pan po kampanii polskiej szczególnie interesował się obrazami w pewnej podwarszawskiej willi — wśród nich Renoirem — to mnie na razie nie obchodzi. Bezpośrednio nic. Przynajmniej dopóki pozwala mi się spełniać moje obowiązki, i to tak, jak ja to rozumiem. W każdym razie, panie poruczniku, ja nie jestem obrazem, który można po prostu wyciąć z ram.

*Minder, przytłumionym głosem:* — Czy pan mi grozi?

*Krüger, spokojnie:* — To nie groźba, lecz stwierdzenie faktu. I to faktu, który mogę udowodnić, jeśli okaże się to kiedykolwiek potrzebne. Ale nie wyobrażam sobie, aby ktoś próbował do tego dopuścić.

***Doktor Werner-Weilheim i podporucznik  
Heltreich  
Miejsce: kwatera oficerów, willa na skraju  
stanowiska ogniowego  
Czas: również około godziny osiemnastej***

*Doktor Werner-Weilheim, wchodząc energicznie:* — Heil Hitler, panie podporuczniku! Miło mi pana poznać. Niech pan będzie przekonany, że mam prawo tu przebywać.

*Istotnie ma prawo. Ma prawo wstępu na teren stanowiska ogniowego — zarówno ona, jak i pozostali członkowie grupy Magnusa. Albowiem bezpośrednio pod placem sportowym powinien się znajdować — zgodnie z kronikami, pomiarami i spekulacjami naukowymi — wielki cmentarz. Przypuszczalnie są tu pochowani stajenni i ciury ksiąg orleańskich, ich straża i służba, wreszcie ochmistrze i kanonierzy.*

*Werner-Weilheim przedstawiła się. Podporucznik Helmreich powitał ją serdecznie. Zaproponował kawę, wino albo koniak — co odrzuciła uprzejmie, lecz zdecydowanie. Odrzuciła również propozycję, aby zajęła miejsce w zniszczonym, nędznym fotelu. Stoją więc naprzeciw siebie — oboje w oczekiwaniu.*

*Werner-Weilheim: — Nie mam zamiaru zabierać panu cennego czasu, panie podporuczniku. Z przyjemnością jednak usłyszałam od przydzielonego nam gefrajtra, że jest pan Niemcem z Marchii Wschodniej, o świadomie patriotycznym nastawieniu, a poza tym odpowiedzialnym oficerem. Pozwoli więc pan, że zadam mu pytanie: czy jest pan przeciw zorganizowaniu czy za zorganizowaniem żołnierskiego burdelu?*

*Helmreich, wymijająco, ale siląc się na uprzejmość, jakiej się od niego oczekuje: — Mogę panią zapewnić, że osobiście nigdy bym z czegoś takiego nie skorzystał.*

*Werner-Weilheim, rzuciwszy krótkie, pogardliwe spojrzenie: — To nie o pana chodzi, panie podporuczniku. Mężczyzna z pańską pozycją może w końcu — jeśli bardzo chce — znaleźć zadowolenie gdzie indziej. Chodzi o coś zupełnie innego: czy akceptuje pan zorganizowanie burdelu na terenie pańskiej baterii? Tak czy nie?*

*Helmreich: — Nie. Oczywiście, że nie! Choć muszę przyznać, iż pewne okoliczności...*

*Werner-Weilheim:* — A więc zasadniczo jest pan przeciwny! To chciałam najpierw stwierdzić. A następnie podziękować panu za to!

*Helmreich, nieco zakłopotany:* — Ależ pani doktor!

*Werner-Weilheim:* — A więc poprze pan, jak się tego spodziewałam, naszą akcją „Czysty Wehrmacht!” Może pan być pewny, że przysłuży się przez to dobrej sprawie! Ten burdel trzeba rozpędzić! I ja, między innymi dzięki pana pomocy, o to się postaram. Heil Hitler!

***Rozmowy telefoniczne  
w godzinach wieczornych tego samego dnia  
pomiędzy sztabem oddziału i trzecią baterią***

**Rozmowa pierwsza**

Telefon z dywizjonu do trzeciej baterii: „Rozporządzenie następującej treści:

«Gefrajter Bergen ma się zgłosić w ciągu następnego dnia w sztabie dywizjonu w celu zbadania akt personalnych. Zameldować się u sierżanta Rothe»”.

Rozporządzenie to otrzymał najpierw Forstmann, który szybko przekazał je Krügerowi. Ten przyjrzał mu się z rosnącą nieufnością, a następnie powiedział: — Tu coś śmierdzi! Wzywają tego Bergena, w porządku, mają prawo. Ale informują nas, po co go wzywają, a to jest podejrzan; on nie ma nic wspólnego z aktami personalnymi.

Po czym, już po kilku minutach, okazało się...

**Rozmowa druga**

*Krüger:* „To chyba nie jest twój pomysł, Rothe! O co tu chodzi? W jakim stopniu maczasz w tym palce?”

*Rothe:* „Co ci przyszło do głowy, o czym ty w ogóle mówisz?”

*Krüger:* „Zamknij się na chwilę, kolego! A może chcesz mnie wysadzić z siodła? Próbowalesz już tego przed rokiem. Czy naprawdę cię korci, aby zaryzykować po raz drugi?”

*Rothe:* „Co ty mówisz! Przecież znasz moją sytuację! Ani mi w głowie, żeby akurat tobie stawać na drodze, przecież zawsze dobrze ze sobą współpracowaliśmy”.

*Krüger:* „A więc jest tak, jak myślałem, to adiutant znów próbuje wicherzyć na naszym terenie”.

*Rothe:* „Tylko proszę cię, Krüger, ja tego nie powiedziałem! A także nic potwierdziłem! I w ogóle nic ci nie szepnąłem, zrozumiałeś?”

*Krüger:* „Jasne! Nie trzęś od razu portkami ze strachu. Ja o niczym nie wiem i ty o niczym nie wiesz, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Orientujesz się może, czego ten adiutant chce od mojego Bergena?”

*Rothe:* „Nie mam pojęcia, słowo honoru. Porucznik Seifert-Blanker powiedział mi tylko: «Wezwijcie go, ale możliwie tak, aby to nie wbudzało podejrzeń; wezwijcie go do siebie, a jak przyjdzie, odeślijcie do mnic!» Przypuszczalnie ma być przesłuchiwany, ale w jakiej sprawie, tego naprawdę nie wiem”.

*Krüger:* „Spróbuj to wy badać, skoro zawsze tak dobrze ze sobą współpracowaliśmy”.

— Witamy, panie profesorze! — zawołał kapitan Hein niemal serdecznie brzmiącym głosem, czyniąc szeroki, zapraszający gest. — Cieszę się, że zechciał mi pan do trzymać towarzystwa.

— Robię to bardzo chętnie, panie kapitanie. — Profesor usiadł na jednym z krzeseł z wysokim oparciem, w

odległości ośmiu metrów od Heina, i położył na stole zwój papieru. — Przyszedłem tu między innymi również z powodu pańskiego szampana, jest wspaniały.

— Punkt, w którym się rozumiemy, i to, mam nadzieję, nie jedyny. — Hein wyprostował się. — Czy mogę zapytać, jak postępuje pańska praca?

— Jak na obecne warunki — nieźle.

Kapitan skinął głową, następnie pomyślał, co ta powściągliwa odpowiedź może oznaczać. Wychodząc profesorowi naprzeciw, zapytał: — Nie ma żadnych reklamacji, skarg, zażaleń? Może na kogoś z moich żołnierzy? Natychmiast zrobiłbym z tym porządek! Gdybym więc mógł być panu w czymkolwiek pomocny, proszę tylko powiedzieć.

— Bardzo dziękuję, panie kapitanie. Ale ja wykonuję tylko zlecone mi zadanie naukowe — w każdym razie staram się wykonywać. Nie zostałem wyznaczony do spraw organizacyjnych, na szczęście; to załatwia pani doktor Werner-Weilheim, czasami bardzo radykalnie. Można by sądzić, że jest ona jedynym mężczyzną w naszej grupie.

Kapitan roześmiał się. Dał znak stojącemu z boku Schubertowi, aby nalał szampana — co ten uczynił niemal z godnością starszego kelnera. Następnie wrócił na swoje miejsce w pobliżu kapitana i stał tam bez ruchu. Magnus przyglądał mu się uważnie.

Hein wyciągnął dłoń z kieliszkiem w stronę profesora i prawie uroczyście zawołał: — Za historię i jej bohaterów!

Magnus nie odpowiedział, podniósł również kieliszek, zmrużył oczy od blasku świec i wypił z widoczną przyjemnością. Na jego twarzy malował się chytry uśmieszek.

— A co z księciem orleańskim? — zapytał nagle kapitan. — Czy dowiedział się pan tymczasem o nim czegoś więcej?

— Bardzo dużo! — zapewnił Magnus.

— Niech pan opowie, proszę!

— Chętnie, nawet bardzo chętnie, jeśli pana tym nie znudzę.

— Ależ skąd, panie profesorze! Moje zainteresowanie historią jest wprost ogromne! A ów książkę szczególnie mnie pociąga. Jeśli mnie instynkt nie myli, chyba można go zaliczyć do najwybitniejszych postaci Zachodu?

— Można na to i tak patrzeć, panie kapitanie!

— A więc niech pan opowiada! Ma pan we mnie wdzięcznego słuchacza.

— Na początek chciałbym panu wręczyć ten zwój papieru. Jest na nim coś w rodzaju drzewa genealogicznego książąt orleańskich, które osobiście narysowałem.

Profesor podał rolę papieru Schubertowi, a ten przekazał ją uroczyście swemu kapitanowi. Hein rozwinął papier, pochylił się nisko i przyglądał w napięciu, nic docho-dząc na razie do żadnych wniosków.

— Jest to naprawdę zagmatwane — wyznał po chwili. — Jako całość! Ale się zgadza. Jeśli wyjść od Charlesa Louisa i przyjąć go za punkt centralny, ten irytująco rozgałęziony obraz sprawia sensowniejsze wrażenie.

— Zdaje się, że jest pan na właściwej drodze.

Profesor Magnus oparł się wygodnie na krześle, rozglądał się dokoła, jakby starał się zapamiętać to, co widzi: chaotyczną zbieraninę różnych elementów, brutalnie na siebie napierających. Przedmioty jak ludzie...

Przedmioty: masywny dębowy-stół z Prowansji, fotele obite skórą, wyprodukowane w Nancy, grube, gęste brokatowe zasłony z Lyonu, obrazy wiszące na ścianie — napszone portrety w aksamitach i jedwabiach, w zbrojach ze srebrnej blachy i ze złotymi zdobieniami, pulchne zadowolone twarze, patrzące z poczuciem godności, jakby ze szkoły Rubensa. Na ścianie za nim: przyciemnione, pomarszczone, popękane i przedziurawione kulami alegory-

czne igraszki na małej przestrzeni — przypuszczalnie Fragonard.

Z powodu Fragonarda profesor został tu między innymi przysłany — marszałek Rzeszy słyszał, iż w zamku D. znajduje się podobno obraz klasycznej rangi. I chciał go zdobyć. Profesor jednak zachowywał się tak, jakby jeszcze tego obiektu nie znalazł, nie chciał bowiem przedwcześnie kończyć swojej misji. Zaczynało mu się u Heina podobać.

Wszystko, co tu widział, zarówno obrazy, jak i groby, poruszało jego fantazję. Poza tym był otoczony ludźmi, którzy wydawali mu się w najwyższym stopniu interesujący. Chętnie oglądał wielki cyrk tego świata i zawsze starał się w miarę możliwości w nim grać.

Ludzie: bohater na miarę czasów, ów kapitan, jakby wymodelowany przez Arna Brekera; muskularny, o niskim czole, z wyrazem naiwności małego dziecka na twarzy i prawdopodobnie z jego okrucieństwem. Za nim, niby błady cierpliwy cień, o szczupłej twarzy, ciemnych kędzierzawych włosach i sarnich oczach, młodzieniec — jeszcze jedno zwierzę ofiarne na ołtarzu domniemyanych herosów. Wreszcie on sam: tuż po pięćdziesiątce, ale już zmęczony i upokorzony mężczyzna, częstokroć gnębiony przez różnego rodzaju zwierzników, który zagrzebał się w swojej wiedzy. Lecz wciąż wypełzał, kiedy tylko zwabiła go jakaś przyjemność albo perspektywa zysku.

— Słucham pana, panie profesorze — powiedział Hein. —Jeśli się nie mylę, chciał pan opowiedzieć mi o jakichś szczegółach.

— Owszem, o detalach dotyczących księcia Charlesa Louisa Orleańskiego. Miał on wiele talentów, ale przede wszystkim był wielkim, genialnym żołnierzem. Wyjątkowo otwarty na postęp w sztuce wojennej!



Aa — Od tego niewątpliwie wszystko zależy — w każdym czasie! Żołnierz jako twórczy myśliciel. Jako człowiek czynu decydujący o wszystkim. Jako pracowity pan wszystkich historycznych przemian. Aby zdobyć przewagę na wrogiem, trzeba go wyprzedzić, zarówno pod względem techniki wojennej, jak i metod szkolenia, a także pod względem ducha.

Kapitan pochylił się do przodu, kiedy to mówił. Być może po to, aby Magnus go dobrze zrozumiał. Ale słuch profesora funkcjonował znakomicie, a jego talent do igrania fantazją — również.

Magnus kontynuował: — Nawet książe Eugeniusz wyrażał się z najwyższym uznaniem o tym księciu. Nazwał go światłem rozjaśniającym mroczne godziny Europy! Schiller określił go jako człowieka poszukującego równych sobie. A Fryderyk Wielki po przegranej bitwie zawołał podobno: „Gdybyśmy mieli w naszych szeregach Charlesa Louisa, wygralibyśmy!”

Hcin, nadal pochylony do przodu, zapytał: — A na czym polegały szczególne militarne i historyczne zasługi księcia?

— Ów Charles Louis dbał przede wszystkim o wychowanie bojowe swoich ludzi: kazał im skakać, również nocą, przez obnażone klingi; opracował odpowiedni plan treningowy forsownych marszów; kazał ćwiczyć walkę wręcz na słomianych manekinach. Następnie podwoił stan koni — próbował go nawet potroić — przez co oddziały okazały się bardziej ruchliwe, a tym samym bardziej sprawne; przyjął zasadę: trzy konie na jednego jeźdźca w celu podniesienia wytrzymałości i szybkości kawalerii. Nauczył również swoich żołnierzy, jak skutecznie pokonywać śnieg i mróz. Można go uważać za autora zimowych kampanii wojennych.

— To wspaniałe! — zawołał kapitan Hein i dał znak Schubertowi, aby nalał. Po chwili zapytał: — Czy odnalazł pan grób naszego księcia?

Magnus skinął głową. — Znajduje się on tuż pod głównym ołtarzem kaplicy — powiedział. — Trumna nosi napis w języku łacińskim.

— A więc tam spoczywa nasz książę!

— Oficjalnie. Poświadcza to wiele dokumentów, jednak nie wszystkie. Ja także mam wątpliwości. Moje pierwsze badania zdają się potwierdzać domysły, dotychczas wprowadzicie artystycznie zawołowane, ale stale skrycie wyznawane, że ten grobowiec jest pusty.

— Pusty?

— Tak, o ile jestem w stanie to ocenić na podstawie wstępnych badań. I zgadza się to z legendą.

— Z jaką legendą?

— Podobną do legendy o niemieckim cesarzu Fryderyku Barbarossie; jego broda ponoć wrosła w stół, czekając na jego powrót! Podobnie zawołowane są zdarzenia związane z powrotem naszego księcia. Często się mówi, że zeskoczył on ze swego konia, następnie uniósł się nad horyzontem i poszybował do nieba. Od tamtej pory nikt go więcej nie widział.

— Czy otworzy pan jego trumnę?

— Moje pełnomocnictwa nie sięgają, niestety, tak daleko, panie kapitanie. Jestem tu tylko przejściowo, z ramienia mojej instytucji, jako kierownik jednej z grup badawczych. Dostałem polecenie, aby sporządzić wykaz cennych dóbr kultury i zabezpieczyć je przed zniszczeniem, a następnie przekazać dalej informację o ich istnieniu w możliwie dokładnie skatalogowanej formie. Nic więcej nie mogę uczynić.

— Czy zechce mi pan pokazać trumnę księcia?

— Oczywiście, bardzo chętnie!



— Tak jest, panie kapitanie. Według mojej oceny istnieje nawet szansa powodzenia.

### **Przerywnik czwarty**

**Urywki z późniejszych opowieści  
Madame Susanne,  
obecnie pani F. (F., czyli Forstmann),  
wówczas jednej z mieszkanek  
lokalu po zarządcy zamku w D.**

„(...) nie miałam żadnych tego typu problemów. Wszystko było absolutnie oczywiste. Między innymi dlatego, że pochodziłam z Alzacji.

Ale kto dziś jeszcze wie, co to wówczas znaczyło? Nasz piękny kraj należał do państwa Karola Wielkiego, następnie przez długie lata do Francji, potem do Niemiec, wreszcie znów do Francji... U nas w domu mówiło się dwoma językami — co mi się potem opłaciło. To znaczy mogłam należycie wykorzystać swojej znajomość niemieckiego.

Dlaczego więc właśnie ja miałabym coś mieć przeciwko tym niemieckim żołnierzom? Mój ojciec był w końcu niemieckim żołnierzem. Jeden z moich braci natomiast dołączył do resztki armii francuskiej w Anglii. Mój Boże, przecież trzeba być gotowym zrobić coś dla pojednania naszych narodów...

Zamęt wojenny zaskoczył mnie i rzucił do miasta D. Początkowo tego żałowałam. Ale wkrótce ten fakt okazał się dla mnie szczęśliwym przypadkiem. Spotkałam tam F., mojego późniejszego męża.

(...) mogę śmiało powiedzieć, że była to miłość od pierwszego wejrzenia (...)"

*Urywki z listów  
polowych  
pisanych w owych  
dniach  
przez żołnierzy trzeciej  
baterii*

**Starszy ogniomistrz Krüger do rodziny, w skład której wchodził rodzice i sześcioro rodzeństwa, w tym pięciu braci**

„(...) tu wojna toczy się twardo dalej. Czekamy uparcie, aby zestrzelić dalsze samoloty nieprzyjacielskie. Moja bateria jest stale gotowa do akcji i znajduje się w stanie najwyższej sprawności. Jestem z tego dumny. Mogę także poinformować, że zostałem przedstawiony do Żelaznego Krzyża, do czego mój kapitan musiał mnie prawie zmusić (...)”.

**Podoficer Softer do przyjaciela**

„(...) mogę ci dostarczyć w każdej ilości i w dodatku po bardzo korzystnej cenie: przy dużym zamówieniu — znaczny rabat, przy transporcie koleją — z dostawą na stację; jednakże opłata zawsze tylko gotówką. Dziś mam do zaoferowania, co następuje (...)”.

Załączona dwustronicowa lista.

**Ogniomistrz Moll, szef rachuby, do narzeczonej**

„(...) oczywiście jestem ci wierny, czego nie potrzebuję dalej podkreślać (...) nic wyobrażasz sobie, w jakim odosobnieniu tu żyjemy, wprost po spartańsku (...) od tygodni nie widziałem na oczy kobiety, poza tym Francuzki, jak wiadomo, używają perfum głównie po to, aby stłumić zapach swej zawsze brudnej bielizny (...) nic odczuwam też najmniejszej potrzeby tego rodzaju, przecież mam ciebie (...)”.

## **Podoficer sanitarny Neumann do kolegi na froncie**

„(...) mam trzy takie do mojej dyspozycji. I to, że tak powiem, w dzień i w nocy. Niekiedy rzucam kości, na którą wypadnie! Wszystkie bowiem są ekstra w łóżku!

Być może wkrótce przybędzie czwarta dla większego urozmaicenia: ma to również związek z nieustannym wzrostem sprawności bojowej, do czego przykładamy szczególną wagę. Z mojej inicjatywy! Ach, drogi przyjacielu, jakże bym chciał, abyś był tutaj, żebym ci mógł je wszystkie przedstawić!

Wszystkie naraz! Już cię widzę w akcji! Przyjacielu, ta wojna coś w sobie ma!"

## **Żołnierz Johannes Schubert do matki**

„Droga mamo! Czuję się dobrze. Jedzenie jest wystarczające, służba niezbyt ciężka, a koledzy są dla mnie dobrzy. Pogoda jest piękna. Mieszkamy w starym zamku. Proszę cię, nie martw się o mnie, pozdrawiam cię serdecznie — twój kochający syn".

***Oświadczenie  
byłego podporucznika Helmreicha,  
obecnie kierownika miejskiej kasy  
oszczędności  
w Styrii,  
członka zarządu miejscowego związku  
żołnierzy***

„Wyznaję szczerze, jak mam w zwyczaju: popełniano wówczas błędy! I to duże błędy. Choć ja nie bratem w tym bezpośredniego udziału, albowiem pchanie się do przodu było poniżej mojej godności.

(...) nigdy nie byłem zadeklarowanym narodowym so-

cialistą, ale zawsze byłem dobrym Niemcem. Co również oznacza, że zawsze starałem się dostrzegać niebezpieczeństwo, jakie niesie światu komunizm.

Z tego względu powitałem też Hitlera, ale tylko z tego względu! On jednak, tak jak wielu jego zwolenników, nie potrafił wyciągnąć właściwych konsekwencji z ówczesnych wydarzeń.

Wojna ta bowiem od początku powinna była być totalna! Została jednak stłumiona wskutek odwlekania koniecznych decyzji i żalonych zaniedbań. Wskutek gnuśności serc.

«Nicch pan zapamięta moje słowa» — mówiłem wówczas do mojego kolegi, niejakiego porucznika Mindera. Ale on nie zwracał na to uwagi. Ostrzeżenia ludzi takich jak ja trafiały już wtedy do głuchych uszu.

To szybko rosnące i rozprzestrzeniające się rozprężenie wcześniej zostało przeze mnie dostrzeżone. «Ugrzęźniemy w zwycięstwie» — mówiłem do Mindera, który najwidoczniej nie pojął, co miałem na myśli.

Brakowało wówczas dalekosiędnej, przejrzystej, świadomej doskonałości wojennej. Nawet u takiego człowieka jak kapitan Hein. Dowiódł tego jego żalorny koniec. Kapitan był z pewnością dobrym żołnierzem, znakomitym taktykiem, a także walecznym człowiekiem. Był jednak, w mojej ocenie, zbyt krótkowzroczny. Nie potrafił patrzeć perspektywicznie. Jego spojrzenie sięgało raczej wstecz.

Będąc świadom tego wszystkiego, bardzo wtedy cierpiałem. Do tego dochodziły jeszcze inne ułomności. Na przykład nasz dowódca, pułkownik Rheincimuin-Bergen, z zamiłowaniem oddawał się filozofii — rozprawia! o Kancie i Heglu — a jego otoczenie, łącznie z sędzią wojennym Bornem, paplało to za nim.

Następnie dowódca dywizjonu — tocząca się beczka

wina — wiecznie pijany. A jego adiutant, niejaki porucznik Seifert-Blanker, intrygował bez opamiętania — po to tylko, by uchodzić za człowieka, któremu udało się usunąć zaaranżowane przez siebie trudności.

«Ostrzegam was!» — wołałem do kolegi Mindera. Ale los podążał nieubłaganie naprzód".



## 5

***Bohater musi się uwiarygodnić —  
bo inaczej historia nie będzie wiedziała, có  
z nim począć***

Stali jak durnie, jak smarkacze, jak kołki w płocie: trzecia bateria stanowiska ogniowego. Sprawdzeni we wspólnocie, zahartowani, wyćwiczeni przez starszego ogniomistrza Krügera i ogniomistrza Rungego.

Nikogo nie powinno brakować — z wyjątkiem obserwatorów i wartowników. Wyglądało na to, że nikt nie chciał, aby go brakowało. Nawet Softer, który bez przerwy strzegł swoich zapasów, przybiegł zaciekawiony. Szykowało się wielkie wydarzenie — generał osobiście się zapowiedział!

Aby przyjąć generała godnie i możliwie doskonale, żołnierze parku amunicyjnego i stanowiska ogniowego połączyli się, co nic zdarzało się często. Teraz jednak uformowali się w trójszeregu pośród armat, przed centralnym przyrządem do kierowania ogniem, a starszy ogniomistrz rozkoszował się faktem, że ma znów razem cały swój wielki stos gnoju. Rozlegał się jego grzmiący głos, budząc zadróść nawet Rungego.

— Sam złożę raport generałowi! — oznajmił kapitan Hein dość cicho.

A Krüger, który potrafił prawidłowo ocenić niemal

wszystkie odruchy swego szefa, zawołał donośnym głosem, słyszany zapewne w całym mieście: —Na lewo, do raportu, patrz!

Oczy żołnierzy skierowały się w tę stronę, z której spodziewano się przybycia generała. Albowiem w tak wzorowo wyszkolonej jednostce jak ta nie było konieczne wydanie właściwej komendy; najważniejsze, aby została ona właściwie wykonana. A to Krüger starannie, wielokrotnie ćwiczył.

Trzy samochody jechały w uroczystym tempie do stanowiska ogniowego trzeciej baterii. Widoczne z daleka kolorowe plamy: lśniąca biel generała, płomienna czerwień komendanta i tuż za nimi niebieskoszare mundury i zielonobłękitne ochronne barwy osób towarzyszących. Kolumna zatrzymała się jak na komendę.

Kiedy zjawił się kapitan Hein — tym razem pieszo, jakby szedł na nabożeństwo — Krüger sam zameldował trzecią baterię, pomijając obu oficerów. Stali oni na uboczu i salutowali. Hein ich nie zauważył.

Kapitan zdawał się nikogo nie widzieć. Nie powiedział ani słowa; nawet obowiązujące krótkie „dziękuję” nie przeszło mu tym razem przez gardło. Podniósł tylko prawą dłoń, pokazując przy tym nowy fason zamoszonych rękawiczek, srebrnoszarych, niemal białych. Jego twarz sprawiała wrażenie maski.

Maska trwała w bezruchu. Hein nawet nie drgnął. Stał naprzeciw swojej baterii. Ona również zastygła w łagodnym blasku słońca.

— Pan generał nadchodzi! —zawołał służbiście porucznik Minder.

— Z całą świtą — dodał podporucznik Helmreich, nie mniej służbiście.

Z pierwszego samochodu wysiadł generał, niski, wątyły, trochę niepewny. Rozejrzał się dokoła — wydawało

się, że szuka pomocy. Następnie wyprostował się, jakby stanął na palcach.

Z drugiego samochodu wysiadł pułkownik Rheinmann-Bergen, imponująco wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt pięć, patrzył ojcowiskim wzrokiem. A za nim, tocząc się jak beczka, ukazał się komendant dywizjonu. Bez adiutanta, porucznika Seiferta-Blankera, co w tajemniczeni musieli uznać za alarmujące.

Z trzeciego samochodu wysiadło kilku ludzi z kompanii propagandowej z kamerami i aparatami fotograficznymi. Obstąpili baterię niczym psy gończe.

Kapitan Hein złożył raport generałowi. Ten podziękował zaskakująco patetycznie. Po czym nastąpiły uściski dłoni ze strony generała. Wszyscy chcieli wziąć w tym udział. Ludzie z kompanii propagandowej kręcili korbkami i pstrykali, jeden z nich szkicował portrety bohaterów.

Generał zapragnął przejść wzdłuż frontu żołnierzy. Zaprosił do udziału również swoją świtę. Posuwali się zwartą malowniczą grupą przed żołnierzami stojącymi wciąż bez ruchu: generał i oficerowie towarzyszący, pułkownik i oficerowie towarzyszący, major i oficerowie towarzyszący, ponadto kapitan Hein.

— Wiesz, co sobie teraz wyobrażam? — szepnął Wasermann do stojącego obok Bergena. — Generała w koszuli, przynosi mi to ulgę.

— Tylko przejściowo, a co na dłuższą metę?

Żołnierze patrzyli wyłącznie na generała — zostało to wielokrotnie przećwiczone przez Krügera i Rungego. Czynili to tym bardziej chętnie, że rzadko mieli okazję oglądać na własne oczy tak wysoko postawioną osobistość.

Niejedyn próbował dopatrzeć się w nim spojrzenia bohatera, ale przeważnie mieli wrażenie, że to papuga o barwnym upierzeniu przechodzi obok nich. W dodatku po-

spiesznie, jakby generałowi zależało na tym, aby jak najszybciej zejść im z oczu. Byli rozczarowani.

— Żołnierze! — zawołał po chwili generał jasnym, ostrym, przenikliwym głosem, stając na baczność. — Macie zaszczyt należeć do elitarnej jednostki! Nie tylko pomogliście w doprowadzeniu do decydujących zwycięstw, tak jak wszyscy, ale ponadto bezpośrednio w tym uczestniczyliście! Wasza bateria ma na swoim koncie sukcesy, które można nazwać wyjątkowymi. Pragnę to docenić!

Generał zaczerpnął powietrza i zawołał: — Panie kapitanie! Proszę podejść do mnie! W imieniu swoich znakomych pomocników, swoich wspaniałych ludzi!

Kapitan podszedł do swego generała. Stał przed nim, błąd jak płótno, sztywny, z wodnistymi oczami bez wyrazu. Generał uśmiechnął się; wyciągnął rękę do komendanta pułku, a ten wręczył mu etui wielkości talerza, poza tym oprawioną w świńską skórę teczkę, w której najwidoczniej był dyplom.

Również pułkownik się uśmiechnął, wykazując tym swoją wielkość. Przecież gdyby nie Hein, on sam mógłby przeżywać chwilę najwyższego uznania: odznaczenie Krzyżem Rycerskim do Żelaznego Krzyża.

— Panie kapitanie — powiedział generał, wydobywając z etui szeroką czarno-biało-czerwoną wstęgę, na której wisiał metalowy order. — Führer i kanclerz Rzeszy, wódz naczelny Wehrmachtu Adolf Hitler, przyznaje panu, w uznaniu pańskich zasług, najwyższe odznaczenie. Mam zaszczyt odznaczyć pana Krzyżem Rycerskim do Żelaznego Krzyża.

Generał założył wstęgę orderu z Krzyżem Rycerskim przez lekko pochyloną głowę kapitana. Krzyż wisiał przez chwilę krzywo, został jednak pospiesznie wyprostowany, następnie lekko przyklepany dłonią.

— Oto ma pan swój naszyjnik — powiedział generał

żartobliwym tonem. Co zabrzmiało tym bardziej ironicznie, że generał nie miał jeszcze takiego odznaczenia.

Nastąpiły teraz uściski dłoni: najpierw generał, następnie dowódca pułku, dalej dowódca dywizjonu, wreszcie oficerowie towarzyszący. Padały przy tym dobitne słowa, takie jak: „Zasłużony!”, „Jeśli już ktoś — to tylko on!”, „Tylko tak dalej!”, „Jesteśmy z pana dumni!”

Hein stał wyprostowany, podawał każdemu mechanicznie dłoń, ale za każdym razem jego uścisk był mocny. Tymczasem nie mógł wykrztusić słowa. Był filmowany, fotografowany, portretowany.

— Same nudne sprawy — mruknął mężczyzna z kompanii propagandowej, który stał obok Krügera i Rungco. — Przydałby się jakiś niewielki obstrzał. Tego jesteśmy spragnieni.

— Następnym razem, być może — powiedział Rungc obiecująco. — Wygląda na to, że wkrótce wydarzy się tu coś niezwykłego.

— Wobec tego niech kolega da nam w porę znać! Tylko żadna błahostka, jak zawsze. Muszą się strzelać! Musi być huk! A wtedy może traficie do kroniki.

— Proszę dalej — polecił generał, lekko zniecierpliwiony. Drażniła go ta stojąca obojętnie masa śmierdzących mężczyzn. Był on bowiem estetą. Poza tym był umówiony z kilkoma kolegami generałami w Paryżu na galowym przyjęciu u Maxima. — Załatwmy resztę!

— Ogniomistrz Runge! — zawołał dowódca pułku pośpiesznie. — Odznaczam pana Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy, przyznany za odwagę w obliczu wroga.

Wręczenie — uścisk dłoni — w tył zwrot!

— Starszy ogniomistrz Krüger! — powiedział dowódca dywizjonu nic mniej pośpiesznie. — Dla pana Żelazny Krzyż drugiej klasy! Za ratowanie rannych pod obstrzałem wroga.

W trybie przyspieszonym zostały jeszcze wręczone trzy dalsze odznaczenia — również Żelazne Krzyże drugiej klasy: dwóm podoficerom i jednemu gefrajtrowi. Po czym generał, w miarę życzliwie, skinął głową żołnierzom, wsiadł do samochodu w otoczeniu oficerów towarzyszących i odjechał w szybkim tempie. W ciągu trzech minut w trzeciej baterii byli znów tylko sami swoi.

Porucznik Minder podszedł do Heina, który stał jak posąg. — Gratuluję! — zawołał, po czym się poprawił: — Pozwalam sobie pogratulować!

— Dziękuję — powiedział kapitan Hein skromnie, nie drgnąwszy nawet.

— Czy możemy zaprosić pana kapitana do naszej oficerskiej kwatery? — zapytał Minder pospiesznie. — Na małą lampkę wina z okazji odznaczenia, które również nas uhonorowało...

— Dziękuję — nie! — oświadczył Hein. — Na wszystko musi przyjść pora! Mamy tu do wypełnienia plan służbowy. A u nas służba jest zawsze na pierwszym miejscu. Odznaczenie, panie Minder, to jeszcze jeden obowiązek więcej!

— Czy nic będzie dziś „małpiej zabawy”? — zapytał Arm zatroskany.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — uspokoił go Kruger. — Dlaczego nic miałbyś swoim małpom kazać się wspinać, skoro ci to sprawia przyjemność?

— No bo dziś jest jakby święto z powodu tych odznaczeń.

— Bądź spokojny! Nie słyszałeś, co nam powiedział Hein swym piskliwym głosem? Obowiązek przede wszystkim!

— Ja w każdym razie nie zostałem odznaczony — zauważył w końcu Arm.

— Nie denerwuj się — powiedział Krüger miłym głosem. — Jeśli o mnie chodzi, mógłbyś dostać mój krzyż, ja nie przywiązuję wagi do takich formalności. Noszę ten krzyż ze względu na moją baterię. Zasłużyła na to. A poza tym, mówiąc w zaufaniu, zostałeś przedstawiony do Krzyża Walecznych z mieczami! A tego nikt tu jeszcze nie ma.

— Owszem, jeśli to prawda. — Arm klepnął Krügera po ramieniu. — A więc znów wstąpię na arenę w całej okazałości! Moja „małpia zabawa” odbędzie się! Kogo mamy tym razem?

— Bergena — oświadczył Krüger spokojnie. — Przede wszystkim jego. Trzeba mu pilnie uświadomić, skąd tu wieje wiatr.

— Już ja mu to uświadomię! — obiecał Arm z zapalem. — Byłoby mi bardzo przykro, gdyby moja zabawa przepadła. Ale na naszym kapitanie i pod tym względem można absolutnie polegać — wyętzona służba trwa dalej! Co nam jednak nie powinno przeszkadzać, aby wieczorem popić dla uczczenia dzisiejszego święta. Czy mam rację?

— Jestem to chyba winien tobie i naszym kolegom — przyznał Krüger. — Już Softer to zorganizuje.

— Z wizytą w burdelu na zakończenie?

— To także da się zrobić — obiecał Krüger. — Ale wszystko po kolei.

„Małpie zabawy” odbywały się zwykle w godzinach południowych przy końcu każdego tygodnia. Było to wspólne przedsięwzięcie stanowiska ogniowego i parku amunicyjnego. W milczeniu akceptowane przez Ucinę, organizowane przez Krügera i Rungego, a prowadzone przez Arma.

Arm, od dawna znany jako świetny organizator ćwiczeń, w których wykazywał się niebywałymi pomysłami, aż palił się do tego, aby jego inwencja nie zanikła.

— Kto będzie moim asystentem?

— Proponuję Kaminskiego — oświadczył Krüger po dłuższym zastanowieniu.

Kamiński, także jeszcze nie odznaczony, zasłużył sobie na nobilitującą zachętę. Ten bowiem, komu dane było brać udział u boku Arma w jego „małpich zabawach”, miał prawo czuć się uznanym fachowcem, co było równoznaczne z potwierdzeniem sprawności.

— A więc dobrze, Kamiński.

W „małpich zabawach” uczestniczyło co najmniej sześciu żołnierzy. Inaczej wysiłek się nie opłacał. Największa liczba: dziesięciu mężczyzn, gdyż tylu można indywidualnie zająć. Tym razem zapowiedziano siedmiu.

A więc po pierwsze, Bergen, skierowany przez Krügera; prócz tego czterech ludzi ze stanowiska ogniowego, skoczkiwie wzwyż z podejrzanymi niskimi wynikami, wskazani przez Rungego; następnie dwóch ludzi, których Softer uważał za nieuczciwych — zużywali więcej towarów, niż mieściło się w skrzyniach, które pakowali.

— Godzina trzynasta — powiedział Arm rzeczowo. — Gotowi jak do wymarszu, ale z pustymi plecakami. Cegły przygotowane.

Tym samym cała akcja, przynajmniej dla Krügera, była wyjaśniona. W następnej kolejności należało zorganizować uroczystość dla kolegów podoficerów, już drugą w tym tygodniu.

Krüger wezwał Sof tera do siebie do kancelarii. Zjawił się, choć z niewielkim opóźnieniem. Zachowywał się obojętnie, mając na twarzy podejrzaną uśmieszek.

— Softer, mój drogi — powiedział Krüger — tylko mi tu nie wyjeżdżaj z tym, że i ty nie zostałeś odznaczony.



Mówię ci w zaufaniu, że wkrótce to nastąpi. Jesteś przedstawiony do Krzyża Walecznych z mieczami, a tego nikt tu jeszcze nie ma.

— Czy to prawda? — zapytał Softer, pospiesznie łapiąc powietrze. Znow wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzekł: — Jeśli ty to mówisz, to na pewno prawda! To oczywiście zmienia postać rzeczy.

— A co z uroczystością? Od razu dziś wieczorem? Łącznie z twoim burdelem?

— Załatwione! — obiecał Softer. — Napoje są już przygotowane. A mój burdel może być w każdej chwili zamknięty dla klientów, powiedzmy, od późnych godzin wieczornych. A potem tylko na specjalne życzenie. Dla odznaczonych kolegów. Zgoda? Świeżo odznaczeni ze stanowiska ogniowego mogliby tam pójść wcześniej, zaraz po skończeniu służby. Za dodatkową opłatą, rozumie się — abyśmy potem zostali sami swoi.

Na Softerze i jego organizacji można było polegać. Krüger zamierzał więc z całym spokojem poświęcić się własnym przyjemnościom, do których między innymi należały „małpie zabawy” Arma. Nie mógł sobie tego odmówić, i tym razem również miał nadzieję świetnie się bawić.

Podoficer Softer niczym zwiadowca obchodził park wokół zamku. Przemknął obok kaplicy, następnie wyszedł kamienną ławkę w pobliżu muru.

Siedział tam niski, szczupły mężczyzna w kolejarским mundurze, marynarkę miał rozpiętą, i to nie tylko z powodu temperatury. Rękę położył na plecach dziewczynki, która miała chyba nie więcej niż dziesięć lat, i przyciągnął ją do siebie.

Softer potrząsnął głową na ten widok. Chrząknął, następnie powiedział: — Czy nie przeszkadzam?

Kolejarz przestraszył się. Odepchnął dziewczynkę od siebie, ona zaś wyglądała sukienkę.

— Ach, to ty! — zawołał kolejarz, poznawszy Softera.

— Aleś mi napędził strachu, tak się zakraść od tyłu! Oczywiście, że nie przeszkadzasz!

— Co robisz? — zapytał Softer, znów wyszczerzając zęby. — Czy próbujesz tu odświeżyć swój francuski?

— Przyszliśmy tu tylko na spacer, prawda, Simone? — Dziewczynka gorliwie skinęła głową. — No widzisz, Softer. Chcieliśmy tylko na łonie natury...

— Oszczędź sobie reszty gadania, stary świntuchu — powiedział Softer przyjaźnie. — Mnie nie nabierzesz. Za dobrze cię znam. Jesteś pies na małe dziewczynki.

— Za pozwoleniem! — zawołał kolejarz i zaperzył się, wymachując krecimi łapami. — Ona jest siostrzenicą mera. Osobiście mi ją powierzył. Ma pokazać mi okolicę!

— Siostrzenica mera? — Softer spoglądał zaniepokojony na tę parkę. — W porządku, twoja sprawa. Ja w każdym razie o niczym nie wiem, nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Wiem tylko jedno: przed trzema laty, kiedy opiekowałeś się nieletnią córką wdowy, obiecałeś mi załatwić transport kolejowy. W kierunku ojczyzny.

— Załatwione! — powiedział kolejarz, zapinając mundur. — Powiedz tylko kiedy, dokąd i ile? A ja wszystko zorganizuję.

— To świetnie! — Softer uśmiechnął się zadowolony.

— To się nazywa obsługa klienta. Ja również jestem gotów do wzajemności, więc przerywam tę idyllę. Chcę przez to powiedzieć, żebyś uprawiał swoje bezceństwa gdzie indziej. Tu niedługo zaroi się od „małp”, a ich poganiacze, tego jestem pewien, mogą mieć o wiele mniej wyrozumiałości niż ja.

- Dziękuję za informację! — powiedział kolejarz, następnie wstał i podał rękę Simone, która ją z ufnością ujęła. — Ale jedno, Softer, chciałbym sprostować: tu nie ma mowy o żadnych bezeceństwach, jak ty to nazywasz. Raczej o czystej sympatii, kocham Simone jak córkę, a ona kocha mnie jak ojca.

— Jasne! — odrzekł Softer. — Znikajcie czym prędzej! A pierwszy transport możliwie zaraz jutro rano i po godziwej cenie.

Runge także cenił sobie ofertę Arma, mianowicie jego „małpie zabawy”. Dziś — świeżo udekorowany, a więc w najlepszym nastroju — szczególnie. Usiadł z Krügerem na ławce w parku. W teczce miał kilka butelek piwa. Stąd mogli obserwować teren, na którym odbywały się „małpie zabawy”.

Podoficer Softer popędził najpierw, dla rozgrzewki, stado mężczyzn do stosu cegieł. Arm z trudem za nimi podążał. — Po trzy na osobę — zarządził. — Tak na początek.

— Wykonać! — krzyknął Kamiński. — Raz, dwa, trzy!

Chłopcy spełnili rozkaz. Wsadzili do plecaków po trzy prostokątne cegły. Każda z nich ważyła około trzech kilogramów. Żołnierze nie spieszyli się zbytnio, ale też nie robili tego powoli. Arm z zadowoleniem przyglądał się swoim podopiecznym, lecz nie bawiło go to za bardzo. Skinął na Kamińskiego.

— Jeden gwizdek — oświadczył Kamiński, niemal krzyżąc — znaczy: kłaść się! Dwa gwizdki: powstać, na-przód marsz! Trzy: kryć się! Jeśli klasnę w dłonie: zmiana pozycji. Kciuk w dół: na dół! Kciuk w górę: do góry! To obowiązuje przez najbliższe pół godziny.

.?; Tym samym podoficer Kamiński wygłosił jedno z najdłuższych, a także najlepiej przygotowanych przemówień swego życia. Po czym pogrążył się znów w całkowitym milczeniu. Później klaskał już tylko w dłonie, dmuchał w gwizdek, kierował kciuk w górę albo w dół. Patrzył ze złośliwym uśmiechem.

A jego siedem ofiar padało zgodnie z rozkazem w błoto, wstawało, znowu padało, rzucało się naprzód, następnie w bok, czołgało wzdłuż i w poprzek rozjeżdżonej przez samochody drogi. W końcu wszyscy dyszeli jak ciężko chorzy. Po ich ubłoconych twarzach spływał pot i zaklejał oczy.

— Stary dobry machart — powiedział Runge, otwierając przy tym nową butelkę piwa. — Chłopaki ślaniają się na nogach. Albo to nędzne mięczaki, albo symulują.

— Oczywiście, że symulują — orzekł Krüger ze znanstwem. — Z biegiem czasu rozwijają w sobie umiejętności aktorskie.

— Teraz ja przejmę dowództwo — oznajmił Arm. Zakolysał się, po czym stanął sprężysto, skinął na Kaminskiego i powiedział. — Rozgrzałeś całkiem nieźle tych śmierdzieli. — Co było wielką pochwałą.

Teraz Arm stanął przed swoim „chórkiem” — tak nazywał siedmiu sapiących żołnierzy — i polecił: — Podwoić ciężar. Do sześciu cegieł. Następnie wejść na drzewo!

Dopiero wówczas zaczęła się właściwa „małpia zabawa”. Warunkiem jej były nadające się do tego celu drzewa. A tych w parku nie brakowało: obfitość dębów, kasztanów, srebrnych świerków różnej wielkości, przypuszczalnie już wiekowych.

— A więc na drzewa, małpy!

Obciążeni podwójnie żołnierze czołgali się pospiesznie naprzód — najszybciej ci, którzy już znali stosowane tu reguły zabawy. Bergen dopasował się do nich, reagując

szybko i sprytnie. Trzymał się w miarę możliwości w środku stada, aby jak najmniej rzucać się w oczy.

— Wszystkie małpy, odpoczynek! — zawołał Arm.

Chłopcy pokładli się na gałęziach, na które akurat się wdrapali. Leżeli na piersiach i brzuchu, przytrzymywali się rękami i nogami. Niektórzy wpijali się ze wszystkich sił — przede wszystkim ci, co za słabo przymocowali sobie plecak wagi blisko osiemnastu kilogramów, który teraz dyniąc, groził, że przeważy. Niektóre twarze przyciskały się wystraszone do kory drzew — w drżącym oczekiwaniu na kolejną decyzję Arma.

— Kolego Kamiński — powiedział Arm — proszę mi podać swój bagnet.

Kamiński wyciągnął bagnet z pochwy — masywny, płaski, stalowy nóż. Arm wziął go do ręki i podszedł do jednego z żołnierzy, który zajmował miejsce nisko na drzewie, i uderzył go mocno pod podeszwę: — Wyżej! Albo przebiję ci drugą dziurę w dupie!

Był to sygnał ostrzegawczy. Niektórzy pospiesznie wdrapywali się wyżej. Arm polecił Kamińskiemu, aby mu nasadził bagnet na karabin. W ten sposób powiększył swój zasięg działania o cały metr, co zmusiło wszystkich do ubezpieczenia się.

Arm obrzucał swoich żołnierzy takimi epitetami, jak: „pluskwy”, „wszy”, „robactwo”, „szarańcza”, „krety”, a także „świnie”; gardził subtelnosciami, które lubił Kruger. Uważał je za stratę czasu. W istocie nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— Wszystkie małpy, wieszac się! — zawołał Arm.

Był to punkt kulminacyjny całej zabawy: żołnierze obejmowali dłońmi gałęzie, na których leżeli, a ich ciała zwiślały w dół, przygniatane ciężarem plecaków. Wisieli tak kilka minut, trupiobladzi i zieloni na twarzach.

— Żeby mi tu nikt nie osłabł! Trzymajcie się w kar-

bach! — zawołał Arm ostrzegawczym tonem. — Niech mi tu nikt nie zrobi w portki! A jak któryś zbyt szybko wysiądzie, to go zadżgam bagnetem, jeśli wcześniej nie skreści sobie karku.

Wkrótce chłopcy zaczęli spadać z drzew jak zgniłe owoce; padając, uderzali głucho o ziemię. Leżeli potem, ciężko dysząc, jęcząc, charcząc. Arm śmiał się zadowolony. — Kto spadnie jako ostatni, może na tym zakończyć — oznajmił.

Ostatnim, który spadł, był gefrajter Bergen. Krüger, obserwujący tę zabawę, przyjął ów rezultat z dużą uwagą. — Popatrz na tego — powiedział — jaki jest jeszcze twarządy i wytrzymały.

— Jest to właściwość początkujących — rzekł Runge. — Ale nie musi tak być zawsze. — Wstał z ławki; punkt szczytowy został osiągnięty. Pospiesznie wypił trzecią już butelkę piwa. — Muszę jeszcze pójść na stanowisko ogniowe. Hein zapowiedział na popołudnie specjalne ćwiczenia. Z całą paradą. Dla uczczenia dzisiejszego dnia.

Arm tymczasem zajmował się swoim kolejnym specjalnym numerem, jednak już bez Bergena. Nazywał ów numer „pomiarami terenu” — żołnierze kładli się na ziemi, wyciągali się, wykonywali skok do przodu, przy czym czubki palców u nóg musiały znajdować się dokładnie tam, gdzie przedtem były końce palców rąk, ani o centymetr bliżej. — Tym razem od wychodka do wychodka! — Miał na myśli odcinek od latryny żołnierzy do latryny naukowców. — I tam wsadzić nos do środka!

Runge pożegnał się serdecznie z Krügerem, który zapisał: — Ale wieczorem przyjdiesz do nas na wspólną zabawę?

— Jasne! — obiecał Runge. — Na razie chcę jeszcze poświęcić moich podopiecznych, żeby całkiem nie wyszli z wprawy.

— Zrób to koniecznie — rzekł Krüger. — Niczego nie przepuść. Co się zaniedba, tego się już nie nadrobi, ale my niczego nie zaniedbamy.

Po chwili rozległ się przeraźliwy krzyk, który zaraz potem przeszedł w histeryczny wrzask. Hałas dobiegał z latryny ustawionej specjalnie dla grupy naukowców, a wszczęła go doktor Werner-Weilheim.

— To już szczyt wszystkiego! — wołała. — Nie można tu nawet w spokoju się... — Zamilkła nagle, bo ujrzała żołnierza leżącego przed nią na brzuchu. — Że też macie czelność nawet tu wtykać swój nos!

— Dobra robota, co? — rzekł Arm do Krügera, szczerząc zęby.

Krüger przytaknął z uznaniem. — Jak na zamówienie!

— Jedyne, co mnie tu wciąż zajmuje i niemal w magiczny sposób pociąga, to jest ten burdel! — Wassermann oznajmił to pogodnym, ale energicznym tonem. — A może spróbowałibyśmy go kiedyś rozpędzić?

— Czemu nie! Tylko już nie dziś! — powiedział gefrajter Bergen, zmęczony. — Na dzisiaj mam już dość.

— Co znaczy, masz dość? — zapytał Wassermann z troską w głosie. — Czyżby ten Arm tak cię wykończył?

— Chwilowo całkowicie!

Bergen pochylił się nad silnikiem swojego radiowozu, który znów nie zaskoczył. Trzeba było usunąć defekt i Wassermann natychmiast się zdeklarował, że mu pomoże.

— Tę usterkę zlikwidowałbym w ciągu kilku minut, gdybym chciał — zapewnił gefrajtra, uśmiechając się. — Tylko dlaczego miałbym chcieć? W końcu to ja sam ją spowodowałem w czasie tej „małpiej zabawy”, aby potem móc ci dotrzymać towarzystwa. Moglibyśmy tu spędzić

parę godzin — całe długie popołudnie. I przy tym pogadać.

— Czy to ma sens? — zapytał Bergen niepewnym głosem.

— To zależy — odparł Wassermann. — To zależy od tego, czy niektórzy poganiacze świń czują się tu zbyt dobrze, czy należy im na to pozwalać, czy nie należałoby coś przeciw nim przedsięwziąć? Tylko tak, dla zabawy.

— Co takiego — na przykład?

— Istnieje bardzo wiele możliwości, wystarczy mieć jedynie trochę fantazji. A ty ją masz, ja także! Na przykład taki burdel to sprawa medycyny, a więc można by zwrócić na to uwagę lekarza pułkowego. Poza tym w burdelu zatrudnione są trzy baby, francuskie osoby cywilne, których sprawdzenie, przynajmniej pod względem personalnym, należy do miejscowej komendantury, co powinno się niektórym uświadomić.

— Ach, szkoda zachodu — powiedział Bergen. — Ci ludzie dotrą najwyżej do Krügera i dalej ani kroku. Do Heina czy do burdelu nie dotrą nigdy!

— A co z adiutantem dywizjonu, z tym porucznikiem Seifertem-Blankerem? Przecież on się wprost pali do tego, aby naszemu kapitanowi przypiąć łatkę, położyć go na obie łopatki.

— Wezwał mnie do siebie. Zdaje się, że chce mnie pilnie widzieć.

— A więc wszystko jest jak najlepiej!

Wassermann leżał rozluźniony na jednym z błotników radiowozu. Bergen leżał na drugim.

— Nic tu nie jest najlepiej! — gefrajter potrząsnął głową. — Być może, a nawet na pewno ten adiutant pragnąłby naszego Heina posiekać na kawałki. Ale to mu się uda tylko wówczas, gdy będzie mógł dostarczyć świadków i dowody. A to znaczy, że ten, kto mu w



tym dopomoże, będzie wydany na pastwę nie tylko Krügera i spółki.

— A więc nie chcesz?

— A ty byś przystał na stuprocentową współpracę?

— Zgoda! — powiedział Wassermann. — W porządku! Z pewnością masz rację! Lecz szkoda, cholernie szkoda! Czy nie widzisz już żadnej możliwości? Czyżby ten Arm ze swoją „małpią zabawą” całkowicie wytrącił cię z równowagi?

— Już ja mu się zrewanżuję — powiedział Bergen w zamyśleniu. — Należy mu się!

— Naprzód! — zawołał kapitan Hein do swego kierowcy. — Zawsze naprzód!

Krzyż Rycerski, tym razem już dobrze przymocowany, ozdabiał szyję kapitana i wyglądał bardzo dekoracyjnie. Sprawiało to takie wrażenie, jakby dopiero teraz Hein był całkowicie ubrany. Jak zwykle, miał on ambitne plany, w każdym razie nic zamierzał spocząć na laurach.

— Tempo: trzydzieści! — zawołał do Kaminskiego, wypatrując już stanowiska ogniowego.

Kapitan stał na przodzie w swoim łąziku, z prawej strony kierowcy, lekko oparty o szybę chroniącą przed wiatrem. Podoficer Kamiński zręcznie prowadził samochód po rozjeżdżonej drodze. Niedaleko przed me Napoleon zameldował: — Wyjazd zablokowany!

Znajdował się tam bowiem czarny, przypominający trumnę samochód nieokreślonej marki, przypuszczalnie przemalowany horch. A przed nim stał opasły, czerwony na twarzy, z workami pod oczami, na krzywych nogach kapitan Karl Schmidt, komendant garnizonu w D. Zasalutował kapitanowi Heinowi.

— Niech mnie pan przepuści! — zażądał Hein, wypro-

stowany nieruchomo. — Czy też chce pan, abym go przejechał?

— Za pozwoleniem! — zawołał komendant, podnosząc lekko ręce. — Wcale nie mam zamiaru blokować panu drogi, chciałem panu tylko pogratulować odznaczenia.

— Bardzo dziękuję! A teraz proszę, by pan zjechał na bok!

— Oczywiście! — kapitan Schmidt próbował się uśmiechnąć, co mu się nawet udało. — Tymczasem jednak pozwolę sobie wykorzystać sposobność i poprosić pana o zrozumienie mojej szczególnej sytuacji w tym mieście. To w gruncie rzeczy także pańska sprawa. Coś w rodzaju obopólnego obowiązku.

— O niczym takim nic mi nie wiadomo — oświadczył kapitan Hein. — Ale zechce mnie pan poinformować o tym na piśmie, jeśli istotnie panu na tym zależy. W tej chwili mam ważniejsze sprawy do załatwienia, chodzi o gotowość bojową mojego oddziału.

— A mnie chodzi o niemiecko-francuskie porozumienie! — stwierdził komendant z wyraźnym naciskiem. — O usunięcie niebezpiecznych wzajemnych niechęci! O wyeliminowanie niemal stuletnich konfliktów! Myślę, że to powinno wzbudzić pańskie zainteresowanie.

— Mnie interesuje tylko moja bateria, jej sprawność i siła bojowa, nic poza tym. Zegnam, panie kapitanie!

— A te nieustanne zadrażnienia, które pochodzą wyłącznie z waszego podwórka? Jak na przykład to wykwaterowanie mieszkańców z okolic boiska bez widocznego powodu. Następnie strzelanie ostrymi nabojami do zwierząt na terenie zamku — do gołębi i kotów. A nawet do psa burmistrza, na szczęście niecelnie. Poza tym, jak mi wiadomo, planujecie wysadzenie w powietrze wieży ciśnień, która rzekomo zasłania pole obstrzału! Panie kapitanie, chyba wolno mi zapytać, co to wszystko znaczy?

— Nic poza tym, że pan nie ma najmniejszego pojęcia o zadaniach i roli jednostki w akcji. — Jeden kapitan spojrział władczo z góry na drugiego kapitana. Czysty jak kryształ bohater zatrzęsł się z obrzydzenia. — Proszę mnie przepuścić!

— Nie przepuszczę, dopóki mnie pan nie wysłucha!

— Niech pan mnie nie zmusza do najgorszego! Ale w porządku, skoro pan się tak twardo upiera, nie mam innego wyjścia: a więc gazu, Kamiński!

Kierowca jednak dyskretnie zwrócił kapitanowi uwagę, że właśnie od strony stanowiska ogniowego zbliża się Runge — gotów do złożenia meldunku i jak zawsze pragnący wykazać się wobec swojego kapitana. Żelazny Krzyż pierwszej klasy lśnił mu na piersi.

— Czy on tu przeszkadza? — zapytał Runge, wskazując palcem na komendanta garnizonu.

Hein skinął tylko głową; to wystarczyło, jak stwierdził z zadowoleniem. Runge bowiem załatwił bez trudu resztę. Powiedział do Schmidta miłym głosem: — Niech pan zjedzie z drogi, bo inaczej pański samochód znajdzie się pod obstrzałem jednego z naszych dział, co mu nie wyjdzie na dobre...

— Przybyłem tu w pokojowych zamiarach! — zawołał niemiecki komendant. — I oto co się dzieje: grozi mi się! 1 to od razu tak ostro.

— Kto tu grozi? Nikt! — oświadczył Runge, czując się wzmocniony przyjaznym spojrzeniem Heina. — Tu stosuje się tylko może zbyt szorstką mowę żołnierzy frontowych. — Po czym zameldował kapitanowi Heinowi: — Stanowisko ogniowe gotowe do walki, panie kapitanie! Ludzie już czekają.

— A więc naprzód! — zawołał Hein do swego kierowcy.

> Samochód kapitana ruszył natychmiast i zbliżał się metr po metrze do czarno pomalowanego pojazdu komendanta miasta.

— Zjechać z drogi! — zawołał kapitan Schmidt alarmującym głosem. — Natychmiast zjechać z drogi! — Niemal sapiąc, dodał: — Nie wolno nam się dać sprowokować, nikomu! Włączyć bieg wsteczny!

— A więc — stwierdził kapitan Hein — trzeba było tak od razu.

— Toż to sama przyjemność! — zapewnił Runge, wskakując do samochodu szefa. — Załatwiamy takie sprawy raz dwa, jeśli trzeba!

Hein skinął głową. — Wiem, mój drogi Runge. Pan poradzi sobie śpiewająco w najbardziej delikatnej sytuacji. Nie na darmo został panu przyznany Żelazny Krzyż, na mój wniosek.

— Za to jestem wdzięczny — odrzekł Runge. — I mam nadzieję, że jeszcze będę miał wiele okazji, aby to udowodnić.

— Pan powinien zostać oficerem — rzekł Hein, pochylając się poufale do Rungego. — Ma pan do tego dryg! Już ja się tym zajmę.

Runge milczał wzruszony. Ale po chwili znów stał się rzeczowy. Powiedział: — Chodzi o siłę bojową naszej baterii, prawda? Ona nie może opaść. Wprost przeciwnie: musi być coraz większa!

— Zdaje się, że pan *to poją*] — rzekł Hein.

— A zatem wzrost siły bojowej przez zwalczanie różnych objawów słabości — czy o to chodzi? Ostra amunicja przeciwko paraliżującej sile oporu — coś w tym rodzaju?

— W rzeczy samej — kapitan skinął głową, zadowolony.

— Przypomina mi się pewne doświadczenie w Polsce. Było to w jakiejś wsi tuż za granicą, pod Mławą. Naciera-

liśmy wówczas na wroga, nie zważając na straty. I straciliśmy przy tym dwóch albo trzech ludzi. A gdybyśmy się nie odważyli na usunięcie w porę wszystkich przeskód, stracilibyśmy prawdopodobnie dwunastu do piętnastu ludzi.

— Pańska pamięć, drogi Runge, jest znakomita. Poza tym potrafi pan wyciągać wnioski. A to też jest cechą dobrego oficera. Tylko jak, mój drogi, można by najskuteczniej przenieść doświadczenia z tamtych czasów na obecne stosunki?

— Myślę o tym nieustannie — zapewni! Runge, teraz już kandydat na oficera. — Zarysowuję mi się pewne wnioski.

— To wspaniale, Runge. Niech mnie pan natychmiast poinformuje, jak pan dojdzie do jakichś przydatnych wniosków. A przydatne, mój drogi, to znaczy dające się praktycznie spożytkować. Ale panu nie trzeba tego wyjaśniać.

— Czy jest tu kto? — rozległ się silny głos, dobiegający od raptownie otwartych drzwi byłego mieszkania zarządzcy zamku. — Czyżby wszyscy spali? Nawet teraz?

Był to głos doktor Werner-Weilheim. Zamierzała ona przeprowadzić inspekcję pomieszczeń, których wciąż jeszcze odmawiano jej grupie. Pragnęła wreszcie uzyskać materiał dowodowy. Nic zawahała się więc, choć po krótkiej wewnętrznej walce, wdrzeć się do jaskini występku.

— Czy jest tu kto? — zawołała ponownie, wchodząc do pierwszego pomieszczenia, tak zwanego salonu. — Czyżby wszyscy się przede mną pochowali?

Popatrzyła z pogardą na scenerię przed sobą: stół, na którym stały kieliszki z nie dopitą żółtawą cieczą, chyba ajerkoniakiem — widok ten mógł przyprawić o mdłości —

następnie obszarpana, poplamiona kanapa z wymiętą poscielą, wreszcie porozrzucane części damskiej garderoby, nie pierwszej świeżości.

Jedną z nich były cienkie jak mgiełka majtki. Werner-Weilheim wzięła je do ręki, trzymała pod słońce, które przenikało przez brudne szyby. Przyglądała się im, jakby miała przed sobą obiekt badawczy wątpliwej wartości. Następnie odrzuciła z obrzydzeniem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wyjrzała gładka świńska twarz podoficera sanitarnego Neumanna; jego bladoniebieskie oczy patrzyły z niedowierzaniem. Spostrzegł, że był badawczo obserwowany. Wsunął się do salonu.

— Ojej! — zawołał Neumann. — Czego pani szuka w tym pomieszczeniu? Chyba pani do nich nie należy? To z pewnością nie jest miejsce dla pani! Przypuszczalnie pomyliła pani drzwi. Ale pomyłka to rzecz ludzka.

— Kto tu się pomylił i w czym, to się wkrótce okaże — powiedziała Werner-Weifheim.

— Pani, mam nadzieję, jest w błędzie — odrzekł Neumann. — W tych pomieszczeniach mogą przebywać wyłącznie mężczyźni!

— Ach, nędzny, obrzydliwy świntuchu! — zagrzmiała Werner-Weilheim. — Co pan mi tu próbuje imputować! Pańska parszywa fantazja zdaje się nie mieć granic, co jest tylko kolejnym dowodem panującej tu demoralizacji. Ja w każdym razie życzę sobie obejrzeć wszystkie pomieszczenia, i to natychmiast!

— Po moim trupie! — oświadczył Neumann.

— Może pan nim zostać, jeśli będzie pan nadal zagrażał mi drogę, świński nadzorco!

— Wolnego! — zawołał Neumann, teraz już wzburzony. — Nie ma pani prawa w ten sposób ze mną rozmawiać. Bo mogę to odczuć jako obrazę.

— Rozmawiam z panem tak, jak pan na to zasługuje! Co pan sobie wyobraża? Czy ma pan w tym burdelu jakąś określoną funkcję? Jest pan tu przypadkiem, czy pełni pan służbę? Czy pan sam płaci, czy też panu płacą?

— Tego już za wiele! — powiedział Neumann. — W każdym razie osoby takie jak pani nie mają tu czego szukać. To prywatne przedsięwzięcie.

— To jest chlew! I ja go oczyszczę! — Werner-Weilheim odepchnęła Neumanna energicznie na bok i rzuciła się na drzwi do sąsiedniego pokoju — otworzyły się.

Stała tam Marie-Antoinette w szlafroku. Wyglądała na zmęczoną — obsłużyła w końcu trzech odznaczonych niższego stopnia, dwóch podoficerów i jednego gefrajtra. Do tego Softera i Arma. Jednakże uśmiechała się.

— Kogo my tu widzimy! — zawołała zdumiona i jednocześnie z handlowym zainteresowaniem. — Mam nadzieję, że szanowna pani nie przychodzi do mnie. Na dziś mam już dość pracy.

Werner-Weilheim stała wyprostowana. Mierzyła Marie-Antoinette surowym wzrokiem. — A więc jest pani jedną z owych dam?

— Czyżby pani chciała zostać także jedną z nich? Wygląda pani na taką. Ale to może być mylące. Sama kondycja nie wystarczy, potrzebna jeszcze praktyka. Czy pani ją ma?

Marie-Antoinette usiadła na kanapie, przy czym jej szlafrok się odchylił.

Werner-Weilheim zawołała wzburzona: — To jest zwyczajny burdel. Teraz mogłam się sama o tym przekonać!

— To wszystko jest prywatne — wmieszał się Neumann od drzwi. — Te pomieszczenia zostały, że tak powiem, wynajęte prywatnie, nie podlegają wojsku.

— Niech pan wreszcie zamknie swój świński pysk!

— zawołała do niego Werner-Weilheim. — Nie rozmawiam z takimi świntuchami jak pan!

— Znikaj, Neumanku! — poleciła Marie-Antoinette serdecznym tonem. — Zajmij się Margot, ma jakieś kłopoty zdrowotne.

Podoficer sanitarny zniknął. A Marie-Antoinette powiedziała do Werner-Weilheim: — Uważam, że my, kobiety, nie powinniśmy się nigdy niepotrzebnie unosić. Czy ktokolwiek jest tego wart? Żaden chłop! Proszę, niech pani usiądzie obok mnie — chętnie panią uświadomię, jeśli odczuwa pani taką potrzebę.

Doktor Werner-Weilheim zastygła w bezruchu. — A więc pani się przyznaje?

— Do czego? — zapytała Marie-Antoinette, ubawiona.

— Że pani to tu uprawia?

— Ależ proszę pani, w końcu jestem kobietą, która spełnia tu swój obowiązek. Pani chyba też?

— Ja jestem niemiecką kobietą — powiedziała Werner-Weilheim dobitnie.

— No to co? Chyba nie chce pani twierdzić, że w Niemczech robi się to inaczej? Czy może być coś bardziej międzynarodowego niż nasza funkcja? Obojętne, czy w formie zorganizowanej, czy jako wolny zawód.

— Ale mnie chodzi o zasady etyczne.

— Niestety, nic mi to nie mówi.

Podoficer, ozdobiony Żelaznym Krzyżem drugiej klasy, przeszedł przez pokój. Tuż przy drzwiach wyjściowych przystanął i zasalutował. Po czym oznajmił: —Było wspaniale!

— Bardzo się cieszę — powiedziała Marie-Antoinette uprzejmie. — A zatem do następnego razu!

— Czy pani nie wstyd? — zapytała Werner-Weilheim.

— Cóż pani sobie wyobraża? — Marie-Antoinette ro-



ześmiała się. — A pani się potem wstydzi? Wobec tego żal mi pani.

— Jest znacznie gorzej, niż myślałam — stwierdziła Werner-Weilheim, starając się ze wszech miar opanować. — Tu rozpanoszyło się straszliwe wyuzdanie. To nie po niemiecku.

W tym momencie wszedł do pokoju podoficer Forstmann. Był wesoły i pogodny. Skinął przyjaźnie głową Werner-Weilheim; najwidoczniej nie był zaskoczony, widząc ją w tym miejscu. Powiedział zachęcająco: — Niech pani się tylko rozejrzy! I tu coś się robi dla zachowania siły bojowej.

Forstmann podszedł do Marie-Antoinette, pochylił się nad nią, pocałował w oba policzki i rzeki: — Jesteście pierwsza klasa! W szczególności moja Susanne. Coś takiego mnie uskrzydla. Jestem za to bardzo wdzięczny.

Wyciągnął prawą rękę w stronę Werner-Weilheim i zawołał: — Heil Hitler, pani doktor!

— A więc ten także — stwierdziła kobieta wstrząśnięta, kiedy Forstmann się oddalił. — Nawet ten!

— On też jest w końcu tylko mężczyzną, pani doktor.

— Czy nigdy nie myśli pani o wyższych wartościach?

— Podczas tego?

Werner-Weilheim odwróciła się. Wyjrzała przez okno. Po chwili powiedziała: — Żal mi go. Nic mam na myśli Forstmanna, tylko jego. Jakimi nędznymi kreaturami jest otoczony. Jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, kto byłby w stanie podążać za jego wzniosłymi i szlachetnymi myślami. Chyba tylko ja, i ja uczynię dla niego wszystko, co w mojej mocy. Zasługuje na to. Szczególnie teraz!

Mówiła o kapitanie Kleinie.

Kapitan Hein stał oparty o ścianę w wielkiej sali bankietowej. Był w pełnym umundurowaniu. Tylko czapkę,

pas i srebrnoszare rękawiczki odłożył na bok. Pistolet leżał pod ręką na stole — i tym razem przykryty jedwabną serwetą.

Hein zwrócił się do Schuberta, który stał przed nim pośrodku pokoju: — Dziś był mój wielki dzień! — Dotknął Krzyża Rycerskiego. — Ale uważam, że jest to dzień jak najbardziej oczywisty. To nie znaczy, że ja na niego zapracowałem, ja po prostu dla niego żyłem! Czy potraficie dostrzec różnicę, Schubert?

— Staram się, panie kapitanie.

— Jesteście chętni, przyznają to. Jednakże musicie się tu jeszcze wiele nauczyć, chyba to czujecie?

— Tak jest, panie kapitanie!

— Na moim podwórku wszystko ma swój sens, Schubert! Gdyby tak nie było, moje istnienie nie miałoby racji bytu! Czy wiecie, Johannes, dlaczego wdrapuję się na parapet okna w pokoju w wieży i spoglądam stamtąd w dal, jakby nad przepaścią? W przyszłość jedynie dla mnie uchwytną? Dlaczego?

— Tego nie wiem, panie kapitanie. Ale jestem pewien, że wkrótce będę to wiedział!

— Bardzo bym chciał i mam taką nadzieję! — Hein, cały czas oparty o ścianę, przesunął się w bok, do cienia. Powiedział przy tym: — Prawdziwy mężczyzna, Schubert, nawet w najbardziej drażliwej sytuacji powinien umieć się opanować. W kasynie na przykład, gdzie bywałem jako młody podporucznik, nasz dowódca po przehulanej nocy rysował kredą na dywanie linię, po której musieliśmy przejść. Nie wolno nam było z niej zbroczyć. Mnie udawało się zawsze przejść tą linią spokojnie, jak w transie. Nawet po dużej ilości alkoholu całkiem panowałem nad sobą. Tak samo jest i tu. Staję w oknie wieży, trzydzieści metrów nad ziemią, i nawet się nie zachwieję. Tak więc z niezachwianym opanowaniem patrzę na nasz świat — świat, dla którego żyjemy.

Schubert spoglądał z podziwem na swego kapitana: jakże on był wielki, silny i piękny. I jaki otwarty! Władczy, a zarazem pełen ufności. Jenocześnie wydawał się boleśnie zasmucony, bo znów zszedł z migocącego światła, zaszył się w kącie i stał tam niemal wciśnięty, wzbudzając uwielbienie, a zarazem współczucie. I Schubert gotów był go uwielbiać.

Hein ponownie mówił jakby sam do siebie: — W naszym domu była bona. Miała się mną opiekować, miała mnie nauczyć czytać, pisać i rachować, śpiewać piosenki, a nawet mówić pacierz. A co ona robiła? Dotykała mnie! Wszędzie! Krzychałem na nią! Poskarżyłem się rodzicom. Została wyrzucona. Postawiono ją nawet przed sądem. Za uwodzenie nieletnich.

Hein mówił dalej, wciśnięty w najdalszy kąt pokoju: — Potem była nauczycielka. Uczyla mnie języków. Przede wszystkim angielskiego. Ale ona mnie nie lubiła, choć byłem dobry. Traktowała mnie jak złe wychowane dziecko. Uważała, że musi mnie stale poprawiać. I to z rosnącym szyderstwem. Wreszcie wstałem kiedyś z ławki, podszedłem do niej z groźnym wzrokiem i zawołałem: „Ja ją zabiję!” Szedłem cały czas ku niej. Przestraszyła się i uciekła z klasy.

— Coś takiego można wytłumaczyć jako przedwczesną żądę władzy — kontynuował Hein. — Jako potrzebę wybicia się za wszelką cenę. Jako niepohamowane pragnienie walki z niesprawiedliwością, poczucie prawdziwych wyższych wartości. Zapamiętajcie to sobie, Schubert.

— Zapamiętam sobie.

— Ja się wybiłem — mówił Hein. — I to wbrew duchownemu, który był zaprzyjaźniony z naszą rodziną. Człowiek ten gadał i gadał, przeważnie o Bogu. Prócz tego nie robił nic, poza tym, że żarł, pił i spał. Żarł w moim rodzinnym domu; pił w knajpach; spał ze służącymi

i z dziewczętami, które uczył religii. Ja jednak przejrzałem go i gardziłem nim. Pewnej zimowej nocy wiozłem tego gadatliwego pasożyta do domu — leżał pijany na moich sankach. Był odrażający. Śmierdział. Pojękiwał. Zepchnąłem go w śnieg przy pomniku bohaterów i tam zostawiłem. Wyszedł z tego z kilkoma odmrożeniami. Ale od tamtej pory mnie unikał — jak tchórzliwy zбитy pies.

— Próbuję to wszystko zrozumieć — powiedział Schubert z wypiekami na twarzy. — Staram się.

A Hein zapytał: — Czy wy również chodźcie do tego burdelu?

— Nie, nie chodzę.

— Czy to budzi w was wstręt? Czy może nie?

— Tak, tak!

— To dobrze — powiedział Hein, oddychając głęboko. — Tego właśnie się po was spodziewałem. Wasza reakcja dowodzi, że jesteście świadomi swoich szczególnych wartości, a przynajmniej instynktownie je przeczuwacie. To dobrze! Czystość, Johannes, nieustanne dążenie do panowania nad sobą i nieograniczone zaufanie do ludzi podobnie myślących, a przede wszystkim wiara w to, że wśród ludzi wyjątkowych, takich jak my, wszystko musi mieć swój sens. Bo inaczej, mój drogi, po cóż mielibyśmy żyć?

Następnie powiedział spokojnym, jasnym, ale ostrym głosem dowódcy: — Wyprostujcie się! Stójcie spokojnie! W tył zwrot! A teraz pochylcie się do przodu. Spróbujcie rozpostartymi palcami dotknąć podłogi! Dobrze! Postarajcie się przy tym odprężyć. Pozostańcie w tej pozycji, aż nastąpi nowe polecenie z mojej strony.

Kapitan obserwował swego żołnierza z uśmiechem jakby odprężenia. Choć widział przy tym tylko wypięte ku sobie, zgodnie z rozkazem, siedzenie.

— Mój drogi — powiedział — zdaje się, że udało się wam znów zbliżyć do mnie. Czy jesteście w stanie pojąć, jak bardzo to sobie cenię?

— Udowodnijcie mi teraz, podstępny draniu, jak dalece jesteście czujni. — Starszy ogniomistrz Krüger wezwał gefrajtra Bergena tym razem do magazynu Softera. — Czy też ośmielicie się twierdzić, że nie mieliście pojęcia, w jakim stopniu ta Werner-Weilheim tu intruguje?

— Ależ skąd! — Bergen okazał się dobrze poinformowany. — Pani doktor przeprowadziła nawet inspekcję burdelu, przypuszczalnie po to, aby zebrać potrzebne informacje. Następnie sporządziła notatkę — najwidoczniej mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju raportu, skargi do władz zwierzchnich.

— I dlatego jest wam tak wesoło? — Krüger popatrzył na gefrajtra z podejrzaną życzliwością. — To jest przypuszczalnie kolej rzeczy, jakiej się spodziewaliście, prawda? Ale chyba nie jesteście na tyle głupi ani zuchwali?

— Wcale nic jestem, panie sierżancie — zapewnił Bergen. — Nie mam predyspozycji ani do stadnej owcy, ani do samobójcy, a już na pewno nie w tak wielce obiecującym otoczeniu. — Rozejrzał się przy tym dokoła i zmierzzył wzrokiem ułożone aż pod sufit skrzynie i pudła...

— Byliście w sztabie dywizjonu u porucznika Seiferta-Blankera. Coście mu powiedzieli?

— Nie to, co chciał usłyszeć, jak sądzę.

— To znaczy, że nie wykorzystaliście sprzyjającej okazji? Nie podłożyliście świni mnie i kapitanowi?

— Mógłbym to zrobić, ale nie jestem jeszcze taki głupi. Dlaczego miałbym się dać tak wykorzystać — jak ta

krowa, która ma dawać mleko, a jednocześnie ma być zaszlachtowana?

— Podobacie mi się — rzekł Krüger przeciągle. — Jesteście sprytnym chłopcem, odpowiada mi to. Ale mam nadzieję, że nie zanadto sprytnym.

— Ja tylko staram się przystosować. Myślę, że to jest najwłaściwszy sposób, prawda?

— Szybko i pewnie wszystko chwyacie. Zrozumielście więc chyba od razu, że nieprzypadkowo zostaliście wezwani tu, do tego pomieszczenia. Wpadłem na pewien pomysł, a wy go zrealizujecie. Możecie stąd wyjść z moim błogosławieństwem: kilkoma kartonami — do wyboru. Ale chyba nie przypuszczacie, że cokolwiek będzie wam dane darmo?

— Ta dama — referował Bergen sprawę — najwyraźniej postanowiła przysparzać nam wszelkich możliwych kłopotów. Ona sporządzi meldunek, a ja się mogę postarać, aby wyładował on nie dalej niż u nas.

— Jesteście błaznem, a przynajmniej udajecie takiego. I jeśli nie wpadliście dotychczas na adiutanta dywizjonu, to może się to jeszcze zdarzyć. Zajmiecie się więc również tą Erdmann i spowodujecie, że będzie wam dostarczała pocztę grupy — rzekomo w celu dalszego transportu. A przy tym zamierzacie usuwać listy, które nas obciążają, czy tak?

— To chyba nie jest mało?

— To jest po prostu idiotyczne, musicie o tym wiedzieć! Takie działanie oznacza jedynie zwłokę. To nie jest stuprocentowa robota. Myślę, że nie powinniście tracić czasu na tę małą Erdmann, tylko macie skoncentrować się całkowicie na doktor Werner-Weilheim. Czyście już próbowali?

— Oczywiście! Ale na próżno. Nie jestem bowiem w jej typie.

— A czy ona w ogóle ma jakikolwiek? — zapytał Krüger podchwytliwie.

— Zdaje się, że tak — powiedział gefrajter Bergen ostrożnie. — Jedna z owych dam, które obecnie stacjonują w mieszkaniu zarządcy zamku, Marie-Antoinette, rozmawiała z nią i wybadała z całą pewnością, że również pani doktor aż pali się do tego. Ale akurat nie ze mną.

— Az kim?

— Chodzi o ogniomistrza Arma.

Krüger wstał, jakby spłoszony, ze skrzynki z koniakiem Salingnac. Podszedł do stosu skrzynek z szampanem marki Veuve Cliquot 1933, ulubionej marki kapitana. Utkwił wzrok w Bergenie, a na jego płaskiej, szerokiej twarzy pojawił się uśmiech zdumienia.

— Człowieku — zawołał — to twarda sztuka! Cholernie twarda sztuka!

Bergen nic nie odpowiedział. Nic miał już nic więcej do powiedzenia. Wiedział od Tina Hillera, że Krüger był cięty na Arma, i to mocno, gdyż Arm niedokładnie rozliczał się z kasą baterii ze swoich przedsięwzięć transportowych. W dodatku ogniomistrz pozwalał sobie za jego plecami robić z Softcrem lewe interesy i organizował dla niego kursy ciężarówki w kierunku Rzeszy. Poza (ym domyślano się jego poufnych konszachtów z Niemiecką Koleją Rzeszy. A takie rzeczy nie mogły na dłuższą metę uchodzić bezkarnie na podwórku Krügera.

Krüger rzekł pospiesznie: — A więc Arm, waszym zdaniem! — Po czym znów zapytał, chcąc się upewnić: — Myślicie, że Werner-Weilheim ma ochotę akurat na niego?

— Aż się pali do niego! — zapewnił gefrajter. — I nie jest to wcale takie niedorzeczne, jakby się w pierwszej chwili mogło wydawać. W grę wchodzi tu zmysłowe od-

działywanie prostaka na tak zwaną damę. Zostało to wielokrotnie udowodnione.

Krüger dobrze wiedział, co Bergen miał na myśli. Trudno mu było pohamować śmiech, ale powstrzymał się przed nim, aby zbyt pochopnie nie uczynić Bergena swym zaufanym. Wiedział, że ten sprytny dowcipniś próbował, i to skutecznie, przeprowadzić coś w rodzaju odwetu. Co było zrozumiałe jako rachunek za „małpią zabawę”.

— Czemu nie! — powiedział Krüger wesoło. — Jeśli istotnie Arm jest pilnie pożądanym, niech się poświęci. W interesie naszej wspólnoty. A wy, Bergen, musicie go do tego nakłonić — z moją pomocą. W tym celu musicie wymyślić parę przekonujących argumentów, jeśli nie chcecie bardzo szybko przepaść. Tu nic nie ma za darmo! Przynajmniej z mojej strony!

— No i co, mój drogi Runge — zapytał porucznik Minder — co w trawie piszczy?

Runge został poproszony do kwatery oficerów w pobliżu stanowiska ogniowego — poproszony, nie wezwany — na rozmowę w cztery oczy. Jak mężczyzna z mężczyzną!

Najpierw gratulacje za Żelazny Krzyż: — Całkowicie zasłużony!

Następnie stwierdzenie: — Trzeba znów wymienić poglądy. Przecież obaj reprezentujemy stanowisko ogniowe. Pan, mój drogi, przy centralnym przyrządzie, i to jak najlepiej! Ja przy działach — również jakże skutecznie! Myślę więc, że nadal powinniśmy jak najściślej ze sobą współpracować.

— Przeciwko kapitanowi Heinowi? — zapytał Runge twardo.

— Ależ nie! Skąd panu to przyszło do głowy? — Porucznik Minder wskazał zapraszającym gestem na jeden z



obszarpanych i poplamionych skórzanych foteli. — To byłoby przecież całkiem niedorzeczne!

— Oczywiście — potwierdził Runge skromnie, nadal stojąc.

— Powinniśmy jednak wciąż patrzeć przed siebie — powiedział Minder. — A więc mieć na uwadze niezbyt odległą przyszłość. Nasz kapitan otrzymał wysokie odznaczenie, czego mu szczerze gratuluję. To jednak może oznaczać, że wkrótce zostaną mu powierzone większe zadania. Przymuszczalnie obejmie gdzieś dowództwo. A ja zostanę tu jego następcą.

— Możliwe — odrzekł Runge na pozór obojętnie. — Ale ja zawsze kieruję się chwilą obecną i muszę niestety stwierdzić: coś mi tu śmierdzi! I to bardzo!

— Co pan chce przez to powiedzieć, drogi Runge?

Ogniomistrz spojrzał pogardliwie dokoła. Był w pełni świadom swojej wartości. Miał w końcu Żelazny Krzyż pierwszej klasy i wkrótce zostanie oficerem, jak zapewnił Hein. Minder zaś był w jego oczach tylko człowiekiem z branży hotelowej, zatrudnionym w nic swoim fachu, po prostu półżołnierzem. W każdym razie ta przeszkoda była do usunięcia. — Tu śmierdzi babą!

— Mam nadzieję, że nic ma pan nic przeciwko kobietom jako takim?

— W ogólności nie. Lecz na służbie absolutnie tak!

— Ależ drogi Runge! — Minder mrugnął okiem po koleżeńsku. — Chyba nie uszło pańskiej uwagi, że od czasu do czasu jestem skłonny przyjąć jakąś damę. W końcu jesteśmy mężczyznami!

— Wszystko we właściwym czasie — stwierdził Runge zakłopotany. — Ja w każdym razie nie odważyłbym się prowadzić służbowych rozmów w obecności jakiejś prostytutki. Gdyby kapitan Hein dowiedział się o tym, nie rezyłbym za nic.

— Drogi Runge, pan patrzy na to niewłaściwie. — Porucznik przejawiał zatroskanie, ponieważ wzmianka o Heinie zawsze była alarmująca. — Chodzi tylko o dziewczynę, która tu bywa już od kilku tygodni. To fryzjerka, przyszła mnie ostrzyć, rozumie pan? — Znow mrugnięcie okiem. — Wyekspediowałem małą do łazienki, a więc izolowałem.

— Ale stamtąd wszystko słyhać.

— Ona zna tylko francuski.

— Tak twierdzi!

— Ta dziewczyna, mój panie, to wyjątkowo nieszkodliwe stworzenie, proszę mi wierzyć! Średniej klasy, ale bardzo porządna. A przy tym straszliwie naiwna! Z pewnością nie stanowi niebezpieczeństwa.

— Czy to można wiedzieć? — Runge stał na środku pokoju. — Dla szpiegów nie ma lepszego miejsca niż w centrum stanowiska ogniowego. Wiemy przecież dobrze: wróg nie śpi! Czy nie byłoby lepiej, gdyby ta dama stąd się wyniosła, zanim rozpoczniemy poważną rozmowę?

— Ależ mój drogi, ręczę za tę małą! Poza tym nie wykonała ona jeszcze do końca swojej pracy... to znaczy strzyżenia. Jak mam więc jej zapłacić: za całą usługę czy za połowę?

— To nie moja sprawa, panie poruczniku — oświadczył Runge. „Ten Minder jest chyba niespełna rozumu — pomyślał. — Powinno się mu natrzeć uszu, dać kopniaka w opasły brzuch albo porachować kości, wszystko jedno co”. — Bardzo mi przykro — powiedział — ale albo ta osoba się wyniesie, albo ja sobie pójdę.

— No dobrze! — zawołał porucznik, lekko urażony, ale skłonny się dostosować. — Pan mnie kosztuje pięćdziesiąt marek — zażartował.

— Niech pan da Softerowi czterdzieści marek! Załatwi panu za to dziwkę takiej samej jakości. Przy czym on

sam zarobi na tym jeszcze ze dwadzieścia marek. To świetny organizator!

Minder roześmiał się cierpko. Po czym udał się do sąsiedniego pomieszczenia. Wrócił dokładnie po pięciu minutach i oświadczył: — Załatwione!

— To świetnie — stwierdził Runge, zadowolony. — Możemy zatem przejść do rzeczy. Pytał mnie pan, co w trawie piszczy. Tylko dlaczego mnie pan w ogóle o to pyta? Przecież pan zna kapitana Heina. On ma w gruncie rzeczy wyłącznie jedno zmartwienie: jak utrzymać naszą bojowość.

— Ale za to gotowość bojowa naszej baterii jest stu-procentowa! Nic sądzi pan?

— Dwustuprocentowa! — oświadczył Runge. — Ale zdaniem kapitana Heina brakuje tu żelaznej konsekwencji.

— W czym?

— W działaniu.

— W jakim działaniu?

— Czy naprawdę tak trudno to zauważyć?

— Czy to znaczy, Runge, że powinienem rozwalić wieżę ciśnień?

— To znakomity pomysł, panie poruczniku — zapewnił Runge. — Ta wieża istotnie stanowi przeszkodę, ogranicza pole ostrzału, niech więc ją pan zdmuchnie!

— Czy tego właśnie oczekuje ode mnie kapitan Hein? — Minder zadał to pytanie, wiedząc jednocześnie, że nie otrzyma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Mówił więc pospiesznie dalej: — Aby zburzyć taką wieżę, trzeba przedłożyć przekonujące uzasadnienie.

— Wystarczy się do tego przygotować.

— Do czego, jeśli wolno zapytać?

— Do chwili, kiedy takie uzasadnienie, jak pan to nazywa, będzie można istotnie przedłożyć.

— Czy naprawdę uważa pan to za możliwe?

Runge omal nie potrzęsnał bezradnie głową. Stwierdził bowiem, że ten Minder był bardziej tępy, niż podejrzewał. Ciężko z takim się dogadać.

— Przypuścimy, że którejs nocy tu się zakotłuje — Runge zaczął tłumaczyć cierpliwie. — Jacyś sabotażyści czy inne typy obrzucają stanowisko ogniowe granatami ręcznymi lub ostrzelają nasze podwórko z broni maszynowej! A skąd? No? Taką akcję można przeprowadzić skutecznie tylko z miejsca, z którego stanowisko ogniowe jest najlepiej widoczne. A więc z wieży ciśnień! Czy to jasne?

— Sądzi pan zatem...

— Ja nic nie sądzę, panie poruczniku, ja tylko daję to panu pod rozwagę! Zastanawiam się jednocześnie, jak ja bym się zachował na pańskim miejscu, gdyby...

— Jestem budowniczym i kapitan oczekuje ode mnie, że zburzę wieżę ciśnień? Bez względu na szkody? Przy najbliższej okazji? Akurat tę wieżę, która dla miasta jest obiektem niemalże niezbędnym do życia?

— Co ja słyszę? Czy pan naprawdę troszczy się o miasto D., a nie o siłę bojową naszej baterii? Panie poruczniku, mogę panu tylko radzić, aby oszczędził pan kapitanowi tego rodzaju enuncjacji. Inaczej nie zagraje pan tu miejsca. Jakże więc chce pan zostać jego następcą?

— Mała poufna inspekcja, jeśli pan pozwoli, panie profesorze. — Kapitan Hein oznajmił to swobodnym tonem. — Spóźniona wizyta, jeśli pan woli! Czy mogę panu przeszkodzić?

— Pan jest mile widziany ó każdej porze — zapewnił Magnus. Siedział w pracowni w pawilonie, otoczony rysunkami, planami, modelami — wszystko dotyczyło kaplicy. — Zawsze się cieszę, kiedy pana widzę. Mimo że nie je-

stem w stanie poczęstować pana czymś choć trochę podobnym do szampana, który pan tak lubi.

— Pozwoliłem sobie, że tak powiem, przewidując wziąć to pod uwagę.

Kapitan Hein klasnął w dłonie. Drzwi za nim otworzyły się i Schubert wniósł tacę, na której stał pojemnik z dwiema butelkami szampana oraz dwa kieliszki, i postawił ją na stole.

— Wspaniale! — zawołał profesor z błyszczącymi oczami. — Pan wie, jak mi sprawić przyjemność.

Schubert napełnił kieliszki i na znak kapitana cofnął się do drzwi. Czekał tam, gotów w porę znów nalać szampana.

Karl Ludwig Hein podniósł uroczyście swój kieliszek. Spojrzał przez perlący się szampan na profesora i zawołał: — Za pańską owocną pracę, za Niemcy i Führera, i za naszego księcia Charlesa Louisa Orleańskiego!

Magnus wypił z widoczną rozkoszą. Następnie oświadczył ostrożnie: — Ten, panie kapitanie, nie jest chyba aż tak bardzo naszym księciem, raczej całkowicie pańskim.

— Czy to znaczy, że panu się coś w tym człowieku nie podoba? — zapytał Hein, zatroskany. — Czy pan się do niego dystansuje? Czy znalazł pan w nim coś niechlubnego?

— Ależ nie! Nic podobnego! Może pan być całkiem spokojny. Wielkość Charlesa Louisa jako żołnierza, jako wodza, jest niewątpliwa! Tylko że ja akurat mniej zajmuję się wielkimi historycznymi zależnościami, szczególnie bitwami. Ja inwentaryzuję przedmioty, odcyfrowuję napisy, objaśniam dokumenty...

— Panie profesorze — zapewnił kapitan niemal serdecznym tonem — my wszyscy, każdy na swoim miejscu, mamy do spełnienia specjalne zadanie. Żołnierz

w walce, uczony przy zachowaniu historycznych świadectw, robotnik i chłop przy produkcji sprzętu wojennego i żywności dla wojska. Nawet kat ma swoją rolę do odegrania.

— To prawda! — powiedział Magnus. — Pan rozumie te zależności. Właśnie dlatego uważam, że ów książę jako wódz należy bardziej do pańskiego świata niż do mojego.

— Ale przecież między nami istnieje jakiś łącznik, prawda?

— Tylko że dla mnie, jak powiedziałem, zastrzeżone jest gromadzenie faktów.

— Jakich faktów? Czyżby ujawniły się jakieś nowe szczegóły?

Profesor poprosił kapitana, aby podeszedł do stołu, po czym pokazał mu rozwinięty rysunek. Obaj pochylili się nad nim.

— Czy poznaje pan, co ten szkic przedstawia?

Hein poznał bez trudu: — To plan bitwy!

Wskazał palcem na detale. — Niemal płaski teren. Przecięty rzeką, szerokości ośmiu do dziewięciu metrów. Na północnym wschodzie jedyne w okolicy wzgórze, na nim młyn. Obok niego kilka domów. Mała wioska.

— Bardzo dokładna charakterystyka — powiedział profesor. — Nic przeoczył pan ani jednego ważnego szczegółu. Chodzi tu o szkic, rekonstrukcję bitwy przy Czerwonym Młynie, nazywanej także bitwą pod Boursin. Ten młyn wraz ze stojącymi obok domami na północnym wschodzie był opanowany przez nieprzyjaciela. Na południowy zachód od tego miejsca stały wojska księcia. Jak pan by zaatakował, jeśli wolno zapytać, gdyby pan był na miejscu Charlesa?

— Bezpośrednio! Tylko bezpośrednio!

— Wprost godne podziwu! — zawołał Magnus bezce-

remonialnie. — Taka sama była reakcja księcia. A dlaczego podjąłby pan właśnie taką decyzję?

— Każdy, kto by bronił owego młyna — oświadczył kapitan — ze znajdującą się przed nim rzeką, uznalby, że jego pozycja od południowego zachodu jest bezpieczna. A więc przygotowaliby się na okrążenie z północy. Ale tylko wówczas, gdyby był kimś więcej niż tak zwanym fachowcem, czyli wyszkolonym strategicznie myślicielem.

— Wspaniale! — wykrzyknął profesor. Opróżnił swój kieliszek, który został natychmiast napełniony. — Pan, panie kapitanie, istotnie myśli tak jak Charles. Pan na jego miejscu postąpiłby tak samo.

— To chyba oczywiście — oświadczył kapitan Hein skromnie.

Magnus złożył ręce. — Księżę zatem natarł bezpośrednio ze wszystkimi wojskami piętnastego maja. Nie zachował żadnych rezerw. Od początku postawił na jedną kartę wszystko, czym dysponował.

— To jasne! Żadnych półśrodków! — zawołał Hein.

— Około południa księżę miał już tylko połowę swoich wojsk, ale rzekę sforsowano. Była podobno czerwona od krwi, a piętrzące się trupy sprawiały wrażenie mostu. Do wieczora pozostało przy życiu zaledwie trzystu do czterystu ludzi, tak mówią przekazy.

Księżę zgromadził ich wokół siebie do decydującego ataku — po lewej stronie miał zachodzące słońce. Jego ostatnie, klasyczne już słowa — zagrzewające do walki — brzmiały podobno następująco: „Wszyscy musimy kiedyś zdechnąć, tak albo tak!” Potem żołnierze rzucili się na domy i młyn, ostrzelali je, aż zaczęły płonąć, i zdobyli wzgórze tuż przed północą. Wróg jednak uszedł. Jego oszalałe, rozbite, ogarnięte paniką niedobitki potykały się o trupy swoich ludzi.

— Tak to bywa! — powiedział Hein uroczystym tonem. — Ranni i konający, trupy, krew i łzy, nędza i ból — zwycięstwo pragnie być okupione! I tak zawsze jest! Tylko że my mamy niepowtarzalne szczęście, bo wiemy dokładnie, po co walczymy, choć musimy przy tym ginąć.

— Niech pan spojrzy! — zawołał profesor Magnus i wskazał na szkielet w kącie pokoju. Był on wielkości człowieka, okryty szarym płótnem. Profesor podszedł do niego, wziął do ręki płótno, zerwał je. Oczom kapitana ukazało się coś, co przypominało płaszcz — purpurowej barwy, ozdobiony grubym złotym haftem, obsyty białym futrem.

— Płaszcz księcia — wyjaśnił profesor.

— Wspaniały! — powiedział Hein, patrząc na to jak urzeczony. — Pełen dostojeństwa, tak jak on. Utkana godność!

— Rekonstrukcja według dawnych projektów. Kazałem go wykonać dla celów naukowych. Z takiego samego, używanego wówczas materiału, tego samego rozmiaru, tego samego koloru i z takimi samymi ozdobami. Jeśli mnie wzrok nie myli, jest to pana rozmiar?

— Być może — powiedział Hein bezdźwięcznie. Przysunął się bliżej, jakby przyciągany magiczną siłą. Wyciągnął dłonie do płaszcza. Dotknął go z trwożliwą delikatnością. Zdawało się, że pragnie ukryć w nim pełną zachwyty twarz.

— Byłbym szczęśliwy, panie kapitanie, gdyby zechciał pan przyjąć ten płaszcz z okazji pchnaczenia Krzyżem Rycerskim.

— Dziękuję — powiedział Hein i objął z radością księżęcy płaszcz. — Taki prezent, jak ten, porusza moje serce!



## ***Przerywnik piąty***

***Oświadczenie obecnego kierownika  
działu „Aktualności”  
w rozgłośni telewizyjnej w Niemczech  
Zachodnich,  
wówczas członka kompanii  
propagandowej  
we Francji.  
Nazwisko: Friedrich Jenserichen***

„Były to cholernie zabawne czasy, niech mi pan wierzy. Oczywiście żadnych przyjemności w całym tego słowa znaczeniu. Ale my próbowaliśmy wyciągnąć z tego wszystkiego to, co najlepsze. I czasem nieźle się bawiliśmy, a także śmialiśmy się, choć raczej skrycie.

Oczywiście, że nie byliśmy nazistami! Przejrzeliśmy całkowicie tych braci już wcześniej. Oczywiście, że nigdy nie uprawialiśmy propagandy, choć należeliśmy do tak zwanej kompanii propagandowej. Ale to była tylko nazwa, która niewiele znaczyła, przynajmniej dla nas.

To, że wszystko przejrzelśmy, wynikało z naszego zawodu. Nikt nie był w stanie zamydlić nam oczu! Moja ekipa — ja w roli reżysera, do tego kamerzysta, technik dźwiękowy i kierowca — była świetnie zgrana. Kręciliśmy wszystko, co nam się nawinęło pod obiektyw. Nasz materiał dawał się oglądać, współcześni widzowie byli zachwyceni, aż do ministra propagandy włącznie. Wyprodukowaliśmy ogółem około sześćdziesięciu kronik w ciągu pięciu lat. Uważam, że jest to rekord.

Ale to nie znaczy, że pchaliśmy się bezmyślnie w zamęt walki, że włączyliśmy pod czołgi albo wciskaliśmy się do samolotów myśliwskich — to woleliśmy zostawić innym. I niektórzy z naszych kolegów zginęli za ojczyznę. A my zadawaliśmy sobie pytania: Dlaczego? Za czyją ojczyznę? Za ojczyznę Hitlera?

Sprawy rutynowe, takie jak odznaczenie kapitana Heina Krzyżem Rycerskim, załatwialiśmy, aby zbyć. Chyba bym już o tym nie pamiętał, gdyby rzecz nie miała epilogu. I to jakiego!

Ta trzecia bateria miała w sobie coś. Przede wszystkim moją uwagę zwróciło kilku podoficerów. Zwłaszcza starszy ogniomistrz Krüger. Następnie ogniomistrz o nazwisku Runge lub Ronge. Jemu to zawdzięczaliśmy obstrzał, przy którym mi oczy wyszły z orbit, a to o czymś świadczy.

Czy brałem w tym bezpośredni udział, a więc czy byłem przy tym? Mój panie, takie pojęcia jak «fakt autentyczny» czy «pełna prawda» z biegiem czasu mogą zmieniać znaczenie. My robiliśmy to, czego od nas żądano — była to w końcu nasza praca.

Wszystko da się sfilmować. Na przykład trup — odkomenderowany mężczyzna, zabrudzony, poplamiony olejem silnikowym, co na czarno-białym filmie wygląda jak lepka krew. Albo palący się czołg — wysłużony wrak i kaniister benzyny wystarczają w zupełności, aby *wywoląć takie* wrażenie. Również bohater to też tylko sprawa organizacji, ustawienia, oświetlenia — i nawet krowa wygląda dostojnie".

***Wyznanie obecnego podpułkownika  
Bundeswehry  
Karstera —  
wówczas podoficera trzeciej baterii,  
stanowisko ogniowe w D.,  
odznaczonego Żelaznym Krzyżem***

„Uważam, że jest to niegodny, wręcz podstępny atak na naszą gotowość bojową, kiedy usiłuje się dezawuować nasze starania o niezbędną świadomość własnych tradycji.

Wysuwa się z podejrzanym upodobaniem argumenty

przeciwko tak zwanemu systemowi podwórza koszarowego. Wprowadzeni w błąd laicy i niechętni współcześni zdają się rozumieć pod tym określeniem dryl wojskowy i nieustanne ćwiczenia hartujące ciało — wytrwały szlif w terenie i uporczywe ćwiczenia formacji! Ale to jest przecież konieczne! I osiąga swój cel, jeśli zostało przeprowadzone z sensem.

Większy czy też właśnie głębszy sens tego rodzaju działań był dla mnie od początku zrozumiały. W mojej ówczesnej trzeciej baterii był on wyraźnie widoczny i absolutnie przekonujący. Cel takich działań — mówiąc dzisiejszym językiem — stanowiło podniesienie sprawności powierzonych nam żołnierzy. Jest to wymaganie wojskowe o charakterze ponadczasowym.

Trzeba przy tym być, aby takie postępowanie całkowicie docenić. A to jest możliwe tylko w konkretnej sytuacji, za każdym razem innej. Konieczna jest znajomość wszystkich faktów, każdego detalu, nastroju żołnierzy itd., itd. Tylko wówczas można dokonać właściwej oceny i stwierdzić, co następuje:

1. Tak zwany system podwórza koszarowego był i jest świadomie stosowanym środkiem wychowawczym szczególnego rodzaju; wykorzystywanym w celu doprowadzenia do perfekcji techniki posługiwania się bronią i zachowania dyscypliny — warunków, bez których żadne demokratyczne państwo nie może istnieć, nie mówiąc już o armii.

2. Tak zwany żargon podwórza koszarowego, niemal powszechnie uważany za godny pożałowania, stanowił pomocniczy środek psychologicznego prowadzenia wojny. Wesole powiedzonka, używanie jędrnych, mocnych słów odwracających uwagę — to skutecznie rozjaśniało szary dzień powszedni.

3. Tak zwane metody szlifowania rekrutów, niekiedy określane jako szykany — wśród nich również owe «mał-

pie zabawy» — były w gruncie *rzeczy* tylko skoncentrowanym procesem podnoszenia sprawności fizycznej; intensywnym treningiem kondycyjnym, który właśnie dziś, w epoce wojen w dżungli, musi być uważany za oczywisty i absolutnie konieczny ze względów taktycznych.

A zatem wszystko, co najistotniejsze w tej sprawie, zostało już powiedziane. Wracając do tak zwanych małych zabaw, należałoby jeszcze coś dodać.

Ja sam byłem wielokrotnie obecny przy owych «małych zabawach». Nigdy nie chodziło w nich o «naruszenie ludzkiej godności» ani też o «świadome niszczenie osobowości, czy jakie tam jeszcze mogą być nikczemne domysły i świadome insynuacje.

Wszystko odbywało się raczej z humorem, na wesoło, wśród krzepkich żołnierskich żartów".

***Oświadczenie  
ówczesnego podoficera sanitarnego  
Newmana  
na temat jego opieki sanitarnej***

„To nie był żaden burdel, żaden dom schadzek! Czegoś takiego nie było w całym naszym Wehrmachcie. Przy najmniej oficjalnie. Również u nas nie. Czy to jasne?

No więc! Na naszym terenie, całkiem przypadkowo, znalazły się kobiety. Żadne prostytutki czy ktoś w tym rodzaju. W każdym razie nie zawodowe. Ale też już nie amatorki. Traktowały to jako swój wkład w wojnę. I robiły to całkiem dobrze.

Ja, jako wszechstronnie wyszkolony pracownik służby zdrowia, zostałem wyznaczony do sprawowania opieki nad tym przedsięwzięciem. Bronilem się przed tym. Ale taki był rozkaz.

Obowiązywały tam surowe reguły. Ja sam opracowa-

łem stosowny regulamin w tej sprawie, następnie przedłożyłem go Krügerowi i Softerowi. Został on bez wahania zaakceptowany. Pozwalam sobie przedłożyć kopię owego regulaminu.

### **Regulamin dotyczący organizacji wolnego czasu**

1. Miejsce: mieszkanie zarządcy zamku.
2. Czas: codziennie, prócz niedziel, od godziny piętnastej do capstrzyku.
3. Dozwolony czas trwania: od pół godziny do godziny; proporcjonalnie do tego opłata. Możliwe przedłużenie po uprzednim uzgodnieniu z kierownikiem zakładu.
4. Zgłaszanie chętnych: co najmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Ewentualne odstępstwa od tego po uzgodnieniu. Zgłoszenia osobiście u kierownika zakładu. Mogą być przyjmowane pojedynczo lub grupowo. Kierownik zakładu na podstawie przedłożonej mu listy zgłoszeń ustala porę i obiekt. W miarę możliwości mogą być uwzględnione życzenia specjalne. Listę sporządza się w dwóch egzemplarzach — jeden pozostaje w zakładzie, drugi trafia do szefa rachuby.
5. Opłaty, taryfa normalna wynosi dziesięć marek za pół godziny i dwadzieścia marek za godzinę. Nic są w tym uwzględnione ewentualne usługi specjalne. Te ustalane są wcześniej i opłacane z góry. Po wykonaniu takiej usługi nie uwzględnia się reklamacji. Każdorazowa kwota jest zapisywana przez kierownika zakładu na obu listach. Zaleca się wydawanie pokwitowań, ale nie jest to konieczne. Kwota z tytułu usług zostaje zatrzymana przez prowadzącego rachunki i następnego dnia przekazana kierownictwu zakładu.
6. Załatwianie klientów: kandydat, uprzednio zapisany i zaopatrzony w pisemne potwierdzenie, zgłasza się pię-

tnaście minut — a co najmniej pięć minut — przed wyznaczonym czasem u kierownika zakładu. Tam poddaje się kąpeli, przy czym otrzymuje świeży ręcznik, jak również mydło. Po wykonaniu usługi następuje kolejna kąpiel. Ewentualne reklamacje mogą być kierowane do kierownika zakładu (...).

I tak dalej! I tak dalej! Na wielu stronach. Do tego dochodzi jeszcze regulamin wewnętrzny dla kobiet wykonujących usługi oraz dla ich fachowych opiekunów.

A więc nic nie zostało pominięte. Trzeba również dodać regularne kontrole, przeprowadzane przeze mnie osobiście. Czego chcieć więcej?

Co się jednak tyczyło przypadków szczególnych, specjalnych życzeń, różnych imprez ekstra, to należało być cholernie elastycznym, pełnym inwencji. Ja właśnie taki byłem — i w tej baterii mogłem taki być!"

***Bohaterska śmierć jak grom z jasnego nieba —  
to tylko jedna możliwość spośród wielu***

— Potrzebny jest ktoś w twoim typie — powiedział zapraszająco starszy ogniomistrz Krüger. — Jak najszybciej!

Arm nieufnie przekroczył próg kancelarii. Na znak Krügera usiadł na wyściełanym krześle gościnnym. Rozejrzał się i spostrzegł gefrajtra Bergena, który stał w kącie uśmiechał się.

— A czego tu chce ta nędzna kreatura? — zapyta Arm z rosnącym niepokojem. Zauważył przy tym, że Krüger sprawiał wrażenie człowieka alarmująco pokojowego, gefrajter — podejrzanie uprzejmego. To go wyraźnie zaniepokoiło. — Czyżby ten szczur pracował ostatnio w twojej kancelarii?

— Chyba mnie nie podejrzewasz, że głupieję? — Krüger spojrział na Arma niemal z politowaniem. — Ni należą bynajmniej do ludzi, którzy lekkomyślnie biorą się bic kłopot na głowę. Jeśli ten Bergen tu jest, to tylko jak pewnego rodzaju świadek.

— Ale chyba nie przeciwko mnie! — Arm mówił podnieconym głosem. — I czyba nie z powodu mojego przedsięwzięcia transportowego? On o tym nic nie wie, to znaczy o opłatach i tak dalej! Przestań się czepiać, nie może:

mi nie zarzucić! Za kilka dni, powiedzmy jutro albo pojutrze, dostaniesz od mnie dokładne rozliczenia dla twojej kasy. Dopiero się zdziwisz!

— W tej chwili chodzi o zupełnie inne sprawy, Arm. Również one zaczynają mi śmierdzieć, ale nie tak, jak przypuszczasz. Przygotuj się na niejedno! — Krüger postawił przed Armem pełną butelkę, ale już otwartą. Do tego szklankę. — Najlepszy koniak, gwarantowany pięćdziesięcioleni. Wspaniały okaz ze zbiorów Softera.

— Skąd coś takiego dla mnie?

— Bo musisz się wzmocnić przed tym, co teraz nastąpi.

Krüger wyciągnął do Arma napełnioną szklankę. Następnie skinął na Bergena. A ten powiedział: — Zostałem wyznaczony jako łącznik pomiędzy nami a grupą badaczy. Mam za zadanie otoczyć ich możliwie najlepszą opieką. Szczególnie doktor Werner-Weilheim. Albowiem wścibskość tej kobiety z powodu niewłaściwego wykorzystania lokalu po zarządcy zamku może doprowadzić do niewątpliwych komplikacji. Trzeba temu koniecznie przeszkodzić, takie jest też zdanie pana sierżanta Krügera.

— Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Zaraz się to wyjaśni — powiedział Krüger i spojrział na Arma niemal ze współczuciem. — Najpierw wypij do dna. Za swoją pomyślność!

' Arm wlał w siebie stary, doskonały koniak, nie odczuwając przy tym żadnej przyjemności. — Do diabła — powiedział — czego ode mnie chcesz? Gefrajter Bergen, zachęcony przez Krügera mrugnięciem, mówił dalej: — Zgodnie z poleceniem pana sierżanta Krügera próbowałem uczynić wszystko, co możliwe, aby odwieść panią Werner-Weilheim od jej niebezpiecznych dla naszej baterii poczynań. Zaproponowałem jej — tym razem za zgodą pana podoficera Softera — kilka przywile-



jów. Na próżno. Następnie próbowałem zmobilizować profesora — również na próżno. Wreszcie byłem gotów, z inspiracji pana Krügera, osobiście się nią zająć!

— To by było całkiem tak, jakby jamnik startował do słońcy! — zawołał Arm, rozbawiony.

Starszy ogniomistrz skinął głową przytakująco. — Zrozumiałeś, gdzie tkwi punkt zapalny!

— Czy rzeczywiście? — zapytał Arm, stając się znów niepewny. Napelnił swoją szklankę koniakiem. — Co to znaczy, że zrozumiałem, o co tu chodzi?

Krüger ponownie skinął głową na gefrajtra. A on oznajmił: — Ta Werner-Weilheim jest w końcu też tylko kobietą, i to dość pewną siebie. I tylko coś niezwykłego, coś szczególnego mogłoby zaspokoić jej wysokie wymagania.

— W praktyce — dodał Krüger — sprawa wygląda tak: ta kobieta może nam przysporzyć cholernie dużo kłopotów — każdemu z nas! Gdyby jej się udało storpedować obecną funkcję mieszkania zarządcy, pociągnęłoby to za sobą dalsze istotne zmiany w baterii. Mogłoby to dotyczyć Softera i jego domu handlowego, jak również ciebie z twoim przedsiębiorstwem transportowym. I właśnie dlatego, przyjacielu, musi tu wkroczyć do akcji najlepszy mężczyzna. Zrozumiałeś?

— I to mam być ja? — zawołał Arm z niedowierzaniem. — To niemożliwe!

— Tylko ty! — zapewnił Krüger niezwykle serdecznie. — Nikt inny nie wchodzi w grę. Prawda, Bergen?

— Tak jest! — potwierdził Bergen zdecydowanie.

— Ty podstępny gnoju! — wrzeszczał Arm na gefrajtra. — Nie próbujcie mi tu podkładać świni. Jeśli się odważycie, tak was kopnę w jaja, że wam wylecą uszami!

— Uspokój się — polecił Krüger. — On się nie odważy wpuścić nas w maliny. Chłopak nie urwał się z choinki,

zdaje sobie sprawę, co by go czekało. Na tyle sprawa jest jasna. Jego argumenty mają ręce i nogi, czy może nie, Bergen?

— Mówię tylko to, co wiem — zapewnił Bergen. — Relacjonuję tylko fakty. I staram się wyciągnąć z tego wnioski...

— Wyciągajcie więc — rozkazał Krüger. — Nie gadajcie dłużej po próżnicy!

— A więc — powiedział Bergen, patrząc przed siebie — pani doktor wciąż mnie próbuje wypytywać o baterię i jej osobistości. Większość z nich w jej oczach to niedołęgi.

— Czy może ja też? — zapytał Krüger nerwowo.

— Pan nie był ani razu wspomniany wprost — zapewnił Bergen zuchwale — ale też nie został pan określony jako wyjątek. — Gefrajter unikał wzroku wzburzonego starszego ogniomistrza. Skoncentrował uwagę na Armie.

— W końcu połapałem się, że pani doktor tylko wobec dwóch mężczyzn z naszej baterii nie ma zastrzeżeń, uważa, że są bez wad, a nawet ich podziwia. Po pierwsze, kapitan Hein — szanowany przez nią jako bohater; po drugie, ogniomistrz Arm — najbardziej męski w jej oczach!

— Ja? — zapytał Arm pochlebiony. Instynktownie sięgnął po szklankę. Była już pusta. Nappełnił ją, napił się. Następnie rozsiadł się wygodnie i powiedział: — No tak! Czemuż by nie? Mam już przecież na swoim koncie różne sukcesy. Szczególnie w tak zwanych wyższych sferach. Chyba coś w sobie mam!

— Ma pan! — powiedział Bergen.

— Ale nie z tym monstrem! — zawołał Arm.

— Pan chyba nie docenia tej kobiety! — stwierdził z zapalem gefrajter. — Pozory myślą! Pani doktor gardzi wszelkimi zewnętrznymi formami. Również zasadnicza postawa pani doktor to w gruncie rzeczy tylko maska. Ale

ja — przypadkiem — widziałem ją pod prysznicem. Panowie, jak ona jest zbudowana! Wszystko jest na właściwym miejscu i we właściwej masie!

— Naprawdę? — zapytał Arm. — I ona ma na mnie ochotę?

— Jest panem zainteresowana, i to jak! — Bergen poszedł teraz bez wahania na całość. Nie miał już nic do stracenia. A błysk uznania w czujnych oczach Krügera umocnił go.

— Zaczęło się od tego — opowiadał gefrajter — że pani doktor zapytała o pana ogniomistrza Arma, niby od niechcenia, ale z widocznym zainteresowaniem. Następnie przyłapałem ją na tym, jak stała w oknie i przyglądała się panu Armowi, kiedy w parku sprawdzał swoje pojazdy. Wkrótce potem zażądała ode mnie zdjęcia. Postarałem się o nie: grupowe zdjęcie korpusu podoficerskiego. Obciąła je, aż został tylko pan Arm. Jego zdjęcie leży teraz pod ręką — w teczce, tuż przy jej łóżku.

— No tak — powiedział podochocony Arm z rozjaśnioną twarzą, pijąc kolejną szklankę koniaku. — Jeśli tak się sprawy mają, chyba nie powinienem się wahać, prawda?

— Nikt ci nie broni — powiedział Krüger zachęcająco. I zaraz potem dodał: — Mógłbyś przy tym wyjść na swoje: dojrzałe kobiety, po doświadczeniach z kierownikiem Rzeszy, mogą być wielce obiecujące, jeśli w końcu trafią we właściwe ręce. Poza tym będziesz miał w ten sposób nic tylko przyjemność, zrobisz także dobrą robotę dla naszej baterii.

— Okazja nadarza się już dziś wieczorem — zapewnił Bergen bez namysłu — gdyż profesor Magnus przebywa u komendanta miasta, a panna Erdmann została przeze mnie zaproszona do Hotel de France. Pani doktor jest więc sama w pawilonie.

— A zatem nie pozostaje nic innego, jak ruszać na wroga! — zawołał Krüger.

— Tylko proszę, jeśli wolno mi radzić, nie dawać od razu za wygraną — uprzedził Bergen przezornie. — Początkowo pani doktor będzie się z pewnością bardzo certować — tak to jest z damami. Inaczej czują się poniżone.

— A więc do dzieła! — rzekł Arm i wstał, chwiejąc się lekko. Sięgnął po niemal pustą butelkę, która stała przed nim. Krüger podsunął mu następną. Arm schował ją do kieszeni spodni. Oświadczył: — Spełnię swój obowiązek! Ale jeśli się okaże, że ktoś tu ze mnie zakpił, posiekam go tak, że go rodzona matka nie pozna!

— Schubert, mój drogi! — zawołał kapitan Hein łagodnie. — Podejdźcie do mnie, czuję się niedobrze!

Hein leżał na łóżku w kwadratowej sypialni między salą bankietową a pokojem w wieży. Miał na sobie tylko bieliznę — krótkie spodenki i podkoszulek — obie rzeczy śnieżnobiałe. Na nogach czarne skarpetki. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, jego ręce leżały bez ruchu wzdłuż tułowia, oczy były nieruchome, skierowane w sufit, na rozpadającą się sztukaterię.

— Co mogę dla pana zrobić, panie kapitanie?

— Wystarczy, że tu jesteście, mój drogi — Hein poruszył lekko palcami. — Połóżcie swoją dłoń na mojej.

Schubert spełnił polecenie.

— Ale nie tak! — zawołał Hein nagle dźwięcznym głosem, nie ruszając się jednak. — Nie przyciskajcie tak mojej ręki! Nie pozwalam wam na to — jeszcze nie! Starajcie się być delikatni.

— Staram się.

— Ale nie potraficie! — Ręka Heina drgnęła. Stwier-

dził z zadowoleniem, że jego Schubert poczuł się dotknięty tym szorstkim gestem. Stał błądy i bezradny.

— Macie na imię Johannes?

Schubert zdołał tylko skinąć głową.

— Moje imiona to Karl Ludwig. Ale matka nazywała mnie zawsze Charles. — Kapitan uśmiechnął się sam do siebie. — Moja matka miała słabość do Francji, lecz jej nie znała, co chyba było przyczyną tego zachwyty. Nie znała na przykład ohydnych toalet w tym kraju — nawet w zamkach. Czy wam się to nie rzuciło w oczy?

— Nie — przyznał Schubert bezradnie.

— Przed paroma tygodniami zwiedzałem pałac w Wersalu, tę napuszoną jaskinię przepychu! Zwróciłem uwagę na zielonożółtawe plamy na marmurowych ścianach w bocznych korytarzach. Czy macie pojęcie, co to były za plamy? Nie! No więc dowiedzcie się, że królewscy rycerze załatwiali tam swoje potrzeby. A gdzie powinni? Jak myślicie?

— Powinni na dworze...

— Korytarze w Wersalu są długie! A nie mieli odwagi stawać w oknach, bo wskutek upojenia alkoholowego mogliby stracić równowagę i wypaść.

Schubert milczał. Wydawało się, że nie oczekiwano od niego opinii w tej sprawie. Kapitan uniósł lekko głowę nad poduszkę i spojrzął w okno, które było szeroko otwarte. Roziskrzzone niebo wyglądało jak przejrzysta zasłona.

— Okno! — powiedział Karl Ludwig Hein. — Mam słabość do okien! Do otwartych okien, które znajdują się wysoko. Jak bramy do nieskończoności. Można je przekroczyć, jeśli ma się odwagę.

Johannes Schubert przyglądał się swemu kapitanowi w skupieniu.

— W szkole wojennej — mówił kapitan dalej, uno-

sząc się jeszcze bardziej — mieliśmy dowódcę, który żądał od nas bezgranicznego zaufania w każdej sytuacji. Pewnego dnia popędzono nas przez cały budynek sztabowy, po kolei, od pokoju do pokoju, z dołu aż na drugie piętro. Zapamiętajcie: na drugie!

— Tak jest, panie kapitanie!

— A w każdym pokoju siedział oficer i zadawał jakieś pytanie na temat danych personalnych, znajomości przepisów służbowych, różnych szczegółów. Wszystko krótko, szybko, twardo. A w ostatnim pokoju na piętrze stał dowódca we własnej osobie. Powtarzał tylko: „Skakać przez okno!” Zapytuję was teraz: co byście zrobili na moim miejscu?

— Nie wiem, panie kapitanie.

— Wobec tego zapytam inaczej: co byście zrobili, gdybym to ja był tym dowódcą? Odważylibyście się na ten skok na rozkaz?

— Myślę, że bym się odważył.

— Brawo, Johannes! Świetnie! — Karl Ludwig znów opuścił głowę na białą jedwabną poduszkę. — Tak właśnie musi być, nie inaczej! Ja też tak wówczas zrobiłem! Moja siła woli opierała się na zaufaniu. Powiedziałem sobie mianowicie: albo on cofnie w porę swój rozkaz, albo mnie zabezpieczył. Może kazał rozpiąć siatkę albo ułożyć miękką zeskoknię. Skoczyłem więc przez okno — nie wahając się ani przez ułamek sekundy — blisko sześć metrów w dół. Na rozpiętą płachtę ratunkową. Zaufanie to jest wszystko! Zaufanie, Schubert! Czy jest wam ono dane?

— Tak, panie kapitanie, całkowite!

— To brzmi jak wspaniała obietnica — powiedział Hein, zamykając oczy. I niewyraźnie dodał: — Być może wróć do tego przy okazji, i to już wkrótce. Zrozumielście?

— Tak jest, panie kapitanie!

— Podejdźcie więc znów do mnie, bliżej, jeszcze bliżej! Wyciągnijcie prawą rękę. Trzymajcie ją nad moim sercem, najbliżej jak tylko się da, ale tak, byście nie dotykali mojej piersi!

Schubert spełnił żądanie, starając się uczynić to lekko, z uczuciem, delikatnie. Serce kapitana biło rytmicznie, tak jakby spał i jakby nie dręczył go żaden przykry sen.

Hein mówił dalej sam do siebie: — Ta wojna zmusza ludzi takich jak ja do decyzji, które tym, co mnie nie znają, co nic o mnie nie wiedzą, co nie mają najmniejszego pojęcia o mojej istocie, mogą się wydawać twardeymi żądaniami. Muszą się z tym pogodzić. Wystarczy mi, żeby choć jeden człowiek mnie zrozumiał, próbował zrozumieć. A tym człowiekiem możecie być wy, Johannes!

— Staram się, próbuję, rozumiem...

— Trzymajcie nadal swoją dłoń nad moim sercem, niczym parawan ochronny. Delikatnie, bez próby wkroczenia, zagarnięcia, egzekwowania prawa własności.

— Tak jest, panie kapitanie!

— Jako dziecko — powiedział Karl Ludwig Hein — przycisnąłem do siebie króliczka i zadusiłem go. Później zmarła dziewczyna, zmarła niemalże w moich ramionach; chciałem ją do siebie przycisnąć, a ona miała słabe serce. Przed paroma tygodniami obejmowałem ciężko rannego kolegę, jego wnętrzności przykleiły rni się do munduru. Zatkalem mu usta ręką, aż się udusił. To znaczy ja go udusiłem. Nie mogłem bowiem słuchać, jak krzyczy, nie mogłem patrzeć, jak cierpi! A więc może się zdarzyć, że człowiek zabija to, co kocha! Czy to rozumiecie?

— Tak!

— To dobrze! — kapitan podniósł się sprężyście z łóż-

ka. Stał wyprostowany, w białym i czarnych skarpetkach. Powiedział: — Ogniwiec Schubert, mianuję was gefrajtrem!

— Smacznego! — zawołał Wassermann wesoło do gefrajtra Bergena. — Dobrze, że ci smakuje, czujesz się dobrze i masz potem zdrowy sen.

— Mam zdrowy sen i przywiążę do tego wagę. Wynos się więc!

Wassermann stanął obok stolika w restauracji Hotel de France, przy którym siedzieli Bert Bergen i Elisabeth Erdmann, gotowi do spożycia duszonego kurczęcia. Wassermann pochylał się i bezceremonialnie wąchał przyniesione właśnie potrawy. Następnie usiadł i rzekł, wskazując na udko kurczęcia: — Mam na to ochotę! — Po czym sięgnął ręką i zaczął je ogryzać.

— Co to za jeden? — zapytała Elisabeth, ubawiona.

— Ja jestem tak zwaną osobą niezbędną — zapewnił Wassermann, jedząc ze smakiem.

— Ale nie tu — powiedział Bergen lekko ostrzegawczym tonem. — Nie jesteś tu wcale pożądany, przynajmniej w tej chwili.

— To ty tak uważasz — oświadczył Wassermann wesoło. — Ale nie jesteś tu sam! A co o tym sądzi nasza droga młoda dama?

— Ja — odrzekła Erdmann, uśmiechając się do niego — nie jestem ani szczególnie droga, ani zbyt młoda.

— To wspaniale — zapewnił Wassermann, szczerząc zęby.

Restauracja nie była zbyt zapełniona. Przy trzech spośród ośmiu stolików siedzieli niemieccy żołnierze, przeważnie po dwóch; tylko Bergen był w towarzystwie kobiety. Przy dwóch innych stolikach siedzieli Francuzi w starszym



wieku, dość małomówni, sprawiający wrażenie lekko skulonych. Popijali w zamyśleniu wino. Kelner czuwał z twarzą bez wyrazu.

— Zająłbyś się lepiej pismem komendanta garnizonu — powiedział Bergen, usuwając swój talerz przed następnym ruchem Wassermanna.

— Szkoda czasu! — zapewnił Wassermann. Przysunął kieliszek i nalał sobie z butelki, która stała obok Bergena; zawierała ona cierpkie, ciężkie czerwone wino. — Możemy sobie darować tego komendanta. Już go załatwił Hein! Nasz Monsieur Charles Schmidt już tylko się modli, jeśli akurat nie je albo nie pije, tak jak właśnie teraz z profesorem.

— A co z tym Magnusem? Jak on się sprawuje? Czy bardzo popędza komendanta garnizonu?

— Jeszcze jak! — Wassermannowi udało się znów schwycić kawałek mięsa z talerza Bergena, tym razem skrzydełko. — Ten profesor rozpracowuje naszego kapitana Schmidta według wszelkich reguł sztuki — wyłudza od niego najdoskonalsze specjały, najlepszy szampan i najstarszy koniak. Nie wygląda na to, aby miał on szczególniejsze ambicje.

— Bo też ich nie ma! — potwierdziła Elisabeth Erdmann leniwie. — Poznałam go dość gruntownie. On nie pragnie niczego więcej, tylko przyjemności, i to możliwie bez większego wysiłku.

— Czy pani to mówi na podstawie osobistego doświadczenia? — zapytał Wassermann, zaciekawiony.

Ale gefrajter Bergen pochylił się do przodu i rzekł: — Powiadasz, że komendant tylko się modli? Na nic więcej już go nie stać? O cóż to on się tak modli?

— Przypuszczalnie o zbawienie duszy. Następnie o zachowanie swojej wieży ciśnień.

— A to dlaczego?

— Przekazałem mu tę wiadomość za pośrednictwem jego pisarza. I to ze szczegółami. Właśnie dziś po południu byłem świadkiem, jak Runge się wściekał. Wskazywał ręką w kierunku wieży i krzyczał, że trzeba ją zlikwidować, że przeszkadza, że ogranicza nasze pole obstrzału.

— To brzmi wiarygodnie — powiedział gefrajter Bergen, zamyślony. Przysunął swój talerz do Wassermanna. — Poczęstuj się, jeśli chcesz.

Wassermann chciał. Wyszukał sobie najlepszy kawałek mięsa. Maczał go w sosie, podnosił do ust za pomocą chleba i mlaskał z oddaniem.

— Czy on zawsze jest taki? — zapytała Elisabeth Erdmann wesoło.

— Dzięki Bogu nie zawsze! — odrzekł Bergen. — Tylko wówczas, kiedy się wyjątkowo dobrze czuje. Co nie zdarza się zbyt często, choć u niego częściej niż u innych.

— Ponieważ jestem człowiekiem niezbędnym — powiedział Wassermann, żując — skłania mnie to do ciągłego odkrywania, jacy to wszyscy inni są zbędni.

— Bergen także? — zapytała Elisabeth prowokująco.

— Jeszcze nie wiem — wyznał Wassermann, oblizując starannie kości, a następnie swoje palce. Jednocześnie mierzył uważnie wzrokiem Elisabeth i Bergena. — Wciąż nie mogę się połapać, czy ten chłopak jest czymś w rodzaju sera z dziurami, czy też przedstawia dużą liczbę dziur z serem dokoła.

— A jak pan sądzi, panie Wassermann, w jaki sposób można by to najpewniej stwierdzić? Milczy pan? A więc i tego pan nie wie? A ty, Bert, również milczysz? I to jest wszystko, na co was stać?

— Chwilowo tak — powiedział Bergen obojętnie. — Tylko że to, co chwilowe, nie musi być ostateczne.

— Niech więc ci przyjdzie coś do głowy! — zachęcił go Wassermann, znów sięgając po butelkę. — Tylko możliwie szybko. Myślę bowiem, że nie mamy zbyt wiele czasu. A może liczysz na cud?

— To ja! — krzyknął Arm, wymachując butelką koniaku. — Jest pani zadowolona?

— Ach, to pan! — krzyknęła Werner-Weilheim niemal przeraźliwie i cofnęła się. — Czego pan tu szuka?

— Niczego już nie szukam! — zapewnił Arm ze swobodą i podszedł bliżej. — Właśnie znalazłem! — Stał przed nią w rozkroku. Na odległość śmierdział alkoholem.

Doktor Werner-Weilheim siedziała w gabinecie w pawilonie, pogrążona w nocnej samotności. Całkiem ubrana, ale miała podciągniętą do góry spódnicę i odpiętą bluzkę — było jej gorąco. Porównywała zestawienia i rysunki, próbowała sporządzić coś w rodzaju spisu inwentarza, lecz na próżno starała się skoncentrować. Położyła ręce na stole, Arm postawił butelkę obok.

— Czego pan chce? — zapytała surowo.

— Tylko tego, co i pani.

— A co to takiego? — zapytała kobieta, mocno poirytowana.

— Niech pani nie będzie taka, najdroższa! — Arm wyciągnął dwie szklanki z kieszeni spodni i szybko napelnił je koniakiem, jedną przysunął do Werner-Weilheim, drugą opróżnił sam do dna; kobieta tymczasem patrzyła na niego całkiem bezradna. Otrząsnął się z zadowoleniem, zachwiał się i skinął jej głową zachęcająco.

— Przecież pani jest kobietą, a ja mężczyzną!

— Pan chyba nic jest całkiem przy zdrowych zmysłach! — wykrztusiła Werner-Weilheim, wstając przy tym gwałtownie, aż przewróciła krzesło.

— To zależy, moja droga, co pani przez to rozumie.  
— Arm usiadł na stole i uśmiechnął się. — Lubię żartować, trzeba pani wiedzieć. Nie widać tego po mnie? Ale to prawda, wkrótce się pani o tym przekona. I jestem jak najbardziej normalny. Tylko na swój sposób. To znaczy lubię czasem podokazywać, jeśli jest taka potrzeba. Gdyby pani miała życzenie w tym względzie...

— Jest pan świnią! — zawołała doktor, cofając się aż do ściany. — Wstrętną świnią!

— Może więc się pani wiele po mnie spodziewać, najdroższa!

— Wstrętny, tępy, samolubny pyszałek! Czym pan chce mi zaimponować? Znam takich jak pan!

— Ale najwidoczniej zbyt mało. Co mnie właściwie dziwi. Przy takiej figurze! Kiedy tak się pani przyglądam...

— Niech pan nie wyciąga do mnie swoich brudnych łap! Ani kroku dalej, bo będę krzyczała!

— Jeśli o mnie chodzi, może pani krzyczeć do woli, jak to pani sprawia przyjemność. — Arm, pewny siebie, podochocony alkoholem, rozkoszował się sytuacją. — Ale nic to pani nie pomoże, nikt tu pani nie usłyszy. Jesteśmy sami — tylko my dwoje.

— Czy zamierza mnie pan... zgwałcić? — wykrztusiła.

— Arna pani na to ochotę? — Arm pił prosto z butelki, dodając sobie odwagi. — No tak, jeśli pani koniecznie chce... to byłoby coś nowego! Choć nie jest to w moim stylu, najdroższa. Uznaję raczej obopólną harmonijną grę. Spotkanie dwojga serc — jeżeli pani tak woli.

— Precz, łajdaku! — wyjąkała Werner-Weilheim wzburzona. — Za kogo mnie pan uważa? Co pan sobie myśli?

— Pani mnie nie docenia, najmilsza! — Arm przyglądał się opartej o ścianę kobiecie niemal zasmucony. —

Również pod tym względem nie można mi nic zarzucić, trzeba to pani wiedzieć. Obcowałem z kobietami z najlepszych sfer. Nawet z pewną arystokratką. Poza tym z córką pastora. Czy chce pani obejrzyć listy pełne podziękowań i wyrazów uznania? Albo lepiej dostarczę pani praktycznych dowodów.

Werner-Weilheim patrzyła na niego — drżąc z pożądania, a jednocześnie broniąc się przed tym ze wszystkich sił. — Gardzę panem! — zawołała, widząc jego zuchwałę spojrzanie i pewną siebie minę.

— Tak jak w tej bajce o lisie i winogronach, które wisiały za wysoko! — Arm uśmiechnął się. Zsunął się ze stołu, wziął do ręki szklankę z koniakiem i zataczając się podszedł do Werner-Weilheim. Stał bardzo blisko, ale jej jeszcze nie dotknął. Dopiero w kilka sekund później wyciągnął rękę, objął ją za szyję, wziął pod brodę, pogłaskał lekko — kobieta wydawała się niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu.

Arm podsunął jej szklankę do ust, które otworzyły się mechanicznie. Koniak spływał do środka. Werner-Weilheim piła z zamkniętymi oczami, twarz miała czerwona.

— Pan budzi we mnie wstręt! — wykrztusiła, przyciskając się do niego. Pusta szklanka upadła na podłogę i rozbila się. — Nienawidzę pana!

Wymachiwała nogami, kiedy ją podniósł, przycisnął do piersi i podszedł z nią do stołu, na którym leżały plany i szkice kaplicy. Rzucił ją na to wszystko, a sam rzucił się na nią. Kobieta broniła się, ale niezbyt długo.

— Nic! Nie! — wołała, wijąc się, wpijając ręce w jego plecy. Ale wyglądało to tak, jakby chciała tylko przyjąć wygodną pozycję. — Nie! Nie!

— Ależ tak! — odparł Arm.

— To niemożliwe! — Objęła mężczyznę gwałtownie.

Jej dłonie wczepiły się w jego mundur. — Ja wcale tego nie chciałam! — wykrzyknęła po chwili.

— Ale ci się podobało — stwierdził zadowolony. — Czyż nie?

— Tak, tak! — wyznała z zachwytem.

— No widzisz — powiedział. — Ale ty też jesteś dobra. — Czy chcesz tak dalej?

— Całą wieczność! — jęknęła. Oddychała głęboko. Potem wyznała: — Długo się szukaliśmy, ale wreszcie znaleźliśmy się. To nie pozostanie bez następstw!

Profesor Magnus, lekko chwiejąc się na nogach, opuszczał Hotel de France. Komendant garnizonu, kapitan Schmidt, odprowadzał go do drzwi. Tu żegnali się głośno i serdecznie.

— Było mi szczególnie miło!

— Mnie również, mnie również! — zapewniał Magnus. — Jestem wprost szczęśliwy.

— Tak, to jest Francja! — Komendant jeszcze raz potrząsnął dłonią profesora. — Mam nadzieję, że pan mnie wkrótce znów odwiedzi.

— Oczywiście, nawet gdybym pana musiał jeszcze raz tak rozczarować.

Magnus odszedł z głupkowatym uśmiechem. Powłókł się w kierunku zamku ulicą Saint Martin. Następnie zatrzymał się, popatrzył zamyślony przed siebie, na kaplicę, która wznosiła się w nocne niebo. W wieży zamkowej paliło się jeszcze światło.

— Tak, to jest Francja! — rozległ się nagle za nim przyjazny głos.

Magnus odwrócił się. — Bergen — powiedział, zaśmiawszy się krótko. — Czy pańska opieka nie posuwa się zbyt daleko?

— Nie chciałbym, aby pan się nam gdzieś zawieruszył — odparł gefrajter. — Dlatego pozostaje pan stale pod opieką.

— Niech pan to sobie nazywa, jak chce, Bergen, opieką czy nadzorem. Mnie interesuje tylko: z czyjego polecenia?

— Niech pan sobie oszczędzi takich pytań wobec mnie. — Bergen szedł spokojnie obok profesora. — Nie zawsze trzeba mieć koniecznie polecenie, by robić pewne rzeczy, czyż nie tak?

Magnus zatrzymał się, jakby chciał odsapnąć. Droga biegła teraz pod gorg. — Czyżby pan zamierzał mnie ostrzec?

— Wprost przeciwnie, panie profesorze, pragnę pana tylko zachęcić.

— Do czego?

— Do wykonania tu możliwie całej pracy.

— W jakim sensie?

— No, myślę, że pan się chyba dokładnie zorientował, co tu jest grane! Widzi pan, jak panoszy się tu mania wielkości, rozprzestrzenia epidemia władzy, rozrasta upojenie zwycięstwem! Skutki tego będą straszliwe. Już są. Aż do ofiar w ludziach. Pan jest gotów coś zrobić przeciwko temu, prawda? Wskazują na to niektóre pańskie relacje. A ja panu w tym pomogę — w dostarczeniu materiału dowodowego.

— Ach, mój drogi, czegoż pan ode mnie wymaga! Jest pan jeszcze bardzo młody, mój chłopcze, tylko panu pozazdrościć, patząc z mojego punktu widzenia. Co najmniej za trzydzieści lat pan mnie zrozumie i wówczas będzie mnie pan może wspominał jako odważnego człowieka.

— Za to tylko, że przejrzał pan tego gładko polakierowanego wilkołaka w wieży i drwił z niego, ale poza tym nie więcej? I coś takiego nazywa pan odwagą?

— Tu i dzisiaj to jest właśnie śmiało — oświadczył profesor Magnus. — A także sprawia przyjemność.

— Czy to ma znaczyć, że pan nie zechce nic przedsięwziąć przeciwko niemu? Nawet gdybym dostarczył całą masę materiału? I nawet wówczas, gdy pańska doktor Werner-Weilheim zorganizuje panu wszelkie zabezpieczenie tyłów, a do tego może jeszcze dojść panna Erdmann? Jak to właściwie jest z funkcją sumienia? Podobno coś takiego jeszcze nie zanikło?

Profesor znów przystanął. Sapał — niewątpliwie z powodu wznoszącej się ulicy, a także wina, które wypił: chablis do ryby, burgund do mięsa, bordeaux do sera, następnie koniak do kawy i wreszcie szampan. Wyciągnął drżące ręce i wczepił się mocno w Bergena.

— Niech mi pan nie wyjeżdża z tymi babami! — powiedział. — Ta Erdmann jest wyzuta z rozumu i moralności. A Werner-Weilheim ma i jedno, i drugie, ale jak długo jeszcze? Nadarzy się sposobność i będzie załatwiona. Taką ma naturę. Uprawiała to nawet ze swoim kierownikiem Rzeszy, za plecami Führera podczas projekcji filmu z okazji obrad Reichstagu.

— Ależ to jest czysto ludzkie! — zawołał Bergen. — Coś takiego powinno nas raczej godzić z życiem.

— Godzić z życiem? — Magnus oddychał ciężko. — Czy stwierdzenie, że przy pierwszej lepszej okazji ludzie zachowują się jak zwierzęta, jest dla pana takie radosne?

— Jest to wyzwanie dla tych wszystkich, którzy jeszcze nie całkiem zapomnieli, co to jest sumienie.

— A co pan nazywa sumieniem? Młody człowieku, pan jest chyba niedzisiejszy? Lecz niech się pan nie martwi, ja też w pewnym sensie jestem taki. Jako młodzieniec brałem udział w wojnie osiemnastego roku i nawet napisałem o tym książkę. Remarque napisał lepszą, ale w grun-



cie rzeczy opowiedział prawie to samo, co ja. Za czasów - republiki weimarskiej opowiadałem się twardo za zgodą i porozumieniem narodów, za prawami człowieka, za demokracją i braterstwem, za pokojem na świecie... Miałem zostać rektorem na uniwersytecie, miałem otrzymać amerykański doktorat honoris causa, ale nastał nasz Führer. I jego poplecznicy pochwycili mnie, bili, nazywając to rachunkiem sumienia. Następnie wcisnęli mnie wspaniałomyślnie do najodleglejszego archiwum.

— A teraz — podjął Bergen — jest pan złamany. Więcej pan nie może. Cierpi pan na skurcze żołądka, na zaburzenia oddechu. Pozwala się pan terroryzować tej Werner-Weilheim, a ostatnio płaszczy się pan jeszcze przed kapitanem Heinem. Ponieważ on to lubi!

— To nieprawda! — zawołał profesor Magnus. Wyglądał teraz niemal trzeźwo. Cofnął się o trzy kroki — światło księżycy oświetlało go niczym daleki reflektor; był „, błady jak kreda. — Nie wolno panu tak o mnie sądzić! Ja nienawidzę Heina!

— Ale znajduje pan w tym przyjemność! — rzekł Bergen. — I o nic więcej chyba panu nie chodzi? Ponieważ pan, z pewnością straszliwie zbity pies, nic potrafi już uwierzyć w to, że mógłby pan jeszcze pokazać zęby. Lecz pan może skompromitować go i załatwić. Z moją pomocą! Muszą bowiem przy tym działać co najmniej dwie osoby, ze względu na zgodne zeznania świadków. W pojedynkę nigdy się tego nie zrobi!

— Niech pan posłucha: aby coś takiego zrobić, trzeba by wpierw odwrócić porządek świata! Nawet w czasach oświeconych wysokich kultur ludobójcy mogli jako mężowie stanu skutecznie i bez przeszkód się panoszyć! — Profesor wchodził pod górę, ciężko dysząc. — A my żyjemy pośród bezprawia, jakby omotani siecią i ujęci w obowiązujące obecnie rygory. W dodatku w czasach oficjalnie

uznanych i proklamowanych jako bohaterskie. Jak pan chce przeciwko temu wystąpić?

— Pan jest w gruncie rzeczy starym, zmęczonym człowiekiem, który beznadziejnie się poddał — oświadczył Bergen bezlitośnie. — Stać pana jeszcze tylko na odrobinę cynizmu.

— A kim pan jest? — zapytał Magnus pobłażliwym tonem. — Pogodnym, niedoświadczonym młodym człowiekiem, w gruncie rzeczy beznadziejnym idealistą. Tyle tylko, że stać pana jeszcze na trochę rozumu. Mimo to, mój drogi, jesteście do siebie podobni. Tylko nie umiemy tego dostrzec.

— Gardzę wszelkiego rodzaju zmęczonymi, niezdolnymi do działania cherlakami! — wykrztusił Bergen prowokująco. — Tylko dlatego, że istnieją takie wykształcone, doświadczone i uznane naukowo kreatury jak pan, mógł u nas zdobyć władzę i egzystuje Hitler. A kiedy ludzie pańskiego pokroju gotowi byli, choć z pewnymi wątpliwościami, całować jego zabłocone stopy, on kopnął ich w tyłek.

— Jakże doskonale jest pan o tym przekonany! — Magnus powiedział to cicho, jakby sam do siebie. — Ale zobaczy pan, kto na swój sposób więcej osiągnie, pan czy ja! Być może jeszcze się pan zdziwi, młody człowieku!

### ***Eskalacja średniego stopnia***

***Kapitan Hein i ogniomistrz Runge***

***Miejsce: droga na skraju stanowiska  
ogniowego***

***Czas: wczesne popołudnie słonecznego  
dnia jesieni***

*Hein:* — Runge, mój drogi, jestem nad wyraz niezadowolony! Sprawność naszej baterii obniża się, morale wojska osiągnęło dno. Czy pan — zainspirowany przeze mnie

— myślał nad tym, co należy przedsięwziąć w celu podniesienia gotowości bojowej?

*Runge:* — Tak jest, panie kapitanie! Proponuję zgodny z planem ćwiczeń, ale całkowicie niespodziewany nocny atak na stanowisko ogniowe. Z użyciem ostrej amunicji. Przygotowany i przeprowadzony przeze mnie osobiście.

*Hein, patrząc na swego ogniomistrza z uznaniem i aprobatą:* — Wspaniale, Runge! Całkowicie po mojej myśli. Dokładnie to, czego sobie życzyłem. Stworzenie prawdziwej sytuacji wojennej! Ale teraz zupełnie oficjalnie, mój drogi — ja czegoś takiego ani nie inspirowałem, ani nie nakazywałem.

*Runge:* — To się rozumie samo przez się, panie kapitanie!

*Hein:* — Nie zawiodłem się na panu, Runge. Jest pan wprost stworzony na oficera. Tylko tak dalej! I niech mi pan jak najszybciej udostępni przekonujące rezultaty.

***Ogniomistrz Runge u porucznika  
Mindera  
Miejsce: kwatera oficerów przy  
stanowisku  
ogniowym  
Czas: piętnaście minut później***

*Runge, poufnie:* — A więc już niedługo!

*Minder, ze zwykłą u niego ostrożnością:* — Co niedługo, jeśli wolno zapytać?

*Runge:* — Należy się spodziewać ataku na stanowisko ogniowe, możliwe, że już bieżącej nocy. To wydaje się niemal pewne.

*Minder.* — Powiedział pan: atak? Czyj?

*Runge:* — Grup sabotażowych albo kogoś w tym rodzaju. Musimy się z nim liczyć i odpowiednio do niego przygotować. Przewidując to, powinniśmy teraz rozpoznać

miejsca, z których nieprzyjacieli najprawdopodobniej zaatakują. A więc na przykład wieża ciśnienia! Mogłaby wreszcie runąć. Jak nie!

*Minder.* — W porozumieniu z kapitanem Heinem?

*Runge:* — Niech pan go zapyta, jeśli uważa pan to za słuszne. Ja znam już jego odpowiedź. On powie: „Niech pan rozwija własną inicjatywę”.

*Minder, z zapalem:* — Jestem gotów! Tylko jak to zrobić?

***Podporucznik Helmreich u gefrajtra  
Bergena  
Miejsce: park amunicyjny, rozmowa w  
piwnicy  
zamku  
Czas: godzinę później***

*Helmreich:* — Proszę nie sądzić, że próbuję wywrzeć na pana jakikolwiek wpływ...

*Bergen:* — Może pan śmiało próbować, panie podporuczniku.

*Helmreich:* — Nie mam zamiaru wdawać się z panem w niepotrzebne poufałości. Chcę tylko porozmawiać bardziej szczegółowo, gdyż muszę przyznać, że jestem zaniepokojony.

*Bergen:* — To zrozumiałe. Wszyscy powinniśmy być zaniepokojeni. Ale o co chodzi tym razem?

*Helmreich:* — Chyba o wieżę. Przypuszcza się, że stanowi ona dogodne miejsce — dla sabotażystów czy kogoś innego! — skąd można ewentualnie przeprowadzić atak na stanowisko ogniowe. I to niedługo. Czy wie pan coś bliższego na ten temat? Czy pan coś słyszał? Mam na myśli: czy pan coś podsłuchał? Jakąś rozmowę telefoniczną w tej sprawie?

*Bergen, ostrożnie:* — Być może. :;,;

*Helmreich, poufnie:* — Sytuacja wygląda mianowicie tak: Jeśli rozwalimy wieżę, przysporzymy miastu, a tym samym naszemu komendantowi, z całą pewnością trudności. Nie rozwalimy jej, możemy mieć trudności z kapitanem Heinem. Jest to w najwyższym stopniu drażliwa sytuacja.

*Bergen:* — Mnie też się tak wydaje, panie podporuczniku. Ale nawet tu istnieje jeszcze możliwość uniku. Gdyby powstała sytuacja, w której koniecznie trzeba by było coś rozwalić, przypuszczalnie strzelałbym dokładnie tam, skąd ja sam byłbym ostrzeliwany. A to nie musiałyby być koniecznie wieża ciśnień.

*Helmreich, nagłaco:* — Bergen, mój drogi, czy wie pan coś konkretnego, czy pan tylko zmyśla? Człowieku, tu może chodzić o życie ludzkie!

*Bergen:* — To u nas nic nowego, panie podporuczniku. Jeszcze się pan do tego nie przyzwyczaił? Trupy są nieuniknione, ale muszą to być możliwie właściwe trupy!

***Schubert, obecnie gefrajter, obok Bergen***  
***Miejsce: tak zwana kantyna w piwnicy***  
***zamku,***  
***czasowo służąca jako jadalnia i świetlica***  
***żołnierzy***  
***Czas: przerwa obiadowa***

***Na*** obiad grochówka z wędzonką — tak zwane ciężkie żarcie, wydawane zazwyczaj tylko w dni walnych bitew. Warstwa tłuszczu pokrywa zupeę; żołnierze jedzą prawie w całkowitym milczeniu. Przygotowano po pół litra czerwonego wina na osobę.

*Bergen i Schubert* siedzą obok siebie — niby przypadkiem. *Bergen* wybrał odległe miejsce i zajął wolne krzesło obok — dla *Schuberta*. Jedzą teraz ramię przy ramieniu.

*Schubert, po dłuższym milczeniu, niemal z dławiącym zakłopotaniem:* — Czy mogę być z tobą szczerzy?

*Bergen, przeciągle:* — Nie mam nic przeciwko temu, jeśli sam tego chcesz.

*Schubert:* — Chcę.

*Bergen:* — A więc śmiało!

*Schubert, powściągliwie:* — Czy to bardzo źle, jeśli się kogoś kocha?

*Bergen:* — Niekoniecznie, ale czasami tak. To zależy.

*Schubert:* — Nie musi to być od razu miłość, można to nazwać uwielbieniem.

*Bergen:* — Kapitana Heina.

*Schubert:* — Tak! Jego! Uważasz, że to straszne?

*Bergen:* — Wcale nie, jeśli to polega na bezgranicznej wzajemności. Ja w każdym razie życzę każdemu jak najlepiej, a tobie w szczególności. Ludzi, których się lubi, chciałoby się widzieć szczęśliwymi.

*Schubert, wyznając szczerze:* — Nieszczęśliwy nie jestem, możesz być spokojny. Tylko niekiedy jestem bardzo zmieszany, jednakże ze szczęścia! To wszystko się dopiero rozwija, jesteśmy zaledwie na początku.

*Bergen:* — Miejmy nadzieję! A to chyba znaczy, że na razie głównie o tym rozmawiacie. Tylko o czym wy rozmawiacie? Czy o wieży ciśnień, którą trzeba rozwalić przy najbliższej okazji?

*Schubert:* — Wybacz, ale na takie rzeczy nie zwracam uwagi.

*Bergen:* — A powinieneś!

*Schubert:* — Ależ nie, Bert! Tu chodzi o zasadnicze, o wielkie sprawy, o kontakty międzyludzkie!

*Bergen:* — To nie ulega wątpliwości! Tylko że każdy rozumie przez to co innego.

***Gefrajter Bergen i Elisabeth Erdmann***  
***Miejsce: pracownia grupy naukowców w***  
***pawilonie***  
***Czas: wczesne popołudnie***

*Elisabeth, pospiesznie, ale wprawnymi rękami porządkując ubranie:* — Byłeś całkiem roztargniony. Co cię gryzie?

*Bergen:* — Czy to prawda, że masz ochotę na ten obraz, tego rzekomego Fragonarda, który wisi w sali bankietowej?

*Elisabeth, z nadzieją w głosie:* — A chcesz mi go podarować?

*Bergen:* — Ja nie mam nic do darowania, a więc nic ci nie podaruję. Powinnaś to wreszcie zrozumieć.

*Elisabeth:* — No dobrze, oczekujesz ode mnie jakiegoś ekwiwalentu. Ale dostałeś już wszystko, co mogłam ci dać. Czego chcesz jeszcze?

*Bergen:* — Czy znasz Schuberta?

*Elisabeth:* — Tylko przelotnie. Spotykam go, jak wiesz, od czasu do czasu. Podoba mi się w pewnym sensie, choć to typ potulnej owieczki. Czy masz zamiar mnie nim uszczęśliwić? Ten chłopak wydaje się jakiś sfuszerowany. Myślisz, że da się z niego coś zrobić?

*Bergen:* — Może tak, jeśli przy tym wyskoczy Fragonard!

*Elisabeth:* — Czy to konkretna oferta?

*Bergen:* — Jeszcze nigdy nie byłem bardziej konkretny.

*Elisabeth:* — Tylko na jakich warunkach?

*Bergen:* — Ten Schubert, droga Elisabeth, jest moim przyjacielem. On jeszcze tego nie wie, ale zdaje się to przeczuwać i pragnąć tego. Nie uświadamiając sobie, co to może naprawdę oznaczać. I to, moja droga, jest mój szczególny problem, a twoje zadanie.

*Elisabeth:* — Co mam z nim zrobić?

*Bergen:* — Na początek tylko się nim zajmij. Spróbuj się do niego dostosować. Jest mu to pilnie potrzebne. O sprzyjającą okazję chętnie się postaram.

*Elisabeth:* — Czego oczekujesz ode mnie? Tylko, proszę, jasno! Czy mam z tego młodzieńca zrobić mężczyznę, jak to się pięknie mówi w waszych kręgach?

*Bergen:* — Tymczasem chciałbym tylko wiedzieć, czy on w ogóle może, czy nie? Tego jestem coraz bardziej ciekaw i właśnie na to nie będę żałował środków.

***Gefrajter Bergen u starszego ogniomistrza  
Krügera  
Miejsce: kancelaria w zamku  
Czas: późne popołudnie tego samego dnia***

*Krüger siedzi na krześle przy biurku. Gefrajtei Bergen melduje się i otrzymuje pozwolenie, aby podejść bliżej.*

*Krüger, przeciągle:* — Czy wiecie, kogo mi przypominacie? Faceta, który wciąż robi w spodnie, a potem krzyczy: „Tu coś śmierdzi!” Komu chcecie tym zaimponować?

*Bergen:* — Nie wiem, co panu o mnie doniesiono. Ale gdyby mnie ktoś zapytał o wrażenia z ostatnich dni, musiałbym niestety wyznać: boję się, że tu może chodzić o życie ludzkie!

*Krüger:* — O życie ludzkie? W końcu jesteśmy na wojnie! Wtedy zawsze chodzi o życie ludzkie. A więc także i o wasze! A poza tym powinniście wiedzieć, że mnie się nie donosi, ja jestem informowany! Zrozumiano?

*Bergen, lekko zrezygnowany:* — Zrozumiano.

*Krüger:* — Jeśli więc macie dla mnie jakiegokolwiek informację, walcie! A jeśli nie macie, to nie zwracajcie mi dłużej głowy swoimi złośliwymi przytykami. Gdybyście



jednak byli w posiadaniu jakiejś informacji i przemilczeli ją wobec mnie, a ja bym się o tym dowiedział, wówczas roztrzaskam wam czaszkę, aż mózg z niej wytryśnie. A więc co tu się dzieje? Chcę usłyszeć całą prawdę.

*Bergen:* — Gdybym był na pańskim miejscu, natychmiast zwolniłbym tego Schuberta ze służby u kapitana Heina. Następnie wysłałbym na urlop ogniomistrza Runego, możliwie jeszcze dziś. I do tego Arma.

*Krüger, po dłuższej przerwie, skrzeczącym głosem, stając się jednak o przytłumione tony:* — Wy, Bergen, najwidoczniej zbyt dużo wiecie albo wasza wybujała fantazja zbyt dużo wymyśla. I jedno, i drugie może być dla was niedobre! Człowieku, jeśli tu ktoś nadaje się na urlop, to właśnie wy!

— Jak on umarł? — zapytał kapitan Hein. Miał na myśli Charlesa Louisa, księcia orleańskiego. — Na polu bitwy?

— Nie — odrzekł profesor Magnus z ubolewaniem. Podczas wypowiedzania tego wahającego się „nie” porzmięwała jednak w jego głosie nadzieja. — Na polu bitwy księżę został jedynie ciężko ranny, i to trzykrotnie. Najpierw w prawe ramię, z czego sobie niewiele robił, ponieważ był leworęczny.

— Ja też jestem leworęczny! — zawołał Hein, radośnie zaskoczony. — Na przykład przy ubieraniu posługuję się najczęściej lewą ręką, również przy goleniu, a także przy odwracaniu kartek książki, jeśli mam kiedykolwiek czas, aby czytać.

— Co za zbieg okoliczności! — zawołał profesor. Siedzieli obaj z kapitanem w sali bankietowej, już przy trzeciej butelce szampana. — Księżę trzymał zwykle miecz w lewej ręce. Zranienie prawego ramienia niewie-

le mu przeszkadzało. Do tego jednak doszedł ciężki uraz podbrzusza, spowodowany ciężarem zastrzelonego pod księciem konia, który w śmiertelnych mękach przetoczył się nad nim. Wskutek tego niemal całkowicie została zahamowana funkcja książeńcych organów płciowych. Ale Charles Louis nie przywiązywał do tego zbytnej wagi.

— Dlaczegoż miałby przywiązywać? — rzekł Hein. — Mężczyzna, który poświęcił się całkowicie życiu bohatera, nie myśli o rozpuszczeniu, jest opanowany innymi zainteresowaniami, dąży do wyższej żołnierskiej doskonałości.

— Chyba tak jest — zauważył Magnus, wpatrując się, w zadumie, w pusty kieliszek po szampanie. — To przejrzyste wytłumaczenie owych wydarzeń, zwłaszcza że i trzecia rana księcia wskazuje ten kierunek. Chodzi o ranę głowy, przypuszczalnie wskutek uderzenia. Pozwolę sobie pokazać panu hełm księcia. Jest on nie tylko mocno wgnieciony na lewo, powyżej skroni, ale także w dwóch miejscach ma dziury nieco większe od ziarna grochu. Każdy inny by od tego umarł, ale Charles Louis zdawał się na to nie zważać.

— Gardził takimi drobiazgami!

— Z pewnością, można tak powiedzieć. Walczył więc dalej, mimo ciężkich obrażeń. I zwyciężył! Kiedy jego zwycięski sztandar został zatknięty, padł na ziemię. Ale już kilka minut później rzucił się znów do walki. Aż znów upadł, oszołomiony straszliwym bólem głowy. Po bitwie przyniesiono go tu, do gniazda przodków. Tu siadywał i rozmyślał o swoim końcu, w który nie chciał uwierzyć. Dni i tygodnie.

— A gdzie księżę siadywał? Tylko proszę możliwie dokładnie.

— W pokoju w wieży, to raczej pewne.

— A w którym miejscu?

— Dokładnie pośrodku, tak w każdym razie należy sądzić.

— Niech pan pójdzie ze mną, proszę — powiedział Hein i wstał.

Magnus również wstał, przedtem jednak nappełnił swoją szklankę i pospiesznie wypił. Musiał się wzmocnić. Następnie, chwiejąc się na nogach, poszedł za kapitanem — najpierw przez kwadratową sypialnię, potem przez wąski, wysoki korytarz pomalowany na biało i po schodach w górę do pokoju w wieży.

Tu Hein zatrzymał się przed krzesłem z wysokim oparciem, które stało pośrodku. Cztery wysokie okna jak gdyby spoglądały na cztery strony świata w ciemną, rozgwieżdżoną noc. Kapitan wyznał: — Kiedy człowiek patrzy z tego miejsca, wydaje mu się, że ogarnia świat! Sprawia on wrażenie, jakby leżał u stóp patrzącego. Książę Charles Louis musiał odczuwać podobnie.

— Wszystko na to wskazuje! — Profesor przechadzał się wokół krzesła, na którym usiadł kapitan. — Nigdy dotąd tego nie widziałem, ale zawsze tak to sobie wyobrażałem.

— Co mnie wcale nie dziwi — oświadczył Hein; siedział wygodnie oparty, z zamkniętymi oczami — gdyż dla absolutnej wielkości musi istnieć obowiązująca nienaruszalna miara.

Magnus skinął głową i powiedział: — Okno na północ oznaczało w praktyce drogę do totalitarnego zwycięstwa, stąd bowiem jest widok na Paryż, gdzie rezydowali ówczesni królowie. Ale nasz książę był nieporównanie bardziej zasłużony, bardziej godny niż ci ludzie, którzy byli panami jedynie z racji swego urodzenia! Na wschodzie, sto albo więcej metrów poniżej, leżało miasto D. Obszar poddanych! Leży tam po dziś dzień.

— Ja też tak właśnie to widzę.

— Dalej, na zachodzie, kaplica. Ostatni przystanek przodków. Upominający, zobowiązujący. Książę, siedząc tu, na tym krześle, musiał być tego świadomy. Wierzył ponadto, co można udowodnić, w wyższy sens śmierci, a więc także własnej śmierci. I śmierci swoich przodków. Aby nabrać sił, spoglądał następnie przez otwarte okno na południe.

— I stąd został wyniesiony do grobu?

— Chyba nie bezpośrednio, mówiąc dokładnie. — Magnus oparł się o książęce krzesło, na którym siedział Hein. — Charles Louis, zmarły wódz, prawdopodobnie został najpierw zniesiony na dół, do piwnicy zamku.

— Należy przypuszczać, że wszystko, co nastąpiło potem, było jak najbardziej godne książęcej osoby! — powiedział kapitan.

— Można to tak nazwać! — Profesor stanął przy zachodnim oknie i poprosił Heina do siebie. — Przed wejściem do zamku, niemal dokładnie tam, gdzie teraz stoi pański samochód, zaraz po śmierci księcia został ustawiony namiot, otwarty ze wszystkich stron, takiego samego kształtu i takiej samej wielkości jak namioty, które mieli wodzowie w owych czasach w swoich obozach. Tylko że ten wykonano z grubego czarnego aksamitu.

— I pod nim został pochowany Charles Louis?

— Powiedzmy raczej: tam ustawiono trumnę. Ale była ona zamknięta. Leżał na niej tylko jego miecz. Czy on sam był w środku, tego nie wiem. Jeszcze nie wiem. Lecz postaram się rozwikłać wszystkie tajemnice, które otaczają śmierć księcia. Z pańską pomocą, mam nadzieję.

— Oczywiście! Może pan na mnie liczyć w stu procentach! Proszę mówić dalej.

— Przeniesienie trumny do kaplicy nastąpiło, zdaje się, w sobotę o północy, a więc w dniu, w którym książę się urodził. I to dokładnie w godzinie jego urodzenia.

Ośmiu dostojników niosło trumnę. Ówczesny król Francji kroczył z tyłu — sam. W pewnej odległości za nim jego świta. Nie było w orszaku ani jednej kobiety.

— Żadnej kobiety?

— Tak zarządził sam książę! Siedząc na krześle śmierci, bo pogardził łożem, wezwał do siebie chorążego i poddyktował mu cały ceremoniał pogrzebowy. Postanowił następująco: Z zamku orszak udaje się do kaplicy. Po obu stronach drogi trzy rzędy żołnierzy z pochodniami w rękach. Przez cały czas słycać werble uderzające w przytłumionym, miarowym, nieubłaganym rytmie...

Zamilkli, gdyż nagle cisza nocna została przerwana i niebo rozdarły osłepiające błyski. Na południu, od strony stanowiska ogniowego, słycać było teraz potężne wybuchy.

Ogniomistrz Runge wybrał jako punkt wyjścia dla swojej akcji — zwanej „umocnieniem morale walki” — jeden z przestronnych pustych domów stojących na skrajach stanowiska ogniowego. Był to w dodatku dom z balkonami, co wydało mu się szczególnie ważne ze względów taktycznych.

Pod osłoną ciemności Runge, nie zauważony przez nikogo, złożył tu dwanaście zdobywczych francuskich granatów ręcznych i karabin maszynowy pochodzenia brytyjskiego. Do tego jeszcze pistolet maszynowy z trzema pełnymi magazynkami.

Akcja została ustalona przez niego — za milczącym przyzwoleniem kapitana Heina — na godzinę dwunastą w nocy, z półgodziną tolerancją, gdyby to miało się okazać konieczne albo korzystne. Ale już o godzinie dwudziestej trzeciej Runge znajdował się na posterunku.

Na balkonie, przezornie blisko muru, przygotował sobie granaty ręczne. Następnie otworzył szeroko drzwi bal-

konowe — nie omieszkął ich starannie naoliwić jeszcze podczas oględzin w minionym dniu. Po czym zablokował drzwi za pomocą znalezionych w domu książek.

Potem Runge ustawił na stole brytyjski karabin maszynowy. Prawie z rozkoszą skierował go na pole obstrzału. Balustrada balkonu okazała się wystarczająco niska. Stanowisko bojowe znajdowało się pod nim, gotowe do obstrzału.

Kiedy również to zostało skontrolowane, Runge sięgnął po swój pistolet maszynowy. Położył go na skrzyni obok szeroko otwartych drzwi, które prowadziły na korytarz. Po chwili przysunął go do siebie niemal z miłością, ułożył przy nim dalsze magazynki.

W korytarzu zapalił papierosa, zasłaniając go dłonią; stary trik frontowy — dzięki temu nie było widać płomyka w odległości około pięciu metrów.

Runge jeszcze raz obszedł trzy najważniejsze punkty wybranych przez siebie pomieszczeń, które stanowiły bazę operacyjną i z których zamierzał prowadzić poszczególne fazy swojej akcji.

1. Balkon. Stąd przeciwnik, czyli grupa sabotażowa, obrzuca stanowisko ogniowe granatami ręcznymi. Punkt wyjścia: potrzebny dobry, celny, potrafiący daleko rzucać żołnierz.

2. Pokój, tuż przy drzwiach balkonowych. Stąd przeciwnik, a więc grupa sabotażowa, ostrzeliwuje stanowisko bojowe z karabinu maszynowego. Ale tylko krótko. Natychmiast przerwać ogień po przypadkowo szybkim rozpoznaniu. Uwaga: konieczna niezwykła ostrożność!

3. Korytarz ze schodami i parter domu, następnie ogród, wreszcie otwarte pole za domem: pokaz ścigania wroga, pomyślany jako akcja jednego człowieka, skutecznie osłaniana przez pistolet maszynowy. Tu przewidziane użycie granatów ręcznych.

Plan powyższy — nie ulegało to dla Rungego wątpliwości — był dobry. Ogniomistrz z góry się na to cieszył. Spokojnie wpatrywał się w noc jasną jak dzień. Oparł się leniwie o framugę drzwi balkonowych. Słyszał chrapiące, bulgocące, jęczące dźwięki, które dochodziły z namiotów jednostki w pobliżu dział.

Następnie Runge spojrzął w górę, na kwaterę oficerów — tam przez szpary zasłon migotało przyćmione światło. Przypuszczalnie znów była w akcji przeplacana fryzjerka albo panowie byli po prostu pijani.

Potem Runge popatrzył w kierunku wieży zamkowej - jasno oświetlona! Wyglądała jak symbol, a zarazem znak ostrzegawczy. Kapitan Hein będzie z niego zadowolony — nie miał co do tego wątpliwości.

Znów spojrzął na zegarek, który miał świecące cyfry i sekundnik, używany również jako stoper. Było dwadzieścia minut przed północą.

— No to zaczynamy — powiedział Runge, prostując się. Nie mógł już dłużej czekać. — A więc w imię Boże!

Pierwsze sześć granatów, które Runge rzucił w ciągu mniej więcej trzydziestu sekund, oznaczało dla niego zaledwie wesołą zabawę. Jednakże zabawę, na którą mógł sobie pozwolić tylko taki doświadczony fachowiec jak on, ponieważ on umiał rzucać daleko i trafiać dokładnie w wymierzony cel.

Rzucił zatem dwa granaty w pobliże centralnego przyrządu do kierowania ogniem, to znaczy jego tylnej części, której nie można było tak łatwo uszkodzić. Dwa następne ulokował pomiędzy armatami „Anton” i „Berta” oraz „Cezar” i „Dora” — wycelowawszy tuż przed lufy, a więc nie tam, gdzie miały zapas amunicji. I do tego kilka metrów od namiotów żołnierzy. Pozostałe dwa granaty

pierwszej serii wybuchły tuż przy latrynie — rozbicie jej sprawiło Rungeemu nie lada przyjemność.

Przez kilka sekund ogniomistrz wsłuchiwał się w ryk, który się natychmiast podniósł. Wydierał się z namiotów, dochodził z bocznych kwater, sięgał aż do przerażonych gapiów. — Alarm! — krzyczeli. — Alarm! — Runge rozkoszował się tą sceną. — Atak na stanowisko ogniowe!

Następnie, w miarę szybko, rozległ się głos porucznika Mindera. I on wołał: — Atak na stanowisko ogniowe! Przygotować działa! Granaty przeciwpancerne!

Runge z uznaniem pokiwał głową. „Ten Minder — pomyślał — zareagował prawidłowo. Najwidoczniej przejął się akcją. Chyba rzeczywiście nastawił się na rozwalenie wieży ciśnien i obecnie odwrócił do niej siły bojowe baterii”. Ćwiczenie zapowiadało pewny sukces.

Teraz Runge rzucił następną serię granatów ręcznych: cztery dokoła stanowiska ogniowego, aby w ten sposób okrążyć biegnących wokół ludzi; dwa poszybowały w kierunku kwater oficerów, aby ich wreszcie poruszyć!

Ktoś gdzieś krzyknął. Runge uśmiechnął się szyderczo i podszedł do karabinu maszynowego. Wystrzelał pierwszą serię ponad głowami rojących się jak mrówki ludzi. Uciekali pochyleni, padali na ziemię, jakby się chcieli w niej zagrzebać.

Runge napawał się tym widokiem, wreszcie postanowił sięgnąć po następny ładunek, by znów nakarmić tak wspaniale spisujący się karabin maszynowy. Aż zwymiotuje. Zwymiotuje śmierć — jeśli on tylko zechce.

Śmierć, którą w ten sposób wywołał i która wkrótce do niego przysła.

Porucznik Minder, przygotowany na to ogniowe widowisko, reagował szybko i pewnie. Cały czas pamiętał uwa-



gi Rungego. Tak dalece, że nawet spał w spodniach, mając przed oczami wieżę ciśnień.

Musiał tylko wskoczyć w czekające w pogotowiu buty, chwycić mundur i hełm i wybiec na dwór. Wylądował w środku jakby spłoszonego przez wilki stada baranów. Niczego innego się nie spodziewał.

On sam wiedział, czego chce. Był tego pewien. — Przygotować działa! Granaty przeciwpancerne!

— Jedna osoba ranna! — zawołano do niego.

— Padnij! — rozkazał Minder. Rozpoznał niemal z całą pewnością: granaty ręczne nie były rzucone wprost na stanowiska armat, tylko świadomie wokół nich. A zatem nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo. A to oznaczało: wolne pole ostrzału. Rozkazał więc: — Atak wroga. Przypuszczalnie od strony wieży ciśnień. Skierować armaty w tamtą stronę. Po rozpoznaniu celu — pal!

Podporucznik Helmreich, jeszcze w nocnej koszuli, ale w hełmie na głowie, biegł w stronę Míndera. Wołał, ciężko dysząc: — Atak pochodzi z prawej strony! A więc nie z wieży! W drugim budynku widziałem błysk z wylotu lufy karabinu!

Ale Minder krzyknął: — Niech pan ucieka z linii strzału! — Celowniczym zaś swoich ciężkich dział rozkazał: — Cel: wieża ciśnień! Ognia! Powalić wreszcie to monstrum!

Co się też wkrótce stało.

Tymczasem podporucznik Helmreich, wykorzystując każdą możliwą osłonę, przyczołgał się z prędkością łasicy do lekkiego działa przeciwlotniczego.

Zastał tam działonowego, czekającego z desperacją na rozkazy. Patrzył on na Helmricha, który pospiesznie

pełził ku niemu i którego siedzenie lśniło w blasku księżyca.

— Człowieku! Dlaczego nie strzelacie? — wrzasnął Helmreich, sapiąc.

— W co, panie podporuczniku? Wieżę ciśnięć załatwią już ciężkie armaty. Śpiewaję! Po co mamy strzelać za nimi?

— Ale wróg znajduje się w białym domu z dużym balkonem!

— Na pewno?

— Oczywiście! — zawołał Helmreich. — Weźcie tę budę pod ostrzał!

— Na pańską odpowiedzialność, panie podporuczniku.

— Na mój rozkaz, baranie! Wystrzelajcie wszystko, co zawiera wasze działo! Cały czas w tę szopę! Aż stanie w płomieniach! Aż zostanie z niej kupa gruzu.

I tak się stało.

Kiedy kapitan Hein w niewiele minut później zjawił się na spokojnym, niemal nie poruszonym stanowisku ogniowym, porucznik Minder zameldował mu: — Atak wrogich elementów sabotażowych odparty. Wieża ciśnięć powalona!

— Czy musiało się tak stać? — zapytał Hein niemal uprzejmie. Panowała jasna noc księżycowa, twarz kapitana była wyraźnie widoczna. Nie zdradzała śladu poruszenia. — Ale miał pan z pewnością powód, aby ostrzelać wieżę ciśnięć.

— To było nieuniknione — stwierdził Minder. — Stamtąd, najprawdopodobniej, rzucono granaty na stanowisko bojowe — w dużej liczbie.

- Jakie straty?
- Dwóch rannych — poinformował porucznik Minder rzeczowo. — Jeden gefrajter raniony w plecy odłamkiem granatu, podporucznik Helmreich otrzymał ranę postrzałową w siedzenie.
- Co jeszcze?
- Jeden zabity — niestety! — powiedział Minder z wahaniem.
- Kto?
- Ogniomistrz Runge. Został zastrzelony w domu po prawej stronie, z lekkiego działą przeciwlotniczego. Ogień punktowy!
- Przynieście go do mnie — zarządził kapitan Hein brzęczącym, następnie drżącym jak szkło głosem.

Czterej żołnierze przynieśli ogniomistrza Rungego na blacie rozmontowanego stołu do kapitana. Ułożyli go na ziemi u nóg szefa, który stał przed centralnym przyrządem.

Runge, oświetlony latarką, był jak gdyby zatopiony w czerwieni. Krew zalewała mu twarz, przyklejała się do rąk, przesiąkała przez mundur. Sprawiał wrażenie podziurawionego jak sito. Mimo to zdawał się uśmiechać, jakby triumfował.

Minder odezwał się przytłumionym głosem: — Rzeźczywiście nie można było tego przewidzieć, kiedy podporucznik Helmreich kazał wziąć dom pod obstrzał.

Kapitan Hein ukląkł. Pochylił się nad swoim ogniomistrzem, ujął jego głowę i przycisnął do piersi. Powiedział przy tym: — Runge, mój drogi Runge! I ty także! A więc i ty także! — A potem, westchnąwszy, dodał: — Boże, mój Boże, czego ty ode mnie żądasz!

## ***Przerwywnik szósty***

### ***Spekulacje na temat pani doktor Werner-WeBbitm, pokazane z różnego punktu widzenia***

#### **1. Tino Hitler, były podoficer**

„No tak, cóż ja mogę powiedzieć? Pewnego dnia — albo może pewnej nocy — stało się. Mieliśmy naszą parę kochanków. I to jaką! Czemu miałbym się dziwić? Mój Boże, któż to się nie kocha na tym świecie? Dlaczegoż by nie nasz Arm i pani doktor?

Ja w każdym razie wiem tylko tyle: tych dwoje stanowiło wkrótce nierozłączną parę. Zdawało się, że spędzają razem każdą wolną chwilę. Można ich było spotkać w pawilonie, w wymoszczonej przez Arma kocami ciężarówce albo opartych o jedno z drzew w parku. Widywano ich podobno nawet w kaplicy, leżących pomiędzy trumnami.

Nie zazdrościłem im”.

#### **2. Elisabeth Erdmann, wówczas sekretarka grupy badawczej**

„Ta Werner-Weilheim to zwykła szmata. To określenie nie pochodzi ode mnie — używał go profesor Magnus, ale z dodatkiem «wyborna». «Wyborna szmata» — tak ją nazywał.

Wciąż trudno mi sobie wyobrazić, że mężczyzna mógł gustować w takiej kobiecie. Była otyła, miała zad jak perszeron i śmierdziała potem — ale takie coś, tłumaczyłam sobie, w pewnych okolicznościach może być nawet pociągające. Dla pewnych ludzi. Na przykład dla rzeźnika, fornała i właśnie dla takiego Arma.

Poza tym trzeba pamiętać, że ówczesna podaż w żadnym razie nie odpowiadała popytowi. Trzy girlsy w burde-

lu były przeciążone, w dodatku Softer wykorzystywał je do różnego rodzaju usług ekstra. Trudno więc było wymagać od nich dobrej jakości. Na dole, w mieście, znajdowało się podobno około pięciu sztuk tego gatunku, także pracujących na akord. Zapotrzebowanie na mnie również było dość duże. A byłoby jeszcze większe, gdybym tego chciała.

Cóż znaczyło owe skromne parę sztuk wobec stu pięćdziesięciu dobrze odżywionych byków z baterii przeciwlotniczej? Do tego dochodzili jeszcze żołnierze z komendantury garnizonu, strażnicy z dwóch obozów dla jeńców wojennych, znajdujących się w okolicy, i kilku jednostek piechoty w sąsiednich gminach, regularnie ciągnących do D.

Wróćmy jednak do tej Werner-Weilheim. Tak naprawdę to tylko Krüger, starszy ogniomistrz, w jakimś sensie do niej pasował. Ale ona uczepliła się mężczyzny numer dwa tej baterii, Arma. Pozbawiła go resztki rozumu. Przede wszystkim po to, jestem tego pewna, aby dostać się do mieszkania zarządcy zamku".

### 3. Paul Arm, obecnie właściciel stacji benzynowej w Gelsenkirchen

„Na ten temat, mój panie, nie przejdzie mi przez gardło ani jedno słowo! Ostatecznie jestem dżentelmenem. Korzystałem i milczałem! Byłem wielbiony przez nadzwyczaj wytworne damy, które przyjmował nawet Hitler. To, że miała ona rzekomo romans z jednym z kierowników Rzeszy, nie może być prawdą. Śmiech mnie ogarnął, kiedy ujrzałem jego zdjęcie! Rozdęty, tłusty zad o świńskich oczach! Podczas gdy ja byłem wyczynowcem!

Ale żeby nie odbiegać od prawdy — zgoda, niech będzie kilka uwag! W gruncie rzeczy wszystko było całkiem proste. Mogę powiedzieć: nagle wszystko się zawałiło! Na

sto procent. Spojrzenie, uścisk dłoni, wszystko było jasne. No cóż, przeznaczenie.

Czy ta kobieta mnie adorowała? Można tak powiedzieć. Lecz to było zrozumiałe — trzeba było mnie wówczas widzieć! Byłem podobny do jednego z naszych piosenkarzy — tylko znacznie lepiej uczesany; przy czym nie mam tu na myśli Uda Jurgensa. Kiedy owa dama próbowała się do mnie zbliżyć, pomyślałem sobie: «Nie zaszko- dzi spróbować!» I cóż mam panu powiedzieć: ona wiedziała, jak się zabrać do rzeczy!

Ale wszystko było jak najbardziej poprawnie — daję panu na to słowo honoru. Nie jestem w końcu typem, który wykorzystuje każdą okazję. U mnie zawsze w grę wchodzi uczucie, inaczej nie ma mowy. A więc to była miłość. I to trwała. Miała też konsekwencje".

***Wyznania  
profesora Magnusa na temat śmierci  
bohatera,  
poczynione najpierw w wieku dwudziestu  
lat,  
następnie w trzydzieści lat później.  
Zapiski pochodzą z jego spuścizny***

**W wieku dwudziestu lat**

„(...) chodzi o to, aby nadać życiu głęboki sens, który uczyni je wartościowym. Najistotniejsza jest bezgraniczna gotowość do ofiar — za ojczyznę, za rodzinę, cesarza i Rzeczę. Wreszcie za bliźnich! Są to wszystko szlachetne, wzniosłe i wspaniałe ideały, za które warto walczyć, a jeśli trzeba, to i umrzeć. Możliwość decydowania również w takich sprawach chroni człowieka przed pozostaniem na etapie zwierząt.

Człowiek — męczennik i bojownik!"

Trzydzieści lat później, bezpośrednio przed ukazanymi tu wy-  
darzeniami. Zarówno ten tekst, jak i poprzedni były powierzo-  
ne „Dziennikom”

„(...) chodzi o to, aby się jakoś umieć znaleźć w tym  
życiu. I przetrwać tak długo, jak to jest możliwe. A więc  
przede wszystkim nie dać się wykorzystać jako zwierzę  
ofiarnie. I tu podstawowy warunek: odgradzać się od odu-  
rzających środków wielkich tego świata. Nawet gdyby  
operowali takimi pojęciami, jak: «ukochany kraj», «świę-  
ła ojczyzna», «wieczny naród», «towarzysz», «cesarz» czy  
leż «Führer» — żadna z tych rzeczy nie zasługuje na to,  
;iby za nią umierać.

Należy się starać żyć sensownie. Ale dla kogo? Dla  
zwierzęcia, które potrzebuje naszej pomocy? Dla dziec-  
ka? Które przecież potem zginie za swego bliźniego. Dla  
kobiety? Książki? Drzewa? Nie wiem tego.

Cóż to jest człowiek? Płaz? Od urodzenia aż po grób?  
Ledwie spłodzony, a już pełźnie ku śmierci. Rodzimy się,  
cierpimy i umieramy”.

**Opinia  
byłego porucznika Mindera,  
obecnie dyrektora koncernu hotelowego**

„Nie przeczę, że wówczas działy się rzeczy, które nam,  
ludziom dzisiejszym, mogą się wydawać wprost nie do  
wiary. Ale to tylko skutek braku doświadczenia. To, co  
się wówczas stało, potrafi wytłumaczyć przekonująco tyl-  
ko ten, kto może o sobie powiedzieć: byłem przy tym!

A ja właśnie mogę to o sobie powiedzieć.

Nie przypadkiem zostałem następcą kapitana Heina,  
kiedy ten, w pożałowania godny sposób, zakończył życie  
wD.

Przejęcie dowództwa nastąpiło praktycznie już owej nocy, kiedy doszło do ataku na nasze stanowisko ogniowe. Ujawniły się przy tym znaczne uchybienia, ale udało mi się jeszcze w porę wkroczyć do akcji.

Przy wszystkich zastrzeżeniach wobec ówczesnego kapitana Heina, mojego poprzednika, mogę powiedzieć: nigdy nie był on zdeklarowanym nazistą! Posługiwał się wówczas obiegowymi frazesami, ale tak czyniło wielu, to o niczym nie świadczy. Ważne było to, co się myślało. W jego walizce leżała książka Nietzschego, lecz nikt nie widział, aby ją kiedykolwiek czytał. Od czasu do czasu mówił «Heil Hitler!», ale nie podnosił przy tym ręki. A kiedy już ją podniósł, powiewał rękawiczką — co mogło świadczyć o swoistej ironii.

Ja także byłem podobny do niego w tej delikatnej materii".



***Śmierć pragnie mieć również swoje święto***

— Teraz mamy tu niezły pasztet! — stwierdził Arm. — Jak chcesz z tego wybrnąć?

— Gównu cię to obchodzi — odpowiedział starszy ogniomistrz krótko.

— Wypraszam sobie! Jeśli zbieram informacje, to między innymi z inspiracji mojej pani doktor. Jest ona szczególnie niespokojna o kapitana Hcina.

— Ja również gównu to obchodzi!

Krüger sprawiał wrażenie człowieka nie dającego się zbić z tropu — niemal z zaciekawieniem mierzył wzrokiem swoich porannych gości, ogniomistrza Arma i podoficera Softera. Siedział przy tym wygodnie, w postawie wyczekującej, i przez kilka minut nic nie mówił.

Wreszcie Sof ter odezwał się ostrożnie: — Czy to znaczy, że masz już dość jego wyskoków? Wcale bym się nie dziwił!

— Softer! — zawołał Arm. — Wypraszam sobie takie uwagi na temat naszego kapitana!

— Pocałuj mnie w dupę — powiedział Softer. — A proponuję ci to tylko z uwagi na naszą starą przyjaźń. Bo poza tym uważam cię za seksualnego maniaka, który zasługuje jedynie na to, aby go kopnąć.

— Krüger! — zawołał teraz Arm, poruszony do głę-

bi. — Ten alkoholik nie ma prawa tak do mnie mówić! Wytlumacz mu to!

— Daj spokój — odparł Krüger. — On ma chyba jakieś spostrzeżenia na temat obecnej sytuacji, chciałbym je usłyszeć. No, gadaj, Softer!

— Prawdę mówiąc, mnie osobiście jest obojętne, co tu kto robi — rzekł podoficer. — Ale co za dużo, to niezdrowo.

— Czy to też odnosi się może do kapitana? — podchwycił natychmiast Arm. — Nasz kapitan to człowiek honoru, oficer o wyjątkowej wartości; należy go bronić z całym zdecydowaniem i energią. To jest nie tylko moje zdanie, ale także innych. Ludzi światłych i wpływowych.

Krüger milczał niewzruszenie dalej, spojrział jednak zachęcająco na Softera. A ten powiedział: — Jeśli o mnie chodzi, możesz się pieprzyć z tą swoją Werner-Weilheim, skoro masz na to ochotę. Nawet gdyby to miało być trwałe, nie żałuję ci.

— Za pozwoleniem — oburzył się Arm — mówisz o damie!

Softer machnął wspaniałomyślnie ręką. — Niech tam! Jeżeli takie coś odbiera ci rozum — nieważne! Ale gdyby to miało przynieść szkodę nam wszystkim — na to nie pozwolę!

— Jeszcze jedno słowo na ten temat, a rozkwaseę ci twój bezzelny pysk.

— Opamiętaj się! — zawołał starszy ogniomistrz. — Sytuacja, w jakiej się znajdujemy, jest cholernie poważna. Osobiste rozgrywki nie powinny mieć żadnego znaczenia, gdyż tu może chodzić o życie każdego z nas. Jeśli nie będziemy czujni, ktoś nam podłoży świnię. A więc mów, Softer!

— Nasz kapitan — powiedział Softer z największą

ostrożnością, lecz wciąż jeszcze się uśmiechając -- może być wielkim bohaterem...

— On już jest bohaterem! — zawołał Arm.

— Zamknij swoją głupią gębę — rzekł Softer uprzejmie. — Ale jeśli cię to ma uspokoić, to ci powiem. On nie ma monopolu na bohaterstwo. Wiadomo, że jest powszechnie uznawany. Co praktycznie oznacza: ma swoje kontakty. One jednak mu na dłuższą metę nie pomogą. A już na pewno nie wówczas, kiedy niepotrzebnie leje się krew, kiedy kilku ludzi zdycha i powstaje smród, który rozchodzi się na wszystkie cztery strony świata. Właśnie przeciwko temu musimy się dobrze zabezpieczyć.

— Czy chcesz może porzucić naszego kapitana?! — wybuchnął Arm.

— Co to znaczy „naszego kapitana”? Może twojego — a przede wszystkim twojej Dulcynei. Człowieku, nie możemy dłużej znosić kogoś takiego jak on. Już lepszy Minder, choć to zdecydowana dupa. Najważniejsze jednak, że jest potulny. Z nim nie zginiemy, z nim można zrobić wszystko, co się chce.

— Chyba się przesłyszałem! — Arm był przerażony. Spojrzał na Krügera, jakby szukając pomocy. — I ty pozwalasz na coś takiego?

— On mówi prawdę — oświadczył starszy ogniomistrz. — Tylko że to nic jest cała prawda.

— Wiesz, że jestem za tobą, Krüger — powiedział Arm — możesz mną pod każdym-względem rozporządzać. Ale moja pani doktor jest zdecydowanie za kapitanem Heinem. Z tym, mam nadzieję, da się coś zrobić.

— Być może — przyznał Krüger. Zdawał się rozmyślać. — Zastanowię się.

— Jak można by się wydostać bez szwanku z tego dołu kloaczego? — Softer wypowiedział te słowa z wątpliwością w głosie. — Czy wciąż jeszcze jesteś gotów uprzętać

po nim wszelkie łajno? Myślę, że kiedyś wreszcie trzeba z tym skończyć. Czy mam rację?

— Tu chodzi tylko o naszą baterię — powiedział Krüger zdecydowanym tonem. — I jeśli sam biorę to na siebie, to tylko po to, aby spełnić ostatnią usługę wobec kolegi Runego. W końcu obaj jesteśmy z tej samej stajni, obaj przyczyniliśmy się do wielkości tej baterii.

Arm i Softer uznali, że to był dla Krügera decydujący punkt. Milczeli w napięciu i czekali.

Po jakimś czasie Softer powiedział: — Czy nie dość się już wydarzyło?

— Co takiego na przykład?

— Runge nie żyje. Dwóch czy trzech ludzi jest rannych. Uważa się powszechnie, że Runge sam spowodował swoją śmierć — i to w dodatku za przyzwoleniem kapitana Heina.

— Co może być tylko podstępny, złośliwym kłamstwem — wtrącił Arm energicznie. — Moja pani doktor też tak uważa.

— Skąd ona jest taka pewna? — zapytał Softer. — I dlaczego powtarzasz bezmyślnie to, co ona wygaduje? Na honor Runego. Za ten nocny fajerwerk nie tylko on jest odpowiedzialny. Na to był zbyt posłuszny Heinowi. Chcę przez to powiedzieć, że był zbyt dobrym żołnierzem. Nie pozwoliłby sobie na żaden wyskok, nie ubezpieczywszy się przedtem u swego przełożonego.

— Nie udowodni się czegoś takiego naszemu kapitanowi! — zawołał Arm.

— Skończcie wreszcie z tym żalonym szaleństwem! — rozkazał Krüger. — Nie zauważyliście najważniejszego. My tu wszyscy jedziemy na jednym wózku i ten, kto wysiądzie, zginie!

— Brawo! — zawołał Arm z uznaniem. — Dobrze powiedziane.

A Softer zapytał: — Co ty znowu wymyśliłeś, draniu?

Krüger uśmiechnął się do niego. — Tymczasem zbadałem wszystkie dostępne szczegóły z niezwykłą dokładnością i wyciągnąłem następujące wnioski: wrogie elementy sabotażowe, przypuszczalnie w sile jednej grupy, w ciągu wieczora rozlokowały się równomiernie w pobliżu stanowiska ogniowego. Ludzie ci dysponowali granatami ręcznymi i karabinami maszynowymi. Palili francuskie papierosy i czekali na sposobny moment około północy.

— Czy istotnie jesteś o tym przekonany? — zapytał Softer.

— Nie — powiedział Krüger spokojnie. — Ale co z tego? Tu przecież nie chodzi o przekonanie, tylko o dostarczenie wiarygodnego materiału dowodowego. A ten mogę przedstawić. Twierdzą więc, co następuje: te elementy sabotażowe, zebrane w ostrzelanym później domu, zaatakowały zgodnie z planem stanowisko ogniowe. Rzucano granaty, strzelano z karabinu maszynowego. A tymczasem nasz kolega Runge przystąpił do akcji.

— I wierzysz w to, że będziesz mógł to wszystko udowodnić? — zapytał Softer, ubawiony.

— Dlaczego nie, przecież to jasne jak słońce — wmięszał się do rozmowy Arm. — Teraz bowiem przysła kolej na taktyczną koncepcję obronną naszego kapitana. Plan obronny numer jeden: natychmiastowe przeciwnatarcie. Wszystkimi dostępnymi bezpośrednio siłami. I ten rozkaz nasz drogi Runge spełnił równie, szybko, jak dokładnie. Ale przy tym, niestety, padł.

— Mniej więcej tak — potwierdził Krüger bez wahania. — Nasz Runge chwycił będący pod ręką pistolet maszynowy i rzucił się z nim na jednostkę sabotażową nieprzyjaciela, mając w pogardzie śmierć. I poległ. Jednakże nie w ogniu walki, lecz jako ofiara ostrzału zbyt wczesnie rozpozczętego przez własnych ludzi.

— Jeśli ktokolwiek jest rzeczywiście winien śmierci naszego drogiego kolegi, to tylko ten Helmreich, on zawsze zawodzi — powiedział Arm.

— Powstaje pytanie — zauważył Sof ter, zatroskany — kto oprócz Rungego widział nieprzyjacielskich sabotażystów? Stanowi to najważniejszy punkt w oczyszczeniu całej tej latryny.

— Tylko spokojnie — oświadczył Krüger. — Ja nigdy nie pozwalam sobie na połowiczność. Jest jeden artylerzysta, który w tym czasie znajdował się poza stanowiskiem bojowym, to znaczy opuścił teren baterii z powodu jakiejś baby. I to akurat wtedy, kiedy tu się kołowało. Chłopak ów, intensywnie przeze mnie wypytywany, jest gotów przyznać, że widział cienie uciekających mężczyzn! Wielu mężczyzn!

— Dzięki Bogu, to wystarczy! — zawołał Arm z ulgą. — Muszę to koniecznie zakomunikować mojej pani doktor. Ludzie, jak ona się ucieszy! W ten sposób bowiem jej Hein, to znaczy nasz Hein, znajdzie się poza wszelką odpowiedzialnością.

Kiedy Arm odszedł, Softer zapytał jednak z niedowierzaniem: — Czy jesteś pewien, że i tym razem dasz sbbie radę z trudnościami? Tak czy owak na mnie możesz zawsze liczyć, nie muszę cię o tym zapewniać. Ale czy nie powinienes również i w tej sytuacji liczyć się z naszym !p-perbohaterem z wieży? A co napisze porucznik Minder w swoim raporcie?

— To pytanie jest jak najbardziej nie na miejscu — powiedział Krüger spokojnie. — To nasz bohater musi się liczyć ze mną — nie na odwrót. A co się tyczy Mindera, już ja go pouczę, co ma napisać.

— Niczego innego się po panu nie spodziewałem — powiedział kapitan Hein, trzymając w ręku raport, który

Krüger opracował na jego polecenie wspólnie z Minde-rem. — Świetna robota!

— Czy zatem zgadza się pan kapitan z tym raportem we wszystkich jego punktach?

— Nawet się pod nim podpisuję!

— I czy daje mi pan wolną rękę — na wypadek gdyby były konieczne dalsze wewnętrzne decyzje? Na przykład przeniesienie tego czy innego żołnierza?

— Niech pan robi wszystko, co należy. Ma pan moją pełną aprobatę.

Kapitan Hein stał pomiędzy środkowymi oknami w dużej sali bankietowej. Był w pełnym umundurowaniu, czapkę oficerską nasunął lekko na czoło, co sprawiało nieco zawadiackie wrażenie. Jego dłonie tkwiły w srebrnoszarym zamszu. Mundur leżał na nim jak ulał. Wydawał się jego drugą, tą właściwą skórą.

— A więc po wzorowym wykonaniu pracy wstępnej, drogi Krüger — oświadczył kapitan — nic już chyba nie stoi na przeszkodzie, aby zorganizować piękny, godny pogrzeb. Nasz Runge zasłużył sobie na to jak nikt inny. Urządzimy mu pogrzeb na koszt państwa.

— Co takiego? Pogrzeb na koszt państwa?

— W każdym razie z wszelkimi honorami: kondukt pogrzebowy, wystawienie trumny, warta honorowa, salut i /łożenie do grobu. Osobiście to zorganizuję, z pańską pomocą.

— Proszę mi wybaczyć, panickapitanie, ale po wszystkim, co tu zaszło, radziłbym unikać nadmiernego rozgłosu.

— Krüger — powiedział Hein surowo — pan ma swój zakres obowiązków, ja mam swój! Proszę te sprawy pozostawić mnie! W końcu nasz Runge był również przez pana wysoko cenionym kolegą.

— Najlepszemu kolegą! — zapewnił ogniomistrz pos-

piesznie. — Ale ponieważ bardzo dobrze go znałem, nie sądzę, aby przywiązywał wagę do wszelkiej pompy. Skromny, lecz godny pogrzeb byłby z pewnością najbardziej stosowny.

— Być może — powiedział kapitan lekko niechętnym tonem. — Ale w pewnych okolicznościach człowiek urasta do miary symbolu. I to należy uczcić.

— Tylko czy nie za dużo kurzu się już unosi?

— Niech pan mi oszczędzi podobnych wulgarnych sformułowań! — Hein stał wyprostowany, w postawie wyrażającej odmowę. — Podobne wypowiedzi są nie na miejscu w sytuacji takiej jak ta.

— Jest to sytuacja, której lepiej nie poddawać kontroli. Zdemolowany dom, jeden trup i dwóch rannych. Takie coś należy możliwie wiarygodnie wytłumaczyć i jak najszybciej sprzątnąć.

— Pan to zrobi! — rozkazał Hein z rosnącą niechęcią. — Pan załatwi swoją część, ja postaram się załatwić swoją. Pańska część to: po pierwsze, wiarygodne uzasadnienie dla zdemolowanego domu — został zniszczony w walce z bliska; po drugie, rozbita wieża ciśnień — konieczne było stworzenie wolnego pola obstrzału; po trzecie, obaj ranni — zostaną otoczeni wzorową opieką i otrzymają odznaki za odniesione rany. Rungego biorę na siebie! I nie odstąpię od tego! Niech pan nie próbuje się w to mieszać!

— A co pan zamierza uczynić w tej sprawie, jeśli wolno zapytać?

— Dopiero zacznę opracowywać szczegóły. — Spojrzenie Heina zdawało się sięgać dalekich horyzontów. — Przede wszystkim trzeba pomyśleć o wystawieniu zwłok w kaplicy, tuż przed ołtarzem.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Krüger.

— Słowo „niemożliwe” nie istnieje w moim słowniku



— odrzekł Hein ostrym tonem. — Niech pan z łaski swojej ma to na uwadze.

— Przepraszam, panie kapitanie, chciałem tylko podsunąć panu pod rozwagę: jeśli chodzi o kaplicę, mamy do czynienia ze świątynią katolicką, natomiast Runge był ewangelikiem! A przy tym człowiekiem o zdecydowanie narodowych i socjalistycznych poglądach — i jako taki wydaje mi się nie na miejscu pośród tej francuskiej arystokracji.

— Krüger — powiedział Hein, z trudem siłąc się na wyrozumiałość — pan nie potrafi albo nie chce podążać za tokiem moich myśli, dlaczego?

— Ponieważ jestem człowiekiem praktycznym.

— Doceniam to! Ale niech pan spróbuje wczuć się w moje myśli — przynajmniej w tym wypadku! Tu chodzi o wyższe wartości; o uhonorowanie bohatera. A to jest ponadczasowe. Musi pan to zrozumieć albo mi bez reszty zaufać. A jeśli pan tego nie potrafi, to staje pan przeciwko mnie. Czy o to panu chodzi?

— Nie chcę tego, panie kapitanie! — odrzekł Krüger, jednakże lekko ostrzegawczym tonem. — Chodzi mi tylko o naszą baterię. Aby ją chronić od strat i rozszlawać jej dobre imię. Na tym mi zależy.

— I to może wbrew mnie?

— Nigdy w życiu, panie kapitanie! Nie wyobrażam sobie, by pan kiedykolwiek uczynił coś, co mogłoby zaszkodzić naszej baterii.

Kapitan Hein poprawił się na krześle i powiedział udęcony: — Nie życzę sobie ani panu, Krüger, abyśmy się kiedykolwiek mieli nie rozumieć. Gdyby pan jednak spróbował, w co nie mogę i nie chcę uwierzyć, wypowiedzieć mi posłuszeństwo, skutki tego mogłyby być po prostu straszne. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

— Niezupelnie — oświadczył Krüger.

Kapitan spojrział ostro na swego starszego ogniomistrza. Potem rzekł: — Ponieważ, jak sądzę, nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy podyskutowali na temat tego wyjątkowego zajścia, chętnie się z panem podzielę moimi poglądami w tej sprawie. A więc gdyby panu kiedykolwiek przyszło do głowy stwarzać mi trudności...

— Za pozwoleniem, panie kapitanie, ale czegoś takiego nigdy nie brałem pod uwagę.

— Zgoda, Krüger, nigdy dotychczas nie brał pan tego pod uwagę. Lecz przypuśćmy, że przyjdzie taki dzień, kiedy pan to weźmie pod uwagę. Przypuśćmy, że będzie pan próbował wysadzić mnie z siodła — jest wiele metod nadających się do tego: zarówno pan, jak i ja znamy je wszystkie. Jak pan sądzi, jak by to wyglądało w praktyce? Czy bym się poddał, wycofał, dał się może zamknąć? Nigdy! Walczyłbym jak lew! I nawet gdyby się panu udało, czego się mogę spodziewać, załatwić mnie, to padając, porwę pana ze sobą, i do tego wszystkich innych! Pan wie, jaki może być finał wszystkiego — i właśnie takiego finału może pan się po mnie spodziewać. Wraz ze mną bowiem przestanie istnieć trzecia bateria!

— A więc pogrzeb na koszt państwa — rzekł Krüger, już bez najmniejszego wahania. — Ale ponieważ kaplica nie powinna tu wchodzić w grę, polecałbym wystawienie zwłok w czarnym namiocie przed kaplicą. Namiot byłby z płótna podobnego do aksamitu. Softer mógłby to załatwić. Pieniądze na ten cel znalazłyby się w kasie baterii. Do tego krepą dla wszystkich żołnierzy. Na grób proponowałbym szczególnie piękne miejsce w parku, może pod kilkusetletnią jodłą, pośrodku grządki z kwiatami, na skraju tarasu widokowego...

— Mógłbym to zaakceptować — oświadczył kapitan. Jego głos brzmiał znów chłodno, jak gdyby tymczasem nic szczególnego się nie stało. — Ale z uroczystej ceremonii

nie zamierzam zrezygnować, choć zgadzam się na pańską propozycję ograniczenia się do wąskiego kręgu. Jednakże z przekonującą godnością.

— Wszystko zostanie zorganizowane dokładnie według pańskich wskazówek, panie kapitanie — powiedział Krüger. — Jeśli będzie trzeba, mogę również załatwić grupę korespondentów wojennych w celu zrobienia zdjęć do kroniki filmowej.

— Czemu nie! — zgodził się Hein. — Ludziom w odczyźnie nie zaszkodzi, jeśli zobaczą, jak się u nas oddaje hold poległym.

— Czy mogę mówić z panem pułkownikiem? — zapytał gefrajter Bergen uprzejmie. Przybył do sztabu pułku rzekomo po to, aby sprawdzić łączność telefoniczną. — To bardzo ważna sprawa, a poza tym prywatna.

— Każdy, kto tu przychodzi, uważa wszystko za ważne — powiedział adiutant, wykonując gest odmowy.

— Nazywam się Bergen — oznajmił gefrajter — i jestem spokrewniony z panem pułkownikiem Rheinmannem-Bergnem.

— To zmienia postać rzeczy — powiedział adiutant swobodnie — jeśli to oczywiście prawda. I jeśli pokrewieństwo nie jest zbyt dalekie.

Bergen objaśnił mu stopień pokrewieństwa. Okazało się, że pułkownik był stryjem gefrajtra. Adiutant zerwał się i wybiegł.

Po kilku minutach gefrajter stanął przed pułkownikiem, zatopionym w fotelu, ale nawet w tej pozycji wyglądającym niezwykle dostojnie. Po ojcowsku wskazał on Bergenowi krzesło obok siebie.

— Co za Bergen? — zapytał pułkownik zmęczonym głosem.

— Bergen z Hamburga — odpowiedział gefrajter. — Mój ojciec jest tam radcą sądu okręgowego.

— A więc stary Adolf! — Pułkownik roześmiał się, nieco mniej zmęczony. — Z pewnością nie przewyciężył jeszcze w sobie faktu, że musi wlec się przez ten świat z takim imieniem, czy tak?

— Niestety, nic na to nie poradzi, ale jest mu przykro. Może nawet cierpi wskutek tego. — Bergen obserwował pułkownika z zaciekawieniem. — Lecz takie cierpienie jest chyba bardzo na czasie, wiele ludzi cierpi dziś z powodu przypadków, na które nic nie może poradzić.

Pułkownik wyprostował się w fotelu, stał się uważny. Wyglądał przy tym jeszcze bardziej dostojnie. Mierzył wzrokiem swego gościa, potem nacisnął przycisk na stole. Zjawił się ordynans. Rheinemann-Bergen kazał przynieść czerwone wino. Kiedy kieliszki zostały napełnione, podniósł swój w kierunku gefrajtra. Wypili.

— A więc jak się wiedzie twemu ojcu? — zapytał pułkownik po chwili.

— Stosownie do obecnych czasów — jak powiedziałem!

— Czyli żyje — stwierdził Rheinemann-Bergen oschle. — A to już dużo w wypadku człowieka jego pokroju. A może tymczasem on też wczłogał się pod znak swastyki? Oczywiście nie! A ty jesteś jego synem?

— Pod każdym względem!

— To źle, to może być źle. — Pułkownik uśmiechnął się ze zrozumieniem. — I trafiłeś akurat do mojego oddziału.

— I w dodatku do trzeciej baterii!

— Czy dlatego tu przyszedłeś? — zapytał Rheinemann-Bergen, zaniepokojony. — W każdym razie należyś do najskuteczniejszego stada na moim froncie, a być może w całej służbie przeciwlotniczej.

— Można to tak określić — rzekł gefrajter ostrożnie.  
— Lecz ja bym wybrał inną nazwę dla tej gromady, gdyby mnie o to zapytano.

— Ale ja cię nie pytam! — zawołał pułkownik. — I mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu po to, aby mi wcisnąć swoje oceny albo stanowisko, tylko pragniesz mi złożyć wizytę rodzinną. Z czego się cieszę, gdyż twój ojciec i ja, mimo wielu różnic, zawsze się dobrze rozumieliśmy — on jako wzorowy urzędnik, ja jako zdyscyplinowany oficer. Wypijmy za to!

Wypili. A zaraz potem gefrajter zapytał: — Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje na twoim podwórku, drogi, czciogodny stryju? Czy masz choć mgliste pojęcie o swojej baterii?

— Wiem — oświadczył pułkownik, sprawiający wrażenie wyczerpanego. — Wiem tyle, ile chcę wiedzieć.

— A więc słyszałeś też o zbrodniczych zajściach ostatniej nocy?

— Otrzymałem w tej sprawie wyczerpujący raport, który wydaje mi się bardzo przekonujący. Świetnie spządzony! Dlaczego nie miałbym go bez zastrzeżeń zaakceptować?

— W trzeciej baterii giną ludzie! Prócz tego są tam osoby, którym się każe żyć poniżej minimum ludzkiej godności!

— To jest twoje zdanie, mój drogi, ale wiedz, że istnieją też całkiem inne opinie na ten temat — powiedział pułkownik; opróżnił swój kieliszek i znów zagłębił się w fotelu. — Ostatecznie jest wojna, choć chwilowo może tego tak bardzo nie widać. Ale jest! A na wojnie muszą być trupy. Polegli.

— I coś takiego się tak po prostu akceptuje — jak istnienie rzeźni?

— Ależ nie, mój drogi! Poległych się oplakuje!

I inwentaryzuje. Jak najbardziej starannie. Nie można jednak temu przeciwdziałać. Przynajmniej na razie nie. Ale gdyby kiedyś wybiła godzina...

— Jak dotychczas, kochany stryju, mordercy mogą mordować! Na razie przyznaje się im prawo do polowania na bliźnich! Mogą swobodnie strzelać, kiedy tylko im przyjdzie ochota. Tak więc mnożą się nam kryminaliści, chorzy umysłowo jako zdeklarowani konserwatyści!

— Mój Boże — powiedział pułkownik — jaki ty jesteś jeszcze młody. Jakże ja ci zazdroszczę! Poza tym jesteś w każdym calu synem swego ojca, i tego też ci zazdroszczę. Myślę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć.

— Od kogo? — zapytał gefrajter prowokująco.

— W każdym razie nie ode mnie. Ja bowiem, drogi bratanku, mogę ci zaoferować tylko kilka prostych prawd. Między innymi na przykład tę: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Albo tę: „Śmierć jest jak nawóz, na którym rosną kwiaty bohaterstwa”. Czy to cię przekonuje?

— Mdli mnie od tego!

— Gdyby twój ojciec mógł cię słyszeć, byłby przypuszczalnie dumny ze swego syna! — Pułkownik zapadł się w fotel, jakby chciał się w nim ukryć. — Ale jednocześnie współczuję ci, mój chłopcze. Brak ci najwidoczniej trzeźwego, realistycznego osądu nieuniknionych zdarzeń.

— Wobec tego — stwierdził gefrajter Bergen, wstając — mogę już chyba odejść?

— Nie powinienes jednak odejść — powiedział pułkownik Rheinemann-Bergen — nie przyjąwszy do wiadomości dość istotnego drobiazgu: ja jestem tylko żołnierzem, nikim innym! I staram się nim pozostać. Dlatego gardzę wszelkiego rodzaju katami, czuję do nich odrazę. Ale obecnie nie mogę nic przeciwko nim przedsięwziąć.

— Żal mi ciebie, stryju!

— To dobrze — powiedział pułkownik, zmęczony, i podniósł kieliszek. — Potrafiłbym nawet zrozumieć, jeśli byś uznał, że musisz mną pogardzać. Lecz nie radzę ci, mimo wszystko, zbyt pochopnie podziwiać swego ojca. Albowiem w czasach, w których żyjemy, złe demony grają z nami w ciuciubabkę. I obojętne, co robimy, co próbujemy robić, jesteście na nie beznadziejnie skazani.

— Softer, mój drogi — oświadczył starszy ogniomistrz — myślę, że powinniśmy znów urządzić małą libację. Niektórym kolegom najwidoczniej potrzebna jest podniećta do działania.

— O kogo chodzi? — zapytał podoficer, jak zwykle chętny do czynu — Kogo zamierzasz tym razem wziąć do galopu?

— Przede wszystkim ciebie!

— Nic stać cię już na lepsze żarty? — powiedział Softer. — Dlaczego akurat ja? Wiesz przecież, że na mnie możesz zawsze liczyć. Jestem jakby twoją prawą ręką.

— Zrobił się z ciebie spasiony wieprzek — stwierdził Krüger miłym głosem. — Tylko ci interesy w głowie.

— Czemu nie! — Podoficer Softer nie wyglądał na dotkniętego tym stwierdzeniem. — Robię, co mogę! Dostarczam wszystko, czego się ode mnie żąda — nawet namiot pogrzebowy ekstra, ze srebrnym orłem na czarnym tle. Kosztował mnie majątek! Ale czego to ja dla ciebie nie zrobię? Wystarczy, żebyś kiwnął palcem.

— Ostatnio muszę kiwać dwukrotnie, abyś wreszcie pojął. Ty po prostu za dużo żresz i jesteś od tego zmęczony. Wlewasz w siebie, co tylko się da, już ci alkohol wychodzi uszami. Od tego cierpi twój rozum! Poza tym pieprzysz się bez opamiętania, a to nie wychodzi ci na dobre! Zaczynasz przegapiać sytuacje, a przecież tylko wówczas możesz

mieć pewny zysk, jeśli wszystko będzie grało jak w zegarku.

— Nie jest tak?

— Nie! A skoro tego nie dostrzegasz, to znaczy, że jesteś ślamazara.

— Wyjaśnij mi to bliżej, z łaski swojej — rzekł Softer, wyraźnie dotknięty.

— Naszemu korpusowi podoficerskiemu grozi utrata wybitnego ducha wspólnoty i przemiana w kupę gnoju. Ty chcesz tylko inkasować, ale jak najmniej z tego odprowadzać do kasy baterii. Jedynie ze względu na ciebie muszę się godzić z tym, że jakiś kolejarz uwodzi w naszym parku nieletnią dziewczynę. Forstmann cały wolny czas spędza z prostytutką. Wczoraj musiałem go nawet szukać w burdelu podczas godzin pracy. Moll staje się powoli rekordzistą w seksualnych ekscesach. A już najgorszy jest Arm!

— Więc to prawda, że wpadł w sidła swojej pani doktor?

— Już to pytanie dowodzi, że twój umysł, dotychczas tak zdrowy, jest ostatnio wyraźnie zaciemniony. Arm bowiem nie tylko wpadł w sidła tej baby, ale nawet nie jest w stanie się z nich wydostać. W dodatku dobrze się w nich czuje i zaczyna już śpiewać na jej modłę.

— A więc libacja! — Softer starał się pokazać Krugerowi, że cały czas za nim nadąża. — Z ostrymi nabojami! Załatwione!

Owa libacja odbyła się wieczorem tego samego dnia. Softer przygotował wszystko, co, zgodnie z doświadczeniem, było pożądane: butelki wina, szklanki do piwa, do tego pełne wiadra wody w celu ewentualnego odświeżenia się, sienniki dla pijanych.

Każdy, kto dostąpił zaszczytu uczestniczenia w libacji, musiał na początek wypić do dna kubek „ekstra mieszanki Softera”; składała się ona w jednej trzeciej z żytniówki, w



jednej trzeciej z maliniaku i w jednej trzeciej z likieru wiśniowego. Mówiono, że ścina z nóg nawet najmocniejszych mężczyzn.

Wszyscy chwiali się już na nogach, kiedy skupili się wokół Krügera. Kazał on napełnić szklanki do piwa maliniakiem. — Był to ulubiony napój naszego nieodżałowanego kolegi Rungego — oznajmił — wypijmy za jego pamięć! Jeszcze spoczywa w piwnicy zamkowej, owinięty w płachtę namiotową, ale już jutro zostanie wystawiony przed kaplicą; pogrzeb odbędzie się pojutrze. Tak jak każdy z nas oczekiwał i jak życzy sobie nasz kapitan! Wypijmy za to!

Krüger i Softer wypili jednym haustem. Arm próbował im dorównać, choć nieco wolniej. Moll połykał z zamkniętymi oczami, jego twarz przybrała barwę pomidorową. Kamiński jakby wlewał w siebie czystą wodę z kranu. Podoficer Forstmann cmokał, jakby ssał wymię krowy. Hillerowi alkohol spływał z kącików ust, po brodzie, po szyi, aż na mundur. A podporucznik Neumann, którego również zaproszono, pił jak spragniony pies — szybko i wytrwale.

— Koledzy — powiedział następnie Krüger, patrząc z wyraźnym zadowoleniem na lekko już zmęczone twarze — nasz kolega Runge nie był dzieckiem smutku! Wszyscy to wiemy. I dlatego jutro i pojutrze będziemy obchodzić jego pogrzeb jak najbardziej godnie. Będziemy go poufnie świętować. Z wielkim pijaństwem. Zorganizujemy przy tym różne zabawy. Na przykład „kongres obyczajowy”!

— A kto tym razem na tapecie?

— Gefrajter Bergen — oświadczył Krüger. — Koledzy Neumann i Tino Hiller przygotowują go do tego.

— Chętnie się tym zajmę — powiedział Neumann. — Mam nadzieję, że Hiller mi pomoże. A więc „kongres obyczajowy” — ze wszystkimi krajami?

— Co najmniej pięćdziesiąt — potwierdził Krüger. — Nasz kolega Runge, mistrz w tej dziedzinie, opanował osiemdziesiąt. Tylko Arm mógł być dla niego konkurencją.

— Muszę jednak przyznać — oświadczył Arm — że Runge mnie pod tym względem przewyższał. Potrafił wymienić zawsze co najmniej trzech albo czterech uczestników więcej niż ja. Nawet z krajów Dalekiego Wschodu!

— A więc wypijmy za pamięć naszego niepowtarzalnego Rungego! — zawołał Krüger.

Tym razem wniesiono toast biało-czerwono-żółtym trunkiem, składającym się z mieszaniny wiśniówki, czerwonego wina i koniaku! Tylko Krüger, Softer i Arm znieśli ten trzypiętrowy drink bez szwanku. Kamiński i Neumann trzymali się jeszcze jako tako prosto. Tymczasem Moll już ledwo dyszał, Forstmann zrobił się kredowobłady, a Tino Hiller zwałił się na podłogę.

— Nasz drogi Runge to umiał dogodzić damie — stwierdził Softer.

— Wiem coś o tym — zapewnił Arm.

— A ja nie wierzę — powiedział Krüger — nie potrafię sobie nawet tego wyobrazić!

— Możesz mi wierzyć — zawołał pospiesznie Arm. — Tej damie ja też dogodzę. Trafiłem na świetny sposób. Mogę wam w zaufaniu zdradzić.

— A może ją łatwo zaspokoić? — odezwał się Softer, mrugając oczami. — Może wystarczy jej tylko dotknąć?

— Nie masz racji — Armowi płątał się język. Nałano mu szklankę steinhagera — wypił do dna. — Ta kobieta ma temperament!

— Każdy tak może powiedzieć — odezwał się teraz Softer, na którego Krüger spojrzał zachęcająco.

— Ale ja nie jestem każdy — mruknął Arm. — Jeśli ja coś mówię, to jest to prawda!

— A jak możesz nam to udowodnić? — zapytał Krüger łagodnie.

— W tej dziedzinie jestem fachowcem. I skoro mówię, że pani doktor Werner-Weilheim jest pierwsza klasa w tych sprawach, to...

— Nie! Nie! — wołał Softer z pijanym uporem. — Nam nie wystarcza, że coś takiego się twierdzi, trzeba to praktycznie udowodnić!

Arm roześmiał się szorstko. — A może chcesz sam spróbować? To do ciebie podobne.

— To, oczywiście, nie wchodzi w grę — wtrącił się Krüger, podczas gdy Softer, na jego znak, dalej nalewał; tym razem wysokoprocentowa wódkę z resztek zapasów z kampanii polskiej. — Muszę przyznać rację naszemu kole-dze Armowi. Mimo całej życzliwości dla ciebie, muszę stwierdzić, że jesteś za mało obiektywny. Tu bardziej nadawałaby się jakaś osoba neutralna. Na przykład kolega Moll.

Mott się przestraszył. — A co mam robie)

— Sprawdzić tę Werner-Weilheim — oświadczył Softer. — Masz się nią zająć jako człowiek postronny.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — zapytał Arm i roześmiał się. — Przecież ona robi z pierwszym lepszym.

— Za pozwoleniem — zawołał Moll, wzburzony. — Ja nie jestem pierwszy lepszy!

— Ale nie jesteś też mną — odparł Arm.

— Dlaczego robisz trudności? — zapytał Softer. — A może się boisz tak zwanej nagiej prawdy, o która tu chodzi?

— On chce się wymigać — powiedział Kamiński.

— O tym nie ma mowy — zapewnił Arm, starając się trzymać prosto. — Jak wicie, jestem cholernie koleżeń-ski. Lecz mówię wam w zaufaniu, moja pani doktor jest nie

tylko niezwykle namiętna, ona jest także wyjątkowo subtelna. Nie mogę napuszczać na nią Molla.

— To trzeba, oczywiście, dokładnie przemyśleć i dobrze przygotować — powiedział Krüger.

— Słowo „niemożliwe”, zdaniem kapitana Heina, nie ma prawa istnieć w naszym słowniku. — Softer spojrział na Krügera. — Także ta sprawa musi się dać załatwić.

— Choćby po to, aby możliwie przekonująco po-deprzeć twierdzenia naszego wielce cenionego kolegi Arma — przytaknął starszy ogniomistrz Krüger. — On przecież nie zasłużył sobie na to, aby mu ktokolwiek nie ufał.

— To prawda! — rzekł Arm z wdzięcznością. — Tu idzie o mój honor!

— Ale nie pozwalasz tego sprawdzić — drążył dalej Softer.

— A jak to zrobić, człowieku, żeby nie stracić przy tym twarzy? Co ty o tym sądzisz, Krüger?

— Istnieją całkiem specjalne metody — powiedział Krüger, zamyślony — na przykład podejście pod osłonę ciemności. Mój były szef to wypróbował, z moją pomocą. A ponieważ nie wyobrażam sobie, żeby nasz kolega Arm chciał się wykręcić...

— Ja i „wykręcić się”? Nigdy! — Arm patrzył pijanym wzrokiem dokoła siebie. — Tylko że ja nie ufam zbytnio temu Mollowi, on nie dorósł do mojej pani doktor.

— To jest po prostu wyzwanie! — wyjąkał Moll, wzburzony.

— Które ty przyjmujesz, czy tak?

— Oczywiście! — powiedział Moll i zaraz potem zwa-lił się pod stół. — Oczywiście — wyjąkał stamtąd jeszcze raz.

— A więc się zdecydował! — stwierdził Krüger. — A jak z tobą, kolego Arm?

— Niech się tylko zjawi! — wy sapał z trudem Arm, gotowy iść na całość. — To wszystkie gwiazdy zobaczy! Takiego jak on moja pani doktor załatwi jedną ręką.

— I to byłoby wszystko — powiedziała Elisabeth Erdmann, uwalniając się z objęć Bergena.

— Serdeczne dzięki za tę grzeczność — oświadczył gefrajter, leżąc na plecach. — Ty, zdaje się, masz wyjątkowy talent do podnoszenia mężczyzn na duchu.

— Ależ Bert, dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć? — Elisabeth patrzyła zamyślona w przyćmione światło, które ledwie sięgało łóżka. — Nie masz powodu czuć się urażony. Mnie nie wystarcza sam fakt, że jesteś mężczyzną. Wybacz, ale to dla mnie za mało.

— Czego więc oczekujesz? — Bergen patrzył na oszklony dach pawilonu; drzewa, które się nad nim wznosiły, tworzyły gęste, zamazane cienie.

— To, co mnie gnębi, Bert, to jest pustka — potem! — Elisabeth powiedziała to przytłumionym głosem. — Wciąż tylko chwile rozkoszy, ale ani śladu trwałego oczarowania.

— Oczarowanie? Gdzie czegoś takiego szukać w tych czasach?

— Ty, zdaje się, najwidoczniej w nic już nie wierzysz?

— Czy istotnie sprawiam takie wrażenie? — Bergen zadał to pytanie niemal ubawiony. — To byłby postęp. Można by z tym jakoś ciągnąć dalej.

— Ta wojna zepsuła niemal wszystkich mężczyzn, jakich znam — powiedziała Elisabeth jakby do siebie. — Starają się żyć szybciej, bardziej nerwowo, bezwzględnie. I dokładnie tak jak oni postępujemy również my, kobiety, aby niczego nie stracić. Już prawie nie spotyka się ludzi,

którzy wiedzą, co to jest delikatność... Ale na szczęście nie wszyscy są tacy.

— Nie wszyscy? — zapytał Bergen, nastawiając uszu. — Jeśli słusznie przypuszczam, masz na myśli ów wyjątek, który ci w pewnym sensie położyłem na sercu. A więc Schuberta!

— A gdyby tak było?

Bergen wyprostował się i usiadł obok Elisabeth; patrzył na nią z podziwem. — Co się dzieje, dziewczyno! Czyżbyś chciała zrobić teraz dobrowolnie to, do czego musiałem cię przekonywać? I to bez śladu niechęci?

— Dlaczego nie! — powiedziała Elisabeth. — Ty sam zwróciłeś mi uwagę na tego Schuberta, a ja mu się przyrzekałam. Dzięki tobie porozmawiałam z nim. I przekonałam się, że można od niego oczekiwać tego wszystkiego, co kobiety rzeczywiście lubią, a więc bezgranicznego oddania, delikatności... Możesz go do mnie przysłać, a nawet proszę cię o to.

— Nie jestem taki głupi! — odparł Bergen, śmiejąc się. — Co nie znaczy, że ci go żałuję. Lecz tylko pod ustalonymi warunkami.

— Te są mi całkowicie obojętne, Bert.

— Ale mnie nie! Czy mam ci przypomnieć, że złożyłem ci konkretną propozycję? Zainspirowaną przez ciebie z naciskiem?

— Teraz z tego rezygnuję.

— Ale ja nie! — Bergen objął ją poufale. — Chętnie ci dostarczę naszego Schuberta przy najbliższej okazji. Obstawę jednak przy tym, abyś za przysługę otrzymała coś w rodzaju honorarium. Tak jak uzgodniliśmy.

— Fragonarda?

— Właśnie tak! Postarałem się już o obraz zastępczy. Tej samej wielkości i z podobnym motywem. Trzeba je

tylko zamienić. Przy najbliższej okazji. Czy nadal nie przywiązujesz do tego wagi?

— Nie jest to już konieczne! — wyznała. A po chwili, wyczuwając jego nieufność, dodała: — Proszę, spróbuj mnie zrozumieć, Bert. Mam wrażenie, że Johannes Schubert może dla mnie bardzo wiele znaczyć. I właśnie dlatego nie chciałabym temu, co mogłoby się z tego narodzić, zawczasu odbierać wartość wskutek jakichkolwiek interesów.

— Chyba się przesłyszałam, Elisabeth! Co ty sobie wyobrażasz? Mnie nie musisz mydlić oczu. Znam cię dość dobrze. Ty mnie tymczasem również dość dobrze poznałaś. Nie potrzebujesz więc udawać przede mną wspaniałomyślnej i wielkiej miłości. Powiedz szczerze: dlaczego już ci nie zależy na tym Fragonardzie? Uważasz, że to się nie opłaca? Dlaczego?

— Zgoda — powiedziała, jakby rozumiejąc, że nie pozostało jej nic innego, jak tylko być szczerą. — Powodem jest Magnus. Zachowuje się on mianowicie tak, jakby jeszcze nie odkrył, gdzie znajduje się obraz, na który przypuszczalnie liczy marszałek Rzeszy. A przecież on to dobrze wie, zrobił już notatki na ten temat.

— Co tam notatki o Fragonardzie. Trzeba mieć sam obraz!

— Dlaczego więc się waha?

— To można dość łatwo wytłumaczyć, droga Elisabeth. Magnus zwleka z wykonaniem polecenia, bo mu się tu podoba. Chce tu jak najdłużej zostać. Bardziej interesują go całkiem inne rzeczy niż Fragonard, którego ty możesz mieć, podobnie jak Johannes Schuberta.

— A ty chcesz decydować: kiedy, gdzie i jak? Czego się po tym spodziewasz? Niezłej zabawy? Tylko, proszę, nie moim kosztem, ostrzegam cię!

— Wszystko jedno, dziewczyno, ale jeśli się dobrze weźmiemy do rzeczy, nie będzie to ze stratą ani dla mnie, **ani** dla ciebie.

— Witam pana profesora! — zawołał Krüger.

— Dobry wieczór, drogi panie — odpowiedział Magnus, nie poruszywszy się.

Profesor siedział na swoim ulubionym miejscu — na kamiennej ławce u podnóża wieży, nieco na północny wschód od niej, w pobliżu niskiego muru, za którym teren opadał stromo w kierunku D. Miasto leżało, można powiedzieć, u jego stóp, oświetlone łagodnym blaskiem księżyca. Hen, daleko, znajdował się Paryż, a tam Luwr, którym Magnusowi nie dane było jeszcze się opiekować. Musiał się zadowolić kaplicą.

— Co pan znów wymyśla, panie profesorze? — zapytał Krüger uprzejmie, siadając na kamiennej ławce.

— A co mi pan przypisuje?

— Mnóstwo rzeczy, niestety. — Krüger pochylił się poufale do Magnusa. — Zakładam, że ma pan pełne ręce roboty ze swoimi zakonserwowanymi nieboszczykami. A mimo to próbuje pan, jak przypuszczam, zajmować się jeszcze całkiem innymi sprawami.

— A panu się to nie podoba?

— Absolutnie nie! — oświadczył Krüger otwarcie. — Nie żebym panu czegoś odmawiał, chyba się pan przekonał, że jestem ze wszech miar wspaniałomyślny, na przykład jeśli idzie o dostarczanie wina. Ale poza tym, panie profesorze, chodzi mi o zasadę!

— Co pan przez to rozumie?

— Chętnie to panu bliżej wyjaśnię. A więc muzeum trumien to pańska dziedzina. I tam może pan robić wszystko, na co pan ma ochotę. Może pan swoje trupy stroić w



jedwabie albo grać z nimi w piłkę, może je pan przehandlować albo przerobić na mydło. To pańska sprawa. Ale jednocześnie, profesorze, istnieje tu także mój kramik, park amunicyjny wraz z przynależnymi do niego żołnierzami, a więc cała trzecia bateria! A tym kramikiem zarządzam ja, według własnego uznania. Rozumie pan?

— Niezupełnie, łaskawy panie — profesor oświadczył to cicho i uprzejmie, nie patrząc na swego rozmówcę. — Poza tym nie przypominam sobie, abym w jakikolwiek sposób wtrącał się do pańskich spraw.

— Drogie panie profesorze — powiedział Krüger — jestem człowiekiem o mocnym karku. Potrafię wiele znieść. Ale w jednym punkcie jestem wrażliwy: kiedy spostrzeżę, że ktoś próbuje mnie uważać za idiotę w mundurze.

— Nigdy bym się nic ośmielił, panie Krüger — zapewnił Magnus, niemal zaklinając się, jednocześnie zaniepokojony. — Proszę mi wierzyć! Przymuszczałnie chodzi o to, że ja, zawodowy cywil, nic znam waszych specjalnych prawideł gry. Ale mam nadzieję, że mnie pan pouczy.

— Jeśli to rzeczywiście będzie konieczne, profesorze, czemu nie! — Krüger silił się na pojednawczość. — A zatem mogę chyba sądzić, że pan się zastanowił, co to znaczy rozkaz. W każdej dziedzinie istnieje osoba odpowiedzialna za jego wykonanie. Ja na przykład jestem odpowiedzialny za wyżywienie moich ludzi, pan — za owe trumny w kaplicy, wraz z napisami, ja — za swoich podopiecznych, a pan — za swoich pracowników.

— Zaczynam rozumieć! — powiedział Magnus. — Pan próbuje mnie obarczyć odpowiedzialnością za to, co robią moje kobiety.

— Ja nie czynię pana za to odpowiedzialnym, pan jest za to odpowiedzialny! Nie mam tu na myśli pewnych przy-

ziemnych poczynań, nie żałuję tego nikomu, o ile na tym się kończy. Ale jeśli z tym jest związane pośrednie lub bezpośrednie mieszanie się do moich spraw, wówczas jestem zły. I to bardzo zły!

— Pan ma przypuszczalnie na myśli naszą panią doktor. Drogi panie, ta dama to osoba wysoko postawiona!

— Możliwe, ale teraz pan jest za tę kobietę odpowiedzialny!

— Oficjalnie tak, lecz w pewnym miejscu granice odpowiedzialności się kończą. Mogę nakazać, co pani doktor ma zrobić dla mojej firmy. Jednakże co ona myśli, z kim sypia, na kogo ma wpływ albo kto na nią wywiera wpływ — to się wymyka moim wpływom.

— I właśnie w tym sęk. Albowiem tu panują cywilne stosunki — na terenie wojskowym! I właśnie one, panie profesorze, idą za daleko. Wic pan, co my w takich wypadkach zwykliśmy praktykować? Staramy się ludzi w pełni zatrudnić i w ten sposób unikamy łamania zasad.

— Drogi panie Krüger! Ma pan niewątpliwie wspaniały dar upraszczania wszystkiego, z czym się pan spotyka, ale nasza dziedzina jest nieskończenie rozległa. I sięga daleko poza tę kaplicę, nie tylko do zamku, ale także do stanowiska ogniowego, gdzie przypuszczalnie znajdują się dalsze groby.

— Co ja słyszę? Czyżby pan miał zamiar jeszcze bardziej się tu rozprzestrzenić?

— Nie chcę tego, ale czuję, że będę zmuszony. — Profesor powiedział to tonem usprawiedliwienia. — Weźmy na przykład zamek, w którym pan mieszka, a który nieprzypadkowo nazywany jest zamkiem śmierci. Tego, kto tylko się tu znalazł, spotykała śmierć.

— To było dawniej! Dziś wszyscy w nim żyjemy!

— Owszem, pan żyje. Ale do wieży, gdzie mieszka kapitan Hein, przybywali dawniej księżęta — ciężko ranni,

cierpiący na różne śmiertelne choroby, na niedomogi wieku starczego... Nikt nie wychodził stamtąd żywy.

— Co mi tam! — powiedział Krüger obojętnie. — Ja mieszkam dwa piętra niżej.

— Wiem, wiem, przypuszczalnie w pomieszczeniu, w którym mieszkali ostatni towarzysze umierających i pielęgniarze, ludzie, którzy ścielili łóżka, ocierali pot, zmywali krew, ropę, wylewali urynę i wyrzucali kał zgromadzony w miskach... Następnie mordercy! Wśród nich lekarze, kamerdynerzy i sekretarze, którzy skracali męki potencjalnym nieboszczykom, przez co oszczędzali ówczesnym władcom wiele pieniędzy i zdenerwowania. Ich troską bowiem było wyjaśnienie w porę przyczyn śmierci, a tym samym oczyszczenie z podejrzeń następców. W ten sposób zasługiwali się nowym władcom.

— Czy to są może te brednie, które usiłuje pan wmawiać również panu kapitanowi? — zapytał Krüger.

— Tu nie chodzi o brednie, jak pan to określił, panie Krüger, lecz o dowiedzione prawdy historyczne. Jest ich znacznie więcej — chętnie panu o nich opowiem. Weźmy na przykład piwnicę, w której pański oficer aprowizacyjny gromadzi łatwo psujące się artykuły żywnościowe — masło, kielbasę, chleb. Kiedyś składano tam zwłoki. A w pomieszczeniu obecnie służącym jako kantyna balsamowano zwłoki. Być może na tym samym stole, przy którym jadają pańscy koledzy. Wyciągano wnętrzności, wyjmowano mózgi; płuca, wątroby, nerki i serca zastępowano standardową masą; w kotle przyrządzano kleistą ciecz, natychmiast twardniejącą, którą wpompowywano w naczynia krwionośne. Niech się pan kiedy przyjrzy podłodze w tym pomieszczeniu, znajdują się tam jeszcze ślady tych czynności.

— A jeśli nawet tak było! No to co? — Krüger starał się pokazać, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. — Komu pan chce tym zaimponować? Coś pan powiem: ta

wojna trwała dopiero jeden dzień; natknąłem się wówczas w niewielkim lasku w Polsce na poległych żołnierzy, którzy wyglądali strasznie, wożę mi pan wierzyć. A już następnego dnia szedł ku mnie kolega, bez głowy, fontanna krwi tryskała mu z szyi; szedł jednak naprzód, choć tylko kilka kroków.

— Rozumiem — powiedział profesor Magnus, opuszczając posiwiałą głowę; był wyraźnie zmartwiony. — Uważa pan, że moje historyczne doświadczenia nie dorównują temu, co dzieje się na naszych oczach?

— W każdym razie — stwierdził Krüger, który chyba na powrót odzyskał pewność siebie — radzę panu, aby pan przestał się kręcić po naszym terenie i zabronił tego swoim ludziom. Co się zaś tyczy pańskiego dość podejrzanego stosunku do kapitana Heina — to jestem dokładnie poinformowany o historycznych bredniach, którymi go pan raczy. Nic podoba mi się to.

— Przypuszczalnie pan mnie przecenia — odrzekł profesor Magnus — a tym samym nie docenia pan kapitana Heina.

— I jedno, i drugie jest mi obojętne. Najważniejsze, żeby pan się nie wtrącał do naszych spraw. Chyba że chce pan koniecznie mnie sprowokować, a wówczas będę zmuszony obsmarować błotem pana i jego obie damy.

— Nie trzeba — powiedział Magnus, prostując się. Sprawiał wrażenie, jakby nasłuchiwał czegoś z oddali. I cicho dodał: — Już nie trzeba.

Zobaczył bowiem od strony zamku blask s'wiatła, drgający i migocący, który posuwał się szybko naprzód w ich kierunku, przemknął obok — był to blask świec pięciornamiennego świecznika. Niósł go Schubert. A za nim, odziany w płaszcz książęcy, kroczył Hein; szli w stronę kaplicy. Rozgwieżdżona noc rozpościerała się nad nimi jak namiot.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Krüger, wyraźnie zdenerwowany. — Czy to może pana sprawka, panie profesorze?

— Drogie panie — odparł profesor. — Nie jestem czarodziejem! Również moja fantazja ma granice.

— Co tu się dzieje? — zapytał Krüger, zaniepokojony.

— Pan kapitan próbuje się odnaleźć. I obojętne, co on pod tym rozumie, nie wydaje mi się wskazane, aby mu w tym przeszkadzać.

— W czym? Proszę dokładnie.

Profesor milczał. Noc ukrywała to, że uśmiechał się jak ktoś, kto jest szczęśliwy. Słysząc jednak było, jak ciężko dyszy. Jakby wzmogła się nagle praca serca.

— Jeśli to z pana inicjatywy — oświadczył Krüger groźnie — to poszczuję pana moimi psami. Następnie wyrzucę z pawilonu, potrzebuję go dla naszych pojazdów. Przegonię pana z, kaplicy, przyda nam się jako komórka. Potrzeby militarne mają zawsze pierwszeństwo. Czy wyrażam się jasno?

— Całkowicie, łaskawy panie! Ale poczekajmy, aż się wszystko rozwinie! Może się jeszcze zdarzyć, że będzie pan przywiązywał dużą wagę do współpracy ze mną.

— Wygrałem los na loterii! — oznajmił Wassermann, pakując z zapalem swoje rzeczy. — Mogę się stąd wynosić, nie doznając najmniejszych strat!

— Dostałeś urlop? — zapytał gefrajter Bergen.

— Zostałem wreszcie przeniesiony! — zawołał Wassermann z triumfem. — Od miesięcy na to czekałem. Wreszcie mój system zadziałał!

— Nawet u Krügera?

— On ma dobrego nosa i właściwie mnie ocenił.

Bert Bergen przyglądał się Wassermannowi bez podziwu. Pakował on w radosnym pośpiechu swoje rzeczy. Brudną bieliznę wyrzucił do wiadra na śmieci, prócz tego parę butów i kilka listów, te przygniótł nogą. Widoczna była przyjemność, jaką przy tym odczuwał.

— Jeśli cię dobrze zrozumiałem, to kończysz tutaj działalność — rzekł Bergen.

— I to z rozkoszą!

— A za jaką cenę?

— Czy jesteś na mnie zły? A może mi zazdrościsz? O ile cię znam, najchętniej sam poszedłbyś ze mną.

— Dokąd, Wassermann?

— Miałem do wyboru! Albo do innej jednostki na front, albo z powrotem do ojczyzny, w okolice Berlina, gdzie mam zostać kierowcą ciągników. Człowieku, nad czym tu się zastanawiać!

— Skąd taka wspaniałomyślność? Akurat wobec ciebie?

— Ponieważ jestem specjalistą pierwszej klasy — tak uważa Krüger. A taki specjalista musi być zatrudniony zgodnie ze swoimi kwalifikacjami, o ile oczywiście tymczasem nie przyszył mu do głowy głupie i niebezpieczne myśli.

— Jakie na przykład?

Wassermann zapakował plecak, do tego walizkę. W podręcznym bagażu miał prowiant ekstra: puszki z mięsem, a także dwie butelki, z koniakiem i maliniakiem. Jego manierka była napelniona calvadosem, gwarantowanym dwunastoletnim. — Wystarczy mi tego na parę dni.

— I Arm się na to zgodził?

— Nie miał innego wyboru! On przecież gotów jest ponieść wszelkie ofiary dla tej swojej Werner-Weilhcim. A tym samym również dla kapitana, czyli dla herosa, jak ona nazywa Heina. A Krüger mądrze na tym spekuluje.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ ja w porę zadziałalem, nawet wobec pisarza komendanta garnizonu. Runge mianowicie uwziął się na wieżę ciśnień. Aż palił się do tego, aby ją rozwalić. Co praktycznie nie było możliwe bez zgody kapitana. A ponieważ ja to odkryłem, mogę stąd odejść.

— Tak po prostu? — Bert Bergen patrzył sceptycznie. — Nic więcej? Nie mogę sobie tego wyobrazić, szczególnie u Krügera!

— Ten oczywiście się zabezpieczył, według wszelkich reguł sztuki. Musiałem złożyć na piśmie oświadczenie pod przysięgą, że nigdy nikomu nie mówiłem ani słowa o rozwaleniu wieży.

— A jeśli mimo to tak się uważa?

— To nieprawda! Napisane jest czarno na białym — zapobiegawczo. Krüger wie, jak się załatwia takie rzeczy.

— A więc porzucasz mnie jak rozbitka?

Wassermann założył plecak i sięgnął po walizkę. Uśmiechnął się przy tym z ulgą. Powiedział: — Ja cię nie porzucam, pozostawiam cię raczej bez reszty twojemu właściwemu żywiołowi. Przecież aż się palił do tego, aby z tym skończyć! W pojedynkę! Bez względu na straty, do których ja nie chcę należeć. Uparłeś się, aby pleść bzdury. A więc rób, jak chcesz!

— A nic jesteś ciekaw, co z tego wyniknie?

— To, mój drogi, mówiąc szczerze, nic jest już takie ważne. Życie w ogóle nie jest wiele warte. Najlepiej się w porę wycofać. Chyba że ktoś się uparł, aby zdechnąć albo dać się rozszarpać na strzępy. A więc adieu, drogi przyjacielu!

— Zimno mi — powiedział kapitan Hein do swego Schuberta, siedząc zdrętwiały na krześle. — Czuję się tak, jakby obłożono mnie lodem.

Schubert stał bezradny, ale gotów do pomocy, na środku sali bankietowej; patrzył na swego kapitana z troską i oddaniem. Hein ubrany był tylko w białą powiewną ko- szulę nocną, rozpiętą na piersiach. Jego twarz była trupio blada.

— Wszystko mnie boli — rzekł kapitan. — Czuję się wyczerpany, moja krew jest zimna, ale płonie! W głowie mi huczy. Oczy zachodzą gęstą mgłą, ledwie cię widzę, Johannes. Podejź bliżej.

Schubert podszedł do Heina. Spontanicznie ujął jego dłonie. Tym razem pozwolono mu na to. Pokrywał je lepki pot.

— Co mogę dla pana uczynić, panie kapitanie? — zapytał.

— Mam gorączkę — oświadczył Hein; drżał przy tym cały. — Otwórz następną butelkę szampana i postaw duży kieliszek.

— Czy mam przynieść pański płaszcz kąpielowy?

— Nic, Johannes, jest za ciężki. Wcale nie grzeje. Nie wchłania też potu, który spływa po moim ciele. Fala gorączki. Byłem wielokrotnie ranny. Z tego parę razy w okropny sposób. Kilku lekarzy uznało, że już nigdy nie będę mężczyzną. To śmieszne! Ja przecież żyję bardziej świadomie niż wszyscy inni! Podaj mi płaszcz książe- cy. Otul mnie nim.

Johannes Schubert zdjął z drewnianego szkieletu ciężki czerwono-biało-złoty płaszcz. Zarzucił go Heinowi na ramiona, udrapował wokół ciała, otulił nim z delikatną troskliwością brzuch i uda swojego bohatera.

— Stań za mną, Johannes, połóż ręce na mojej piersi, zostaw je tam! Ale nie oddychaj przy tym na mnie! I żadnych zaborczych gestów! Dotykaj raczej lekko, delikatnie, zbawiennie dla mojego serca. Nie ruszaj się!

Johannes Schubert stał więc jak skamieniały za krze-



słem Heina. Trwało to kilka sekund. A było tak, jakby upłynęły godziny całkowitej, milczącej, wibrującej intymności. Było tak, jakby obaj nawzajem wdychali siebie.

Po chwili Hein powiedział: — Bardzo dobrze mi to robi. Czuję się lepiej. Przynieś mi lustro, które wisi na ścianie w mojej sypialni. Pragnę się przejrzeć.

— Johannes Schubert otworzył pośpiesznie butelkę szampana i napełnił duży kryształowy kieliszek. Następnie przeniósł lustro z sypialni do sali bankietowej i tu postawił.

Kapitan patrzył w to lustro początkowo z wahaniem, potem z rosnącym zainteresowaniem. Po chwili wstał, wyprostował się. Wydał się sobie jakby stworzony do historycznego malowidła. Płaszcz książęcy, którym był otulony, lśnił.

— Czy to jestem ja? — zapytał.

— Tak, to pan — powiedział Johannes Schubert.

Kapitan skinął swemu odbiciu w lustrze. Spojrzał sobie w oczy. I rzekł, pochylając się lekko: — Wielkość jest nie do pomyślenia bez ofiar! Przetrvanie to poświęcenie. Spełnienie oznacza: być na wszystko gotowym. Czy ty to rozumiesz, Johannes?

— Tak, rozumiem — odpowiedział Schubert.

— Oprzyj lustro o ścianę, ale tak, aby obejmowało mnie całego. Potem stań obok mnie. — Johannes spełnił polecenie. A Karl Ludwig Hein położył rękę na ramieniu Schuberta i przycisnął go do siebie. Wspólnie odbijali się w lustrze. — Co widzisz? — zapytał.

— Nas!

— Widzisz nas, Johannes, a więc mnie i siebie! Lecz nie widzisz śmierci, która wciąż zagląda nam w oczy. Ona mnie prześladowuje przez całe życie. To nie była tylko śmierć mojego psa, Johannes — psy i tak nie żyją długo. Ale w tych ramionach zmarł także przyjaciel mojej młó-

dości, którego kochałem, którego wyciągnąłem z narażeniem życia z potoku górskiego; pluł krwią i wodą, wreszcie zadusił się od tego. Potem, w pierwszych dniach wojny, mój kolega został rozszarpany — tuż obok mnie. Jego mózg opryskał mi twarz, krew z jego serca spływała mi po rękach. Tych oto rękach — Johannes! — które teraz spoczywają w twoich. Były wówczas pokryte czerwoną krwią — aż do łokci!

— Ale pan to wszystko przeżył! I to musi mieć jakiś sens! Bo inaczej wszystko, co nas spotyka, byłoby bezsensowne. A tak przecież nie jest!

— Pragnę zobaczyć grób księcia, Johannes! — Kapitan Hein wyprostował się. Zachwiał się przy tym na moment. Następnie okręcił się królewskim płaszczem i rozkazał: — Poświeć mi!

Schubert wziął do ręki świecznik, który stał najbliżej, i poszedł przodem. Hein podążał zdecydowanym krokiem za nim. Szli po obtłuczonych schodach w dół, przez duże drzwi zamkowe, przez rozjeżdżony trawnik aż do kaplicy. Ujrzeni po drodze cienie — byli to Magnus i Krüger. Ale Hein nie zwrócił na nich uwagi. — Naprzód! — zawołał.

Schubert pchnął obie połowy drzwi do kaplicy. Otworzyły się szeroko. Hein wkroczył uroczyście, podszedł do trumny, która stała przed ołtarzem. A więc tu był on! Światło świec skąpo oświetlało wysokie sklepienie kaplicy. Wokół nich wyrastały cienie.

Hein powiedział: — Trzymaj świecznik w górze, tak wysoko, jak to tylko możliwe, żeby światło nie rzucało cieni. Cieni, które mogłyby mi zasłonić widok! — Jego głos brzmiał ciężko, twarz lśniła od potu, z trudem oddychał. — Wszędzie, gdzie się znajduję, musi być jasno, przejrzyste i czyste! — Kapitan zachwiał się lekko, ale po chwili znów stał sztywno, bez ruchu. Następnie po-

chylił się nad trumną. Była to podłużna metalowa skrzynia, skromna, a mimo to robiąca wrażenie. Zaopatrzona w cyfry i znaki, które zdawały się świecić magicznie. Magnus bowiem obrysował ich kontury kredą, aby móc je później sfotografować w celu rejestracji. Widać było wyraźnie imiona: Charles Louis, datę urodzenia, a także datę śmierci. Pomiędzy tymi datami było równe trzydzieści lat.

— Był to jeden z największych ludzi swojej epoki — rzekł Hein, wzruszony.

— Przeszedł do historii — wyrecytował Schubert jak wyuczoną lekcję, dodając: — jako bohater bitwy przy Czerwonym Młynie.

Potem Kapitan Hein zapukał palcem w wieko trumny. Jakby wystukiwał pierwsze takty *Symfonii losu* Beethovena. Raz. I jeszcze raz. I po raz trzeci.

— Głucho! — stwierdził.

Johannes patrzył bezradnie. Hein wyprostował się nerwowo. — Ten książę — oznajmił z triumfem — unikał wszystkiego, co ziemskie! Należał do ludzi niedostępnych, niedotykalnych, nieosiągalnych.

— To legenda — powiedział Johannes ostrożnie.

— Fenomen! — poprawił go kapitan, jakby w monologu, a jego głos zdawał się zamierać. — Niepojęte. Jak wiele rzeczy na tym świecie jest niepojętych. Ale najbardziej ze wszystkiego niepojęty jest człowiek. Walczący człowiek!

Kapitan pochylił się nad trumną księcia. Pochylił się nisko, po czym zaczął się chwiać, jakby za chwilę miał być wciągnięty w topiel. Zatoczył się i z szeroko rozpostartymi ramionami upadł na trumnę. Leżał tam, nieskończenie wyczerpany.

Jego usta dotykały metalu, zniszczonego i pociemnianego od kurzu w ciągu długich dziesięcioleci. A kapitan

mruczał, ledwie dosłyszalnie: — Boże, mój Boże, jakich ty ofiar od nas wymagasz!

Według relacji profesora Magnusa tak właśnie miały brzmieć ostatnie słowa umierającego księcia. . .

Johannes Schubert mimo to zadrżał.

### ***Przerywnik siódmy***

***Wyjaśnienia pułkownika Rheinemanna-Bergena,  
obecnie generała w stanie spoczynku,  
twórcy cenionego studium naukowo-wojennego,  
znajdującego się we wszystkich  
bibliotekach  
jednostek Bundeswehry,  
pod tytułem: „Artyleria przeciwlotnicza w  
walce na  
lądzie”***

„(...) chętnie udzielię wyjaśnień, zwłaszcza że tymczasem istotne poglądy... popierane przez zasłużonego prezydenta Republiki... Przy czym nie mam na myśli pana H., choć i jemu nie można odmówić pod tym względem dobrej woli. Chodzi mi raczej o pana L., który wyznał, że ówczesny niemiecki żołnierz wyłącznie dla swojej ojczyzny...

(...) a zatem w naszych szeregach, w szeregach frontowców, prawie wcale nie było nazistów, najwyżej nieliczne pronazistowskie elementy... karane przez nas pogardą...

Nie trzeba chyba wspominać, że wyjątki i wyrzutki istnieją we wszystkich armiach świata... ostatnio nawet wśród Amerykanów... za co nie mogę czynić od razu odpowiedzialnymi wszystkich amerykańskich żołnierzy... zasługują oni raczej na naszą współczującą wyrozumiałość... że nie wspomnę o okrutnych czynach niektórych żołnierzy radzieckich... Następnie ci mordercy pod ścianą...

(...) należy więc stwierdzić, że wówczas w naszych szeregach znajdowali się liczni zdeklarowani przeciwnicy Hitlera, do których ja również mogę się zaliczyć. Już wówczas w kręgu zaufanych kolegów nazywałem tego człowieka «czeskim gefrajtrem». Później mówiłem o nim po prostu: «ten szaleniec tam na górze». Na ten temat istnieją zeznania świadków.

(...) musieliśmy, oczywiście, postępować z największą ostrożnością ze względu na bliskich krewnych, jak na przykład ten Bergen...

(...) mówiłem mu: «Jestem żołnierzem, Bert — nikiem innym, ale też nie byle kim! A my, żołnierze, musimy w każdej sytuacji uczynić wszystko, co tylko możliwe, aby bronić naszej ojczyzny...

(...) on mnie wówczas, niestety, nie rozumiał... co wynikało być może z ideologicznego młodzieńczego zaślepienia... braku realizmu... rozumie pan..."

***Wyjaśnienia  
profesora Magnusa  
dotyczące kaplicy w D.,  
wyjęte z jego ówczesnych notatek w  
dzienniku,  
udostępnione przez wdowę po nim***

**Notatka numer 17**

„Polecenie jasne. Wykonanie zdaje się możliwe. Ewentualne trudności dadzą się usunąć.

Zatroszczy się o to z właściwą sobie stanowczością nasza pani W.W. W wiadomy sobie sposób. Ostatnia nowość: ona sypia nawet z ogniomistrzem, ale chyba tylko po to, by go przestawić — między innymi w interesie naszej grupy. Ona nigdy nie wahała się przed niczym, jeśli w

grę wchodziły rzekomo «wyższe wartości». Nawet kierownik Rzeszy nie czuł się przed nią całkowicie bezpieczny. Można powiedzieć: ta kobieta nie cofała się przed nikim ani przed niczym, jeśli się na coś uwzięła. Ona wie, co to znaczy totalne działanie".

### **Notatka numer 23**

„Następnie ten kapitan Hein, bohater. Mężczyzna jak z bajki, ale z bajki dla żołnierzy.

Dokładnie taki jak ów książę Charles Louis, który właściwie nazywał się Philippe Eugene i dopiero jego piąte imię brzmiało Louis, ale aby sprawić radość kapitanowi, wziąłem jego imiona i przełożyłem na francuski. Sukces był zdumiewający.

Ciągnę ten wątek skwapliwie dalej. Z rosnącą przyjemnością. Ku radości kapitana Heina i ku mojej rozrywce. Przerzucam kroniki, powieści i sagi. W miarę możliwości zbieram informacje o Heinie. Tworzę postać, która dokładnie do niego pasuje. Najlepsza robota na miarę. Zdumiewająca reakcja... Można rzec: strzał w dziesiątkę".

### **Notatka numer 31**

„Sporządzam — specjalnie dla kapitana — plan grobów w kaplicy. Dostosowany wyłącznie do rosnącego zainteresowania kapitana. Ze szczegółami obmyślonymi na efekt.

Zgodnie z tym kaplica została zbudowana na założeniu krzyża. Liczbę pochowanych tam ludzi ocenilem na 140. Rozmieszczeni byli następująco:

8 zmarłych — bezpośrednio pod ołtarzem; schodziło się do nich po marmurowych schodach z tyłu ołtarza: panujący książęta;

12 zmarłych — w bocznej nawie po lewej: ich małżonki;

12 zmarłych — w bocznej nawie po prawej: ważni mężowie stanu;

36 zmarłych — z prawej i lewej strony przedniej części kaplicy: ich żony, jak również pomocnicy i poplecznicy, wśród nich: książe Kościoła, dyplomaci, wójtowie miejscy, skarbnicy;

71 zmarłych — z prawej i lewej strony tylnej części kaplicy — obok siebie i jeden nad drugim: zasłużeni szlachci-  
ce, duchowni i żołnierze. Wśród nich także poeta dworski. Tylko jeden spośród ponad setki, co powinno ostrzec innych, aby się przeceniali. Ostrzeżenie całkowicie daremne.

Ogółem 139 grobów.

Numer 140 znajdował się bezpośrednio przed ołtarzem. Był to grób naszego bohatera, rzekomego Charlesa Louisa. Być może trumnę postawiono przypadkiem na środku pomieszczenia podczas jakichś działań wojennych. Przypuszczalnie bez wartości".

### **Notatka numer 35**

„Jeśli kogoś w tej trzeciej baterii lekkomyślnie nie doceniłem, to był to starszy ogniomistrz Krüger. Temu nie udawało się zamydlić oczu. Jego pewność siebie była zdumiewająca.

Ów Krüger wyjaśnił mi pewnego letniego wieczoru swój punkt widzenia, aż mi dech zapało. Zrozumiałem wówczas, że tego człowieka nie wolno uczynić swoim wrogiem!

Podczas gdy on do mnie mówił, przeszedł obok nas kapitan Hein ze swoim podopiecznym. Ubrany był w płaszcz książeccy. Poszliśmy za nimi.

Staliśmy w ciemnościach kaplicy, kiedy Hein, jakby w ataku, padł na domniemaną trumnę księcia. Wzburzony chwyciłem Krügera za ramię. Ale on powiedział tylko: «Ale widok!»"

***Dalsze szczegóły  
na temat niektórych zdarzeń,  
dostarczone przez Elisabeth Erdmann,  
obecnie, w czwartym małżeństwie,  
małżonkę znanego handlowca z Kolonii***

„Wie pan, taka wojna również w miłości oznacza stan wyjątkowy! Mogłabym o tym wyśpiewać pieśń, gdybym tylko chciała. I wiele innych kobiet także! Tylko że one nie chcą. I ja chyba też nie.

Trudno byłoby zliczyć wszystkie okazje, jakie się nadarzały — jeśli człowiek trafił w odpowiednie otoczenie. Pielęgniarki, na przykład, albo łączniczki z wywiadu, pomocnicze sztabowe itd. miały pełne ręce roboty, jeżeli chciały.

Ale nie tylko sposobna okazja była tu decydująca. Dochodziło coś bardzo istotnego, co nazwałabym wybitnie kobiecą reakcją. Albowiem te nędzne typy, które chciały tylko zapomnieć, wyrządzały nam ogromną przykrość.

Bardzo często pierwsza noc zamieniała się w ostatnią. Trzech spośród moich przyjaciół młodości, którzy uważali się za zaręczonych ze mną, padło z ręki wroga. Dwaj polegli w Rosji, jeden zatonął w Atlantyku w łodzi podwodnej.

Kiedy wówczas przyjechałam do D., nie byłam nowicjuską. Również tam oferta była ogromna. Tylko wybierać. Ale ja tęskniłam za czymś szczególnym, niepowtarzalnym, za wielkim przeżyciem...



I to dał mi — wyznaję szczerze — ów Johannes Schubert. Był on czystym, jasnym, spokojnym, bezinteresownym, pełnym poświęcenia chłopcem.

Ale to, co się wydarzyło potem, było straszne. Stało się to bez mojej winy..."

*Pytanie dodatkowe:* „A ten Fragonard, który wisiał w sali bankietowej?"

*Elisabeth Erdmann:* „On nie miał w najmniejszym stopniu z tym nic wspólnego".

*Kolejne pytanie dodatkowe:* „Co pani wie o śmierci Schuberta?"

*Elisabeth Erdmann:* „Nic! Nic konkretnego. Była to straszna śmierć, bardzo mnie dotknęła, ale nie było tu mego udziału. Niech pan zapyta innych".

„Kogo na przykład?"

„Może Bergena, jeśli jeszcze żyje. I jeśli zechce się wypowiedzieć na temat tego upadku, gdyż ten upadek był jego upadkiem".

***Wypowiedzi  
byłego porucznika Seiferta-Blankera,  
wówczas adiutanta pierwszego  
dywizjonu  
pułku przeciwlotniczego,  
obecnie generalnego przedstawiciela  
międzynarodowej firmy samochodowej  
na Niemcy***

„Ach, drogi panie, niech mi pan tu nie wyjeżdża z tymi starymi historiami. Próba patrzenia na mnie jako na zdeklarowanego przeciwnika ówczesnego kapitana Heina jest po prostu śmieszna.

Współpraca z nim układała mi się raczej wzorowo. Zawsze czułem się zobowiązany wyłącznie wobec jednostki, do której także należał kapitan Hein.

Bez sensu jest więc twierdzenie, że on i ja byliśmy w pewnym sensie przeciwnikami. I to rzekomo tylko dlatego, że on został mianowany szefem trzeciej baterii, a na tę funkcję podobno najpierw ja byłem przewidziany. Twierdzono również, że jego Krzyż Rycerski właściwie mnie się należał. To by się zgadzało, nigdy jednak nie zazdrościłem mu tego odznaczenia.

A więc to nieprawda, że — jak przypuszczano — podsunąłem trzeciej baterii tego gefrajtra Bergena jako element destruktywny...

Kapitan Hein cieszył się moją sympatią jako nadzwyczaj skuteczny dowódca. Ale nie byłem zaślepiony. Wcześniej potrafiłem rozpoznać jego błędy i wyciągnąć z tego konsekwencje wojskowe... Konsekwencje wojskowe! Niech pan zwróci uwagę na te słowa! I niech pan zrozumie: na terenie wojskowym nie ma miejsca dla ludzkich prywatnych animozji. U mnie też go nie było!"

## 8

### *O wartości życia ludzkiego, jak również o funkcji podaży i popytu*

— Uroczystości pogrzebowe Rungego — zameldował Krüger — przygotowano zgodnie z rozkazem.

— We wszystkich wymaganych szczegółach? — zapytał kapitan Hein. Jego wysokie czoło zdawało się lśnić. Hełm trzymał pod lewym ramieniem.

— Dokładnie według planu.

— Czy ludzie z kompanii propagandowej już przybyli?

— Tak jest, panie kapitanie! Grupa filmowców, dwóch fotografów i jeden rysownik. Poinformowano ich, zgodnie z rozkazem, że chodzi o wewnętrzną uroczystość w gronie kolegów. Obiecali, że to uszanują, a więc nie będą natrętni.

— W porządku — powiedział Hein. Następnie zawołał: — Schubert!

Schubert zjawił się w sypialni kapitana z bukietem czerwonych róż; do ostatniej chwili były one przechowywane w umywalce Heina dla zachowania świeżości. Róże lśniły — było ich dwadzieścia trzy, za każdy rok życia Rungego jedna.

— Ruszamy! — oznajmił kapitan, rzuciwszy krótkie spojrzenie na zegarek. Ostrożnie włożył na głowę hełm.

Powiedział: — Godzina jedenasta trzydzieści — uroczystość się zaczyna!

11.30: Kapitan i zarazem szef baterii w towarzystwie starszego ogniomistrza opuścił kwatere, zszedł na dół, wyszedł na dwór. Zatrzymał się na krótko, popatrzył dokoła badawczo. Następnie podszedł do swego samochodu, który stał w odległości jednego metra od ostatniego stopnia schodów. Maskę silnika, boczne ściany i bagażnik były okryte czarną tkaniną. Podoficer Kamiński siedział nieruchomo za kierownicą.

11.35: Kapitan Hein wsiadł do samochodu — stanął z prawej strony z przodu, wyprostowany. Krüger zajął miejsce tuż za nim, na lewo od Krügera — Schubert. Hein uderzył krótko prawą dłonią w przednią szybę. Samochód ruszył w marszowym tempie w kierunku kaplicy. Odległość: siedemdziesiąt pięć metrów.

11.38: Porucznik Minder wydał komendy zgodnie z ustaleniami: — Baczość! Na ramię broń! Prezentuj broń! Na prawo patrz! — Następnie podbiegł z wyciągniętą bronią do swego szefa baterii, opuścił broń i zameldował: — Kompania honorowa gotowa do powitania!

Kapitan podziękował, po czym wyskoczył sprężystym ruchem z samochodu. Przeszedł wzdłuż eskorty honorowej: trzech podoficerów, dwudziestu czterech żołnierzy, a więc siła oddziału! Ludzie dobrani tak, aby ich nieobecność na posterunkach nie osłabiła nieustannej gotowości bojowej baterii.

11.45: Kapitan Hein w towarzystwie porucznika Mindera zakończył przegląd kompanii honorowej. Zatrzymał się, zawrócił, zastygł na chwilę w bezruchu, następnie znów ruszył w kierunku czarnego namiotu, w którym w czarnej dębowej trumnie leżał zmarły. To wszystko plus krepka dla uczestników pogrzebu było zamówione przez Krügera i opłacone z kasy baterii.

Stało tu czterech kolegów zmarłego — jako tak zwana warta honorowa: na przodzie ogniomistrz Arm i ogniomistrz Moll, z tyłu dwaj podoficerowie stanowiska ogniowego. Hein zatrzymał się przed nimi, nie patrząc jednak na nich. Nie patrzył też na trumnę. Przyłożył tylko prawą rękę do helmu. Stał tak kilka minut.

Dzięki temu ludzie z kompanii propagandowej mogli zrobić doskonałe zdjęcia.

11.50: Kapitan Hein pochylił się w stronę trumny, następnie się wyprostował i zawołał:

— Kolego Runge, nigdy cię nie zapomnimy!

Ten zaplanowany okrzyk kapitana stanowi! umówiony znak do wyniesienia zwłok i złożenia ich w grobie. Czterej koledzy zawiesili sobie na ramionach przygotowane pasy, podnieśli trumnę i trzymali ją na wysokości bioder. Czekali gotowi do wymarszu.

— Kolego Runge — powiedział kapitan Hein — odajemy ci ostatni hołd!

11.55: Trumna została uroczyście poniesiona w kierunku grobu — kapitan przeciwiczył tę czynność poprzedniego dnia co najmniej kilkakrotnie. Droga do grobu, długości czterdziestu metrów, była wyłożona gałązkami jodły. Zajęły się tym trzy damy Softera pod jego kierunkiem.

Kapitan Hein znów wszedł do swego samochodu, a wraz z nim Krüger i Schubert. Eskorta honorowa podążyła w ślad za nimi.

Ludzie z kompanii propagandowej byli zachwyceni. Jeden z fotografów ześliznął się do dołu, aby stamtąd zrobić efektowne zdjęcie. Uczestnicy konduktu pogrzebowego zdawali się nie zwracać uwagi na niego ani na jego filmujących kolegów.

Na dole, w mieście, jak było umówione, rozległy się dzwony kościelne.

12.00: —Teraz! —powiedział kapitan.

Żołnierze odstawili trumnę. Eskorta honorowa znów się uformowała. Porucznik Minder komenderował w napięciu jasnym głosem: — Cel! Pal!

Huknęły w niebo salwy z dwudziestu siedmiu karabinów. Następnie rozbrzmiały dalsze salwy od strony stanowiska ogniowego i jak echo poniosły się nad polami Francji.

I to trzykrotnie.

Albowiem żołnierze, którzy pozostali na stanowisku, zgodnie z planem, mieli sposobność nawet z oddali uczestniczyć w tej uroczystości. Stali pośród armat, również w sile oddziały — gotowi co do sekundy. Pomysł Heina, organizacja Krügera. Obaj rozkoszowali się swoim dziełem.

— Drogi kolego Runge! — zawołał kapitan. — Poszedłeś drogą, którą być może my wszyscy kiedyś będziemy musieli pójść. Stałeś się dla nas wzorem. I obojętne, gdzie poległeś, twoja ojczyzna jest tam. Niech ci ziemia lekka będzie!

Po czym koledzy spuścili trumnę z ciałem ogniomistrza do dołu; opadła głucho. Ludzie szybko zasypali ją ziemią. Uformowali mogiłę i ubili ją. Schubert, na znak Heina, położył na niej dwadzieścia trzy róże. Kapitan jeszcze raz zasalutował.

To było wszystko.

— Ludzie z kompanii propagandowej zostali nakarmieni zgodnie z rozkazem — zameldował Krüger swojemu szefowi. — Pieczone kurczęta i piwo.

— W porządku — powiedział Hein, czesząc starannie jasne jedwabiste włosy, gdyż skutek noszenia hełmu straciły nieco fason.

— Ci ludzie wyrazili życzenie, aby odtworzyć walkę naszej baterii z wrogimi elementami sabotażowymi.

— W biały dzień? Przecież walka odbywała się ciemną nocą!

— Oni powiedzieli, że posłużą się filtrami i różnymi innymi trikami. Będzie wyglądało tak, jakby to była noc. Dałem im do dyspozycji trzy kanistry benzyny w celu wywołania ognia i dymu.

— Bardzo dobrze — powiedział Hein, jakby nieobecny. Podeszedł do jednego z okien wieży i patrzył przed siebie, na grób Rungego, który znajdował się na wschodzie, powyżej miasta D. — Czy coś jeszcze?

— Obecność pana kapitana na stanowisku ogniowym podczas tego odtwarzania...

— Chyba nie jest konieczna?

— Nie bezwarunkowo konieczna, panie kapitanie, ale wskazana. Bo inaczej może się zdarzyć, że porucznik Minder ukaże się potem opinii publicznej w kronice tygodniowej. Do tego podporucznik Helmreich.

— Mój samochód! — rozkazał kapitan Hein, z miejsca zdecydowany.

— Już czeka!

Hein skinął na Krügera, założył na głowę furazerkę, wyszedł ze swojego pokoju, następnie w towarzystwie ogniomistrza pojechał na stanowisko ogniowe. Tu panował już stan alarmowy — z powodu ludzi z propagandy.

Minder próbował złożyć meldunek. Hein machnął tylko ręką. Zamiast niego Krüger zawołał: — Dalej, chłopcy! Nie przerywać! Pełną parą!

Feldfelbel z kompanii propagandowej, który kierował pracą kamerzystów, powiedział uradowany: — Jak to dobrze, że pan kapitan przybył, sprawa nabierze rumieńców. Proszę stanąć przy którejś armacie, resztę my załatwimy!

Hein jakby tego nie słyszał. Wiedział bowiem, że obojętne, gdzie stał, zawsze w tle znajdowała się jakaś armata. Spojrzał tylko na Krügera. A ten, wiedziony niezawod-

nym instynktem, powiedział natychmiast: — Pan podporucznik Helmreich do pana kapitana!

Podporucznik przybiegł i stanął przed kapitanem. Stał się możliwie dokładnie zasalutować, ale nie wyszło mu to zbyt przekonująco. Cywil w nim był nie do wytopienia.

— Czego pan tu szuka? — zapytał Hein ostrym tonem.

— Przepraszam, panie kapitanie... ale to odtworzenie... przy czym ja, tak jak podczas faktycznych zdarzeń...

— Czy nie wystarczy Runge? — zapytał Hein cicho i chłodno. — Kogo pan tu jeszcze chce położyć trupem?

— Bardzo przepraszam, panie kapitanie...

— Niech pan się wynosi! — rozkazał kapitan. — Natychmiast!

I podporucznik Helmreich wyniósł się — natychmiast. Pobiegł, lekko pochylony, do kwatery oficerów i tam się zasztył. Minder uśmiechał się szyderczo. Kilku żołnierzy stojących w pobliżu również się uśmiechało.

Starszy ogniomistrz Krüger oznajmił: — Wolne pole dla kamery! — A do feldfebla z kroniki tygodniowej zawołał po koleżeńsku: — Róbcie szybko i możliwie dokładnie!

— Oczywiście! — zapewnił ten z wdzięcznością i zaczął komenderować swoimi ludźmi. — Punkt centralny: pan kapitan! Nic więcej. To musi się wyróżniać!

Zdjęcie Heina w całości. I jeszcze jedno. Potem następne. A teraz do połowy: Hein na pierwszym planie — jak zwykle z badawczym spojrzeniem bohatera; tuż za nim obsługa armaty, wskakuje, obraca lufę, gotowa na wszystko, mimo to uśmiecha się! Następnie zdjęcie ogólne: stanowisko ogniowe pogrążone bez reszty w mrówczej pracy.

Wreszcie różne szczegóły: celowniczy pochylony w napięciu do przodu — dłoń zwalnia spust, płoną ruiny domu. Potem gęsty dym rozprzestrzenia się, wypełnia obraz. Widać było jak na dłoni — tu idzie o wszystko!



— Czy tak dobrze? — zapytał Krüger, stojąc obok  
1 leina, aby również znaleźć się na zdjęciu. — Czy mnie  
widać?

— Tak, tak, kolego, wszystko jak trzeba — powie-  
dział feldfelbel. — Tylko brak kropki nad „i”.

— Co przez to rozumiesz?

— Za mało tu zamieszania, kolego.

Wówczas Hein, nagle zdecydowany, zawołał: — Gra-  
naty przeciwpancerne!

— Co takiego? — zapytał porucznik Minder. — Czy  
się przesłyszałem? Czy pan kapitan powiedział: „granaty  
przeciwpancerne”?

— Tak powiedziałem — potwierdził Hein niedbale.  
— Po trzy dla armat „Anton” i „Cezar”. Myślę, że to wy-  
starczy.

— Wspaniale! — zawołał feldfelbel z kompanii pro-  
pagandowej. — O to właśnie chodziło, tego było po-  
trzeba!

— „Cezarem” pan będzie dowodził, panie Minder! —  
zawołał kapitan. — Pańskim celem jest wieża ciśnień, tak  
jak owej nocy!

— Ale to już prawie całkowita ruina!

— Wobec tego powinien pan zdmuchnąć z horyzontu  
owe resztki. Ja obejmę „Antona”.

— Ale...

— Niech pan nie hamuje akcji, Minder! — zarządził  
Hein, nie znoszący sprzeciwu. — W końcu nasi koledzy z  
kompanii propagandowej mają prawo jak najobszerniej  
poinformować opinię publiczną.

— Dziękuję, panie kapitanie! — zawołał z zachwytem  
feldfelbel od kroniki. — Pan nas rozumie i postaramy się  
za to odwdziżyć. — Posłał kamerzystę w stronę zrujno-  
wanego domu — kilka metrów w bok, do szczeliny.

— Powoli — szepnął mu Krüger. — O ile znam nasze-

go kapitana, już on się postara! Urządzi taki fajerwerk, o jakim ci się nawet nie śniło!

— Człowieku — powiedział feldfebel, podniecony — jeśli tak, to zróbę z niego bohatera. Tylko że będzie to zależało od dostarczonego materiału.

Hein tymczasem udał się do swojego działą. — Trzy granaty przeciwpancerne — szybko, jeden po drugim! — rozkazał.

— Tak jest, panie kapitanie! — zawołał działonowy. — Jaki cel?

— Kwatery oficerów! — powiedział Hein. Działonowy przyjął rozkaz bez najmniejszego wahania.

— Odległość: trzysta. Cel rozpoznany?

— Tak jest! — odrzekł celowniczy. Pozwolił sobie jednak zapytać: — Co mam wziąć na cel? Wejście? Parter? Piętro?

— Zmiećcie najpierw dach! — rozkazał Hein. — Ognia!

— Ognia! — zawołał działonowy.

Dach domu, w którym znajdowała się kwatera oficerów, został zerwany. Ukazała się dwumetrowa rozwarta rana pośród cegieł. Następny strzał zmiotł prawą stronę, trzeci — lewą. Drewno zaczęło dymić, płomienie pełgały, ściana boczna rozpadła się z hukiem.

Z domu wyczołgała się postać w mundurze oficera, przysypana tynkiem z sufitu — podporucznik Helmreich. Przez nikogo nie traktowany poważnie.

Kapitan Hein zawołał donośnym głosem: — Teraz pan, Minder!

I Minder przy pomocy równie dobrze wyszkolonego działonowego „Cezara” zmiotł resztki wieży ciśnięć. Wszystko więc, co kiedykolwiek zasłaniało pole obstrzału, zostało usunięte.

— To nadzwyczajne — wprost niepowtarzalne! —ję-  
knął feldfelbel z kompanii propagandowej, uszczęśliwiony.  
— Czy wszystko macie w kasetach?

Wszystko mieli w kasetach. Najlepszy materiał!

### ***Wielka eskalacja***

***Porucznik Minder u starszego  
ogniomistrza Krügera  
Miejsce: kancelaria trzeciej baterii na  
terenie zamku  
Czas: dzień po pogrzebie, wczesne  
popołudnie***

*Porucznik Minder wchodzi do pomieszczenia, w któ-  
rym Krüger przerzuca dokumenty.*

*Minder, niecierpliwie: — Człowieku, co tu się dzieje?*

*Krüger: — A co, zdaniem pana, miałyby się dziać?*

*Minder: — Czy pan nie widzi, że tu się wszystko wali?*

*Krüger: — Ale nie u mnie, nie w moim parku atnuni-  
cyjnym. I mam nadzieję, że również nie u pana na stano-  
wisku bojowym. Czy coś się tam stało?*

*Porucznik podchodzi do starszego ogniomistrza, po-  
chyła się, opiera na jego biurku i patrzy poufnie na Krüge-  
ra, na co ten, w oczekiwaniu, poprawia się na krześle.*

*Minder: — Na przedpołudnie przewidziane były dwu-  
godzinne ćwiczenia, ale pan kapitan się nic zjawił. Na po-  
południe plan przewidywał apel, ale pan kapitan znów się  
nie zjawił. Dlaczego?*

*Krüger: — To chyba jego sprawa?*

*Minder: — Krüger, co mu się stało?*

*Krüger: — To, panie poruczniku, nie moja rzecz.*

*Minder: — Czyżby pan kapitan był chory?*

*Krüger: — Nie jestem lekarzem, panie poruczniku.*

*Minder.* — Na miłość Boską, czy nic nie jest w stanie wyrwać pana z tego cholernego spokoju? Co musiałyby się stać, żeby pana poruszyło? Zabawa w alarm ze śmiertelnym skutkiem — w porządku, może się zdarzyć. Ale potem ten pogrzeb z pompą — to po prostu niepotrzebne, przejmujące wyzwanie! I wreszcie ta bezsensowna strzelanina w biały dzień — w sam środek domu, przy tym jeden z oficerów znalazł się w niebezpieczeństwie śmierci.

*Krüger:* — Czy mogę krótko wyjaśnić, panie poruczniku? Chodziło tu o coś w rodzaju prezentacji w celu zapisu dokumentacyjnego. Poza tym nie strzelano w środku domu, do kwatery oficerów, tylko zniesiono dach. Nie ma też chyba mowy o poszkodowaniu oficera, który przebywał na dole.

*Minder:* — Jestem jednak innego zdania!

*Krüger:* — Czyżby pan zamierzał złożyć raport na piśmie w tej sprawie? Ewentualnie spowodować, że podporucznik Helmreich sporządzi pisemny meldunek? Jeśli by tak było istotnie, w co nie mogę uwierzyć, to pozwalam sobie zwrócić panu uwagę, panie poruczniku, na obowiązującą u nas drogę służbową. Odnośne meldunki muszą być najpierw przedstawione baterii, a więc na moje ręce — dla kapitana Heina. Czy o to panu chodzi?

*Minder:* — Krüger, dla kogo pan właściwie pracuje?

*Krüger:* — Ja nie pracuję tu ani przeciwko panu, ani dla pana, ani dla nikogo innego, tylko dla naszej baterii.

***Bert Bergen u Elisabeth Erdmann***  
***Miejsce: pracownia w pawilonie***  
***Czas: późne popołudnie***

*Gefrajter Bergen wchodzi do środka, wymachując w stronę Elisabeth zwiniętym rulonem płótna, grubości ręki.*

*Rzuca go następnie na środek stołu, po czym odsuwa na bok wszystko, co tam leży, i rozwija płótno. Ukazuje się Fragonard. Erdmann przygląda mu się z zachwytem.*

*Elisabeth: — Jak to załatwiłeś?*

*Bergen: — Całkiem prosto! Podczas uroczystego pogrzebu zamieniłem tę olejną szynkę na inną. W tym czasie nie było w zamku nikogo — oprócz mnie; miałem tam służbę przy centrali telefonicznej.*

*Elisabeth: — A więc załatwione.*

*Erdmann przygląda się zamyślona Fragonardowi, który jest wart sto tysięcy marek. Jej oczy błyszczą. Bergen patrzy na nią uradowany.*

*Bergen: — A więc zaaranżujesz uroczystą kolację. Dołączysz ode mnie wszystko, co jest do tego potrzebne, łącznie z przednim winem: trochę chablis do ryby, burgunda do mięsa, następnie szampana — wszystko z zapasów kapitana Heina.*

*Elisabeth: — Ale tu, w tym pawilonie, dziś się nie uda. Na dziś zamówiła go sobie Werner-Weilheim. Chce mieć w nocy spokój, ze swoim Armem.*

*Bergen: — Wiem! Ale nie musimy jej wcale przeszkadzać. W dodatku twój profesor został zaproszony do Hotel de France. Załatwiłem dla ciebie mieszkanie zarządcy. Możesz tam przebywać w spokoju przez parę godzin, bo Softer, Kamiński i Forstmann wybierają się razem z panienkami na wycieczkę do Paryża.*

*Elisabeth: — A Johannes Schubert?*

*Bergen: — Przyjdzie, jeśli mnie intuicja nie myli. Nie*

ma, zdaje się, innego wyjścia. Ten poczciwy chłopak potrzebuje pilnie kogoś, kto by go znów doprowadził do równowagi. A więc twoja godzina wybiła!

***Johannes Schubert u Karła Ludwiga Heina***  
***Miejsce: pokój w wieży zanikowej***  
***Czas: o zmierzchu***

*Kapitan Hein stoi oparty o północne okno wieży i patrzy w kierunku Paryża, a bez wątpienia jeszcze dalej. Jego celem są Niemcy.*

*Przyciska do piersi karabin — wąski, stalowoszary, lśniący przedmiot — jakby to było dziecko, które trzeba ochraniać. Patrzy przy tym w dół, na grób Rungego.*

*Gefrajter Schubert stoi za nim. Nieruchomy, jak niemal zawsze, bezradny; usiłuje pojąć, co się tu naprawdę dzieje. Zaczyna drżeć.*

*Kapitan składa się do strzału. Następnie strzela. Po czym uśmiecha się jakby z ulgą. I znów opiera się o okno.*

*Hein: — To był ptak — na grobie Rungego.*

*Schubert: — Może on chciał zaśpiewać?*

*Hein: — Śpiewał, ale jednocześnie wypuścił kał. A tak nie należy.*

*Schubert milczy zmieszany. Cofa się — ale tylko dwa kroki — wygląda, jakby chciał się schować. Po chwili jednak staje na swoim miejscu. Jego twarz jest blada.*

*Widzi, że kapitan znów podnosi broń, celuje krótko i strzela. Następnie jego ręce głaszczą broń, jak gdyby to była kobieta.*

*Hein: — Tym razem był to pies.*

*Schubert:— Pies?*

*Hein:* — Jakiś kundel, przypuszczalnie brudny i śmierdzący, zbliżał się do grobu.

*Schubert:*—Ale...

*Hein:* — Aby na niego nasikać! Po cóż by innego? Takie kundle nic innego nie potrafią. One obwąchują nawzajem swoje tyłki, to obrzydliwe.

*Schubert:* — Ale żeby od razu strzelać do takiego zwierzęcia? Tylko dlatego, że robi to, co musi robić, ponieważ inaczej nie potrafi? Nie rozumiem tego. Po prostu nie pojmuję!

*Kapitan Hein opuszcza broń. Następnie podchodzi do Schuberta, obejmuje go, przyciska mocno do siebie-*

*Hein:* — Jakże nieskończenie wiele musisz jeszcze się nauczyć, Johannes! Ale będę miał do ciebie cierpliwość. Nie ruszaj się! Nie próbuj mnie obejmować. Stój spokojnie. Nie okazuj żadnym prymitywnym gestem, co, być może, do mnie czujesz. Ucz się panować nad sobą! Nie ruszaj się! Pozwól się unosić jakby nieskończonemu prądowi!

*Nagle Hein odrywa się od Schuberta. Jednocześnie odpycha go od siebie, aż gefrajter zatacza się na ścianę pomiędzy dwoma oknami. Uderza się i osuwa na podłogę.*

*Hein wskakuje na niski parapet okna i wyciąga rękę. Jego oczy zdają się płonąć. Mówi:*

— Jestem niezniszczalny. Nawet przepaść nie jest w stanie mnie pochłonąć! Czyż nie tkwi w tym jakiś głębszy sens? Czy ty to pojmujesz, Johannes?

*Gefrajter Schubert podnosi się, głęboko przerażony, i ucieka.*

**Ogniomistrz Arm i doktor Werner-  
Weilheim  
wkrótce potem ogniomistrz Moll  
Miejsce: pawilon w ogrodzie  
Czas: wczesnym wieczorem tego samego  
dnia**

*Arm wymachuje butelką koniaku — z miną posiadacza podchodzi do swojej damy, która patrzy na niego niecierpliwie.*

*W-W: — Czy znów ci pilno?*

*Arm: — Przy tobie zawsze! Chyba ci to odpowiada?*

*W-W: — Cieszę się niewymownie.*

*Arm obejmuje ją, przyciąga do siebie, głaszcze jej ramiona, plecy, siedzenie. Stwierdza z radością, że kobieta zaczyna ciężko oddychać.*

*W-W: — Jesteś dziś szczególnie podniecony, Paul! Może byś przedtem coś zjadł albo się napił?*

*Arm: — Ach, co tam! Chcę tylko ciebie! Przygotuj się i zgaś światło. Zaraz przyjdę, muszę tylko chłopcom...*

*Doktor Werner-Weilheim wycofuje się, gasi światło w swoim pokoju, szybko się rozbiera i kładzie na łóżku.*

*Arm tymczasem otwiera drzwi Mollowi, który czeka już zadowolony pod drzwiami, nasłuchując.*

*Arm: —Tylko żadnych zbędnych słów, pamiętaj! Żadnych zwierzeń! Ostrzegam cię!*

*Moll: — Będzie dobrze! Nie jestem przecież nowicjuszem.*

*Minęło kilka minut. Arm spogląda w rozgwieżdżoną noc i nasłuchuje. Nagle słyszy okrzyk rozkoszy, potem*



*drugi okrzyk – nastąpiło spełnienie. Znów zapala się światło.*

*W-W: –Ty świnió! Ty gnoju! Precz stąd!*

*Moll ucieka – biegnie obok Arma, w przelocie stwierdza z uznaniem: „Ta to się zna na rzeczy”. Arm jest nad wyraz zadowolony z siebie.*

*Werner-Weilheim rzuca się na niego. Wpija się w niego całą siłą. Próbuje go uderzyć w twarz.*

*Arm: – Uspokój się! Przetrwiałś próbę!*

*W-W: – Kogoś ty mi tu podsunął! Niemieckiej kobiecie! Pożałujesz tego, ty draniu!*

### ***Bergen i Schubert***

***Miejsce: kwatera żołnierzy w zamku***

***Czas: również wczesnym wieczorem***

*Gefrajter Bergen leży na sienniku. Bez ruchu. Patrzy w sufit. Jest całkiem ubrany. Od czasu do czasu spogląda na zegarek. Wchodzi gefrajter Schubert – jak płochliwa sarna, która zbliża się zalekniona do paśnika. Staje przed Bergenem, następnie siada obok niego. Jęczy.*

*Schubert: – Bergen, proszę cię, pomóż mi!*

*Bergen: – Wyglądasz na mocno wyczerpanego. Kiedy ostatni raz jadłeś?*

*Schubert: – Rano, a może koło południa. Już nie pamiętam. Czy to ważne?*

*Bergen: – Człowiek potrzebuje regularnie jeść i pić. Przynajmniej o to się dla ciebie zatroszczyłem. Zostałeś zaproszony przez Elisabeth. Czeka na ciebie. Już od jakiegoś czasu.*

*Schubert:* — Ale ja, być może, będę musiał iść do mojego kapitana.

*Bergen:* — To pójdziesz później. Na razie skorzystaj z zaproszenia, które ci załatwiłem, i pójdz do Elisabeth. To cię wzmocni. Kto wie, co cię czeka! Ale to się okaże.

*Schubert:* — Dlaczego ty to wszystko dla mnie robisz?

*Bergen:* — Powiedzmy, że jestem twoim przyjacielem. Lecz nie wyobrażaj sobie pod tym nic niegodnego. Niegodne, mój drogi, są całkiem inne rzeczy.

*Schubert, głęboko zamyślony:* — On strzelał do zwierząt — najpierw do ptaka, potem do psa.

*Bergen:* — Do ludzi także strzelał — i także trafiał. To należy do rzemiosła.

*Schubert:* — To było straszne — wprost brak mi słów, aby nazwać to zdarzenie. Ja kocham zwierzęta.

*Bergen:* — Pokochaj również ludzi! Zaczynj od dziewczyny, gorąco ci to polecam. Nie ma nic lepszego, aby przynajmniej na kilka minut przestawić myśli na inne tory. A więc znikaj, przyjacielu — panna Erdmann czeka.

***Arm wraz z Mollem u Krügera***  
***Miejsce: kantyna na parterze zamku***  
***Czas: wieczorem***

*Krüger siedzi początkowo sam. Kazał żołnierzom opuścić kantynę, dał im przepustki do miasta aż do północy, personelowi pomocniczemu również. Otacza go całkowita cisza — zdaje się nią rozkoszować.*

*Popija piwo, pali holenderskie cygaro i nasłuchuje niecierpliwie. Zdejmuje buty z cholewami i kładzie nogi na stole, na białym lnianym obrusie.*

*Sprawia wrażenie usposobionego pogodnie, uśmiecha się do siebie i czeka leniwie. Tak mijają długie minuty, ro-*

*bią się z nich kwadranse, ale Krüger nie okazuje śladu niepokoju.*

*Wreszcie wpada Arm, poprzedzany przez Molla. Obaj są niezwykle wzburzeni. Z trudem stają na baczność przed Krügerem, który leniwie im się przygląda.*

*Arm: — Katastrofa, Krüger! I ta dupa Moll jest wszystkim winien!*

*Moll: — Czego chcesz, zrobiłem wszystko, co mogłem!*

*Arm: — Zawiódł na całej linii! Nie poszedł od razu na całość, tak jak ją przyzwyczaiłem... musiało się nie udać.*

*Moll: — Chciałem elegancko — w końcu jestem dżentelmenem, nie capem. A ona dostrzegła tę drobną różnicę.*

*Arm: — Po czym go wyrzuciła. Zwymyślała go, a później nawet mnie próbowała dać po twarzy. Ona się zemści, straszliwie zemści. Popamiętamy ją, tak powiedziała!*

*Krüger: — No to pięknie. A więc wszystko poszło jak najlepiej.*

*Arm, patrząc z niedowierzaniem: — Co to znaczy? Ona wprost wyszła z siebie! To może zaszkodzić nie tylko mnie, ale nam wszystkim!*

*Moll: — Jeśli idzie o temperament, to była całkiem dobra, ale nie nadzwyczajnej klasy, jak zapowiadano.*

*Arm, wzburzony: — Zamknij swoją parszywą gębę, ty nędzny partaczu — zepsułeś robotę! Nigdy ci tego nie zapomnę!*

*Krüger, łagodnym tonem: — Panowie, pomyślcie tylko; jeżeli patrzy się z perspektywy seksu, sprawa się nie udała, ale właśnie dlatego wszystko jest jak trzeba, jeśli patrzy się z perspektywy naszej praktyki!*

*Arm: — Ostrzegam cię, nie znasz mojej pani doktor.*

*Krüger: — To ona mnie nie zna! To znaczy, ona nie wie, jak funkcjonuje prawdziwy korpus oficerski — za-*

przyjaźniona wspólnota, jak nasza, koledzy! W każdym razie teraz to monstrum jest wyłączone, i to raz na zawsze! Dzięki wam! Wypijmy za to!

***Bergen i Magnus***  
***Miejsce: Hotel de France w D.,***  
***restauracja***  
***Czas: późnym wieczorem po kolacji***

*Magnus:* — Dlaczego pan wciąż mnie śledzi?

*Bergen:* — Aby wreszcie się dowiedzieć, co pan naprawdę myśli.

*Magnus:* — Czy już panu tego nie powiedziałem? Co pan jeszcze chce ode mnie usłyszeć?

*Bergen:* — Dużo pan powiedział, panie profesorze. Ale przypuszczam, że jeszcze więcej pan przemilczał, bym nie był zbyt ciekawy. Lecz ja jestem cholernie ciekawy.

*Profesor Magnus wacha koniak, który kazał sobie po-  
dać na deser wraz z kawą. Mruży oczy. Włosy opadają mu  
na czoło.*

*Magnus:* — Pańskie uporczywe prowokowanie złości mnie i smuci. Niech pan mi pozostawi mój świat, ja panu pozostawiam pański. Ja wiem, co to jest historia, musiałem ją studiować. To mi wystarcza!

*Bergen:* — Wyobrażam sobie, do jakich wniosków pan przy tym doszedł. To wszystko tylko kupa gnoju, prawda? Nie ma na tym świecie nic, co by nie śmierdziało.

*Magnus:* — Jest pan taki młody, a już tyle w panu sceptycyzmu. Czuje się pan wydany mocom, które są jak-by odkurzaczem wieczności. Całkiem słusznie! Ale od kogo pan się tego nauczył?

*Bergen:* — Od takich ludzi jak pan, panie profesorze.

Widziałem, jak pan pracował przy jednej z trumien w kaplicy — z oddaniem, ale jednocześnie z szaloną pogardą. Czy poczuł pan gnicie, które ostatnio opanowuje wszystkie stulecia? Wciąż jacyś uprzywilejowani ludzie próbują pana wywieść w pole — za pomocą grubych murów, żelaznych trumien i kłocowatych nagrobków z inskrypcjami. Ale na próżno!

*Magnus:* — Zgadza się! To wszystko jest tylko śmiechu warte!

Była północ.

Kapitan Hein stał w drzwiach swego pokoju w wieży i spoglądał przez okno. Miał przed sobą cały świat. Rozmyślał: wszystkie kraje, wszystkie ziemie, obojętne gdzie się znajdowały i jak były piękne, stanowiły w gruncie rzeczy tylko pola bitew. Miały tylko jedno przeznaczenie — być miejscem siewów i zbiorów, życia i śmierci. To śmierć jedynych umożliwiała życie innym.

Hein oparł się, jakby bez sił, o framugę drzwi. Łzy napłynęły mu do oczu, ale nie przesłoniły całkowicie widoku. Wzdychając, patrzył w gwiazdy.

Na ramiona narzucił sobie płaszcz księżący. Było mu zimno. Ale jego twarz płonęła; pokryta potem lśniła w blasku pełni księżyca. Głowa go bolała — przycisnął dłonie do skroni, masował je okrężnymi ruchami.

Nagle znieruchomiał. Nasłuchiwał. — Czy jest tu kto? — zapytał. — Czy to ty, Johannes?

— Nazywam się Bergen — odezwał się gefrajter z ciemności, zbliżając się powoli.

— Nie wzywałem was — powiedział kapitan niechętnie, z trudem się prostując. — Czekam na Schuberta, na nikogo więcej.

— On jest zajęty gdzie indziej — rzekł Bergen.

— Nie opowiadajcie mi tu żadnych obrzydliwości. — Kapitan wyglądał na zmęczonego.

— Panie kapitanie, czy nie uważa pan, że sprawy, które dla pana są obrzydliwe, to w gruncie rzeczy normalne ludzkie sprawy? To zależy tylko od punktu widzenia.

— Zdecydowanie odrzucam taką teorię.

— Już wielu próbowało określić, co wolno, a czego nie wolno. Ale nikomu się to dotychczas nie udało.

Hein przyłgnął do framugi. — Nie zwywałem was — próbował zmienić temat.

— Pomyślałem sobie, że mógłby mnie pan potrzebować, skoro Schubert jest zajęty. A może jest pan ciekawy, w jaki sposób i przez kogo?

Kapitan podbiegł do wąskiej ściany pomiędzy oknami, przycisnął głowę do muru. Jęczał jak dziecko, które się uderzyło. Po chwili odezwał się przytłumionym głosem, jakby sam do siebie: — Jestem przyzwyczajony być sam.

— Do tego wszyscy musimy z czasem przywyknąć, czy tego chcemy, czy też nie. Nie mamy innego wyboru!

— Samotność — mówił Hein dalej — to ostateczny, nieunikniony rachunek, jaki nam życie wystawia! Urodziliśmy się i od pierwszego tchnienia jesteśmy naznaczeni. Każdy nasz dzień jest pożegnaniem: z wielką nadzieją, z przyjacielem, z piękną chwilą! I nie mamy nikogo, kto by nas pożałował.

— A może nikt nas nie żałuje dlatego, że i my nikogo nie żałujemy? Nawet Rungego!

— Runge poniósł ofiarę — powiedział Hein. — *Jedną* z tych ofiar, które wciąż musimy ponosić, skorośmy się zdecydowali szukać drogi do siebie samych. Aby potem stwierdzić: życie przynosi śmierć, ale śmierć stwarza także życie! Jest to nieuchronna kolej rzeczy — na trupach rosną najpiękniejsze kwiaty. Śmierć Rungego wynika poza

tym z doniosłej militarnej konieczności! Była to najwspanialsza ze wszystkich żołnierskich śmierci!

— Wiem, jak do niej doszło — oświadczył Bergen. — Słyszałem, nie całkiem przypadkowo, kilka pańskich rozmów z ogniomistrzem Rungem. Wynika z tego, że to pan zainspirował zorganizowanie fajerwerku na stanowisku ogniowym. I Runge przy tym zginął.

— Ależ nie, Bergen! Mylicie się! Ja nie nakłaniałem go do tego! Nie było to wcale konieczne. Ja go tylko nie powstrzymałem przed tą akcją.

— A czy to w rezultacie nie wszystko jedno?

— Oczywiście, że nie! Wyraźnie nie potraficie myśleć po żołniersku, ale nie mam o to do was pretensji. Musicie mi jednak wierzyć: oddałbym rękę za życie mojego Rungego.

— A ile, panie kapitanie, jest dla pana wart Schubert?

Hein, przyciśnięty do framugi, patrzył teraz w dół, na park amunicyjny. Po chwili rzekł cicho: — Za przyjaciela oddałbym życie! O ile na to zasługuje.

— Na szczęście on na to nie zasługuje.

Kapitan wyprostował się i okręcił szczerzej płaszczem książęcym.

— Gdzie zatem jest mój Schubert?

— W burdelu, panie kapitanie.

— Nie — powiedział Hein z trudem, lecz roześmiał się z ulgą. — Nie, Bergen, nie wierzę wam! Nie wmówicie mi tego. To nie pasuje do mojego Schuberta. Z pewnością on również może popełnić błąd i upaść. Ale nie od razu tak nisko. Tego jestem absolutnie pewien!

— Nie chodzi tu, panie kapitanie, o którąś z tych dam z burdelu — informował Bergen, starając się być rzeczowy. — Te bowiem znajdują się obecnie w Paryżu, dokąd wybrały się w tak zwaną podróż służbową; zakończy się ona chyba dopiero wczesnym rankiem.

— A co się tam teraz dzieje? Czyżby to, co pan mi tak uparcie usiłuje wmówić?

— Panna Erdmann wydaje przyjęcie dla Schuberta!

— Czy to pan ją do tego nakłonił?

— Nawet gdyby tak było, panie kapitanie — ważne jest, że ona to robi. A jeszcze ważniejsze, że Schubert się na to zgadza. Nie unika jej, ponieważ nie może! Nie chce!

— Nie mogę w to uwierzyć!

— Czy mam pana tam zaprowadzić, panie kapitanie?

— To nie jest konieczne, Bergen! — stwierdził Hein, z trudem opanowując zdenerwowanie. — Wasza propozycja, aby tam pójść, dowodzi, jak mało znacie mnie i Schuberta. Domysły, podejrzenia czy kontrole tego rodzaju nie są potrzebne. Wystarczy nasze słowo!

— Niech więc pan go zapyta, chętnie przyprowadzę panu Johanna Schuberta.

— On nie przede mną nie przemilczy, jestem tego pewien! On mi wszystko powie. Nie okłamię mnie!

— Ale pan nie chce wiedzieć, prawda, panie kapitanie?

— Nie słyszałem tej uwagi, Bergen — oświadczył Hein z trudem. — Nie jestem człowiekiem, który unika prawdy!

— Wobec tego przyprowadzę Schuberta, żeby pan mógł go zapytać. Już biegnę, to nie potrwa dłużej niż dziesięć minut, najwyżej kwadrans.

Johannes Schubert zameldował się po kwadransie, przyprowadzony przez Bergena. Zdawało się, że Hein tkwił w tym samym miejscu, w nie zmienionej pozycji. Stał jak posąg.

— No, jesteście wreszcie, Schubert! — zawołał do Johanna, niepotruszony. — Pottzebowałem wasi



— Skąd mogłem wiedzieć, panie kapitanie — oświadczył Schubert — nie było rozkazu.

— Ale teraz znów tu jesteście, Johannes! A to jest najważniejsze.

— Lecz chyba nie jest całkiem bez znaczenia — wmieszał się Bergen — gdzie on tymczasem przebywał.

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, Johannes? — zapytał kapitan.

— Po tym, co się wydarzyło z Elisabeth Erdmann, może to mieć znaczenie. Czy chciałbyś zaprzeczyć, Johannes? — powiedział Bergen.

— Nie musicie mu odpowiadać! — zawołał Hein ostrzegawczo. — Tylko mnie powinniście udzielać odpowiedzi, jeśli uznam to za słuszne albo konieczne.

Schubert, stojąc między kapitanem a Bergensem, złożył dłonie jak do modlitwy. Następnie odezwał się z trudem, ochryplym, niemal skrzeczącym głosem: — Nie wiem, czego się ode mnie oczekuje, w każdym razie nie czuję się winny.

— To mi wystarczy — rzekł Hein jakby na zakończenie.

— Zgoda — powiedział Bergen. — Ale co to znaczy, że ktoś nie czuje się winny? Może to, że tylko we własnych oczach nie jest winny? Przyznaj się, Schubert, przecież spałeś z tą Elisabeth Erdmann?

— On tego nie mógł zrobić! — jęknął Hein.

— A jeśli tak, panie kapitanie; to co wtedy?

— Wobec tego jest stracony. Ale nie mogę, nie chcę w to uwierzyć! Potwierdźcie mi, Johannes, że mam prawo wierzyć w nieskalaną czystość!

I Schubert oświadczył, spuszcżając głowę: — Mogę tylko powiedzieć tyle: kocham ją.

— A więc spał z nią — powiedział Bergen dobitnie.

Johannes Schubert patrzył na swego kapitana błagal-

nym wzrokiem. Patrzył w skamieniałą twarz. Zapytał w końcu: — Czy to rzeczywiście coś złego?

— Czy istotnie zrobiliście to, Johannes?

— To wszystko było takie oczywiste...

— Jeśli to prawda, Schubert — wykrzyknął kapitan, głęboko dotknięty — to jesteście w moich oczach skończeni! Raz na zawsze!

— Nie pomyślałem, panie kapitanie, że przez to... ,

— Tym gorzej! — darł się Hein jak w silnych bólach.

— Nie potraficie myśleć. Nie jesteście zdolni do wyższych uczuć. A więc jesteście w gruncie rzeczy tylko nieopanowaną, zmysłową istotą. Stworzeniem niższego rzędu. Zasługującym na pogardę!

— On nie chciał uczynić nic ponad to, co czynią tu wszyscy — zauważył Bergen, chcąc udobruchać kapitana.

— Zamknijcie się! — krzyknął Hein do gefrajtra. — Idźcie stąd natychmiast, a wy, Schubert, razem z nim! Nie należycie do mojego świata. A więc wynoście się z niego!

I wyciągając rękę w kierunku Johanna Schuberta, a jednocześnie odwracając głowę, jakby nie mógł znieść jego widoku, Hein rzekł przytłumionym głosem: — Nie chcę was więcej widzieć!

Kilka sekund później kapitan Hein był już sam w pokoju. Stał w migocącym blasku świec. Otulał go książęcy płaszcz. Ciemność za nim pochłaniała jego cień.

Był niezwykle wyczerpany, ledwo się trzymał na nogach. Ale ze wszystkich sił starał się zapanować nad swoją słabością. Twarz znów ożyła, pojawił się na niej chłodny uśmiech.

Ujął świecznik, który stał przed nim na stole, podniósł go w górę prawą dłonią, lewą poprawił płaszcz. I wyszedł.

Początkowo kroczył powoli, miarowo, potem coraz szybciej, przez salę balową, następnie niemal biegiem po schodach w dół, na taras, do parku, wreszcie do kaplicy. Płaszcz odchylił się i powiewał za nim jak sztandar.

Kiedy Karl Ludwig Hein stanął przed kaplicą, kopnął z całej siły drzwi. Otworzyły się, uderzając głucho o grube mury, jakby odezwał się ciężki dzwon. Nawa kaplicy za drżiała.

Karl Ludwig, niewzruszony, szedł dalej do ołtarza, trzymając przed sobą świecznik.

Zbliżył się do trumny, która stała przed ołtarzem. Postawił na niej świecznik i wówczas spostrzegł z boku człowieka, który przykucnął na stopniu ołtarza.

Hein poznał profesora Magnusa i rzekł do niego, mocno zdziwiony, ale też niezmiernie uradowany: — Pan tutaj? O tej porze?

— Czekałem na pana — odpowiedział Magnus, nie zmieniając postawy. — Robię tak już od kilku nocy, dokładniej: od owej nocy, kiedy pan się tu zjawiał po raz pierwszy. Powiedziałem sobie mianowicie: on tu znów przyjdzie!

— Przyszedłem. Nic mogłem inaczej. W takiej godzinie jak ta musiałem tu być. — I cicho dodał: — Gdzie miałem pójść?

— A cóż to za godzina?

— Godzina prawdy! — oświadczył Hein, także siadając na stopniu ołtarza. — Porównywalna chyba z sytuacją człowieka, który podczas silnej burzy przyciska się mocno do ziemi, wierząc, że albo go ona ochroni, albo zabierze! Ja jej ufam! A teraz i pan tu jest — przy trumnie naszego księcia!

— To jest trumna — powiedział Magnus — ale nie jego grób!

— Czy pan to wreszcie wie z całą pewnością, czy też tylko pan przypuszcza, tak jak dotychczas?

— Trumna jest pusta — i teraz wiem, dlaczego.

— Wie pan? Czyżby pan w końcu odkrył, co tu się naprawdę stało? A więc co? Czy księżę został pochowany na polu bitwy wraz ze swoimi towarzyszami? Czy też nie-ludzcy wrogowie wykradli jego zwłoki, aby je zniszczyć?

— Nic z tych rzeczy! — profesor Magnus patrzył błyszczącym wzrokiem na światło świec. — On po prostu zgnił.

— Co zrobił? — zapytał Karl Ludwig Hein z niedowierzaniem.

— Zgnił za życia!

— Czy został otruty?

— W początkowym stadium był pokryty wrzodami w okolicy podbrzusza. Jego węzły chłonne powiększyły się. Następne stadium to zapalenie migdałów, wypadanie włosów, ropiejące oczy. Potem cała skóra pokryła się ropiejącymi wrzodami. Rdzeń kręgowy rozmiękł, mózg się skurczył — w ostatnich dniach życia księżę już tylko się czuł.

— A więc co się z nim stało? — zawołał Hein, udreńczony. — Na jaką chorobę zapadł?

— Zniszczyła go całkowicie — oświadczył Magnus. — Najpierw nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł chodzić, a cóż dopiero jeździć konno. Dwóch służących musiało go sadzać na nocniku. Następnie osłabły mu ręce, karmiono go jak małe dziecko. Był łysy i bezzębny, język miał obrzmiały — nie mógł wyraźnie mówić.

— Mój Boże — jęknął Hein — jaki to miało sens? Dlaczego tak się stało? Kto był temu winien?

— Jego skarłały mózg zawodził coraz bardziej — Śmierdział potem, ropą, moczem i kałem.

— Ale dlaczego, na Boga, dlaczego?

— On cierpiał na syfilis, który wówczas był nieuleczalny i nazywano go „francuską chorobą”. Tej choroby Charles Louis nabawił się podczas kampanii wojennej od jednej z prostytutek. A wiele ich było na jego drodze i żadnej nie przepuścił.

— Nie! — zawołał Karl Ludwig Hein. — Nie! Tylko nie to!

— Proces gnicia posunął się tak daleko, że lekarzom pozostało już tylko jedno: spalić ciało! I dlatego, panie kapitanie, ta trumna jest pusta.

Hein wstał ze stopnia ołtarza i wybiegł na dwór, nie patrząc nawet na trumnę księcia. Pogrążył się w ciemności jak w nieskończonym morzu. Nie było dla niego powrotu!

### ***Przerywnik ósmy***

#### ***Wyznanie doktor Werner-Weilheim na temat: kobieta i wojna***

„My, członkowie grupy Magnusa, mieliśmy w owych dniach pełne ręce roboty z realizacją naszych zadań naukowych, co mnie jednak nie powstrzymało przed roztozeniem opieki nad wojskiem. Oczywiście bez względu na stopień służbowy i stanowisko. Już wówczas zaznaczył się demokratyczny sposób myślenia.

Objęłam więc swoją opieką gefrajtra nazwiskiem Bergen, który został nam przydzielony, jak również kilku podoficerów, z którymi weszliśmy w bliższe kontakty. Ale za pierwsze nawet mi nie podziękowano, a to drugie doprowadziło nawet do przykrych podejrzeń. Trudno! Takie możliwości trzeba zawsze brać pod uwagę.

Jednakże wówczas w D. — w większości wypadków — panowała harmonia. Kapitan Schmidt był wprost wzruszający w swoich staraniach. A podporucznik Helreich z trzeciej baterii, nadzwyczaj miły człowiek, udzielał mi swego pełnego poparcia. Również porucznik Minder starał się zawsze działać po myśli swego kapitana Heina, który był wprost niezwykły. Prawdziwy bohater. Człowiek honoru. Dżentelmen i filozof.

Jeszcze dziś przejmuję mnie dreszcz, jak myślę o jego tragicznym końcu".

***Oświadczenie byłego podoficera  
Siegfrieda Softera  
na temat jego ówczesnej działalności***

„Co pan chce jeszcze wiedzieć? Wszystkie bowiem szczegóły dotyczące zorganizowanego przeze mnie przedsięwzięcia — przez niektórych nazywanego burdelem — są chyba panu już znane. Pozostaje tylko konkretnie wyjaśnić, jak to było naprawdę z tym moim magazynem towarów.

A więc: moje starania miały na celu wyłącznie dobro żołnierzy! Odpowiedzmy sobie szczerze: co czyni wojaka krzepkim? Po pierwsze, dobre jedzenie, po drugie, picie, w końcu jednak tak zwana wieczna kobiecość.

A to znaczyło w praktyce: trzeba było mieć do dyspozycji likiery, perfumy, cienką bieliznę, pończochy jak również biustonosze; następnie skórkowe rękawiczki, bluzki, koronki... To wszystko znajdowało się u mnie na składzie. I to po nadzwyczaj korzystnych cenach.

Tajemnicą moich ówczesnych sukcesów była planowo zorganizowana działalność opiekuńcza. Już podczas działań wojennych w Polsce udało mi się uchronić

przed splądrowaniem różne sklepy w płonących i zburzonych miejscowościach. Udało mi się to również i potem, ale świadomie i w formie zorganizowanej, pomiędzy bitwami we Francji — wzdłuż naszych szlaków bojowych. Później nastąpiły korzystne, w porę dokonywane, całkiem legalne transakcje handlowe z francuskimi kupcami — w praktyce daleko wyprzedzające EWG.

Doszło do tego, że mogłem naszym żołnierzom zaofiarować różne paczki po korzystnych cenach w celu wysłania ukochanym do domu.

Na przykład zestaw numer jeden, przeznaczony dla drogiej matek i babć: trzy gatunki szlachetnego likieru, mianowicie cointreau, chartreuse — do wyboru: żółty albo zielony, oraz peperment, biały albo zielony; dalej bretońskie koniaki lub chiński jedwab, który starczał na suknię; wreszcie nugat z doliny Renu albo placek migdałowy z Prowansji. Cena: jedna marka pięćdziesiąt.

Następnie kolekcja numer dwa, specjalnie dla narzeczonych, ale także dla siostr i oczywiście żon. Zawartość: bielizna we wszystkich kolorach, na życzenie również czarna; do tego kilka rodzajów perfum; także dwie szminki; tusz do rzęs z pędzelkami; wreszcie lakier do paznokci — i tak dalej. Oczywiście przebój! Kosztowała również jedną markę pięćdziesiąt.

Dochodził jeszcze specjalny zestaw, na przykład dla ojców, szwagrów i przyjaciół — przede wszystkim z szampanem i czerwonym winem. Miałem też modne ubrania, buty damskie i zgodnie z indywidualnymi życzeniami: rękawiczki z krokodyla, skórkowe spodnie... butelki ze skóry... płyty Benny Goodmanna... prezerwatywy wszelkiego rodzaju... po prostu wszystko, czego dusza zapagnie. A całość w cenie poniżej stu marek!

W celu transportu do ojczyzny miałem dwie ciężarówki — spedycja Arm. Poza tym wagon, który zawsze rezerwował dla mnie pracownik kolejowy, mający wobec mnie zobowiązania (...)"

### ***Dalsze wyjaśnienia Elisabeth Erdmann***

„Byłam wówczas bardzo młoda. Ale nie chcę się przez to usprawiedliwiać; próbuję tylko wytłumaczyć niektóre rzeczy. Na przykład moje uczucia. Wiem, że Werner-Weilheim zawsze nazywała mnie niepojętą ladacnicą — właśnie ona!

Ale niech jej będzie, wszystko mi jedno! Jeśli miała w tym przyjemność — tylko czy ona w ogóle miała w czymkolwiek przyjemność? Bo u niej zawsze trwała wielkoniemiecka wojna, nawet wówczas, kiedy leżała pod chłopem. Dla mnie jest pewne, że to KTUger przy pomocy Arma podsunął jej tego Molla. Aleśmy się śmiali! A wówczas nie było zbyt wielu okazji do śmiechu.

Starał się o to jeszcze tylko ów profesor Magnus, i to uparcie. Jego ulubionym zajęciem było intrygowanie. Wygrywał wszystkich przeciw wszystkim — mnie przeciwko Werner-Weilheim, Werner-Weilheim przeciwko Krügerowi, Krügera przeciwko Bergenowi, następnie obu przeciwko Heinowi. To była jego rozrywka.

A już szczytem wszystkiego było odebranie mi Fragonarda! Przy czym nieszczerze dziękował, że «zabezpieczyłam» ów obraz. Zapewniał, że weźmie go na przechowanie i potem odda. Ale nie oddał! No tak, zabawne to nie było".



***Zapiski sporządzone dla pułkownika .  
w stanie spoczynku,  
Alfonsa Piepenbrinka, autora historii  
wielu pułków przeciwlotniczych***

„Korpus przeciwlotniczy, do którego należała trzecia bateria, był — tak jak kilka innych jednostek w korpusach od pierwszego do dziewiątego — oddziałem o wybitnych kwalifikacjach. Przynajmniej podczas kampanii wojennych w Polsce i we Francji, a nawet jeszcze do kampanii rosyjskiej, mniej więcej do zimy czterdziestego pierwszego roku. Potem nastąpił nieunikniony spadek kwalifikacji, spowodowany podziałem, rozszerzeniem i nowymi nabytkami.

Pomiędzy pułkami wspomnianego korpusu istniały znaczne różnice, między innymi z powodu niejednakowo wyszkolonych żołnierzy i nie dość starannie dobranych dowódców. Nierzadko brakowało im bojowego zdecydowania, a ponadto nie mieli wystarczającego doświadczenia frontowego.

Te jednostki przeciwlotnicze powstawały dopiero po tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim z jednostek artyleryjskich byłej Reichswehry. W przeważającej liczbie byli tam oficerowie, którzy wywodzili się z półmilitarnych organizacji, takich jak na przykład policja. Wreszcie w poszczególnych jednostkach wahał się znacznie stosunek liczbowy pomiędzy czynnymi oficerami i tymi z rezerwy, wskazując na rosnącą przewagę tych drugich, do których należał również pułkownik Rheinmann-Bergen.

Dlatego też wybitne osiągnięcia tego oddziału — ostrzeliwanie czołgów, niszczenie bunkrów, oczyszczanie pola widzenia, a także zestrzeliwanie samolotów nieprzyjacielskich — należało przypisywać wyłącznie aktywnym,

doskonale wyszkolonym, zawsze gotowym do walki oficerom, takim jak na przykład Hein.

Kapitan Hein — równie skuteczny na ziemi, jak i w powietrzu — stał się wkrótce nie tylko symbolem prawdziwego bohatera, ale także zdecydowanym, zapamiętane prześladowanym celem wroga. Tak więc ówczesni przeciwnicy wysyłali grupy sabotażowe specjalnie na niego i nie pominęli żadnej sposobności, aby usunąć ten symbol żołnierza niemieckiego.

Bo chyba nie można inaczej wytłumaczyć tego, co się wówczas stało w D."

**Sandner,**  
**wówczas członek kompanii propagandowej,**  
**obecnie główny kamerzysta**  
**w telewizji zachodniemieckiej**

„Co to jest? A co ma być? Podrobione obrazy? Ogień spowodowany kanistrami z benzyną? Domy ostrzelane w biały dzień? A potem udawane nocne ciemności? No to co?

Panie, pan chyba jest niedzisiejszy? Czy jeszcze pan nie pojął, jak się robi coś takiego? Kamera to przecież nie *Biblia*, na którą się przysięga. To instrument, który rejestruje dokładnie to, czego człowiek potrzebuje.

Kamerzysta kręci to, co mu się każe. A to, co ma on mieć przed obiektywem, określa reżyser. A potem na stole montażowym można nieboszczyka połączyć z czym się tylko chce, to znaczy zmontować. I tak dalej..."

*Pytanie pomocnicze:* „Czy pan znał kapitana Heina?"

*Odpowiedź:* „Miałem i jego w celowniku! Obiekt jak każdy inny".

*Pytanie pomocnicze:* „A więc kapitan Hein nie wywarł na panu niezwykłego wrażenia?”

*Odpowiedź:* „A dlaczego miał wyrzeć? Szanowny panie! Większość tych dup była przecież podobna do siebie, w każdym razie jeśli idzie o zasadnicze cechy. No tak. Tyle o tak zwanych bohaterach”.

**„Pruska ruletka”—ostatnia faza**

Ranek zapowiadał przejrzysty jak kryształ dzień. Niebo nad Francją lśniło błękitem. Ptaki fruwały wysoko i śpiewały donośnie.

Pierwsze splukiwanie wody w zamkowej łazience Krüger usłyszał wczesnym rankiem. Szum dochodził z górnego piętra, gdzie mieszkał Hein. Krüger stwierdził to z całą przytomnością. Przewornie uznał za wskazane być tego dnia szczególnie czujnym. Osobiście wygonił swoich żołnierzy na poranną gimnastykę, aby w ten sposób skrócić sobie czas oczekiwania. Kiedy już się ogolił, mycie zębów zastąpiwszy białym pepermentem, udał się na górę. Spotkał tam Heina w pełnym umundurowaniu. Wcale go to nie zdziwiło. Kapitan stał świeży i rzeński pośrodku pokoju w wieży.

— Nareszcie! — zawołał do swego starszego ogniomi-  
strza.

— Mam nadzieję, że nie za późno? — zapytał Krüger, podchodząc do niego.

— Zbyt wiele dotychczas straciliśmy — oświadczył Hein zdecydowanie. — To może się zemścić, tak jak każde niedopatrzenie.

— Nadrobimy to — obiecał Krüger. — Niech tylko pan kapitan powie, co trzeba robić i jak to robić najlepiej. A także, o ile to możliwe, po co.

Kapitan Hein podniósł ostrzegawczo rękę. Jego głos brzmiał czysto i tak dźwięcznie, jakby wcale nie był szorstki i ochrypy od alkoholu. Szef baterii oświadczył: — Jak pan wie, zawsze byłem wspaniałomyślny. Ale tej wspaniałomyślności nadużyto — w sposób bezwstydney!

— Ale to nie ja, panie kapitanie!

— Gdyby tak było, nie stałby pan teraz tutaj! Osobiście nie czynię panu bezpośredniego zarzutu. Ale muszę, niestety, stwierdzić, że na odcinku, za który jest pan przede mną odpowiedzialny, dzieją się rzeczy nie będące po mojej myśli!

— Drobiazgi, panie kapitanie, sprawy niewarte uwagi, chyba nic więcej?

— Niech pan mi nie mydli oczu, proszę tego nigdy nie robić! Znam pańskie sztuczki, godzę się na nie. Całkiem świadomie! Nie może być wielkiej koncentracji bez drobnych ustępstw od czasu do czasu. Ale jest to działanie, które musi polegać na wzajemności. Przynajmniej między nami!

— Ale w pewnych drażliwych sytuacjach to wcale nie musi być ostatecznym rozwiązaniem, panie kapitanie.

— Co ja słyszę? — zapytał Hein, lekko się pochylając. — Czyżby pan mi groził?

— Tak bym tego nie nazwał! — zapewnił Krüger pospiesznie. — Ale zważywszy stan rzeczy, daję panu pod rozwagę...

— A jaki to stan rzeczy? — kapitan Hein roześmiał się; twarz miał nieruchomą, głos obojętny, lecz jego pięści się zacisnęły. — Kazał pan tu założyć burdel i czerpie z niego korzyści. Nie dla siebie osobiście, ale dla kasy baterii, wiem o tym. A przedsiębiorstwo wysyłkowe Softera kwitnie, z tego również pan, ewentualnie pańska kasa baterii, ma pokaźny zysk! Czy sądzi pan, że pana nie przejrzałem?

— Obojętne, co się dzieje, panie kapitanie, w końcu chodzi tu zawsze i wyłącznie o interes jednostki, naszej trzeciej baterii!

— Której ja jestem szefem!

— Oczywiście!

— Której szefem wciąż jeszcze jestem i pozostanę przynajmniej tak długo, aż uniemożliwię panu i pańskim kolegom szkodliwe działanie. Każdemu z was potrafię skrócić kark! Niech mi pan wierzy!

Starszy ogniomistrz Krüger wyprężył się. — Czego pan ode mnie oczekuje w tym wypadku, panie kapitanie?

— Ten Johannes Schubert mocno mnie rozczarował. Można powiedzieć, że mnie zawiódł. Nadużył mojego zaufania, oszukał mnie, zdradził nasze ideały.

— Rozumiem — powiedział teraz Krüger bezdzwięcznym głosem. — A to chyba znaczy, że stracił słuszność swego istnienia?

Kapitan Hein zdawał się tego nie dosłyszeć. — Takie jest w każdym razie moje stanowisko. Rozumie pan teraz, o co chodzi! O ile pana znam, wpadnie panu na pewno do głowy jakiś rozstrzygnięcie, jakiś skuteczny i możliwie ostateczny środek zapobiegawczy.

— A zatem radykalne rozwiązanie.

— Przekonujący efekt pozwolilby mi zapomnieć wicie innych rzeczy. Czy ma pan już coś na myśli?

— Sądzę, że najlepiej będzie awansować gefrajtra Schuberta na podoficera.

— Na podoficera? Co pan sobie wyobraża?

— Jako podoficer, Schubert dostanie się w obszar naszego działania i do naszego najściślejszego kręgu kolegów. Będziemy mogli wywierać na niego bezpośredni wpływ, a więc także zaaranżować wszystko, co niezbędne.

— Całkiem nieźle, Krüger!

— Niezależnie od tego, panie kapitanie, taki awans

niejednemu wytrąci broń z ręki, gdyby się zdarzyło coś, co poza baterią mogłoby prowadzić do mylnej interpretacji.

— Znakomicie! — wykrzyknął Hein z koleżeńsko-konspiracyjnym uśmiechem. — Pan potrafi być wyjątkowo pomysłowym praktykiem, jeśli pan chce. A teraz znów pan chce, prawda? Tak więc nie zawiodłem się na panu.

— A zatem radykalne rozwiązanie! I nic innego poza tym nie wchodzi w grę?

Kapitan Hein przycisnął dłonie do twarzy, jakby go bolały oczy. Powiedział głucho: — Krüger, jesteśmy na wojnie. Obaj to wiemy i jesteśmy stale gotowi wyciągać z tego wszelkie konsekwencje. W gruncie rzeczy zawsze są tylko dwie możliwości: albo ktoś jest całkowicie ze mną, a więc z nami, albo przeciwko nam! W pierwszym wypadku jest on w porządku i mile widziany, w drugim zaś — nie w porządku i sprawa musi być rozwiązana.

— Przeze mnie.

— Powiedzmy trafniej: pańskimi metodami! Ale ja aprubuję je w całej rozciągłości. Czy jasno się wyraziłem?

— A więc nie mam innego wyboru.

— Mój drogi Krüger, trzeba uczynić to, co nieuniknione! Możliwie gruntownie. Jesteśmy to sobie winni.

— Załatwi się! — powiedział Krüger.

— W porządku — stwierdził Hein z ulgą. — A teraz jeszcze coś, mój drogi, co pana z pewnością ucieszy. Niech pan odeśle do diabła tego nędznego szarlatana Magnusa i jego bandę!

— Chętnie go odeślę i jego damy również. Czy wprost do komendantury?

— Może pan, jeśli panu to sprawi przyjemność.

— Spraw mi to przyjemność — zapewnił Krüger

— a poza tym podniesie gotowość bojową niektórych kolegów.

— Widzę, że się rozumiemy — powiedział kapitan. — Tak jak tego oczekiwałem.

Softer zastał Krügera siedzącego przy biurku i pogrążonego w myślach.

— Przyniosłem ci ostatnie rozliczenie — oznajmił podoficer. — Jak z tego widać, zyski są wysokie. Oby tak dalej, a kasa baterii zamieni się w bank. W każdym razie moglibyśmy teraz iść śmiało na emeryturę, gdybyśmy chcieli.

— Bez względu na Heina?

Softer tylko się roześmiał. — A kimże on jest? Czego możemy od niego oczekiwać? Kiedy tu na dobre zaczynam, już zarabiałem miesięcznie dziesięć razy więcej niż on. Teraz jest tego stokrotnie więcej. Gdzie mu się ze mną równać?

— Obawiam się jednak, że cała suma nie jest wyłącznie dla ciebie. Gdyby Hein zechciał, mógłby cię na przykład z miejsca przenieść do jednostki karnej albo postawić najpierw przed sądem wojennym. Na przykład pod zarzutem defraudacji mienia wojskowego albo zagarnięcia łupów wojennych.

— Za pozwoleniem! — uniósł się Softer, teraz już całkiem wściekły. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic takiego — oświadczył Krüger — zwracam ci tylko uwagę na fakty. Ten Hein, jeśli zechce, zawsze może cię położyć na obie łopatki.

— Ale chyba nie po tym wszystkim, co się wydarzyło! — powiedział Softer, pewny siebie. — W końcu ma on na sumieniu naszego Rungego. Kazał rozwalić wieżę ciśnienia i zrównać z ziemią dwa budynki. Prócz tego ma na swoim koncie co najmniej dwóch rannych. Abstrahując od tego,



że zabił zwierzęta, między innymi psa tutejszego burmistrza, który jest pod bezpośrednią ochroną komendanta garnizonu.

— Ach, człowieku! Ciągłe słyszę o tym psie! Czegoś takiego nie ma w przepisach.

— Ale ten pies został wyprowadzony na spacer przez siostrzenicę mera, towarzyszył jej kolejarz. Akurat ten sam kolejarz, który załatwia dla mnie transport, co nas zobowiązuje, kolego Krüger!

— Niech on tu przyjdzie — powiedział Krüger zdecydowanym tonem.

— Czego chcesz od niego?

— Dać mu nauczkę, a także tobie!

— Mój drogi, ten kolejarz jest dla mnie ważny — dla naszych interesów. A więc również dla twojej kasy. Jeśli go źle potraktujemy, może nas to sporo kosztować. Czy chcesz do tego dopuścić?

— Ale z ciebie nędzny kupczyk! Już nic nie widzisz poza swoimi półkami z alkoholem. Wiedz, że nie jesteś tu pepkiem świata, raczej jego tyłkiem. Ten jest także potrzebny. Nie wyjeżdżaj mi więc z kosztami. Ja mierzę znacznie wyżej. To jest ważne! Dawaj mi tu tego twojego kolejarza!

Przyprowadzono kolejarza. Był to nieduży człowieczek o kaprawych oczach, wielkim nosie i zaskakująco silnym głose. Zdawał się być pewny swego, gdyż Softer skinął na niego zachęcająco.

— Pies został zabity! — powiedział kolejarz niemal oskarżająco.

— Pies? — zapytał Krüger. — Podczas kampanii polskiej przejechaliśmy dwa, zgnetliśmy je gąsienicami na placek. Dwa dalsze psy zabiliśmy podczas kampanii fran-

cuskiej — jednego zastrzeliliśmy, ponieważ biegł za nami, kiedyś go absolutnie nie potrzebowali; za drugim, który nam przeszkadzał, rzuciliśmy granat, zostały z niego strzępki.

— Ale ten pies, maści żółtej, był własnością tutejszego burmistrza, który go bardzo kochał.

— Świnia! — powiedział Krüger.

— Słucham? — zapytał kolejarz, zmieszany. — Powiedział pan: „świnia”? Kogo...

— Pana!

— Ależ proszę pana, dlaczego?

— Ponieważ pan próbuje tu odwrócić uwagę. Od siebie! Od swoich przyziemnych żądz — Krüger powiedział to tak, jakby mówił o pogodzie. — Próbuje pan, nędzny lotrze, oczerniać naszego kapitana pod pozorem, że stawia się pan za jakimś psem. I to w nadziei, że nie zauważymy pańskiego lubieżnego postępowania z nieletnimi.

— Ależ nie! — zawołał kolejarz, przerażony. — Najwidoczniej nastąpiło tu pożałowania godne niedoceniecie moich rzeczywistych motywów. Bo trzeba panu wiedzieć, że ja zostałem obdarzony wybitnym instynktem ojcowskim, kocham dzieci. Nie można mi chyba czynić z tego zarzutu. Poza tym w ten sposób również ja robię coś dla niemiecko-francuskiego porozumienia. Dodatkowo także dla zaopatrzenia wojska. Pan podoficer Softer może to potwierdzić, prawda?

Softer skinął głową. — Oczywiście, że mogę!

— Ale nie potwierdzi! — zdecydował starszy ogniomistrz.

— Panie Krüger — zawołał kolejarz, teraz już wyraźnie zmartwiony — to nieporozumienie! Ja tę dziewczynkę tylko delikatnie obejmowałem.

— Żadne nieporozumienie, dokładnie pana wówczas obserwowano — mam na to świadków.

— Ale pan podoficer...

— Ten człowiek jest w dodatku głupi — powiedział Krüger. — Softer, wytłumacz tej śmierdzącej świni, o co chodzi!

— A więc — zaczął podoficer z niemałym wysiłkiem, zwracając się do kolejarza — sprawa jest całkiem prosta: nie było psa — nie było dziewczynki! Rozumiesz?

— Jeszcze niezupełnie — odrzekł kolejarz żalonym tonem. — Czy mogę prosić o bliższe wyjaśnienie?

— Nic nie było — tłumaczył mu dalej Softer. — Ani jednego, ani drugiego. Tylko wówczas nasz interes może spokojnie iść dalej, rozumiesz?

— Bo jak nie — uzupełnił Krüger — to zaraz pana załatwię. To znaczy każe pana aresztować za czyn nieuczynny. Zrozumiano?

— Zrozumiałem — zapewnił teraz kolejarz. — Pies burmistrza znalazł się całkiem przypadkowo na terenie wojskowym i został, niestety, śmiertelnie ranny podczas ćwiczeń w strzelaniu. Z kapitanem Heinem to wydarzenie nie ma oczywiście nic wspólnego. Czy tak dobrze?

— Dobrze! — potwierdził Krüger pogardliwie. — A teraz niech pan się wynosi, natychmiast! Świnia!

— Ten tak zwany kongres obyczajowy to po prostu idiotyzm — oświadczył gefrajter Bergen swemu przyjacielowi Tinowi Hillerowi. — Coś takiego mógł wymyślić tylko ktoś, kto nie ma po kolei w głowie.

— To jest właśnie zabawa powszechna w tych kręgach — powiedział Tino. — Tak zwana męska rozrywka.

— I ty w niej uczestniczysz? Właśnie ty?

— Nie uczestniczę! — odrzekł Tino. — Ale też nie mam nic przeciwko temu! Jaki by to miało zresztą sens? Większości to się podoba.

— Chyba do nich nie należysz?

— Ja należę do mniejszości, tak jak i ty. Zostaniemy przegłosowani. I damy za wygraną.

— Nie próbując się nawet bronić?

— W jaki sposób? Tu obowiązuje zasada: najniższa przeciętność.

Hiller, zainspirowany przez Krügera, ćwiczył z Berge-nem na najbliższe spotkanie koleżeńskie owo wymyślanie słów, które stanowiło zasadniczy dowcip całej zabawy. Chodziło w niej o to, że na kongres obyczajowy przybywają delegaci ze wszystkich krajów. Trzeba było wymienić ich jak najwięcej. Wymyślenie przynajmniej trzydziestu było punktem honoru. Znawcy w tej materii potrafili wymienić do pięćdziesięciu nazw. Zdecydowanym mistrzem zabawy był Arm, za którym plasował się Softer.

— A więc, Bert, jak nazywa się delegat ze Szwecji?

— Hrabia Tryperstróm.

— Az Hiszpanii?

— Juandupa de Sewilla.

— Widzę, Bert, że sobie poradzisz. Tylko pamiętaj: podstawowy warunek to trzydzieści nazwisk. Za każde nazwisko poniżej trzydziestu trzeba wypić kieliszek wódki. A nasi drodzy koledzy tylko czekają, aby cię ujrzeć pod stołem — właśnie dziś wieczorem, kiedy będzie z pewnością szczególnie podniosłe. Ze względu na twojego przyjaciela Schuberta!

— A czego tam szuka ta potulna owieczka wśród sfory dzików?

— Podobno awansowali go na podoficera. I na jego cześć urządza się tę uroczystość. Przy czym „kongres obyczajowy” to tylko jeden z punktów programu.

— Jak mnie to wszystko mierzi! — zawołał Bergen.  
— To jeszcze nie jest najgorsze — powiedział Hiller.  
— Ale biada, jeśli im podpadniesz. Jak poczują się wyzwaną, załatwią cię bez skrępułów. Chyba nie chcesz do tego dopuścić?

Leżeli obaj w parku na trawie. Znaleźli miejsce, które nie było jeszcze całkowicie rozjeżdżone przez pojazdy na gąsienicach. Spoglądali w niebo, po którym sunęły wolno chmury. Dokoła panował wyjątkowy spokój.

— Tino, skąd się to wszystko bierze? — zapytał Bergen. — Czy to nieuchronny skutek teorii Hitlera o nadludziach? Czy też wojna wyzwala złe instynkty? To rozpętanie niepojętych żądź: obżarstwa, opilstwa, wyuzdania.

— Radziłbym ci nie rozmyślać zbyt wiele nad tym — powiedział Hiller. — Od tego człowiek staje się tylko przygnębiony. A to, przyjacielu, akurat nie wydaje mi się najlepszym sposobem, aby tutaj przeżyć.

— Mamy wśród nas bohatera, i to jakiego! Z wyraźnymi defektami, ale może one należą do bohaterskości! Mamy też znakomitego praktyka militarysty, tego Krügera — on traktuje baterię jak życiowe zadanie, jak swoją własność. Następnie to oddane, tępe stado jego podoficerów, które istnieje chyba tylko siłą rozpędu. Co za okropna mieszanina. I jak na to wszystko reagować?

— Po prostu nie reagować, a potem spróbować zrobić coś, co jest jeszcze możliwe. Każdy na swój sposób. Nie widzę dla nas innej szansy. — Tino Hiller przeciągnął się.

— A teraz dalej do tego świńskiego tekstu. Jak się nazywa delegat z Bułgarii?

— Syfilow! Ach, to dla mnie za głupie! Nie biorę w tym udziału.

— Musisz się przystosować, Bert, albo oni cię sami

przystosują. A gdyby im się to nie udało, wówczas się ciebie pozbędą; zgniotą cię jak wesz. Nikt tu nie może ryzykować przeciwstawiania się. Ty także nie.

— Gdzie jest pan kapitan? — zapytał porucznik Minder. Zadał to pytanie Krügerowi przez telefon polowy. A Krüger odpowiedział krótko: — Pan kapitan jest teraz zajęty.

— Ale muszę z nim pilnie porozmawiać — o planie służbowym!

— Chyba w naszym planie nie ma żadnych niejasności, panie poruczniku? — zapytał Krüger uprzejmie.

— Jeszcze nie wyznaczono następcy ogniomistrza Rungego — powiedział Minder poufnym tonem. — I dopóki nie ma w tej sprawie decydującego rozkazu, nie mogę właściwie działać na stanowisku ogniowym.

— A dlaczego nie? — zapytał Krüger. — Przecież wszystko toczy się tak jak dotychczas, a więc po myśli kapitana Heina.

— Tylko co jest naprawdę po jego myśli, Krüger?

— Jeśli pan sam tego nie dostrzega, na pewno objaśni to panu sam pan kapitan.

— A więc mogę z nim porozmawiać?

— Niestety, nie — oznajmił Krüger. — Pan kapitan jest teraz szczególnie intensywnie zajęty — przekazał, aby mu nie przeszkadzano.

Hein siedział tymczasem w swojej wieży; popijał szampana, którego musiał sobie sam nalewać. W przerwach nastawiał płyty: Wagnera — *Jazdą walkirii*, potem *Podróż Zygryda po Renie* i marsza żałobnego ze *Zmierzchu bogów*. Później przyszła kolej na Leander z piosenką *Świat od tego nie zginie*, dwukrotnie. Wreszcie na melodie z *Wesołej wdówki*, które powtarzały się w kółko. Jak wiado-

mo, była to ulubiona operetka Führera, a tym samym kapita-  
nitana Heina.

— Panie kapitanie — powiedział Minder, wdarszy się  
niemal do pokoju w wieży----- chodzi o następcę Runge-  
go!

— On nie może mieć następcy — odrzekł kapitan, słu-  
chając dźwięków walca Lehara — jego nikt nie jest w sta-  
nie zastąpić.

— Nie w pełni, to oczywiste! — potwierdził Minder  
gorliwie. — Są jednak w baterii dwaj ludzie, którzy mogli-  
by stanowić wyjście z sytuacji: ogniomistrz Kreuzer od  
„Berty” i podoficer Wyschinski od centralnego przyrządu.

— Temu pierwszemu czuć z ust — oświadczył Hein.  
— A więc niewykluczone, że jest chory. Drugiemu nie  
udało się przeskoczyć wysokości stu trzydziestu pięciu  
centymetrów. A poza tym nie jest wystarczająco sprawny.

— Ja tylko myślałem, panie kapitanie...

— W porządku! — zawołał Hein. Wstał, przeszedł  
przez pokój, jakby się zataczał, po czym oznajmił: — Ja  
to jestem ja! Ta bateria to moja bateria! Dla kolegów je-  
stem kolegą, ale dla wrogów wrogiem! Może tu być tylko  
jedna decyzja: ze mną albo przeciwko mnie. Czy pan już  
wybrał, Minder?

- Ależ oczywiście! — zapewnił porucznik. — Czuję  
się jak najbardziej zobowiązany do bezwzględnej lojalno-  
ści wobec pana.

— To dobrze — powiedział Hein.

— Co pan rozkaże, panie kapitanie?

— Przygotować zmianę stanowiska.

— Co takiego? — zapytał Minder.

— Czy pan nie dosłyszy? Powiedziałem: zmiana sta-  
nowiska.

Porucznik patrzył z niedowierzaniem na swego szefa;  
zmiana stanowiska bowiem oznaczała zwiniecie wszyst-

kich namiotów, zebranie wszystkich rzeczy, opróżnienie kwater, a do tego: spakowanie zmagazynowanej amunicji, przygotowanie do transportu armat i przyrządów, jednocześnie gotowość oddziału w pełnym umundurowaniu do ewentualnej walki. „Gigantyczna złośliwość — pomyślał Minder — kolejny punkt szczytowy! Heinowski despotyzm!”

— Ale...

Hein przerwał ostro: — Niech pan robi to, co panu rozkazałem, i to możliwie szybko i dokładnie. Nie ma żadnego „ale”! „Ale” to słowo dla nieudolnych. Zrozumiał pan?

— A więc „kongres obyczajowy” — powiedział Krüger, rozparłszy się leniwie na krześle. Przyglądał się stojącemu przed nim Bergenowi. — Zobaczmy, czegoście się nauczyli. A więc jak się nazywa delegat z Chin?

— Tak daleko jeszcze nie zaszedłem w moich przygotowaniach — oświadczył Bergen po namyśle. — Dotychczas opanowałem tylko nazwiska delegatów europejskich, a więc mniej więcej trzydzieści.

— To niedobrze — powiedział Krüger z żalem w głosie. — Gdyż to wskazuje na brak zainteresowania naszymi rozrywkami. A może uważacie je za głupie?

— Przypuszczam, że tego rodzaju zabawy organizuje pan świadomie w celu umocnienia tak zwanej wspólnoty — stwierdził Bergen.

— Do której wy jednak nie czujecie się przynależni, prawda? Raczej próbujecie się wyłączyć. Czyżbyśmy byli dla was zbyt prymitywni?

— Ależ nie! — zawołał Bergen, starając się być jak najbardziej uprzejmy. — Jestem gotów brać udział również w tego rodzaju rozrywkach. I próbuję rozbudzić w



sobie zrozumienie dla tych specyficznych przyjemności. Ale na wszystko musi przyjść pora.

— Czasem mam uczucie, Bergen, że jesteście urodzonym defetystą i zrzędą, notorycznym zrzędą. Prócz tego należycie niewątpliwie do ludzi, którzy myślą, a więc zawsze będziecie szukać okazji, aby się rzucić na możliwie tłustą zdobycz. Co tym razem macie na uwadze?

Krüger musiał poczekać na odpowiedź, a czynił to z wykalkulowaną cierpliwością; nie spuszczał przy tym Bergena z oczu, niczym olbrzymi kot, który tropi mysz. Nawet wówczas, kiedy zadzwonił telefon i Krüger podniósł słuchawkę.

Dzwonił porucznik Seifert-Blanker, adiutant dywizjonu. Odbyła się następująca rozmowa:

*Seifert-Blanker:* „Mam tu, Krüger, przed sobą wniosek podpisany przez pańskiego szefa baterii, dotyczący awansu gefrajtra Schuberta na podoficera. Ten wniosek jest oznakowany jako nadzwyczaj pilny. To coś niezwykłego?”

*Krüger:* „Nie u kapitana Heina, jeśli wolno panu zwrócić uwagę. Chodzi tu o awans za szczególne zasługi. Pan kapitan życzy sobie, aby nastąpiło to niezwłocznie”.

*Seifert-Blanker:* „Ale to niezgodne z normalną procedurą”.

*Krüger:* „Dla pana kapitana tylko jego sposób prowadzenia wojny jest normalny. Gdyby w tym szczególnym wypadku zaistniały jakieś trudności, pan kapitan polecił mi, abym go niezwłocznie połączył z dowódcą dywizjonu. Czy chce pan tego?”

*Seifert-Blanker:* „A więc dobrze! Jeśli ten awans jest taki pilny, to wszystko w porządku”.

*Krüger:* „A więc załatwione! Czy coś jeszcze?”

*Seifert-Blanker:* „Owszem. Mam nadzieję, że to tylko drobnostka, nic więcej. Czy to prawda, że kapitan Hein nakazał zmianę stanowiska?”

*Krüger:* „Czy wolno zapytać, skąd pan to wie? Czyżby tu ktoś, pomijając naszego szefa baterii, zwracał się wprost do szefa dywizjonu? Może porucznik Minder?”

*Seifert-Blanker:* „To nie jest istotne! Najważniejsze, czy taki rozkaz został wydany, czy nie. Z naszej strony rozkaz zmiany stanowiska nie wyszedł. Nie jest również planowany w najbliższym czasie. Taki rozkaz spowodowałby nieuchronny niepokój. Gdybym poinformował o tym komendanta dywizjonu...”

*Krüger:* „Polecam, aby pan tego nie czynił. Chodzi tu tylko o ćwiczenia. Specjalny trening naszego wojska. Odpowiedzialny za to jest tylko właściwy dowódca!”

*Seifert-Blanker:* „A więc w porządku. Opieram się tu na pańskich informacjach, które traktuję jako wiążące. Na pańską odpowiedzialność”.

— Tacy oni są! — zawołał Krüger, wściekły, rzucając słuchawkę na widelki. — Tacy są oni wszyscy! I właśnie wy, Bergen, chcecie być inni? Na co liczycie na dłuższą metę? Tu obowiązują reguły gry, których nie uniknie ten, kto do nas należy — czy chce tego, czy też nie. Trzeba się ich trzymać. A wszystko inne jakos tam będzie.

— Jestem gotów dostosować się do tych reguł — powiedział gefrajter. — I nie chodzi mi wcale o mnie samego-

— Tylko o tego Schuberta, prawda? Ale dlaczego? Czyżbyście także mieli słabość do tego chłopca — jak to się stało ze strony przeciwnej, co nie jest przecież dla nas tajemnicą? A może nie chcecie, aby został on podoficerem?

— Dlaczego miałbym nie chcieć?

— No bo potem Schubert zostałby zatrudniony w naszej baterii jako szef służb informacyjnych. Zamiast was! Jesteście wprawdzie przewidziani na to stanowisko, ale

obecna sytuacja nie pozwoli na to. Jesteście chyba wściekli?

Gefrajter Bergen zdumiał się. Starał się przejrzeć starszego ogniomistrza, ale mu się nie udało. Milczał więc.

— Wyglądacie mi na człowieka, któremu potrzebna jest pilnie odmiana. Będziecie ją mieli.

— Czy mogę zapytać, jaka to odmiana?

— Nie potrzebujecie pytać, już wam mówię. Udacie się jako fachowiec do sztabu oddziału i sprawdzicie kabel telefoniczny, metr po metrze. A potem pójdziecie do komendantury garnizonu. Powinno wam to wypełnić śpiewając najbliższe godziny.

— Czy to znaczy, że chce mnie pan wyłączyć?

— Powiedzmy, że chcę was uchronić przed jakąś głupotą, choć nie wiem dokładnie, na czym by ona polegała. Ale przeczuwam ją. Możecie przy tym uważać, że mam do was pewną słabość, co nie pozostanie na trwałe, jeśli nie potraficie tego należycie docenić.

— Co zamierza pan zrobić z Schubertem?

Krüger sprawiał wrażenie niezwykle ugodowego. Jego głos brzmiał łagodnie i głucho: — Wicie drzew uważa, że urosną aż do nieba, kiedyś jednak zostaną one powalone. Pytanie tylko: kiedy?

— Co się z tobą dzieje? — zapytała Elisabeth Erdmann, zakłopotana i zarazem zmieszana. Postawiła to pytanie Johannesowi Schubertowi, obecnie podoficerowi, który leżał obok niej. Jeszcze w mundurze. — Czy ci przeszkadza światło dzienne?

— Nie wiem — odparł Johannes bezdźwięcznie. — Nic nie wiem. Czuję się jak wydany.

— Ty także? — zapytała Elisabeth, lekko przerażona.

— Wydany wszystkiemu, każdemu, o każdej porze —

powiedział Schubert ponuro. — Czuję się, jakbym był prześladowany, jakby mnie osaczono. Wokół mnie jest pierścień, który się coraz bardziej zaciska. Ledwie mogę oddychać.

Leżeli na łóżku Elisabeth w pawilonie. Przygasające jesienne słońce rzucało na nich czerwony blask. Próbowali się objąć. Ale jego ręce były sztywne. A jej omdlała.

— Nie kochasz mnie — powiedziała Elisabeth, zmarzwiona.

— Kocham cię!

— To dlaczego nic nie robisz?

— To wszystko jest niezwykle trudne! — wyjąkał Johannes. — Ja chcę, bardzo chcę, ale nie mogę. Czuję, że wymagania mnie przerastają. Elisabeth, co mam zrobić?

— Biedny jesteś — stwierdziła Elisabeth niemal rzeczowo. — Wszyscy w gruncie rzeczy tacy jesteście. Co z wami począć? Nie wiadomo, czy wam współczuć, czy wami pogardzać.

— Witajcie! — zawołał jeden z żandarmów, Konz czy też Kator, jeszcze z daleka. Podniósł rękę w górę, ale tylko nią przyjaźnie pomachał.

Krüger stał w parku przed namiotem naprawczym, gdzie wraz z Armem oglądał samochód zdobyty ubiegłej nocy w sąsiedniej jednostce. Starał się szybko przerwać zajęcie.

— Przykryj tę skrzynię — polecił Armowi.

— Myślisz, że dlatego przychodzą? — zapytał Arm i wskazał palcem na samochód terenowy marki BMW. — Oni zazwyczaj nie trafiają tak szybko na ślad.

— Zobaczymy — powiedział Krüger. Po czym ruszył naprzeciw obu żandarmom, którzy z daleka wyglądali jak bliźnięta. — Dawno was tu nie było, koledzy, co naj-

mniej tydzień. Czyżby dopiero teraz skończyły się wasze zapasy?

— Oszczędzamy dobre rzeczy, których nam dostarczyłeś — zapewnił Kator czy Konz.

— Ale małe uzupełnienie by nie zaszkodziło, prawda? — zapytał Krüger.

— Uścisnęli sobie dłonie na powitanie i uśmiechnęli się do siebie. Rozumieli się bez słów.

— No, o co chodzi tym razem? — zapytał Krüger.

— Właśnie przechodziliśmy tędy całkiem przypadkowo — powiedział jeden z żandarmów, ten z jaśniejszymi oczami. — Chcieliśmy tylko powiedzieć, że zjawimy się tu jutro, wczesnym popołudniem, około godziny czternastej, jeśli wam to odpowiada.

— A po co?

— Żeby zbadać pewien drobiazg — powiedział drugi żandarm. — Mamy bowiem meldunek, coś w rodzaju skargi; w moich oczach to tylko świstek papieru, ale musimy sprawdzić; chodzi o obyczajność i tak dalej.

— Rozumiem — powiedział Krüger na pozór obojętnie. — Przypuszczalnie twierdzi się w tym meldunku, że prowadzimy tu coś w rodzaju burdelu, co jest jawnym oszczerstwem.

— Od razu tak sobie pomyślałem — rzekł jeden z żandarmów. — Ale nawet gdyby istotnie taki zakład istniał, można powiedzieć, że nie jest to wyraźnie dozwolone, ale też nie jest wyraźnie zabronione. A więc nas nie obchodzi.

— To wspaniale! — zawołał Krüger. — Wobec tego przyjdźcie jutro tylko po kilka skrzyń z nadzwyczajną zawartością.

— Dziękujemy, kolego — Konz albo Kator uścisnął Krügerowi dłoń i obaj uśmiechnęli się do siebie serdecznie. — Ale jest jeszcze jedna drobna sprawa i ta,

mój drogi, trochę śmierdzi. Jak już powiedziałem, sprawa burdelu to głupstwo, tu jednak chodzi o subtelniej sze szczegóły.

— Jakie one są?

— Mój drogi, dostarczony nam meldunek nie jest skierowany przeciwko jakiemuś przedsięwzięciu, lecz przeciwko konkretnej osobie, przeciwko pewnej kobiecie francuskiego pochodzenia, o imieniu Marie-Antoinette. Podobno pokazała ona goły tyłek pewnej niemieckiej kobiecie, wraz ze stosowanym w tej sytuacji poleceniem. Musimy to zbadać.

— To spowodowała na pewno niejaka Werner-Weilheim, prawda? To, na co ona sobie pozwala, śmierdzi na odległość; miejmy nadzieję, że już niedługo. I właśnie w to zamierzacie wetknąć swoje nosy?

Obaj żandarmerii roześmiali się. Jeden z nich powiedział: — Tu nie ma mowy o chceniu, kolego, my musimy! Ale jak powiedziałem, dopiero wczesnym popołudniem.

— Nareszcie zrobimy z tym koniec — zapewnił Krüger swego kolegę Anna, który patrzył na niego z powątpiewaniem. — Ale do tego będziesz mi koniecznie potrzebny. Pojawisz się na chwilę na arenie, jesteś mi to winien.

— Czy te byki z żandarmerii przybyły tu z mojego powodu? — zapytał Arrn, zaniepokojony. — Czyżby wpadli na mój trop?

— To oczywiście — oświadczył Krüger bezceremonialnie. — Nic dziwnego przy takim niezręcznym zachowaniu jak twoje! Ale nie martw się, i tym razem będę cię jeszcze mógł wyciągnąć z opresji.

— No, dzięki Bogu! — powiedział Arm z ulgą. — Już i tak mam aż nadto problemów na karku. Ta Werner-Weil-

heim jest na mnie wściekła, aż kipi. Chce mnie zniszczyć! I tak też może się kończyć miłość.

— Wyrzucimy ją i całe to grabarskie towarzystwo — za zgodą kapitana Heina. Powołamy się na to, że jesteśmy na terenie działań wojennych i żądamy, aby te śmierdziele jak najszybciej się stąd wyniosły. I to będzie koniec!

— Myślisz, że to się da zrobić? — zapytał Arm z nadzieją w głosie. — Tak po prostu wyrzucić? Człowieku, to byłoby wspaniałe wyjście!

Krüger skinął głową, pewny siebie. — Ta kobieta może nas opluwać, ile tylko zechce. Najważniejsze, że my jej odpluniemy! I to w porę! Zostaw to mnie. W każdym razie dzięki temu wydostaniesz się ze swego łajna. Ale nie sądz, że zrobię to wyłącznie dla twoich pięknych oczu.

— Dla ciebie nawet śmierć musi się opłacać, prawda?

— A skoro już mówisz o cenach, znów będziemy mieli „pruską ruletkę”. Tym razem dla uczczenia najnowszego podoficera, tego Schuberta.

Arm zapomniał na chwilę o swoich osobistych kłopotach. Zawołał wzburzony: — Akurat taki głupi mięczak, to proszę, ten niedorozwinięty pierdziel ma być u nas awansowany! To coś nienormalnego! To woła o pomstę do nieba!

— Zgadza się — rzekł Krüger twardo — zgadza się co do joty. Takie elementy należy tępić. Tym razem ty to załatwisz podczas „pruskiej ruletki”.

— Ja? — zapytał Arm z niedowierzaniem. — Tego jeszcze nigdy ode mnie nic wymagałeś — wyjąkał popiesznie.

— Kiedyś musiało się to stać.

— Ale dlaczego akurat ja?

— A dlaczego nie ty?

— Ty chyba żartujesz! Chcesz tylko zobaczyć, jak ja na to zareaguję. Czy tak?

— Szkoda gadać! Ty to zrobisz!

— Czy mógłbym wykupić się w naturze — podpowiedział Arm — na przykład oddać moje przedsiębiorstwo transportowe? Co najmniej część. Znaczną część, jeśli trzeba. Pięćdziesiąt ze stu dla ciebie. Dla twojej kasy. No jak?

— O tym możemy jeszcze pogadać — rzekł Krüger. — Pięćdziesiąt dla kasy baterii, mógłbym to zaakceptować. Ale w całości, a więc nie tylko bieżące dochody, również udział w taborze, materiałach i zapasach benzyny. Wymagana byłaby twoja lojalność.

— Załatwione! Ale co to znaczy lojalność — według ciebie?

— Musimy teraz iść na całość. Hein nie pozostawił nam innego wyboru. Musimy wyczyścić ostatecznie tę stajnię, aby mieć wreszcie znów wolne pole. Do tego potrzebna jest „pruska ruletka”. Możemy w stu procentach polegać na każdym uczestniczącym w niej koledze, z dwoma wyjątkami. Wiesz, kogo mam na myśli?

Arm skinął głową. — Jeden to ten przeklęty Bergen, on po prostu nie pasuje do naszego koryta. Drugi — ten salonowiec Tino Hiller, przykro mi, że muszę tak mówić. Na ciężarówkach zna się wybornie, trzeba mu to przyznać, ale w naszym kręgu jest czarną owcą.

— Bergena zatrudniłem tymczasem daleko stąd — powiedział Krüger. — Nie będzie nam więc przeszkadzał. A co się tyczy Hillera, musi on tym razem wziąć udział w naszej ruletce, mianowicie z twoim pistoletem, który uprzednio naładujesz. I co ty na to?

— O Boże! — zawołał Arm z wielką ulgą. — To może się udać! On rzeczywiście nie ma o niczym pojęcia i zgodzi się. Nie będzie chciał psuć nam zabawy!



— A więc powiedz mu, o co chodzi! Możliwie zręcznie. Musi się zgodzić, jeśli nie chce się okazać typowym fajtlapą!

— Szanowni państwo! — oznajmił podoficer Sof ter zebranej w pawilonie grupie naukowców. — A więc przyszała pora! Ostatnia stacja! Wysiadać!

— Pan chyba żartuje, panie Softer — powiedział profesor Magnus, nie tracąc dobrego humoru. — Iz pewnością bawi to pana?

— Zgadza się! — zapewnił Softer. — Robię to, że tak powiem, z potrzeby serca, aby móc wywieźć tę furę gnoju. Sam o to prosiłem.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał Magnus, wciąż jeszcze uprzejmym tonem. — Proszę dokładnie.

— Dokładnie to, moi państwo: przebywacie tu jako cywile na terenie działań wojennych, który ze względu na potrzebę chwili trzeba opróżnić. A więc nie pozostaje wam nic innego, jak wynieść się z tego pawilonu.

— A dokąd, jeśli łaska?

— Dokąd państwo sobie życzą! Na dole, w mieście, jest dość kwater. Wystarczy się tylko zwrócić do komendanta, już on się wami zajmie.

— To absurd — powiedział profesor Magnus ostrożnie — ale widzę w tym metodę.

Elisabeth Erdmann, która stała z tyłu nieruchomo, odezwała się: — Czy mogę coś powiedzieć?

— Nie! — zawołał Softer. — Niech pani nie próbuje jeszcze i tu się wtrącać! Ktoś taki jak pani nadaje się do hotelu, tu zakłóca pani tylko regularny tryb życia.

— Za pozwoleniem, panie Softer! — oświadczyła ostro doktor Werner-Weilheim. — Polecono mi organizację tej grupy i w tym względzie ani pan, ani nikt inny, na-

wet pan Krüger, nie jest dla mnie miarodajny. Najwyżej pan kapitan. Chcę teraz z nim mówić.

— Nie da rady, jest zajęty.

— Mimo to żądam rozmowy z nim, niezwłocznie!

— Co pani sobie myśli? — Softer roześmiał się, poskromił jednak zaraz swą wesołość i powiedział łagodnie:

— Pani doktor, nasz pan kapitan to bohater!

— Wiem! — zawołała, a jej piersi falowały. — Wiem, a poza tym to człowiek honoru, dżentelmen w każdym calu i umysł twórczy!

— To prawda! — wykrzyknął Softer. — Pani się na nim poznała! Ale najwidoczniej nie ma pani pojęcia, co to znaczy w odniesieniu do pani osoby. Pani mocno rozczarowała naszego kapitana, gdyż dotąd widział on w pani niemiecką kobietę bez skazy. A co się okazało? Banalna kobieta, prowadząca ożywione kontakty, można powiedzieć spokojnie: seksualne kontakty! To łatwo udowodnić. Panu kapitanowi nie można czegoś takiego proponować, to zdecydowanie przyprawia go o mdłości!

— Jesteście świnie! — zawołała Werner-Weilheim, wzburzona. — Donosić o takich rzeczach kapitanowi, podburzać go przeciwko mnie, mieszać z błotem mój honor, deptać moją kobiecość! Ale to się źle dla was skończy!

— Niech pani nie próbuje mnie tu straszyć! — powiedział Softer, cofając się nieco dla bezpieczeństwa. — Ostrzegam panią, mnie nie tak łatwo położyć na obie łopatki.

— Jeszcze pan tego pożałuje! — krzyczała Werner-Weilheim. — Postawię pana przed sądem wojennym. Pana i całą pańską bandę. Łącznie z Armem. I do tego z Krügerem!

— Ach, moja pani, już inni tego próbowali — powie-

dział Softer. — W każdym razie najpierw niech państwo opuszczą swoje pomieszczenia. Dajemy wam pół godziny — tacy jesteśmy wspaniałomyślni — no, powiedzmy, trzy kwadranse. Ale potem wylecicie z wielkim hukiem! Daję wam na to moje słowo!

— Witamy dziś w naszym kręgu nowego kolegę — powiedział Krüger, niezwykle zaferowany. — Naszego podoficera Schuberta. Mam nadzieję, że wic on, co to znaczy należeć do nas. Czy tak?

— Postaram się — zapewnił Johannes Schubert, usiłując ukryć bezradność.

— A więc jeszcze nie wie! — stwierdził Krüger. — Ale już my go nauczymy, i to możliwie szybko i gruntownie. Najpierw jednak wypijmy na przywitanie, drodzy koledzy, na dwa palce!

Ustalono już wcześniej, że będzie to „pijaństwo z butelki”, jedna z licznych specjalności korpusu podoficerskiego tej baterii. Polegało ono na tym, że najpierw każdy z uczestników wybierał trunek wedle uznania, musiał on jednak zawierać co najmniej czterdzieści procent alkoholu; górnej granicy nie ustalono.

Krüger wybrał duńską żytnią, Arm — francuski koniak, Moll poprosił o angielski dżin. Przed Softerem i Forstmannem stał steinhiiger, jednakże w szklanych butelkach — ze względu na kontrolę. Podoficer Kamiński zdecydował się na gdańską goldwasser, Tino Hiller wybrał chartreuse — kolor zielony, a podoficer sanitarny Neumann wolał chartreuse — kolor żółty. Nowicjuszowi przydzielono szwarcwaldzką malinówkę — pięćdziesiąt pięć procent.

— Naprzód, ruszamy! — zawołał Krüger.

Wszyscy pili niemal z nabożeństwem. Kto wypił jako pierwszy, był mianowany królem pijaństwa. Mógł więc wyrazić życzenie: zażądać zaśpiewania jakiejś pijackiej piosenki, zainicjować wykonanie świńskich przyśpiewek, a także zwołać bardzo lubiany „kongres obyczajowy”.

Ale tak daleko sprawy jeszcze nie zaszły. Najpierw pały przyjazne słowa w rodzaju: „Witamy w naszej wspólnocie, kolego! Należysz teraz do nas!”

Tym razem Krüger nie zamierzał tracić czasu na krasomówcze dygresje. Spojrzał na zegarek i oznajmił krótko: — A teraz z grubej rury! „Pruska ruletka” na cześć naszego kolegi Schuberta!

I w tej samej chwili o stół uderzył jego pistolet o8, z rzucającą się w oczy kolbą z jasnego drewna; Schubert, pouczony przez Bergena, zapamiętał ten szczegół. Następny był pistolet o8 ogniomistrza Molla, wyglądający jak nowy. Dalej trzy pistolety produkcji „Walther i Mauser”; należały one do Softera, Forstmannia i Kaminskiego. Softer przysunął broń w stronę Schuberta, szczerząc przy tym zęby w radosnym uśmiechu.

— Razem pięć — stwierdził Krüger. — Brakuje jednego.

— Niech pan wyciągnie swoją broń, Hiller! — zawołał Arm.

Tino Hiller wyciągnął z kieszeni spodni pistolet Arma i dorzucił do reszty.

— A teraz niech pan weźmie pistolet, Schubert. O ile nie ma pan jeszcze pełnych spodni!

Przygotowany przez Bergena Johannes Schubert wyciągnął dłoń po pistolet z jasną drewnianą kolbą — pistolet Krügera. Przysunął go, następnie podniósł do czoła — między oczy.

— Stop! — krzyknął Krüger energicznie. — Tak nie można! Nasz nowy kolega najwidoczniej już wcześniej się zorientował. Takie coś nie wchodzi w grę! Proszę na nowo zmieszać broń! Niech pan tego dopilnuje, Neumann, jako osoba neutralna.

Neuman zabrał się gorliwie do dzieła. Przesuwał broń po stole na wszystkie strony, ułożył w stos, znów rozsypał, tasował broń jak karty do gry.

Krüger przymknął oczy — wyglądało, jakby śnił. Arm za to ledwie mógł ukryć wzburzenie, wiercił się na krześle, wytrzeszczał oczy. A Schubert patrzył jak skamieniały na ręce Neumanna, na pistolety, które ten przesuwiał, szczególnie na trzy o8 z jasnym drewnem, cenne, dobrze naoliwione, własność Krügera, Molla i Arma.

Myślał w napięciu o tym, co mu poradził Bergen: Staraj się być ostrożny! Należało przypuszczać, że jeden pistolet może być naładowany. Ale kto to wie?

Johannes Schubert sięgnął po pistolet, którego kolba była wysmarowana olejem. Był to pistolet Arma, a położył go Tino Hillcr. Schubert przyłożył go do czoła, obserwując przy tym tylko Krügera.

Krüger siedział rozparty wygodnie i czekał. Schubertowi zdawało się nawet, że patrzy na niego zachęcająco.

„Muszę się przystosować do moich kolegów — pomyślał Schubert. — Muszą wiedzieć, że im bezwarunkowo ufam. Bo należą do nich, chcę należeć. Nie mam innego wyboru”.

Przyłożył więc sobie pistolet do czoła i nacisnął spust. Rozległ się mocny, szybki strzał; pojawił się ogień i dym, następnie strużka krwi. Schubert padł na stół — pomiędzy butelki. Wykrztusił ostatkiem sił, ledwie dosłyszał: — dlaczego... kochałem... nic poza tym... dlaczego więc...

Potem leżał bez ruchu.

— Jest gotów — stwierdził podoficer sanitarny Neumann fachowo. — Nic tu się nie da zrobić.

— To po prostu okropne! — wykrzyknął starszy og-niomistrz Krüger, zerwawszy się z miejsca. — Spojrzał groźnie na swoich stronników, którzy odskoczyli aż do ścian. — Jestem wstrząśnięty! Kto to zrobił? Kto jest temu winien?

Nikt się nie zgłosił. Wszyscy patrzyli na starszego og-niomistrza, nie na zmarłego. W oczach ich malował się strach, ale także nadzieja. Nadzieja związana z Krügerem. A ten zapytał: — Czyja broń była naładowana?

— Moja w każdym razie nie! — zapewnił Arm pospie-sznie. — Dałem swój pistolet Hillerowi, aby on również mógł wziąć udział w zabawie. Oczywiście nie naładowany pistolet.

Krüger spojrział zaskoczony na Hillera. Pozostali kole-dzy uczynili to samp.

— No Hiller? — zapytał Krüger. — Co pan na to po-wie?

— Zgadza się — odrzekł Tino Hiller, przestraszony. — Wziąłem tę broń z rąk pana Arma i przekazałem dalej, tak jak ją otrzymałem. Mogę przysiąc.

— I ja mogę przysiąc — oznajmił Arm głośno — że w lufie pistoletu, który dałem Hillerowi, nie było ani jedne-go naboju, sprawdziłem to przedtem dokładnie.

— Wobec tego, Hiller, jest pan załatwiony! — zawo-łał Krüger. Podszedł do podoficera. — Jeśli tak jest, oznacza to dla pana sąd wojenny! A następnie, można po-wiedzieć śmiało: koniec!

Tino Hiller pobladł, potrząsnął głową. Nie mógł wy-dobyć słowa.

— Jedno jest pewne, Hiller — powiedział po chwili Krüger. — Należy pan do naszego korpusu podoficerskiego, a więc do mojej baterii. I zasłużył się pan dla niej, a to zobowiązuje. Żaden kolega nie zostawi drugiego kolegi w potrzebie, kiedy mu się noga powinie. Czy mam rację?

Koledzy skinęli skwapliwie głowami. Wszyscy bez wyjątku. Niektórzy mruknęli nawet z aprobatą. A tak oszczędny zazwyczaj w słowach Kamiński powiedział głośno: — Jasne!

— A więc — rzekł Krüger, kiwając z uznaniem głową — musimy być konsekwentni. Przysięganiem i zapewnianiem daleko nie zajedziemy, to robi tylko złą krew, unoszą kurz i hamuje naszą siłę działania, a więc dajmy temu spokój! Trzymajmy się faktów.

— Jakich? — zapytał Arm ciekawie.

— Faktem jest śmierć Schuberta! Potwierdzona przez podoficera sanitarnego i dla nikogo nie ulegająca wątpliwości. Nic go nie wskrzesi. Nie ma sensu pociągać za to do odpowiedzialności innego kolegę, który się zasłużył. Pozostaje nam więc stwierdzić jednoznacznie: to był nieszczęśliwy wypadek. Podczas czyszczenia broni. Ten biedny głupiec zajrzał do lufy — jak uczy doświadczenie, coś takiego często się zdarza.

— Zapamiętamy to! — powiedział Softer, niezwykle rad z obrotu sprawy.

A koledzy — prócz Millera — skinęli Krügerowi głową; poczuli wielką ulgę. Na swoim Krügerze mogli polegać. — Tak jest — zawołali — tak właśnie było!

— Nasz wieczór koleżeński będziemy kontynuować u dam — zarządził Krüger — tylko proszę zachowywać się jak najciszej. Mamy przecież, by tak rzec, żałobę. Neumann pozostanie przy naszym drogim zmarłym, aby tu doładnie posprzątać i odprawić ewentualnych ciekawskich.

— Zrobi się! — obiecał podoficer sanitarny.

— Hiller na razie pozostanie ze mną w celu dalszych instrukcji — zarządził Krüger. — Reszta kolegów może już iść! Zobaczymy się w burdelu!

Bert Bergen zjawił się w parku amunicyjnym dopiero przed północą. Przystanął na chwilę w drzwiach kasyna i przyglądał się stamtąd długiemu przedmiotowi, owiniętemu w płachtę namiotową, który leżał na stole. Pilnował go Neumann.

— A więc zgadza się — powiedział Bergen cicho.

— Wynoś się stąd! — zawołał Neumann. — To strefa zamknięta. Wstęp surowo wzbroniony! Rozkaz Krügera.

Bergen jakby tego nie słyszał. Podszedł bliżej wolnym krokiem. Stał obok stołu. Rzekł: — A więc naprawdę go załatwiliście — wy, banda morderców!

— Nie powinieś mówić takich rzeczy nawet we śnie — oświadczył Neumann koleżeńskim tonem. — Może ci to cholernie zaszkodzić.

— Czy może chcecie także i mnie zastrzelić, tak jak tego poczciwego chłopca? I to tylko dlatego, że ktoś nic chciał go więcej widzieć, a jego życzenie jest dla was rozkazem. Mordercy i kaci. Oto czym jesteście!

— Człowieku, co ty za głupstwa wygadujesz! To cholernie niebezpieczne. Nie chcę tego słuchać! — Neumann sprawiał wrażenie zatroskanego. — To był wypadek, nic więcej.

— Podczas czyszczenia broni, prawda?

— Zgadza się. Skąd to wiesz?

— Powoli przenikam wasze metody! Wszystko świetnie zorganizowane! Ze świadkami całkowicie zgodnymi — i tak dalej...

— Nie tylko świetnie, ale superświetnie zorganizowane — zapewnił Neumann. — Dokładnie tak jak powie-



działeś, kolego: wypadek podczas czyszczenia broni. Koronny świadek: Tino Hiller, poza tym jeszcze ja.

— Hiller? — zapytał Bergen z niedowierzaniem. — Akurat on?

— Dziwisz się, co? Krüger już ustalił na piśmie wszystkie szczegóły! No, teraz już wiesz! A zatem znikaj!

— Chcę zobaczyć Schuberta — powiedział gefrajter po dłuższym milczeniu.

— Nie wolno! — zawołał Neumann, stając przed Bergenem. — Nie mogę na to pozwolić, muszę naniec zgodę Krügera. A jak on się dowie, że się tu wdarłeś...

— Zejdź mi z drogi — powiedział Bergen cicho.

— Dlaczego stwarzasz mi trudności! — zawołał Neumann. — Nie ma tu co oglądać, tej nędznej świni prawie nie można poznać. Możesz sobie oszczędzić tego widoku. Zawsze powtarzam: zmarłych należy grzebać, a nie oglądać! Powinno się ich pamiętać takimi, jakimi byli za życia.

Bergen odsunął Neumanna energicznie na bok. Następnie pochylił się nad zmarłym i uniósł płachtę. Spojrzał tam, gdzie była twarz Johanna Schuberta — ta jasna, chłopięca twarz niemal klasycznej piękności. Teraz była zniekształcona, grubo pokryta zakrzepłą krwią, z roztrzaskanym czołem.

Bergen z powrotem opuścił płachtę. Odwrócił się i wyszedł. Płakał, starając się nic pokazywać swoich łez.

W wielkiej sali bankietowej płonęły świece — wszystkie, jakie były w zapasie. Stały w szklanych, srebrnych i złotych lichtarzach: na stole, wzdłuż ścian, na podłodze, na krzesłach, na kredensie. Migwały niespokojnie, gdyż wszystkie okna w sali były szeroko otwarte.

Pośród tych drgających girlandów świec stał Hein — w białej, długiej nocnej koszuli; książęca szata leżała przy-

deptana u jego stóp. Kapitan napełnił na nowo kieliszek, następnie odrzucił z niechęcią pustą butelkę; uderzyła o ścianę i rozbiła się. Hein wypił szampana, po czym również kieliszek upuścił na podłogę. Przygniótł go nogą. Jego nieruchoma, blada twarz była złana potem.

Kapitan zachwiał się, znów przydeptał książęcy płaszcz, który wciąż leżał u jego stóp. Wydawało się przez chwilę, że straci równowagę — oparł się o stół, uchwycił blat, zatoczył się, ale zaraz znów się wyprostował. Oddychał z trudem, usta miał szeroko otwarte. W napięciu spoglądał na pełgające łańcuchy świateł, próbował patrzeć dalej, poza nie, w groźną ciemność przy drzwiach, gdzie zdawał się dostrzec blask dwojga oczu.

— Czy to wy, Bergen? — zapytał.

— Tak — usłyszał odpowiedź.

Kapitan skinął głową. — Witam was. Witam człowieka, po którym mogę się spodziewać szczerości.

Hein, powiedziawszy to, jakby zapadł się w sobie, ale jednocześnie sięgnął pod stół do wiadra z kawałkami lodu, w którym stały butelki szampana. Podniósł w górę jedną z nich, wymachiwał nią jak miotacz kulą. Następnie obtłukł jej szyjkę o kant stołu. Wziął jeden z pustych kieliszków, które stały przed nim w rzędzie, napełnił go, wypił do dna, po czym roztrzaskał o podłogę.

Powiedział głucho przed siebie: — Czego oni tu ode mnie wymagają, Bergen? Co zmusza tych ludzi do tego, aby mi kazać tak czynić? Kiedy wreszcie skończą się te dręczące żądania? Ja dążę do wielkości, a tłamsi mnie podłość. Ja oferuję bezgraniczną wierność, a sam zostaję nędznie zdradzony. Kocham, ale moje uczucia zostają podeptane. Mój Boże, cóż to za świat!

Następnie powiedział, pochylając się nad stołem: — Mimo wszystko jest to, Bergen, świat wielkich prób! Bezgranicznych poświęceń! Widzę to i cierpię. Cierpię jak

zwierzę. Albowiem zadaję sobie pytanie: dlaczego inni tego nie widzą? Staralem się, zawsze się starałem wyjaśnić to wszystkim osobom, które były mi bliskie. Prosiłem je, zaklinałem, kłękałem przed nimi...

Hein padł jak długi na stół, przewracając kieliszki i butelki. Szampan wytrysnął, rozlał się, płynął po stole, kapał na podłogę. Jak krew. Najpierw szybko, potem jakby zastygając. Wreszcie w pokoju zapanowała cisza.

Hein, mokry od szampana i potu, znów się wyprostował. Stał teraz sztywno. Rozpostarł ręce, znów je opuścił. Patrzył przez chwilę w pustkę. Zdawało się, że nie widzi Bergena.

Po chwili powiedział ciężko, jakby w bólu: — A więc wszystko musi podążać swoim torem! Poznałem właściwy, wyższy sens ludzkiego istnienia i próbowałem go wypełnić. Tych, którzy się bronią, którzy nic rozumieją własnego przeznaczenia, którzy nie chcą wiedzieć, do czego są stworzeni, trzeba do tego zmusić! Musimy ich zmusić do wielkości, do wierności, do miłości! Nawet gdyby mieli przy tym zginąć!

Powiedziawszy to, Hein skinął głową i uśmiechnął się. — Tak to chyba jest — rzekł. Zabrzmiało to niemal wesoło, a zarazem boleśnie.

Wyprostował się i z wykrzywioną twarzą chwycił stół wążący kilka cetnarów. Uniósł go drżącymi rękami na wysokość czoła, dyszący, czerwony na twarzy. Potem przechylił stół na bok, aż upadł on na krzesła i połamał je. Świece pogasły, воск prysnął na ściany obite tkaniną, która szybko się /ujęła. Hein roześmiał się na ten widok.

Przeszedł przez korytarz, pobiegł na górę po schodach, okrążył krzesło stojące w pokoju w wieży. Podszedł do północnego okna. Tu wskoczył na parapet, stanął w rozkroku, balansując dla zachowania równowagi. Oparł

się na chwilę o ramę okienną, ale zaraz znów się wyprostował i spoglądał w dal.

Gefrajter Bergen szedł do kapitana, jakby przyciągany magiczną siłą. Stał tuż za nim. Następnie pchnął go.

Hein krzyknął i próbował przytrzymać się framugi okna, ale zmurszałe drewno rozsypało się.

Runął w dół. Upadł głucho na kamienną płytę u stóp wieży. I leżał bez ruchu. Prawie tak samo jak nie tak dawno zwykły żołnierz, który nazywał się Schulz, poprzednik Johanna Schuberta.

— To było nieuniknione — powiedział gefrajter Bergen, zanim się oddalił. — Nie mogłem inaczej!

Przeszedł korytarzem, który prowadził z pokoju w wieży do sypialni. Następnie skierował się do sali bankietowej. Ściany sali, obite jedwabiem, stały w płomieniach. Płomienie te lizały pożądliwie stół, wędrowały w górę ku portretom przodków, pełzały po dywanach. Unosiły się aż do grubych, wyschniętych belek na suficie.

Bert Bergen szybko i bezpiecznie przebiegł przez ogień. Nie zauważony przez nikogo wpadł do swojej sypialni i położył się na sienniku.

— Ogień! — usłyszał po chwili alarmujący krzyk żołnierzy. Milczał i uśmiechał się.

— Zamek się pali! — zawołał ktoś, potrząsając nim. — Pali się!

— Co mnie to obchodzi? — rzekł gefrajter Bergen, odwracając się na bok na swoim sienniku.

### ***Fragment opinii byłego sędziego wojennego Borna***

„(...) to wszystko zostało jak najdokładniej zbadane! Wypraszam sobie, mówię to z naciskiem, jakiegokolwiek nierozważne podejrzenia! (...) mogę tylko to twierdzić, co

możliwie naj skrupulatniej i w niepodważalny sposób w majestacie prawa zbadalem i podałem w aktach do wiadomości... i co również dziś potwierdzam. A oto co się wydarzyło:

Schulz, żołnierz — wypadł z okna podczas jego mycia.

Runge, ogniomistrz — zginął w walce podczas próby likwidowania sabotażystów, którzy wtargnęli na teren stanowiska ogniowego.

Schubert, żołnierz, właśnie awansowany na wniosek swego kapitana ze względu na szczególne zasługi — zranił się śmiertelnie podczas czyszczenia pistoletu.

Wreszcie kapitan Hein — ofiara okoliczności. Na piętrze starego zamku, gdzie zamieszkiwał, wybuchł pożar, który najprawdopodobniej zaskoczył go we śnie. Najwiśdziej kapitan próbował wzywać pomocy z okna wieży. Ale rama, której się przytrzymał, pękła i Hein spadł w dół. Skręcił kark i zmarł natychmiast.

Takie są fakty".

***Wyjątek z przemówienia pułkownika  
Rheinemanna-Bergena,  
wygłoszonego na pogrzebie kapitana  
Heina***

„(...) składamy do grobu kolegę, który rzeczywiście nie ma równego sobie! Był on bohaterem pod każdym względem! I jako taki przejdzie do wieczności. Postarajmy się być tego zawsze świadomi.

Nasz kapitan Hein ustanowił normy, które będą nas wciąż obowiązywały. Zawsze był gotów do poświęceń — w nadziei na lepszą oraz piękniejszą niemiecką i ludzką przyszłość.

Pochylamy się więc tu, nad jego grobem, przed jego wielkością, dzielnością, niezwykłą energią, żołnierskim du-

chem, żelazną wolą. Całe jego życie było nieustanną gotowością do ofiar.

Ofiar dla ojczyzny, dla Niemiec, dla tego świata! Kto umarł tak jak on, koledzy, ten nie umarł na darmo!

Inaczej bowiem historia straciłaby swój sens. Ale tak się nie może stać, i tak się nie stanie, koledzy! Tak nie będzie, dopóki istnieją świadomi niemieccy patrioci! A tacy, przyjaciele, nie wyginą!

Zapytuję siebie i was, koledzy, czy to nie jest optymistyczne?"

## ***Spis treści***

- Śmierć przed południem — na pozór zwykły przypadek..... 7
- „Pruska ruletka” — pierwsza faza ..... 50
- Nieszczęścia przybierają na sile — i to nie po raz pierwszy..... 102
- Wielka była udręka owych dni — mało kto jednak chciał to przyznać ..... 156
- Bohater musi się uwiarygodnić — bo inaczej historia nie będzie wiedziała, co z nim począć . 199
- Bohaterska śmierć jak grom z jasnego nieba — to tylko jedna możliwość spośród wielu . . . 245
- Śmierć pragnie mieć również swoje święto . 287
- O wartości życia ludzkiego, jak również o funkcji podaży i popytu..... 329
- „Pruska ruletka” — ostatnia faza..... 362